

I S A A C

# ASTIMOV



Złoto i magia

Isaac Asimov

# Złoto i magia: opowiadania

[fantastyka, horror, science fiction](#)

*(przekład: Jolanta Kowalczyk)*

Wydawnictwo: Rebis 1998

**Tytuł oryginału: Gold and Magic: A Selection of Stories**



# Na zdrowie!

Kichnąłem.

George odsunął się i zapytał surowym tonem:

— Znowu się przeziębiłeś?

Wytarłem nos, z miernym efektem, i odparłem głosem stłumionym przez chusteczkę:

— To nie przeziębienie, tylko zapalenie zatok. — Wbiłem wzrok w fusy, jakby to była ich wina, że kawa zupełnie nie ma smaku. — To już czwarty nawrót w tym roku i za każdym razem, na dłużej lub krócej, tracę zmysł powonienia i smaku — dodałem. — Obecnie nic nie czuję; kolacja, którą właśnie zjedliśmy, równie dobrze mogłaby być z kartonu.

— A czy pomoże ci — rzekł George — moje zapewnienie, że wszystko było znakomite?

— Ani trochę — odparłem markotnie.

— Ja nie miewam takich przypadłości — oznajmił. — A przypisuję to swemu higienicznemu trybowi życia oraz czystemu sumieniu.

— Dziękuję ci — odparowałem — za współczucie, ja jednak skłaniałbym się raczej ku przekonaniu, że ciebie takie nieszczęścia omijają, ponieważ żaden szanujący się mikroorganizm nie zechciałby się żywić twoimi plugawymi tkankami.

— Nie czuję się dotknięty tą nieuprzejmą uwagą, stary przyjacielu — powiedział George, tym razem na szczęście się hamując — bo rozumiem, iż te dolegliwości wywołują w tobie zgorzknienie i sprawiają, że mówisz rzeczy, których w normalnym stanie umysłu (zakładając, że kiedykolwiek się w takim znajdowałeś) byś nie powiedział. To wszystko bardzo mi przypomina historię mojego serdecznego przyjaciela Manfreda Dunkela, z czasów gdy rywalizował ze swoim serdecznym przyjacielem Absalomem Gelbem o wdzięki uroczej Euterpe Weiss.

— Niech diabli wezmą twojego serdecznego przyjaciela Manfreda Dunkela, jego serdecznego przyjaciela Absaloma Gelba oraz ich wspólną ofiarę, Euterpe Weiss — odparłem posepnie.

— To mówią twoje zatoki, stary, nie ty — rzekł George.

Manfred Dunkel i Absalom Gelb (wyjaśnił George) uczęszczali do New York Institute of Opticianry i podczas tych studiów bardzo się zaprzyjaźnili. Niemożliwe jest bowiem, aby dwaj młodzieńcy, którzy wspólnie zgłębiają tajemnice soczewek i refrakcji, biorą się za bary z

poważnymi przypadkami krótkowzroczności, starczowzroczności oraz nadwzroczności i siadają razem do stołu szlifiernego, nie poczuli w końcu, że są sobie bliscy jak bracia.

Pospołu studiowali tabele do badań oczu, projektowali nowe dla znających cyrylicę albo alfabet grecki, wybierali ideogramy dla Azjatów i dyskutowali, jak tylko dwóch specjalistów potrafi, o wadach i zaletach stosowania rozmaitych znaków diakrytycznych: grave, aigu, circumflexe i cedille przez pacjentów francuskich; umlautów przez Niemców, tyld w wypadku osób posługujących się hiszpańskim i tak dalej. Absalom, powodowany silnymi emocjami, zapewnił mnie zresztą swego czasu, że brak tych akcentów w niektórych językach jest przejawem czystego rasizmu utrudniającego właściwą korekcję wad wzroku u osób, które nie są pochodzenia czysto anglosaskiego.

Homerycka walka w tej sprawie wypełniała kilka lat temu rubrykę listów w „American Journal of Optical Casuistry”. Być może pamiętasz artykuł napisany przez naszych przyjaciół, w którym potępiali przestarzałe tabele do badań wzroku. Jego tytuł brzmiał: *Podrzyjcie te sfatygowane płachty!* Manfred i Absalom wspierali się wzajemnie w boju przeciwko konserwatyzmowi ich profesji i mimo że nie udało im się wycisnąć piętna swych zapatrywań na jej polu, dążenia owe zbliżyły ich do siebie bardziej niż kiedykolwiek.

Po uzyskaniu dyplomów otworzyli firmę Dunkel i Gelb, rzuciwszy uprzednio monetę, by zdecydować, czyje nazwisko ma być pierwsze. Wiodło im się nadzwyczajnie. Dunkel był być może odrobinę lepszy w szlifowaniu szkieł, Gelba natomiast uważano powszechnie za mistrza w projektowaniu opravek w stylu art deco. Jeden wiedział zawsze, czego chce drugi, potrafili bowiem, jak lubili powtarzać, czytać sobie nawzajem z oczu.

Nie dziwiło więc, że kiedy się już zakochali, to w tej samej kobiecie. Gdy Euterpe Weiss przyszła po nowe szkła kontaktowe, obaj mężczyźni zmierzyli ją wzrokiem (nie można powiedzieć, że przelecieli ją wzrokiem, ze względu na prawdziwie profesjonalny sposób, w jaki badali jej przeuroczą optykę) i uświadomili sobie, iż natknęli się na ideał. Jako laik w dziedzinie optyki nie mogę powiedzieć, bym tak do końca pojmował, na czym ów ideał polegał, ale obaj stali się nagle liryczni — każdy na swój sposób ma się rozumieć — i często dyskutowali na temat osi gałek ocznych i dioptrii Euterpe. Jako że znałem tych młodzieńców od czasów, gdy byli jeszcze nastolatkami noszącymi swe pierwsze okulary (Manfred był lekkim krótkowidzem, Absalom lekkim dalekowidzem, obu im natomiast dokuczał umiarkowany astygmatyzm), bardzo obawiałem się rezultatów. A jednak, myślałem sobie, z pewnością święta młodzieńcza przyjaźń zwycięży, kiedy ci dwaj, obecnie silni mężczyźni, przystąpią do walki o Euterpe, która — jak stwierdził Manfred z dłońmi przyciśniętymi do serca — była „widokiem sycącym oko” albo — jak powiedział Absalom z rękoma uniesionymi ku niebu — Jeśli idzie o Euterpe, oczy mówią same za siebie”.

Myliłem się jednak. Nawet w związku z boską Euterpe dwaj optycy, bliźsi sobie niżli para najbliższej osadzonych oczu, zachowywali się nadzwyczaj przyjaźnie. Zawarli porozumienie, zgodnie z którym we wtorki i piątki Manfred mógł się spokojnie umawiać na randki z Euterpe, jeśli udało mu się je zaaranżować, podczas gdy Absalom miał swoją szansę w poniedziałki i czwartki. W weekendy zabawiali pannę razem, zabierając ją do muzeów, do

opery, na odczyty poezji oraz niewinne posiłki w przytulnych jadłodajniach. Życie przerodziło się w łańcuch nieustających przyjemności.

Co ze środami, pytasz? Środy stanowiły dowód tego, jak światłe stanowisko zajmowali ci młodzi ludzie w sprawach najwyższej wagi. W środy Euterpe miała prawo spotykać się z innymi. Uczucia Manfreda były bowiem czyste, tak samo jak uczucia Absaloma. Pragnęli, by dziewczyna sama dokonała wyboru, nawet jeżeli oznaczało to, iż jakiś prostak, który nie jest optykiem, będzie mógł się gapić w jej oczy... wzdychać do niej... mówić kłamstwa...

Czemu jesteś ciekaw, kto ją teraz całuje? Po co wprowadzasz jakieś swoje *non sequitur*, kiedy ja staram się zdać ci spójne sprawozdanie z przebiegu zdarzeń?

Przez dłuższy czas wszystko szło świetnie. Nie było tygodnia, w którym Manfred nie rozegrałby z tą młodą damą partyjki garibaldijskiej jednego wieczoru, a Absalom nie miał szansy odegrać dla niej poruszającej melodii na owiniętym bibułą grzebieniu następnego. Innymi słowy, był to okres niczym nie zmaconego szczęścia.

Albo, w każdym razie, tak mi się zdawało.

Aż pewnego razu przyszedł zobaczyć się ze mną Manfred. Jedno spojrzenie na jego wymizerowaną twarz i jakbym już wszystko wiedział.

— Biedny młodzieńcze — powiedziałem. — Tylko nie mów mi, iż Euterpe stwierdziła, że koniec końców woli Absaloma. — (W tej sprawie zachowałem neutralność, stary, i byłem gotów pograć się w żałobie, gdyby obojętnie który z tych dwóch młodzieńców dostał po oku, że się tak wyrażę).

— Nie — odparł Manfred. — Tego ci nie powiem. Jeszcze nie. Ale to nie potrwa długo, wujku George. Jestem w gorszej sytuacji. Mam zaczerwienione i podpuchnięte oczy, a Euterpe raczej nie może szanować optyka z oczyma, które odbiegają od normy.

— Płakałeś, prawda?

— Ależ skąd — odrzekł dumnie Manfred. — Optycy to dumni mężczyźni, którzy nigdy nie płaczą. Ledwie zdarza mi się pociągnąć nosem. To jakieś przeziębienie, rozumiesz?

— Często je miewasz? — spytałem ze współczuciem.

— Ostatnio tak.

— A Absalom, czy on też się przeziębia?

— Owszem — odparł Manfred — ale nie tak często jak ja. Co jakiś czas wypada mu dysk, co mnie się nigdy nie przytrafia. Ale cóż z tego? Człowiek z chorym kręgosłupem ma oczy jasne i przejrzyste. Nieważne są sporadyczne pojękiwania i okresowa niemożność wstania z łóżka. Natomiast kiedy Euterpe wpatruje się w moje zażawione oczy, w zaczerwienione naczynka krwionośne twardówki, w zaognione spojówki, wówczas z pewnością musi ją ogarniać wstręt.

— Ach, czy na pewno, Manfredzie? Ze wszystkich opowieści wynika, że to przemiła panna, obdarzona skorym do wzruszeń, współczującym okiem.

— Nie śmiem na to liczyć — odparł ponuro Manfred. — Nie stawiam się na umówione spotkania, gdy jestem przeziębiony, toteż ostatnimi czasy Absalom widywał ją znacznie częściej ode mnie. To wysoki, gibki młody człowiek; nie znajdziesz panny, która bez

wzruszenia wysłuchałaby rozczulających melodii wygrywanych przez niego na grzebieniu i bibułce. Obawiam się, że nie mam szans. — ukrył twarz w dłoniach, starannie przy tym unikając szkodliwego ucisku na oczy.

Sam byłem poruszony, jakby dziesięć grzebieni z dziesięcioma bibułkami odegrało nagle marsza wojskowego *The Stars and Stripes Forever*.

— Być może mógłbym sprawić, byś na zawsze uodpornił się na przeziębienia, chłopcze.

Spojrzał na mnie z nadzieją.

— Znasz jakieś lekarstwo? Metodę zapobiegania? Przecież... — Chwilowy płomień w jego zaczerwienionych oczach zgasł, pozostawiając je jednak równie zaognione jak przedtem. — Medycyna jest bezradna wobec zwykłego zaziębienia.

— Niekoniecznie. Być może potrafiłbym nie tylko cię wyleczyć, ale i spowodować, by to Absalom chronicznie się przeziębiał.

Powiedziałem to jedynie w tym celu, by go sprawdzić, znasz bowiem moje surowe zasady etyczne, stary, i z dumą stwierdzam, że Manfred przyjął to, jak na optyka przystało.

— Nigdy — odparł żarliwie. — Owszem, z chęcią poproszę o uwolnienie mnie od tego koszmaru, ale chcę walczyć honorowo i zmierzyć się z przeciwnikiem na uczciwych zasadach. Nie mógłbym skazać go na jakąś ułomność, do tego nigdy bym się nie zniżył. Wolałbym już raczej stracić niebiańską Euterpe.

— Będzie, jak chcesz — odparłem, ściskając mu dłoń i klepiąc po plecach.

Azazel — być może napomykałem ci już kiedyś o tym dwucentymetrowym pozaziemskim stworzeniu, które mogę przywoływać z przepastnych głębin kosmosu i które stawia się na każde moje wezwanie? Ach, więc jednak napomykałem? Mówię prawdę, a niech cię wszyscy diabli!

W każdym razie Azazel dreptał tam i z powrotem wzdłuż krawędzi stołu, nerwowo wymachując przypominającym kawałek drutu ogonkiem. Małe wypustki zastępujące mu rogi jarzyły się bladym, niebieskim światłem oznaczającym wysiłek umysłu.

— Prosisz o zdrowie — rzekł Azazel. — Prosisz o normalność. O sytuację, w której panuje równowaga.

— Wiem, o co proszę, o Boska i Uniwersalna Wszechmocy — odparłem, starając się ukryć zniecierpliwienie. — Zabiegam o to, by mój przyjaciel się nie przeziębiał. Poznałeś go za moim pośrednictwem. Zbadałeś go.

— I to wszystko, czego chcesz? Uniknięcia tych paskudnych, kaprawych, plugawych, flegmowatych przeziębienia, na które cierpią zwierzęcopodobni mieszkańcy tej przeżartej przez robactwo planety? Uważasz, że można oświetlić jeden kąt pokoju, nie rozjaśniając jednocześnie całego wnętrza? W takim razie dowiedz się, iż równowaga czterech humorów w wypadku okazu, który mi przedstawiłeś, jest niebezpiecznie naruszona.

— Równowaga czterech humorów? Pomazańcze Kosmosu, humory odeszły w niebyt wraz z Herodotem.

Azazel spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

— A jak ci się zdaje, czym są humory?

— To cztery płyny regulujące funkcje ciała: krew, flegma, żółć i czarna żółć.

— Co za ohydny pomysł — odparł Azazel. — Mam nadzieję, że ten Herodot wzbudza wśród ludzi z twojej planety powszechne obrzydzenie. Cztery humory to oczywiście cztery nastawienia umysłu, które, jeśli je bardzo starannie zrównoważyć, nie mogą wprawdzie pomóc, lecz za to przywrócą nieprzerwaną normalność oraz zdrowie bezużytecznym ciałom nawet tak nic nie znaczących robaków jak, na przykład, ty.

— No cóż, czy w takim razie mógłbyś bardzo starannie zrównoważyć humory mojego robakowatego przyjaciela?

— Myślę, że mogę, ale to nie jest łatwe. Nie chcę go dotykać.

— Nie będziesz musiał. Zresztą jego nawet tu nie ma.

— Mam na myśli kontakt astralny. Należałoby wówczas odprawić rytuał oczyszczenia, który potrwałby prawie tydzień i chwilami byłby dość bolesny.

— Jestem pewien, o Wcielenie Perfekcji, że dla ciebie uniknięcie kontaktu astralnego będzie błahostką.

Jak zwykle pod wpływem pochlebstwa Azazel pojaśniał, a jego różki zeszywniały.

— Ośmielę się stwierdzić, że potrafię — powiedział, i rzeczywiście tak było.

Następnego dnia spotkałem Manfreda. Wyraźnie promieniał zdrowiem.

— Wujku George — rzekł — te ćwiczenia z głębokim oddychaniem, o których mi opowiedziałeś, zrobiły swoje. Wyleczyłem się z przeziębienia między jednym a drugim oddechem. Oczy się oczyściły, odzyskały kolor, ochłodziły i teraz mogę spojrzeć w twarz całemu światu. Właściwie — kontynuował — nie wiem, co to takiego, ale cały czuję się zdrów. Czuję się jak dobrze naoliwiona maszyna. Moje oczy są reflektorami cudownej lokomotywy, która mknie przez kraj. Odczuwam nawet — ciągnął — ten cudowny impuls, by tańczyć do jakiegoś uwodzicielskiego, hiszpańskiego rytmu. Uczynię to, oszałamiając niebiańską i eteryczną Euterpe.

Wyszedł z pokoju, tańcząc — jego stopy pogardliwie odtrącały podłogę delikatnymi krokami, gdy pokrzykiwał rytmicznie:

— Oko, oko, oko—oko!

Nie mogłem się nie uśmiechnąć. Manfred nie był tak wysoki jak Absalom, ani też zgrabny czy klasycznie urodziwy, mimo że wszyscy optycy to wcielenie klasycznego ideału piękna. Wyglądał lepiej niż Apollo Belwederski, ale nie aż tak dobrze jak Absalom. Ta aura zdrowia, pomyślałem, wszystko wyrówna.

Przypadek zrządził, że na jakiś czas musiałem opuścić miasto w wyniku sporu, w który uwikłałem się z pewnym bukmacherem: jak się okazało, dość nikczemną, głuchą na logiczne argumenty kreaturą.

Po powrocie dowiedziałem się, że Manfred od dawna na mnie czeka.

— Gdzieś ty był? — spytał gderliwym tonem.

Popatrzyłem na niego z troską. Wyglądał na zdrowego i wysportowanego, oczy miał

płynne i przejrzyste, a jednak... a jednak...

— Wyjechałem, uciekając przed interesami — odparłem, starannie unikając wdawania się w szczegóły. — Ale co z tobą, chłopcze?

— Co ze mną? — Zaśmiał się sardonicznie. — Cóż niby miałoby być? Piękna Euterpe dokonała wyboru, lecz niestety nie padł on na mnie. Wychodzi za Absaloma.

— Ale co się stało? Chyba nie powiesz mi, że...?

— Że zachorowałem? Gdzież tam. Próbowiałem, możesz mi wierzyć. Spacerowałem na lodowatym deszczu. Wkładałem mokre skarpetki. Bratałem się z ludźmi, którzy byli przeziębieni lub chorowali na nieżyt nosa. Na miły Bóg, ja nawet zabiegałem o zapalenie spojówek. Wszystko, byle tylko zachorować.

— Nic nie rozumiem, Manfredzie. Dlaczego chciałeś być chory?

— Bo Euterpe ma silny pociąg macierzyński. Najwyraźniej to powszechna cecha wśród istot ludzkich odmiany żeńskiej. Nie miałem o tym pojęcia.

Zaniepokoiłem się. Rzeczywiście, coś takiego obito mi się o uszy. Było nie było, to kobiety rodzą dzieci, a dzieci wiecznie niedomagają, ślinią się, poca, kichają, kaszlą, gorączkują, sinieją i na wiele innych sposobów obrzydliwie chorują, co jakoś nigdy nie wpływa na miłość matki — raczej na odwrót, jak się zdaje.

— Powinienem to wziąć pod uwagę — odparłem po namyśle.

— To nie twoja wina, wujku George — odrzekł Manfred. — Natychmiast przestałem ćwiczyć głębokie oddychanie, lecz to nie pomogło. Tu poszło o Absaloma, tego biednego faceta. Jego po prostu przygwoździło do łóżka.

— Raczej nie mógł udawać, jak się domyślam. Manfred wyraźnie się zatrwożył.

— Udawać? Optyk? Wujku George! Wymogi profesji nie pozwoliłyby na to. Ani też nasza bliska przyjaźń. Poza tym któregoś razu, kiedy skoczyłem na niego bez uprzedzenia i zmusiłem, by usiadł, ryk śmiertelnego bólu, jaki z siebie wydał, nie mógł być symulowany.

— I to właśnie tak wpłynęło na Euterpe?

— Niewiarygodnie. Nie odstępuje go na krok, karmi niezliczonymi miskami bulionu i pilnuje, by często zmieniano ciepłe kompresy na jego oczach.

— Ciepłe kompresy na oczach? A to na co? Jak zrozumiałem, twierdziłeś, że dysk mu wyskakuje?

— Tak właśnie jest, wujku George, ale Euterpe uważa, bo tego ją nauczyliśmy, że wszelkie leczenie zaczyna się od oczu. W każdym razie twierdzi, iż jej życiową misją jest opiekowanie się Absalomem, pilnowanie, by wyzdrowiał, dbanie o jego szczęście i wygodę, w związku z czym musi go poślubić.

— Ależ Manfredzie, ciebie przecież stale nękały przeziębienia. Dlaczego ona nie...

— Ponieważ unikałem Euterpe, by jej nie zarazić, nie zobaczyć zimnego wyrazu wstrętu, który, jak sobie wyobrażałem, ujrzę w jej oczach. Jakże się myliłem! Jak ja się myliłem! — tu uderzył się pięścią w głowę.

— Mogłeś udawać... — zacząłem.

Jednak na jego twarzy znowu pojawił się ten wyraz trwogi.



— Optyk nie posługuje się w życiu kłamstwem, wujku George. A poza tym, z jakiegoś dziwnego powodu, nie potrafię przekonująco udawać chorego. Po prostu wyglądam zbyt zdrowo. Nie, muszę pogodzić się z losem, wujku George. Absalom zwrócił się do mnie jako swego najbliższego przyjaciela, bym został jego drużbą.

I tak też się stało. Manfred był drużbą i mimo że od ślubu tamtych dwojga upłynęło tyle długich lat, jest ciągle kawalerem. Niekiedy myślę sobie, iż być może pogodził się ze swym smutnym losem. Absalom natomiast dorobił się trójki dość nieprzyjemnych dzieci, Euterpe przybrała na wadze i jej głos stał się piskliwy, a poza tym jest szalenie rozrzutna.

Ostatnio zwróciłem na to uwagę Manfredowi, a on westchnął tylko i powiedział:

— Być może masz rację, wujku George, lecz optyk, kiedy kocha, nie kocha płytko. Optyk kocha na zawsze.

George westchnął rzewnie i umilkł.

— Dziwne, ale tego jedynego optyka, jakiego znam, zawsze widziano w towarzystwie kobiety. Nigdy też nie ujrzano go dwa razy z tą samą — powiedziałem.

— Szczegół — odparł George, machając ręką. — Opowiedziałem ci tę historię, by cię przekonać, że możesz się wyleczyć z zapalenia zatok. Za nędzne dwadzieścia dolarów...

— Nie — zaprotestowałem kategorycznym tonem. — Moja żona, którą bardzo kocham, jest lekarką i znajduje perwersyjną przyjemność w leczeniu mnie. Uwolnij mnie od symptomów, a zapewne oszaleje. Proszę, masz tu pięćdziesiąt dolarów. Obiecay tylko, że zostawisz mnie w spokoju.

Były to dobrze wydane pieniądze.

# Krytyk na palenisku

Podczas kolacji z George'em byłem nieco zamyślony. W pewnej jednak chwili zapytałem:

— Czy chciałbyś usłyszeć, co Samuel Taylor Coleridge myślał o krytykach?

— Nie — odparł George.

— Świetnie! W takim razie powiem ci. Stwierdził: „Recenzenci to przeważnie tacy ludzie, którzy byliby poetami, historykami, biografami etc, gdyby mogli; wypróbowali jednak swoje talenty w tym czy owym i spotkała ich porażka — dlatego właśnie zostali krytykami”. Percy Bysshe Shelley wyraził się w owej kwestii niemalże tak samo. Mark Twain powiedział: „Zawód krytyka, krytyka literackiego, muzycznego i teatralnego jest najbardziej degradującym z wszystkich zawodów”. Lawrence Sterne oświadczył: „Ze wszystkich frazesów, jakie są głoszone na tym pełnym frazesów świecie... frazesy krytyków torturują najgorzej”. Dwadzieścia trzy wieki temu grecki artysta Zeuksis powiedział: „Krytykować łatwiej, niżli nauczyć się rzemiosła”. Lord Byron rzekł: „Krytycy to wyroby partacza... wiedzą dość, by móc błędnie cytować”. Dodał także: „Lepiej szukać róż w grudniu, lodu w czerwcu, stałości nadziei na wietrze albo ziarna wśród plew; wierzyć kobiecie, epitafium albo każdej innej rzeczy, która fałszem jest, niżli ufać krytykom”. Mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność.

— Już ciągniesz w nieskończoność — stwierdził George. — Co ty właściwie wyprawiasz?

Uczysz się tych tekstów na pamięć?

— Tak, znam ich całe mnóstwo.

— Tylko mi tu wszystkich nie cytuj.

— Dwa z nich to moje własne opinie. Pierwsza głosi, że każdy krytyk powinien zostać śmieciarzem. Wykonywałby użyteczniejszą pracę i dzięki temu zajmowałby wyższą pozycję w społeczeństwie. Druga stwierdza, iż wszystkich krytyków powinno się wrzucać do kominka.

— Żeby krytykowali z paleniska, co? I wszystko to, jak miemam, z tego jedyne go powodu, iż za któryś ze swoich żalonych płodów doczekałeś się szczerej recenzji od jakiegoś zapracowanego rzemieślnika, którego zmuszono do przebrnięcia przez twoje wypociny.

Nagle wpadłem na znakomity pomysł.

— George — powiedziałem — czy kiedykolwiek poznałeś jakiegoś krytyka i starałeś się mu pomóc?

— Czemu pytasz?

— No cóż, wciskałeś mi przemocą do ucha opowieści o swoim małym demonie, jak mu

tam, i o nieszczęściach, które za twoim pośrednictwem sprowadził na niewinne ofiary. Z pewnością musiało kiedyś dojść do tego, że naraziłeś na nieszczęście kogoś, kto sobie na to zasłużył. Innymi słowy, krytyka.

– Istotnie, był taki przypadek: Lucjusza Lamara Hazeltine’a — odparł George po namyśle.

– To krytyk?

– Tak, ale wątpię, byś o nim kiedykolwiek słyszał. On z zasady nie obraca się wśród miernot twojego pokroju.

– I starałeś się mu pomóc?

– Starałem.

Po raz pierwszy w czasie naszej długiej znajomości nie próbowałem popsuć jednej z jego opowieści.

– Opowiedz mi to koniecznie, ze wszystkimi szczegółami! — zawołałem w uniesieniu.

Lucjusz Lamar Hazeltine (rzekł George) to nadzwyczaj przystojny młodzieniec, mimo że jest krytykiem. Właściwie nigdy w życiu nie znałem nikogo bardziej przystojnego z wyjątkiem mnie samego w młodszych latach.

To właśnie jego prezencję uważam za przyczynę, dla której przez dziesięć długich lat pracy krytyka udało mu się zachować gładką twarz i nie złamany nos. Jak sam, i to lepiej niż ktokolwiek, wiesz, recenzenci stale muszą się liczyć z tym, że zostaną bezwzględnie zaatakowani przez zjednoczone siły pisarzy, żądnych wyrazić swój sprzeciw wobec nazywania ich „bezwstydnymi dostawcami organicznego nawozu”.

Hazeltine jednakowoż ze swymi czystymi, błękitnymi oczyma, złotymi lokami, różową cerą, zgrabnym nosem i męskim podbródkiem do tego stopnia przypominał anioła, że pisarze jeden za drugim kroczyli ku niemu z wrogimi intencjami, po czym uginały się pod nimi kolana i zawracali. Żaden nie chciał ponieść odpowiedzialności za zniszczenie tego ideału piękna. Bez wątpienia przeklinali swą słabość i zapewne przychodziło im do głowy, że wystarczy, aby bodaj jeden spośród nich zgodził się przylać Hazeltine’owi, a jego nieskazitelna uroda ulegnie zniszczeniu i cała reszta będzie mogła go obić z niczym nie hamowaną wściekłością.

Niemniej jednak nikt nie chciał zagrać w tej sztuce roli czarnego charakteru.

Przez jakiś czas nadzieje braci pisarskiej spoczywały na Agacie Dorothy Lissauer. Być może słyszałeś o niej. Pisze kryminały oparte na wewnętrznych przeżyciach psychopatów. Jej powieści są tak przesycone najbardziej ohydnyymi szczegółami, że nawet krytycy nie mogą się oprzeć magii ich przyciągania. Jeden z nich stwierdził nawet: „Agathy Dorothy Lissauer nie da się dotknąć, gdyż cała jest oblepiona szlamem”. Inny zaś powiedział: „Kaźde jej zdanie przepelnia przerażająca ohyda”.

Naturalnie każda dobrze wychowana młoda kobieta czułaby radość i rozkosz, gdyby jej dzieło opisano w taki sposób, nic więc dziwnego, że na spotkaniu Stowarzyszenia Autorów Powieści Kryminalnej Lissauer była jedyną osobą, która wstała i broniła sztuki krytyki, ku zaskoczeniu wszystkich uczestniczących w nim porządnych pisarzy.

A jednak Lucjusz Lamar Hazeltine „dał jej szkołę. Zignorował zupełnie pierwsze kilkanaście powieści Agathy, za to jego uwagę wyraźnie przykuła jej nowa książka — *Umyjcie ręce w mojej krwi*. Powiedział między innymi: „Autorka *Umyjcie ręce w mojej krwi* istotnie stara się rozstroić czytelnikowi żołądek i niekiedy czuje się bardzo łagodne mdłości, ale nic ponadto. Dziwię się, to przecież młoda kobieta, a stać ją na tak niewiele. Tę powieść równie dobrze mógł napisać mężczyzna”.

Przeczytawszy to, Agatha Dorothy Lissauer wybuchnęła płaczem, a potem zacisnęła usta i z zimnym, twardym spojrzeniem swych przecudownych oczu ruszyła na wędrowkę od jednego przedsiębiorstwa wynajmu koni do drugiego, testując baty.

Hazeltine, jak wiedziała, był członkiem Zrzeszenia Krytyków, związku zawodowego, którego członkowie spotykali się w pewnej obskurnej kamienicy w dzikich ostępach południowego Bronksu, gdzie, jak całkiem zasadnie uważali, nikt nie ośmieliłby się ich ścigać. Pani Lissauer jednakże, pochwycona w kleszcze burzliwych emocji, nabrała wiatru w żagle. Zamierzała odszukać siedzibę związku, zaczekać, aż Hazeltine wyłoni się z budynku, a potem bezlitośnie wychłostać go na krwawą miazgę.

Dopóki nie stanęła z nim twarzą w twarz, była przekonana, że zrobi to przy wtórze burzliwego aplauzu radośnie zaślinionego gremium Stowarzyszenia Autorów Powieści Kryminalnej. Oglądała jego zdjęcia, lecz nigdy nie widziała go w całej, trójwymiarowej okazałości.

Widok jego cudownej twarzy zmienił wszystko. Odrzuciwszy bat, ze łzami w oczach padła na kolana. Wspomniałem być może, iż pani Lissauer dorównywała urodą Hazeltine'owi, tyle że jej włosy były rdzawe, a oczy niebiańsko piwne. Nosek miała zadarty, usteczka odęte jak po użądleniu pszczoły, cerę barwy niedojrzałej brzoskwini i, ujmując to najkrócej jak się da, tych dwoje natychmiast się w sobie zakochało.

Niedługo potem spotkałem Hazeltine'a. Byliśmy dobrymi znajomymi, po części dlatego, że z nim jako krytykiem mało kto rozmawiał, toteż zawsze był mi wdzięczny, iż godzę się na pogawędki. No, ale znasz mnie, stary. Hazeltine ugaszczał mnie sutymi lunchami, a ja jestem wszak typem prawdziwego demokracji. Przyjmuję posiłki regenerujące od każdego, nie bacząc na to, z jakiej sfery społecznej się wywodzi.

— Lucjuszu — powiedziałem — moje gratulacje. Słyszałem, że zdobyłeś serce najurodzawszego pisarza na całym świecie.

— A tak, zdobyłem — odparł z wyrazem dziwnego napięcia na twarzy — ona zaś zdobyła serce najurodzawszego krytyka na całym świecie, czyli mnie. Zła to jednak miłość. Nigdy nie doczeka się spełnienia, George.

— A to dlaczego? — spytałem zdumiony.

— Ona pisze. Ja krytykuję. Jak zatem możemy się kochać?

— Ot, zwyczajnie. Wynajmijcie pokój w motelu, wyposażony w wygodne łóżko, a potem...

— Ja nie mówię o fizycznych przejawach miłości, George, ale o wewnętrznym, duchowym

pięknie. Równie dobrze mógłbyś oczekiwać, że oliwa i woda będą się mieszać, ogień i piach współegzystować, delfiny zamieszkają z jeleniami, skoro spodziewasz się od pisarzy i krytyków, że jedni będą kochać drugich. Czyż mógłbym się powstrzymać od recenzowania jej powieści?

— Oczywiście, że tak, Lucjuszu. Po prostu ignoruj.

— Nie. Po napisaniu recenzji z *Umyjcie ręce w mojej krwi* nabyłem praw wyłączności i muszę zrecenzować wszystkie jej przyszłe powieści, łącznie z tą, którą pisze teraz, rozczulającą historyjką zatytułowaną *Powieście mnie za bebechy*.

— No cóż, skoro już piszesz recenzje, to powiedz w nich coś miłego. Wyraż się dobitnie o swych mdłościach i obrzydzeniu.

Hazeltine spojrzał na mnie z odrazą.

— Jakże mógłbym to zrobić, George? Zapominasz o Przysiędze Krytyka, ustanowionej już w czasach starożytnych Greków. Przełożona na nasz język brzmi: „Temat wprawdzie boski jest, a dzieło spojrzenia szerokiego, do kręgosłupa jednak krochmalu sobie wlej i napisz coś obrzydliwego”. Nie mogę złamać przysięgi, George, mimo że niszczy moją miłość i rozdziera mi serce.

Poszedłem spotkać się z panią Lissauer. Nie znałem jej, ale przedstawiłem się jako bliski znajomy Lucjusza Lamara Hazeltine’a. To, w połączeniu z towarzyszącą mi aurą statecznego dostojeństwa, działało cuda i niebawem zrosiła mi koszulę łzami.

— Kocham go, kocham — powtarzała, szukając suchego miejsca na moim rękawie, by otrzeć oczy.

— Więc czemu nie napisać czegoś, co mu się spodoba?

— Jakże bym mogła? — spytała, patrząc na mnie z obrzydzeniem. — Nie potrafiłabym złamać Przysięgi Pisarza.

— To istnieje jakaś Przysięga Pisarza?

— Znali ją już starożytni Sumerowie. Przełożona na nasz język brzmi: „Bądź zawsze lotny i ścisły, gdy trzeba, by wszystkich krytyków pozbawić ich chleba”.

Serce krwawiło mi na myśl o tych dwojgu rozdartych pomiędzy miłością a obowiązkiem i przekonany, że muszę zwrócić się do Azazela, przystąpiłem do wzywania go z kontinuum zaawansowanej technologii, które zamieszkuje.

O dziwo był w dobrym nastroju. Drobna, czerwona twarzyczka, zwieńczona wypustkami zamiast nie istniejących rogów, uśmiechnęła się do mnie, a calowej długości ogonek zamierdał radośnie.

— O Cudzie Kosmosu — powiedziałem. — Wydajesz się szczęśliwy.

— Istotnie, jestem — odparł. — Napisałem żylczik, który spotkał się z powszechną aprobatą.

— Co to jest żylczik?

— Dowcipne powiedzonko. Wszyscy się śmiali. Dla mnie to wielki triumf.

— Och, żebym to ja mógł rzec coś o triumfie dwojga systematycznie łamanych młodych

serc! Ale skoro twój żylczik spotkał się z powszechną aprobatą, to w takim razie twój świat nie zna takiej profesji jak krytyk literacki.

— Czyżby? — odparł oburzony nagle Azazel. — I tu zdradzasz swoją żenującą niewiedzę. Mamy wśród nas te skamieliny Hadesu. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu, podczas dyskusji o wymyślonym przeze mnie żylcziku — chciałem rzec skomponowanym — pewien krytyk powiedział:

„Horsabelum desoderatim andeviduali stinko”. Uwierzyłyś w podobną ignorancję i nikczemność?

— Co to znaczy w moim języku?

— Nie skalałbym sobie ust tłumaczeniem.

Robił się wściekły i widziałem, że odchodzi mu ochota do współpracy, pospiesznie więc przystąpiłem do nakreślenia sytuacji.

Wysłuchał mnie uważnie i odparł:

— Masz znajomego krytyka i pragniesz poprawić jego zachowanie.

— Tak.

— To niemożliwe. Nawet ja nie mógłbym tego zrobić. Krytykowi nie da się pomóc na żadnym poziomie rozwoju techniki.

— Czy w takim razie mógłbyś jakimś sposobem sprawić, by stał się kimś innym niż krytykiem?

— To też niemożliwe. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że krytyk jest całkowicie niezdolny do odniesienia sukcesu w jakiejkolwiek innej sferze działalności. Gdyby miał w sobie ślady jakiegoś innego talentu, to czy zostałby krytykiem?

— Coś w tym jest — odparłem, pocierając podbródek.

— Niemniej jednak — ciągnął Azazel — pozwól, że się zastanowię. Jest w to zaangażowana jakaś inna osoba. Pisarz.

— Tak — odparłem, owładnięty nagle entuzjazmem. — Czy zdołałbyś sprawić, aby ta osoba napisała coś kompromisowego i tym samym uniknęła krytyki?

— Wiesz, że to niemożliwe. Żaden utwór literacki nie może być tak kompromisowy albo, skoro już o tym mowa, tak dobry, by jakiś krytyk powstrzymał się od rozdarcia go na strzępy. W czym innym bowiem znajdziesz sens krytyki? Jednakowoż...

— Jednakowoż? — powtórzyłem z napięciem.

— Nie mogę wprawdzie zmienić krytyka i nie potrafię zmienić pisarza, każdego z nich z osobna, mogę ich jednak podmienić. To znaczy... korzystając z Prawa Zachowania Profesji, mogę zmienić krytyka w pisarza, a pisarza w krytyka, i być może każde po doświadczeniach z przeciwnej strony ogrodzenia, że się tak wyrażę, zdołałoby potem spojrzeć na to drugie świeżym okiem.

— Cudownie — odparłem. — Myślę, że znalazłeś rozwiązanie, o Władco Nieskończoności.

Jakiś tydzień później poszedłem zobaczyć Lujusza Hazeltine'a. Nie było wątpliwości — wirus działał. Westchnął na mój widok i powiedział:

– Jestem już zmęczony byciem krytykiem, George. Ostracyzm społeczny, który spotyka mnie z każdej strony, nienawiść, pogarda i zniewagi – to wszystko nuży mnie już. Nie kompensuje tego nawet orzeźwiająca ekstaza, jaka towarzyszy znajdowaniu nowych sposobów na bycie niesprawiedliwie obrzydliwym i złośliwym w moich ocenach dzieł literackich.

– Ale co będziesz robił w zamian? – spytałem z niepokojem.

– Zostanę pisarzem.

– Ależ Lucjuszu, ty przecież nie umiesz pisać. Potrafisz naskrobać stek krytycznych inwektyw i na tym koniec.

– Będę pisał wiersze. To łatwe.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście. Znajdujesz jeden albo dwa rymy, liczysz metrum, a jeśli to poezja współczesna, to nawet nie musi mieć sensu. Na przykład taki oto kawałek, który właśnie machnąłem na poczekaniu. Zatytułowałem go *Sęp*. Idzie tak:

*Chwyta się turni zakrzywionym szponem;  
Słońcu bliski, nieustraszony,  
Otoczon zewsząd światem lazurowym,  
Ofiarę swą ze szczytów zoczy,  
I niczym straszliwy grom na nią skoczy.*

– Lucjuszu, to brzmi jakoś znajomo – odparłem po namyśle.

– Znajomo? O czym ty mówisz?

– Jest taki wiersz, zatytułowany *Orzeł*, który zaczyna się od słów: „Chwyta się turni zakrzywioną dłonią”.

Hazeltine spojrzał na mnie z furją.

– Orzeł? Z dłońmi? Każdy wie, że orzeł nie ma dłoni. Ten poeta musi być niespotykanych rozmiarów durniem, skoro pozwala sobie na taką ignorancję w elementarnych kwestiach przyrodniczych. A kto właściwie napisał ten wiersz?

– Alfred Tennyson, lord zresztą.

– Nigdy o nim nie słyszałem – oświadczył Hazeltine. (Bez wątpienia nigdy o nim nie słyszał, ponieważ, kimkolwiek stał się teraz, był kiedyś krytykiem literackim). – Pozwól, że ci odczytam kilka innych kawałków – powiedział i wyrecytował:

*Posłuchajcie, drogie dziatki, tak jak tu siedzicie,  
A opowiem wam historię, jeśli pozwolicie,  
O Krainie Słońca Wschodzącego.  
Nie ma już wśród żywych pamiętającego,  
Jak siódmego grudnia, roku czterdziestego pierwszego...*

Przerwałem mu:

– A jak to zatytułowałeś, Lucjuszu? O czym drzemało się Kimmelowi i Krótkiemu?

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Skąd wiesz?

— Zgadłem.

Wtedy powrócił do przerwanej recytacji:

— „Moja głowa jest w górach, moja głowa nie tu...” i „Bo to my, Jankesi, jak burza na Anzio spadliśmy tamtego dnia pamiętnego...”

Musiałem mu przerwać, kiedy zaczął deklamować coś, co zanosilo się na bardzo, bardzo długą balladę. Pierwsze wersy brzmiały następująco:

*Stary ten żeglarz*

*Jednego z pięciu zatrzymuje*

*Puśćże mnie, durniu siwobrody,*

*Żywot twój krótki przewiduję.*

Oddaliłem się niepewnym krokiem. Nie szło mu aż tak źle jak wtedy, gdy był krytykiem, ale też niewiele lepiej.

Poszedłem zobaczyć się z panią Lissauer. Znalazłem ją w jej gabinecie, pochylającą się smutnie nad jakimś rękopisem.

— Już chyba nie potrafię pisać, George — mruknęła cicho. — Ta praca przestała mnie interesować. Książka *Powieście mnie za bebechy* odniosła spory sukces mimo okrutnej i złośliwej recenzji mojego ukochanego Lucjusza, ale ta nowa jest obmierzła. Nosi tytuł: *Obedrzyjcie mnie ze skóry do kości*, ale jakoś nie potrafię włożyć serca w to obdzieranie.

— Ale co masz zamiar zrobić w zamian, Agatho? — spytałem.

— Postanowiłam zostać krytykiem. Posłałam do Zrzeszenia Krytyków swoje curriculum vitae łącznie z dokumentami, z których wynika, że maltretowałam moją sędziwą babkę i przy różnych okazjach kradłam mleko niemowlętom. Wierzę, iż to kwalifikuje mnie do wykonywania tego zawodu.

— Jestem o tym przekonany. A więc zamierzasz zostać krytykiem literackim?

— Nie całkiem. Jestem, ostatecznie, pisarzem, a co pisarz wie o literaturze? Nie, tak naprawdę to chcę zostać krytykiem poezji.

— Poezji?

— Oczywiście. To łatwe. Utwory są zazwyczaj krótkie, więc czytając je, nie nabawisz się bólu głowy. A jeśli są współczesne, to nie trzeba się wysilać, żeby je zrozumieć, bo z zasady nic nie znaczą. Postaram się o posadę w „Tygodniku Księgarzy”, który publikuje anonimowe recenzje. Jestem pewna, że spełnię się, jeśli nikt nigdy nie odkryje, kto powiedział te obrzydlistwa, które mam zamiar powiedzieć.

— Ależ Agatho, prawdopodobnie o tym nie słyszałaś, lecz twój ukochany Lucjusz nie jest już krytykiem. Píše wiersze.

— Wspaniale! — ucieszyła się Lissauer. — W takim razie będę recenzowała jego utwory.



– Delikatnie, mam nadzieję — odparłem. Popatrzyła na mnie z obrzydzeniem.

– Zwariowałaś? I miałabym zostać wylana z „Tygodnika Księgarzy”? Nigdy.

Przypuszczam, że koniec już znasz.

Hazeltine wydał swoje wiersze w tomiku zatytułowanym *Wonne reminiscencje*, a pani Lissauer zrecenzowała je anonimowo. Tym razem to Hazeltine przeszedł się po przedsiębiorstwach wynajmu koni, testując bity pod kątem ich niezbędnej sprężystości. Wparował jak burza do redakcji „Tygodnika Księgarzy” i zanim zdążyli ściągnąć oddział policji, żeby go usunąć, znalazł ukrytą w kącie panią Lissauer.

– Tak, tak — powiedziała. — To ja jestem autorką tej recenzji.

Hazeltine odrzucił swój bat i wybuchnął płaczem. Kiedy go stamtąd wywlekali, powiedział:

– Ona zasługuje na bity, ale nie potrafię skazić pręgami tej cudownej skóry.

Wszystko jednak pozostało jak dawniej. Mimo zamiany jedno nadal jest krytykiem, drugie pisarzem, a ich miłość, nieodmiennie głęboka i namiętna, musi na zawsze pozostać nie spełniona.

Wysłuchałem uważnie tej opowieści i kiedy dobiegła końca, stwierdziłem:

– Wyjaśnijmy sobie jedną rzecz, George. Lucjusz Lamar Hazeltine, który był niegdyś krytykiem literackim, wciąż cierpi. Mam rację?

– Cierpi męki potępionych.

– Cudownie. A Agatha Dorothy Lissauer, która została krytykiem, też nadal cierpi, nieprawdaż?

– Bardziej jeszcze niż Hazeltine, jeśli to możliwe.

– I czy będą tak cierpieć w nieskończoność?

– Jestem tego pewien.

– Cóż — odparłem — nikt nie powie, że jestem osobą złośliwą albo że chowam urazy. Wszyscy, którzy mnie znają, wyrażają się pochlebnie o moim pogodnym usposobieniu oraz zdolności przebaczenia i zapominania. Ale faktycznie zdarza mi się czynić wyjątki. George, chociaż raz nie musisz mnie o nic prosić. Oto dwadzieścia dolarów. Jeśli Azazel jest w stanie jakoś wykorzystać ziemskie pieniądze, to daj mu połowę.

# To też praca

Zwracałem na to uwagę przez całą kolację, więc ostatecznie nabrałem przekonania, że się nie mylę. Wygląd George'a świadczył niezbicie, że zaczęło mu się powodzić.

Nie bardzo, żebyśmy się zrozumieli. Rzecz w tym, że rękaw jego marynarki był jakby mniej postrzępiony, węzeł krawata trochę porządniejszy, a policzki lekko zaróżowione. Tak właściwie doszukiwanie się konkretnych zmian, które składały się na to wrażenie, nie miało sensu. To było jedynie ogólne wrażenie.

Nic na świecie nie mogło sprawić, by George wyglądał inaczej niż zwykły obibok, ale tego dnia zdawało się, że boki ma mniej obite niż zwykle.

— George — powiedziałem — nie odważyłeś się chyba na jakiś desperacki krok typu podjęcie pracy, prawda?

Skrzywił się i prędko upił łyk wina, a potem wyniosłym tonem oświadczył:

— Czy twoja matka nigdy ci nie powiedziała, że ludzie cywilizowani nie poruszają w rozmowach pewnych tematów? Na przykład tematu pr... pr...

— Pracy — podpowiedziałem usłużnie.

— Umieć wymówić to słowo — rzekł opryskliwie. — Tyle tylko, że uważając się za człowieka przyzwoitego, nie wypowiem go w związku z własną osobą.

— W takim razie, George, czemu należy przypisać to nijak niewytłumaczalne wrażenie, że nie jesteś doszczętnie splukany?

— Ach, już rozumiem. Moja beztroska rozrzutność wywarła na tobie wrażenie. W samej rzeczy, dokonałem pewnej inwestycji, która bardzo mi się opłacała.

— Z takim skutkiem, że rachunek, który tak skwapliwie przyjąłeś, prędzej czy później trafi jednak do mnie?

— Z drugiej strony — ciągnął George — skoro już mowa o pracy... przypominam sobie czasy, kiedy pewien mój przyjaciel cały aż się palił, żeby dostać pracę, gotów, w rzeczy samej, zrobić wszystko, byle tylko otrzymać jakąkolwiek posadę, a gdy już ją miał, to i tak nie potrafił jej utrzymać.

— George — powiedziałem — jesteś taki rozrzutny, że aż wzięłeś...

— Czemu tak uparcie przerywasz mi cczą gadaniną, kiedy staram się opowiedzieć ci historię Väinämöinena Glitza?

George zawsze wie, jak mnie zbić z pantałyku.

— Väinämöinen! — wykrzyknąłem. — A cóż to za imię „Väinämöinen”? Przecież ty nie masz zielonego pojęcia, kim był Väinämöinen!

— Oczywiście, że mam. Właśnie ci powiedziałem. Väinämöinen Glitz był moim przyjacielem. Wszyscy nazywali go Van.

— Ależ to absurd. Poza Finlandią nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie można mieć na imię Väinämöinen. Väinämöinen\* to fiński bohater mityczny: muzyk, czarodziej, półbóg...

— Mój Väinämöinen był po prostu sympatycznym gościem, bardzo przystojnym, zdaniem młodych dam, i tak bogatym, jak dzień jest długi. W rzeczy samej, nazywał się Väinämöinen Glitz III.

— Chcesz powiedzieć, że jego ojciec i dziadek...

— Tak, tak chyba należy zakładać. A może miał w sobie domieszkę krwi plemienia Czoktawów. Moim zdaniem Väinämöinen to słowo z języka Czoktawów oznaczające „dzielnego wojownika”. Ale może pozwolisz, że odpuścimy sobie twoje rozważania nad przeciętnym imieniem Czoktawów czy Czikasawów, bym mógł kontynuować swoją opowieść.

Wzruszyłem ramionami.

Widzę, że cały zamieniasz się w słuch (powiedział George), pozwól więc, iż bez dalszych ceregieli powtórnie zagłębię się w tej opowieści.

Dobrze znałem ojca Vana (nazywał się Väinämöinen Glitz Jr.) i z przyjemnością przypatrywałem się dorastaniu chłopaka. Otrzymał wybitnie sympatyczne wychowanie, w nadzwyczaj przyjaznych okolicznościach, jako że jego ojciec po uzyskaniu stanowiska rzecznika prasowego Pentagonu został, naturalnie, multimilionerem.

Van był bardzo odważnym młodzieńcem; nigdy nie zapomnę jego rozczarowania faktem, że wojna w Wietnamie skończyła się, zanim on osiągnął wiek poborowy. Z jakimże podnieceniem oczekiwał chwili, gdy dane mu będzie wstąpić do Gwardii Narodowej.

Tak się jednak stać nie miało. W zamian wypełniał swe patriotyczne obowiązki inaczej, dokonując inspekcji rozmaitych regionów wypoczynkowych naszej wspaniałej ojczyzny. Od czasu do czasu wracał do miasta i zwykł wtedy twierdzić: „Wylegiwanie się na plażach to bardzo ciężka praca, George. Miło jest wrócić i zjeść czasem kolację w twoim towarzystwie”.

Wszystko mogło się dla niego potoczyć jak najlepiej, ponieważ został jednym z głównych ekspertów w dziedzinie plaż, nocnych klubów, teatrów i innych ważnych placówek gospodarczych tego typu, lecz niestety poznał Dulcyneę Greenwich. Tylko mi tu nie zacznij sarkać na to imię, stary. Twierdziła, że jej ojciec przeczytał kiedyś powieść zatytułowaną *Don Kichot*, aleja sądzę, że to zmyśliła, bo i ty wiesz, i ja wiem, że nikt nigdy nie napisałby książki, w której mogłoby się pojawić równie głupie imię. Taka książka za nic by się nie sprzedała.

Van odwiedził mnie któregoś dnia, niesłuchanie podniecony.

— George! — zawołał. — Poznałem najcudowniejszą kobietę na świecie. Dynamiczną. Silną. Inteligentną.

— Inteligentną? — zapytałem. Przypatrywałem się jego kilkunastu luźnym związkom

miłosnym i jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, by inteligencja mogła dla niego stanowić kryterium kobiecej doskonałości.

— No jakże — odparł, uśmiechając się głupawo — ona twierdzi, że kocha mnie do szaleństwa, i jeśli nie jest to oznaka inteligencji, George, to cóż innego?

— Van — powiedziałem — kiedy ktoś jest tak przystojny jak ty i na dodatek tak obrzydliwie bogaty, to czego tu nie kochać? To nie jest oznaka inteligencji, tylko dowód na to, że ona nie jest martwa.

— Nie — odparł Van. — To nie jest kobieta tego pokroju, a poza tym uważam, iż nie przystoi ci ten cynizm. Tak się składa, że inne młode kobiety, pozornie znęcone moim wdziękiem osobistym, chciały wszystkie bez wyjątku wyjść za mnie i zdobyć znakomite intercyzy oraz podwójne polisy ubezpieczeniowe. Przypominasz sobie?

— Przypominam.

— A tymczasem Dulcynea nie chce niczego.

— Niczego? — Potraktowałem to oświadczenie z głęboką podejrzliwością.

— Z wyjątkiem jednej rzeczy.

— A jednak.

— To nie to, co myślisz. Ona chce, żebym podjął jakąś pracę.

Nie wyprę się, stary, że źle coś połknąłem, kiedy to powiedział, i dopiero po jakimś czasie nabrałem pewności, iż jednak nie zadławię się na śmierć. Gdy wreszcie wszystko przestało mi wirować przed oczyma, upiornym szeptem zapytałem:

— Pracę? Dlaczego chce, żebyś podjął pracę?

— Ona uważa — rzekł markotnie — że praca uczyni ze mnie mężczyznę.

— Ależ ty przecież jesteś mężczyzną. Jesteś ponadto bogatym człowiekiem — dodałem z uczuciem zgrozy, zawsze bowiem robili na mnie wrażenie tacy, którym talent i spryt dopomógł w urodzeniu się bogatymi — a jeśli jest coś, co lepiej określa mężczyznę niż wypchany portfel, to chciałbym wiedzieć, co to takiego.

(Wobec takich pojęć, jak wypchany portfel, żywię uczucia niezwykle namiętne, stary, bo chociaż okoliczności rzuciły mnie w cień niejakiego ubóstwa, to sercem i duszą jestem równie bogaty jak wszyscy bogaci mieszkańcy Stanów Zjednoczonych).

— Ona twierdzi — powiedział Van — że wprawdzie mam w sobie moc wdzięku i że bardzo mnie kocha, lecz jej zdaniem jestem leniwym nicponiem.

— Leniwym nicponiem? Mimo pracy, którą wykonujesz na plażach i w kurortach?

— Z jakiegoś powodu ona nie chce wziąć tego pod uwagę. Chce, żebym miał jakąś cichą pracę, wykonywaną od dziewiątej do piątej, i żebym utrzymał się na tej posadzie nie krócej niż przez sześć tygodni, udowadniając samemu sobie, że potrafię — jak się wyraziła — być przedsiębiorczy.

— Ona jest chyba chora!

— Nie, George. Nie jest. Dulcynea to istota hołdująca wyższym ideałom, a poza tym zdobyła moje serce. Znajdę pracę i udowodnię jej, że potrafię być równie przedsiębiorczy jak wszyscy przedsiębiorcy.

— A co to będzie za praca, Van?

Van potrząsnął głową.

— Tu mnie dopadłeś, George. Nie zostałem ani wykształcony, ani przyuczony do niczego i mogę mieć jedynie nadzieję, że jakiegoś przyszłego pracodawcę ucieszy, że wiem mało, a wręcz nic. — Uśmiechnął się dzielnie. — Jestem, rzecz jasna, ekspertem i dyplomowanym inspektorem plaż. Może to się przyda. Do widzenia, George, ruszam na barykady.

Biedny Van. To, co się zdarzyło później, było żałosne. Żałosne! Gdybym miał to opowiedzieć dokładnie, stary, to „takie bym rzeczy ci opisał, których najmniejszy szczegół rozdarłby ci duszę, młodą krew twoją zmroził...”\*

(Błagam, nie recytuj wraz ze mną. Znowu ktoś ukradł moje wiersze? — Ojciec Hamleta? W życiu o nim nie słyszałem).

W każdym razie nie udało mu się. Oczywiście nie śledziłem jego przypadku zbyt uważnie, jestem bowiem zajęтым człowiekiem, który ma zawsze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Sama lektura biuletynów z torów wyścigowych... ale odbiegam od tematu.

Czasami zapraszał mnie na kolacje i było jasne, że ugina się pod brzemieniem napięcia. Jego opalenizna blakła i przyznał też, że partyjki polo poszły w odstawkę.

— Kiedy ci powiem, George — wyznał stłumionym szeptem — że w ubiegłym miesiącu dwa razy spadłem z kucyka, zrozumiesz, co mam na myśli. Proszę, nie pozwól, by to się rozniosło.

— Ależ to się z pewnością rozniesie. Przecież inni gracze musieli zauważyć, że spadłeś?

— Gracze w polo nigdy nie mówią o takich rzeczach, George. Taki jest kodeks tej gry.

Problem wiązał się oczywiście z tą piekielną sprawą pracy. Twierdził, iż próbował wszystkiego. Dostał posadę kiperza szampana w swoim ulubionym nocnym klubie, pierwszego wieczoru upił się i obraził szefa. Został wyrzucony w nadzwyczaj krzywdzący sposób. Zaofiarował się, że pokaże mi miejsce, w które go kopnięto, ale mnie ten widok nie interesował.

Znalazł posadę kasjera, ale nie umiał wykoncypować, jak funkcjonuje kasa. I powiedział, że od tej całej matematyki czuje się wiecznie zamatowany, co — jego zdaniem — jest powodem, dla którego wymyślono takie słowo. Zatrudnił się na stacji benzynowej, lecz nigdy nie wymyślił, jak się zdejmuje pokrywę zbiornika. Znalazł posadę w recepcji u Bloomingdale’a, ale rzucił ją wściekły już po godzinie, ponieważ klienci zdawali się oczekiwać, że ma jakieś informacje. Czy muszę kontynuować?

— Obawiam się — rzekł Van — że nigdy nie zdobędę dziewczyny moich marzeń. Moje życie, George — ciągnął — będzie puste i pozbawione znaczenia. Inspekcje plaż stracą powab. Wizytacja nowego klubu nocnego nie przyniesie nic prócz płytkiej rozrywki. Na co mi nurzanie się w odmętach jałowego próżniactwa, jeżeli utracę kobietę, z którą moja dusza związana jest na wieki? — I tutaj załkał do swojego szampana, rozcieńczając go w zatrwająjący sposób.

Serce mi się krajało, stary. Czułem, że jeśli on wycofa się z życia, pogrążając w żalu i smutku, to zapewne przestanie mi fundować kolacje. A ponieważ, jak sam dobrze wiesz,

prawdziwy altruizm zaczyna się w domu, musiałem coś dla niego zrobić.

A to oznaczało wezwanie Azazela. Czy kiedykolwiek opowiadałem ci o moim dwucentymetrowym znajomym z obcej planety, którego mogę przyzywać za pomocą tajemnych metod, znanych wyłącznie mnie samemu?

Opowiadałem? Raczysz sobie żartować.

Zresztą mniejsza o to. Wezwałem Azazela.

Azazel, jak się należało spodziewać, był wściekły. Skrzeczał swym charakterystycznym kontrsopranem i wściekle młócił łapkami. Po chwili rozejrzał się dookoła, dostrzegł mnie i powiedział:

— Ty zidiociały grobbledugu, czy to właściwa pora, żeby mnie wzywać?

— To pora, kiedy cię potrzebuję, o Cudzie Kosmosu.

— Kiedy ja właśnie obserwowałem... — Zabrał się do opisywania całej sprawy, podając mnóstwo nużących szczegółów. Wyszło na to, że w jego świecie żyją jakieś obdarzone sześciorami odnóżami bestie, wykonujące podskoki i koziołki, a tym samym przemieszczające się w przypadkowych kierunkach, i te ich biegi stanowią przedmiot wysokich zakładów pieniężnych. Wygrywa ten zawodnik, który jako pierwszy przebrnie przez wytyczoną linię. Azazel upierał się, że jego rumak — nie podejmuję się powtórzyć jego imienia — był właśnie bliski zwycięstwa.

— Jeżeli nie wrócę dokładnie w tym momencie, w którym odszedłem — wrzasnął — to stracę siedemdziesiąt dworszaków!

— Ależ wrócisz na pewno dokładnie w tym samym momencie. To, o co zamierzam cię prosić, to esencja prostoty i zabierze ci zaledwie chwilę, o Czempionie Kosmosu. (Uwielbia, by mu tak kadzić, jest bowiem małym stworzonkiem, dlatego, jak podejrzewam, na rodzinnej planecie odnoszą się do niego z najwyższą pogardą). Wyjaśniłem sytuację.

— Praca? — zapytał. — W moim świecie posługujemy się słowem „klastron”; określa ono wszelkie poniżające zadania, do których wykonywania zmuszani są ludzie o niskim statusie społecznym, niezależnie od ich sprzeciwów i wbrew ich woli.

— Tak — odparłem mocno poruszony — to jest to samo, co my określamy słowem „praca”.

— Biedny facet — stwierdził Azazel, roniąc małą łzę, która spadła na obrus i wypaliła w nim mikroskopijną dziurkę. — I on rzeczywiście chce znaleźć pracę?

— On ją musi znaleźć, jeżeli chce zdobyć dziewczynę swoich marzeń, kobietę, z którą jego dusza związana jest na wieki.

— Ach, miłość, miłość... — zadumał się Azazel, roniąc kolejną małą łzę. — Do jakichże ekstremów potrafi zawieść nawet istoty obdarzone wielkim rozsądkiem. Pamiętam, jak kiedyś z miłości do mojej ukochanej zapulnik — miała sześć stóp wzrostu, co, powiadam ci, stwarzało problem — wyzwiałem mojego rywala na... Ale to nie zdarzyło się ani tu, ani tam. Jak rozumiem, chcesz, bym pomógł mu dostać pracę, i to taką, której nie straci.

— Zgadza się.

— I on nie ma żadnych kwalifikacji?

— Żadnych.

— W takim razie musimy działać czysto emocjonalnie. Musimy sprawić, by pracodawca był nieustannie zadowolony z twojego przyjaciela i żeby twój przyjaciel był nieustannie zadowolony z pracy. Zawiała sprawa.

— Chyba nie aż tak zawiała dla Pogromcy Pulsarów?

— Nie, jasne, że nie — rzekł Azazel z wyraźnym powątpiewaniem. — A jednak ma swoje trudne elementy. Ponieważ nie mamy pojęcia, kim mógłby być taki pracodawca, będę musiał przygotować jakiś grunt do zawarcia obopólnej zgody, a to nie jest łatwe.

Muszę przyznać, stary, że tym jednym razem jakby utraciłem wiarę w Azazela. Zmitrężył moc czasu, strasznie mamrotał i chociaż nie umiem stwierdzić, co właściwie robi, kiedy korzysta z zaawansowanej technologii swojej planety, to wtedy naprawdę się zdawało, że nie może się na nic zdecydować, bo stale potrząsał głową i zaczynał wszystko od początku.

Wreszcie westchnął głęboko i powiedział: „Zrobione”, lecz niestety ton jego głosu przepełnił mnie wątpliwościami. Podziękowałem mu, rzecz jasna, wylewnie, ale nie do końca uwierzyłem, że dokonał dzieła.

Uważam, że osobiście ponoszę za to wszystko odpowiedzialność, stary. To przez moje wątpliwości doszło do katastrofy. Nie, nie uronię maleńkiej łyżki do szampana. A zresztą to nie jest szampan, przypominam. To tylko tanie białe wino.

Dużo o tym rozmyślałem, stary. Wydawało mi się, że Azazel jest istotą, na której nie można polegać, i czułem też, że nie mam ochoty być świadkiem, jak Van dostaje pracę. Zdaję sobie sprawę, że praca to coś takiego, co musi być wykonane, ale z pewnością nie przeze mnie albo tych, których uważam za przyjaciół czy osoby bliskie sercu. Dlatego właśnie wpadłem na pewien pomysł.

Odszukałem Vana w klubie.

— Van — powiedziałem — jeszcze nie poznałem tej twojej Dulcynei, a bardzo bym chciał.

Popatrzył na mnie z wyrazem, który potrafię określić jedynie jako brzydka podejrzliwość.

— Ona jest dla ciebie za młoda — oświadczył.

— Van — odparłem — mylisz się co do mojej osoby. Kobiety są przy mnie całkowicie bezpieczne. Mogą błagać, mogą nawet proponować pieniądze, co zresztą często czynią, ale wyjąwszy czystą uprzejmość oraz obawę przed pogłębieniem ich cierpień, zapewniam cię, że nic mnie z nimi nie łączy.

Moja żarliwość i kryształowa uczciwość przekonały go.

— No dobra, dobra — powiedział. — Przedstawię cię. Zrobił to w końcu, i tak ją poznałem. Była dziewczyną

dość niską, szczupłą, obdarzoną wspaniałą figurą i ciemnymi włosami. Miała bardzo przenikliwe, ciemne oczy, poruszała się szybko i zdawało się, że cały czas rozpierają energią. W rzeczy samej stanowiła całkowite przeciwieństwo Vana, ten bowiem był lekkoduchem i pozwalał, by życie zwyczajnie przepływało obok niego. W odróżnieniu od niego Dulcynea,

która, jak mi się zdawało, chwytając życie za gardło, potrząsała nim i rzucała w kierunku, w którym akurat chciała się udać.

Szczerze mówiąc, nigdy mnie jakoś nie korciło, żeby się ożenić, ale gdybym już poczuł w sobie taki impuls — jeśli można sobie wyobrazić coś równie niedorzecznego — to wówczas moją wybranką nigdy nie byłaby Dulcynea. Przebywanie w jej obecności przypominało stanie zbyt blisko trzaskającego ogniska — człowiekowi robiło się nieprzyjemnie gorąco. No ale, rzecz jasna, przeciwności się przyciągają, toteż nie miałem nic przeciwko temu, by Van ożenił się z Dulcyneą. Ostatecznie dzięki temu zostałyby usunięta z obiegu i życie mężczyzn, których spotykała na swej drodze, stałoby się znośniejsze.

— Marzyłem o poznaniu pani, panno Greenwich — powiedziałem najwytworniejszym tonem, na jaki było mnie stać, wymawiając jej nazwisko „Grenwih”, jak przystało na osobę cywilizowaną.

— Moje nazwisko wymawia się „Grinidż”, a zresztą możesz mnie nazywać Dulcia. Jak rozumiem, ty jesteś George, ten znajomy, o którym Van tyle mi opowiadał. — Obdarzyła mnie szacującym spojrzeniem, którym zdawała się obdzierać człowieka ze skóry.

— Serdeczny przyjaciel — poprawiłem. Chrząknęła, a potem powiedziała:

— No cóż, kiedy on już się upora z tą aferą z pracą, będę się mogła zabrać do innych spraw. Widzę, że będę do tego zmuszona.

Nie spodobał mi się jej ton, powiem ci szczerze, lecz mimo to odparłem:

— Właśnie o tej aferze z pracą chciałem z tobą pogadać, Dulcia. Czemuż, na miły Bóg, chcesz, by Van znalazł posadę?

— Bo mężczyzna nie powinien być łązęgą i trwonić życia na błahostki.

— Mężczyzna? — zdziwiłem się. — A kobieta nie?

Zamrugła kilka razy.

— Kobieta również powinna się realizować.

— A czy jedno ze stadła nie powinno się zajmować domostwem, kiedy to drugie ugania się po dżungli?

— Bezczelna, męska, szowinistyczna propaganda.

— Nonsens! Powiedziałem jedno ze stadła”. Nie określiłem które. Tu idzie o to, które się najlepiej nadaje do jakiejś pracy. Jak rozumiem, jesteś feministką.

— Oczywiście. Pochodzę z długiej linii feministek. Jedna z moich antenatek dała generałowi Ambrose’owi Burnside’owi\* po pysku za to, że miał czelność do niej mrugnąć. Porządnie mu potargała bokobrody, zapewniam cię.

— Otóż to! Mam w związku z tym wrażenie, że ty znacznie lepiej potrafisz sobie radzić z tym okrutnym światem niż biedny Van. Van to ciche i delikatne stworzenie.

— O tak, to prawda. — I tu jej głos złagodniał nieco, a w oczach pojawiło się coś, co niemal przypominało ludzkie uczucie. — On jest moim malutkim jagniątkiem.

Opanowałem dreszcz i bez zajknięcia brnąłem dalej.

— Podczas gdy ty jesteś twarda jak skała.

— Twarda jak zahartowana stal, tak mi się zawsze wydawało.



— Czy w takim razie to nie ty powinnaś się starać o pracę?

— Hm — odparła.

— Prawdę powiedziawszy — dodałem — myślę, że powinnaś się zabrać do polityki.

Potrzebujemy takich Amerykanów o twardym spojrzeniu, twardych głowach, twardych pięściach i twardych kręgosłupach, którzy będą mówić tym wszystkim lekkoduchom, co powinni robić.

— Hm — odparła.

— A gdybyś się zainteresowała polityką, to cóż mogłabyś uczynić lepszego, niż zdobyć bogatego męża, który zapłaci za te wszystkie nagrania telewizyjne? Co wcale nie znaczy, że byłyby to stracone pieniądze, bo po wygraniu wyborów znalazłabyś tysiąc sposobów na ich odzyskanie, może nawet kilka niemal etycznych.

— Hm — odparła.

— Poza tym Van jest właśnie tym typem człowieka, jakiego potrzebowałby polityk: zawsze w cieniu, zawsze krok z tyłu. Uśmiechałby się do kamer, czarował starszy elektorat płci żeńskiej i spoglądał na ciebie z uwielbieniem, kiedy będziesz wygłaszała swoje przemówienia. Praca byłaby ostatnią rzeczą, której byś dla niego chciała. Cały swój czas musiałby poświęcić jakiejś słusznej sprawie, na której tle ty wyglądałabyś korzystnie — na przykład na rzecz organizacji domów starości dla kucyków polo, gdzie mógłby je wszystkie uczyć: „No powiedz: Ihaaa!”

— Hm — powiedziała. — Mówisz nawet do rzeczy.

— Jak zawsze — przyznałem.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię.

— Jasne, ale działaj szybko. Van może znaleźć pracę i to go zniszczy, zanim podejmie się wymagającego zadania, jakim jest bycie Pierwszym Dżentelmenem.

— Pierwszy Dżentelmen. — Posmakowała tej frazy i mruknęła: — Pani Prezydent — a potem dodała ożywionym tonem: — Spotkam się z nim jeszcze tego wieczoru.

I tak też zrobiła, a skutki były takie, jak przewidziałem. Van zadzwonił do mnie następnego dnia, bardzo podekscytowany.

— George — powiedział — Dulcynea chce za mnie wyjść. W ogóle już ode mnie nie wymaga, bym szukał jednej z tych prac, które się wykonuje od dziewiątej do piątej. Twierdzi, że z pewnością będę miał mnóstwo do roboty, gdy ją poślubię, i że już się nie może doczekać, kiedy nareszcie zdobędzie przedmiot swego pożądanego. Widzisz? Ona naprawdę mnie chce, skoro mówi o przedmiocie swego pożądanego.

— Niewątpliwie — odparłem. Tym przedmiotem mógł być wprawdzie Biały Dom, ale nie widziałem powodu, aby mówić to Vanowi w tym jakże szczęśliwym momencie jego życia.

Ożenił się, nim upłynął miesiąc. Byłem drużbą i podawano wyśmienitego szampana. Kiedy ci mówię, że udało mi się nawet uniknąć całowania panny młodej, to zrozumiesz, że okolicznościom tym towarzyszył uśmiech niebios.

Szczęśliwa para nowożeńców wyjechała na miesiąc miodowy, a potem zamieszkała w

swym podmiejskim dworze.

Mieli mnóstwo zajęć, bowiem Dulcynea Glitz — tak się teraz nazywa — istotnie zajęła się polityką. Nie wiem, na ile uważnie śledzisz wydarzenia polityczne, stary, kiedy tak tu przesiadujesz z nosem przez cały czas utkwionym w monitorze, lecz w ciągu kilku lat utorowała sobie drogę do rady miejskiej, a teraz wystartowała do senatu stanowego.

Muszę ci powiedzieć, że byłem z siebie bardzo dumny. Przynajmniej raz nie zależałem od Azazela, tylko wszystko zrobiłem sam, i to bardzo zręcznie, musisz przyznać. Dla mnie było jasne, w tym jednym wypadku, że Azazel zawiódł. Nie zaistniało żadne dziwaczne pole emocjonalne, które zwiódłoby pracodawców do takiego stopnia, by zażądali usług Vana; ze strony Vana nie było żadnych tęsknot ku zajęciu jakiejś służalczej pozycji. Nie, on i jego ukochana zwyczajnie się pobrali.

Wszystko skończyło się dobrze.

A w każdym razie wierzyłem, że wszystko skończyło się dobrze, dopóki jakiś miesiąc temu nie spotkałem Vana. Znacznie się postarzał. Opalenizna zniknęła; dłonie trzęsły mu się nieznacznie, szedł lekko zgarbiony, z wyrazem udręki w oczach.

Zignorowałem to wszystko i przywitałem go serdecznie:

— Van! Kopę lat!

Obrócił się, by spojrzeć na mnie. Zdawało się, że potrzebował chwili, żeby mnie w ogóle rozpoznać.

— To ty, George?

— Nikt inny.

— Jak się masz, George? Spotkanie ciebie boli tak rozkosznie. Przypominasz mi dawne czasy, czasy, które niestety już nigdy nie wrócą. — I tu po policzkach spłynęły mu strumienie łez.

Byłem wstrząśnięty.

— Van! — powiedziałem. — Co jest, stary druhu? Nie mów mi, że w końcu cię jednak zmusiła, byś zdobył jakąś pracę?

— Nie, nie — odparł. — Żeby chociaż to. Jestem zapracowany w inny sposób. Muszę brać udział w naradach z głównymi ogrodnikami w sprawie parków i ogrodów, współpracuję z kucharzem przy przygotowywaniu menu, zmagam się z majordomusem w kwestiach przyjęć, które musimy nieustannie wydawać, wynajmuję niańki dla bliźniąt, dla których poczęcia droga Dulcia wzięła dwa dni urlopu. Ogólnie mówiąc, jest to bardzo męcząca praca, a na domiar wszystkiego...

— Tak?

— Na domiar wszystkiego, wiesz, ona prowadzi działalność polityczną. Ktoś najwyraźniej podsunął jej kiedyś ten pomysł. Wścibski dureń, idiota do kwadratu — rzucił rozdrażnionym tonem. — Gdybym go tylko znalazł, walnąłbym go po łbie młotkiem do polo. Ostatnimi czasy nie mam z niego żadnego innego pożytku. Ty nie wiesz, kto jej to doradził, prawda, George?

— Myślę, że ona sama wpadła na ten pomysł — odparłem. — Nie umiem sobie wyobrazić nikogo równie głupiego, kto mógłby coś takiego wymyślić. Ale powiedz mi, co jest złego w

tym, że zajęła się polityką?

— Co złego? Utraciłem przez to całą swoją indywidualność. Ci, którzy przeprowadzają ze mną wywiady, stale pytają, do jakiego stopnia wpływam na jej decyzje, czy naprawdę z nią sypiam, czy to prawda, że zasięgam porad u astrologa, by znać właściwy moment, w którym ona ma wygłosić swoje przemówienie. Powiadam ci, George, nie mam już własnego życia. Nikt nawet nie zna mojego imienia, bo zresztą po co miałyby je znać? Czy ty znasz imię męża Margaret Thatcher? Jasne, że nie. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego. Nienawidzę tego!

Serce mi się ścisnęło.

— Czy powiedziałeś jej to wszystko, Van?

— Niejeden raz. Ale ona twierdzi, że jestem idealnym małżonkiem polityka i że któregoś dnia, kiedy skończy się jej druga kadencja prezydencka, pozwoli mi znowu odwiedzać plaże i nocne kluby.

— Pytam o to z prawdziwą przykrością, Van, lecz czy zastanawiaiesz się nad rozwodem? Ona jest politykiem, który nie zniesie skandalu, więc z pewnością pozwoli ci odejść dyskretnie i prawdopodobnie zgodzi się, byś to ty zachował opiekę nad dziećmi. Znowu będziesz wolnym człowiekiem. Van skinął głową i rzekł cicho:

— Często się nad tym zastanawiałem. Pozwoliłbym jej nawet sprawować opiekę nad tymi paskudnymi... nad naszymi drogocennymi bachorami. Ale ja nie mogę, George. Nie mogę.

— Dlaczego nie? Jestem pewien, że nie robiłaby ci trudności.

— To nie o nią idzie, George, tylko o mnie, o mnie, o mnie. — Przy każdym „mnie” uderzał się pięścią w pierś, aż wreszcie atak kaszlu kazał mu zamilknąć. Kiedy się opanował, powiedział: — Uważam to małżeństwo za pracę. Od momentu, gdy ja i Dulcynea stanęliśmy przed pastorem, myślałem sobie, nie posiadając się z radości: „To praca, praca, którą przysiągłem mojej Dulcynei zdobyć i zachować”. W rzeczy samej, mam wrażenie, że posady tej nie będzie mi nigdy wolno porzucić, choćby nie wiem co, i Dulcynea czuje to samo. Nie mam pojęcia dlaczego. Jest w tym coś mistycznego. Tak więc rozumiesz, nigdy nie będę wolny. Nigdy.

No i sam widzisz. Pojmujesz, na czym polegał błąd. Działania Azazela zrobiły swoje. A potem wtrąciłem się ja — powodowany jak najlepszymi intencjami, zapewniam cię — i zaaranżowałem małżeństwo, które w tych okolicznościach okazało się pracą. Van nie umiał tej pracy znieść i nie potrafił jej też porzucić, Dulcynea zaś nie mogła mu jej wymówić. To naprawdę straszne, ale można by tu przytoczyć porzekadło, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

Potrząsnąłem głową ze smutkiem.

— Ty, jak się zdaje, zawsze jesteś tą szóstą kucharką, George. Co z tobą? Skoro jednak znalazłeś się na jak najlepszej drodze do osiągnięcia dobrobytu, to czy przynajmniej mógłbyś się zająć napiwkami?

George zrobił oburzoną minę.

— Czy to właściwy moment, by rozmawiać o czymś równie przyziemnym jak pieniądze,

kiedy właśnie opowiedziałem ci tak potwornie smutną historię?

Miał, oczywiście, rację, więc dodałem napiwek do rachunku i zapłaciłem. Po czym wręczyłem mu pięć dolarów, by udowodnić, jak bardzo mi przykro, że zraniłem jego uczucia.

Nałóg to coś, z czego niełatwo się wyleczyć. Byłoby mi trudno przestać dawać George'owi pieniądze, jemu zaś jeszcze trudniej przestać je przyjmować.

# Kochanie, strasznie zimno na dworze

George i ja jedliśmy razem lunch; kelner postawił właśnie przed George'em talerz z zupą fasolową, danie, za którym on przesadnie wręcz przepada. Zjadł trochę, sapnął z zadowoleniem i wyjrzawszy za okno, powiedział:

– W tym powietrzu kryje się aluzja do śniegu.

Na co odparłem:

– Jeżeli te masy śniegu, które gęstymi tumanami spadają z nieba, nazywasz „aluzją”, to gratuluję spostrzegawczości.

– Ja tylko – rzekł wyniośle George – staram się wprowadzić poetycki nastrój do skądinąd jałowego stwierdzenia, że pada śnieg. Ale niestety posługiwanie się poetyckimi frazami w rozmowie z tobą mocno przypomina próbę wygłaszania ich koniowi.

– Z tą różnicą, że koń nie zapłaciłby za ten lunch.

– I ty też byś nie musiał, gdyby mi akurat w tym momencie nie brakowało funduszy.

Był to moment, który trwał tak długo, jak George żył, lecz powstrzymałem się przed stwierdzeniem tego na głos, mimo iż byłaby to niezwykle przyjemna nieuprzejmość.

– Taki widok – powiedziałem – przepełnia mnie lękiem przed przyszłymi chłodami. Potrafię się jednak pocieszyć myślą, iż te za kilka miesięcy przeminą i wówczas będę się mógł zabawiać obawą przed przyszłymi upałami. Podejrzewam, że to zdrowo zmieniać przedmiot swoich lęków, a poza tym taka zmiana przypomina, iż nie należy być zadowolonym z losu.

– A to dlaczego? – spytał George.

– To właśnie niezadowolenie ze stanu rzeczy pomogło ludzkości stworzyć cywilizację i kulturę. Zadowolenie mogłoby doprowadzić do stagnacji i ogłupienia, czego dowodzi twój przypadek. Ale nawet ty, George, jeżeli historie, które mi wciskasz, są prawdziwe, nie jesteś zadowolony, gdy twoim przyjaciółom się nie wiedzie, i wówczas starasz się, jak możesz, poprawić ich los. Szkoda tylko, że ingerencje, jakich dokonujesz w życie swoich znajomych, nieodmiennie prowadzą do katastrofy. Pod warunkiem, powtarzam, że historie te są prawdziwe.

George poczerwieniał.

– Dwa razy w jednej krótkiej wypowiedzi rzuciłeś cię zwątpienia na te okruchy życia, którymi cię łaskawie obdarzam.

– Nietrudno powątpiewać w okruchy życia, jeśli zalicza się do nich dwucentymetrowe

stworzenie z obcej planety, które możesz przyzywać przez zakrzywienie czasoprzestrzeni i które potrafi dokonywać najrozmaitszych rzeczy wykraczających poza możliwości ludzkiej techniki.

— Ale mnie oburza również stwierdzenie, że pomoc, jakiej przecież udzielam z czystej życzliwości, nieodmiennie prowadzi do katastrofy. Tak dalece odbiega ono od prawdy, że jestem pewien, iż z twej przyczyny aniołowie w niebiesiech załkali w tym momencie.

— Jeśli istotnie załkali, to bez wątplenia z twojej winy. To ty snujesz te opowieści i to ty opisujesz katastrofy. Ja tylko zwracam na nie uwagę.

— Tak się składa, stary, że zaaranżowałem kiedyś pewne szczęśliwe, oparte na miłości małżeństwo, nasycone wiarą w wierność i moralność. Jest ono całkowicie moim dziełem. Przypadek, który mam na myśli, to Eufrozyna Mellon i jej mąż Alexius. Pozwól, że opowiem ci teraz ich historię.

— Kiedy ja wcale nie chcę słuchać ich historii!

Eufrozyna Mellon (powiedział George) przed wyjściem za mąż nazywała się Stump; znałem ją od dziecka. Była nieśmiałym berbeciem, który przedstawił się ludziom spoza ścisłej rodziny, chował się za najbliższym meblem i wзираł stamtąd wielkimi, załkzionymi oczyma. Tej swojej nieśmiałości Eufrozyna nie przewyciężyła nigdy, z czasem tylko skupiła ją na przedstawicielach płci przeciwnej.

Kiedy dorosła, stało się to jeszcze bardziej bezsensowne, albowiem z dziecka przekształciła się w cudowne zjawisko o ciele bogini. Boginią była maleńką, to nie ulega wątpliwości — zaledwie pięć stóp i dwa cale wzrostu — lecz młodzi mężczyźni z jej otoczenia nie przeoczyli takiego objawienia. Niejeden młodzieniec próbował się z nią zaprzyjaźnić, z tego, co mi wiadomo, z zamiarem angażowania jej w głębokie dysputy filozoficzne. Nigdy jednak tego nie potwierdziłem, a ona również nie mogła, ponieważ żadnemu z owych młodzieńców nie udało się zawiązać z nią przyjaźni, która dla takich dysput stanowi warunek niezbędny.

Eufrozyna odziewała się niezwykle starannie, tak by ukryć wstrząsającą naturę swych atrybutów fizycznych, przekonała się jednak, że pod tym względem młodzi mężczyźni dysponują szóstym zmysłem. Nawet taki młodzieniec, któremu brak zmysłu potrzebnego do odnalezienia omletu spoczywającego na ustawionym pod jego nosem talerzu, jakimś tajemniczym sposobem potrafi przejrzeć na wylot pokłady barchanów i wykryć schowane pod nimi cuda.

Ja, naturalnie, byłem jej ojcem chrzestnym, jak już ci bowiem mówiłem przy najrozmaitszych okazjach, bez wątplenia za sprawą moich cnót oraz szacunku, jaki mnie zewsząd otacza, pobłogosławiony zostałem przesadną liczbą pięknych chrześniaczek. Nawet Eufrozyna czyniła dla mnie wyjątek, gdy idzie o jej skądinąd powszechne podejrzenia odnośnie do motywów płci męskiej.

Odwiedziwszy mnie pewnego dnia, usiadła mi na kolanach i zaczęła łkać w moich ramionach, a ja tymczasem gładziłem jej złote włosy.

— Ja po prostu nie mogę znieść dotyku tych potworów i czuję, że oni kierują się

nikczemną żądzą obmacywania mnie — powiedziała. — Nie mogę nie zauważyć, iż zazwyczaj myją ręce, zanim do mnie podejda, jakby uważali, że z czystymi dłońmi osiągną większy sukces.

— A nie jest tak?

Eufrozyna zadrżała.

— Brudnych rąk bym nie zdzierzyła, lecz czyste wcale nie są lepsze, wujku George.

— Niemniej jednak siadasz mi na kolanach, a ja gładzę cię po włosach oraz, jak mi się zdaje, niekiedy po plecach i ramieniu.

— To co innego, wujku George. Należysz do rodziny.

W dalszym ciągu ją gładziłem. Rodzina ma swoje przywileje...

Tak więc wzięwszy pod uwagę jej stosunek do mężczyzn, możesz sobie wyobrazić moje osłupienie, gdy przyszła do mnie z wieścią, że wychodzi za Alexiusa Mellona, krzepkiego, nie obdarzonego większym talentem poetyckim — mniejszym zresztą też nie — młodzieńca, który znakomicie zarabiał jako komiwojażer.

Kiedy pojawiła się u mnie z tą wspaniałą nowiną, czerwieniąc się i wdzięcząc głupawo, zapytałem:

— Zważywszy na twoje poglądy dotyczące płci męskiej, Eufrozyno, jak zdołałaś się zmusić do wyrażenia zgody na małżeństwo?

— Cóż — odparła skromnie — sędzę, że w głębi serca jestem chyba romantyczką. Wiem, że niebezpiecznie jest ulegać wyrachowaniu. Powiadają, że „pieniądz jest ślepy” i że człowiek przez niego uwiedziony popełnia straszliwe błędy. Niemniej jednak słyszałam także, iż „pieniądz zwycięża wszystko”, i teraz w to wierzę. Próbowалам trzymać się z dala od Alexiusa, nawet zamknąć się przed nim, lecz wszyscy powtarzają, że „pieniądz drwi sobie ze ślusarzy”, i to okazało się prawdą. Cóż, sędzę, iż jestem tylko głupią dziewczyną, ale choć przez całe życie tak bardzo się starałam uciekać od mężczyzn, obudziłam się po prostu któregoś ranka, pomyślałam o Alexiusie i uświadomiłam sobie, że nie mam wyjścia — zakochałam się w pieniądzu. Przez cały tamten dzień podśpiewywałam sobie: „Pieniądz to najpiękniejsze słowo świata”, a gdy Alexius oświadczył się ponownie, powiedziałam: „Tak, najdroższy, pobierzemy się i obiecuję «inkasować, szanować i okazywać posłuszeństwo»”.

Uśmiechnąłem się i życzyłem jej wszystkiego najlepszego, lecz kiedy sobie poszła, ze smutkiem pokręciłem głową. Dość na tym świecie widziałem, by wiedzieć, że złoty blask pieniądza może wystarczyć za wspaniałą miesiąc miodowy, ale gdy przychodzi do poważnych zadań życiowych, sam pieniądz to za mało. Z żalem przewidywałem pryśnięcie złudzeń mojej słodkiej, głupiutkiej chrześniaczki, która przeczytała zbyt wiele romantycznych opowieści o pieniądzu.

I tak też się stało. Była po ślubie od zaledwie sześciu czy ośmiu miesięcy, kiedy przyszła do mnie, blada i wynędzniała.

— Witam, Eufrozyno! — przywitałem ją serdecznie. — Jakże się miewa drogi Alexius?

Rozejrzała się dokoła, jakby chcąc się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje, i powiedziała:

— Dzięki Bogu, wyjechał w jedną ze swych podróży w interesach. — Usta jej zadrżały i

wtedy, smutno pochlipując, rzuciła mi się w ramiona.

— Ale co się stało, moja droga? — spytałem, zabierając się do gładzenia jej, która to czynność, jak się zawsze przekonywałem, sprawiała kobietom wielką przyjemność, mogła więc sprawić ją również mojej chrześniaczce.

— Chodzi o Alexiusa. Przez jakiś czas żyliśmy samym pieniądzem. Byliśmy rozrzutni i znakomicie się bawiliśmy. Wydawało się, że świat w ogóle nas nie obchodzi, ale potem on, z jakiegoś niewiadomego powodu, zaczął się zmieniać. Dawał do zrozumienia, iż małżeństwo wiąże się z miłością. Próbowaliśmy obrócić to w żart, mówiłam, że „śmierć nie rozdwoi, co pieniądz spoi”. Mijały jednak tygodnie i przekonałam się, że on robi się coraz bardziej uparty, zaświtało mi więc wtedy, iż poślubiłam sekretnego miłościholika. To wyglądało jak choroba, wujku George. Do ostatniego tygodnia sypialiśmy w oddzielnych łóżkach, ustawionych po przeciwległych stronach pokoju i odgrodzonych — jak przystało na parę nowożeńców — ciężkimi meblami. Stwierdził, że rozdzielone łóża zraza do siebie małżonków. I dlatego, wujku George, nie mogę nawet nazywać mojego łóżka swoim własnym, a kiedy on się na nim kładzie, jego dłoń dotyka czasem mojej. W rzeczy samej ona pełźnie w moją stronę. Nie umiem sobie wyobrazić, jak chore żądze go rozpierają. Może ty to wiesz, wujku George?

— Czy sądzisz, moja droga Eufrozyno, że z czasem dotyk jego ręki mógłby ci się spodobać?

— Nigdy. On cały czas wydaje się taki ciepły, a ja jestem zawsze tak rozkosznie chłodna. Wcale nie chcę całego tego męskiego ciepła. Powiedziałam mu to, a on odparł, że jestem zimną... No cóż, nie powtórzę tego drugiego słowa, jednak powiem ci, że zaczyna się na „su”, a kończy na „ka”.

— Myślę — odparłem — że chyba potrafię odgadnąć, jakie to było słowo.

— Czy sądzisz, wujku George, że on już przestał wierzyć w nasz pieniądz? Ostatecznie nie można nazywać kogoś, z kim się spędziło pół roku, zimną wiesz-co i nadal być z nim związanym pieniężną zażyłością.

— Ależ uspokój się, Eufrozyno. Na jak długo wyjechał Alexius?

— To długa podróż. Musi objechać cały południowy zachód. Być może wróci dopiero za miesiąc.

— W takim razie zostaw to mnie, moja droga. Już ja coś wymyślę.

— Wierzę, że coś wymyślisz — powiedziała, zwracając ku mnie swą śliczną buzią. — Należysz przecież do rodziny.

Wydawało mi się, że to sprawa dla Azazela, więc wezwałem go. Jak zawsze pojawił się na półce, którą specjalnie w tym celu umocowałem na wysokości wzroku. Jak zwykle, nie był przygotowany na wezwanie, jak zwykle też bez ostrzeżenia spojrział mi w oczy i dobył z siebie przenikliwy skrzek. Twierdzi, że zawsze tak reaguje, kiedy nieoczekiwanie staje twarzą w twarz z jakimś potwornym monstrum, aczkolwiek nigdy nie wyjaśnił, dlaczego skrzeczy na mój widok.

Wydawał się nieco czerwieńszy niż zazwyczaj, jakby borykał się z jakimś wysiłkiem, a w



malutkiej łapce trzymał przedmiot przypominający zwykłą fotkę BB. Kiedy tak skrzeczał na mój widok, unosił ją i opuszczał rytmicznie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że przerwałeś mi moją gimnastykę zdrowotną? — zapytał.

— Przepraszam!

— A co mi po twoich przeprosinach? Będę musiał opuścić dzisiejsze ćwiczenia, zwyczajnie z nich zrezygnować. Sam już nie wiem, jak mam utrzymać formę.

— Dlaczego miałbyś z nich rezygnować, o Wielki i Egzaltowany Władco Kosmosu? Czy nie mógłbyś wrócić w tym samym momencie, w którym odszedłeś, i kontynuować swoich ćwiczeń?

— Nie, to zbyt skomplikowane, a poza tym wcale nie potrzebuję twoich głupich rad. Zrezygnuję i już. Ale za to pozwól zadać sobie pytanie....

— Tak, Wasza Możliwość?

— Dotąd przerywałeś mi już w grach losowych, zawsze w momencie, gdy właśnie byłem bliski wygranej. Przerywałeś mi również wtedy, kiedy miałem otrzymać wielkie zaszczyty, kiedy brałem prysznic, kiedy uczestniczyłem w rozmaitych rytuałach z udziałem wybitnych przedstawicieli mojego gatunku. Jak to się stało, że dopiero dzisiaj przerwałeś mi moją codzienną gimnastykę? Skoro już musisz mi przeszkadzać, zrób to wtedy. Pamiętaj, by koniecznie to powtórzyć.

Wypuścił z rąk zdjęcie BB, a potem kopnął je na bok. Wniosłem z tego, że niespecjalnie przepadał za swoimi codziennymi ćwiczeniami.

— Czego chcesz tym razem? — spytał kwaśnym tonem. W trakcie mojej opowieści o Eufrozynie i Alexiusie Mellon cmokał z niedowierzaniem.

— Historia stara jak świat — skomentował. — Nawet w naszym świecie nierozważne szaleństwa młodości stwarzają niewypowiedziane nieszczęścia. Ale zdaje mi się, że wystarczy, jeśli ta Euf... Euf... czy jak jej tam na imię, przyłączy się do swego partnera w jego niecnym i perwersyjnym żądzu.

— Ależ tak właśnie być nie powinno, o Jedyny Nieskończonej Mocy. To czysta, pozbawiona skazy panna.

— Zaraz, zaraz, właśnie stworzyłeś oksymoron. No, chyba że panny z twojego świata są w jakimkolwiek stopniu podobne do panien z mojego świata. W swoim czasie poznałem niewiarygodną liczbę oziębłych zybbul; słowem „zybbul” określam zwierzęta domowe płci żeńskiej...

— Wiem, co masz na myśli, o Przemóżny, lecz cóż zrobimy z Eufrozyną?

— Uważam, że to akurat jest proste. Skoro ona wzdraga się przed męskim ciepłem... Czy mógłbyś dać mi jej fotografię albo część garderoby, coś, na czym mógłbym skoncentrować swoją energię?

Dysponowałem akurat jedną z jej bardziej szczegółowych fotografii, aczkolwiek Azazel popadł na ten widok w przygnębienie. Nie zabrało mu jednak dużo czasu zrobienie tego, co zrobić musiał — cokolwiek to było — po czym ruszył w drogę powrotną. Zauważyłem, że zostawił podobiznę BB. W rzeczy samej, trzymam tę fotkę w kieszeni i mogę ci ją pokazać na

dowód istnienia Azazela. Cóż, nie wiem, co to twoim zdaniem jest „autentyczny” dowód, ale skoro nie chcesz na nią spojrzeć, to w takim razie będę kontynuował.

Dwa tygodnie później znowu spotkałem Eufrozynę. Wyglądała nieszczęśliwiej niż kiedykolwiek i przestraszyłem się, że Azazel tylko wszystko pogorszył. Przestraszyłem się tym bardziej, iż Azazel nigdy nie godził się modyfikować czegoś, co już raz zrobił.

— Czy Alexius wrócił do domu? — spytałem.

— Będzie w domu w niedzielę — odparła apatycznie. — Wujku George, czy ostatnimi czasy nie bywało ci zimno?

— Nie przy tej pogodzie, moja droga.

— Jesteś pewien? A mnie, z jakiegoś powodu, jest zimno. Dygoczę od rana do wieczora. Pod tym ciężkim płaszczem noszę swoją najgrubszą garsonkę, pod nią mam miłą, ciepłą bieliznę, nakładam nawet wełniane skarpetki na rajstopy i jeszcze do tego grube buty, a i tak mi zimno.

— Może jesteś niedożywiona. Duży talerz zupy fasolowej na pewno wspaniale by cię rozgrzał. A potem, na twoim miejscu, położyłbym się do łóżka. Włącz sobie ogrzewanie i nakryj się kilkoma kocami, a będzie ci tak ciepło jak na plaży którejś z wysp południowego Pacyfiku.

— Sama nie wiem — odparła, marszcząc swój uroczy nosek i kręcąc głową. — Właśnie wtedy, kiedy leżę w łóżku, jest mi najzimniej. Zwłaszcza moje ręce i stopy przypominają bryły lodu. Kiedy wróci Alexius, nie będzie chciał położyć się obok mnie, taka jestem zimna. To będzie jedyna dobra rzecz w tym wszystkim — dodała ponuro. — Przekona się, że jestem naprawdę zimną... dalej wiesz już sam.

Minęły kolejne dwa tygodnie i ktoś zapukał do mych drzwi. W życiu nie słyszałem szczęśliwszego pukania — takiego puk-puk-puk pograżonych w błogostanie paluszków. Pamiętam, że byłem właśnie zajęty uprawianiem skomplikowanych zabaw matematycznych na podstawie jakichś statystyk z torów wyścigowych, toteż nie ucieszyło mnie specjalnie, że ktoś mi przeszkadza. Otworzyłem drzwi i do środka tanecznym krokiem wparowała Eufrozyna.

Wytrzeszczywszy oczy, spytałem:

— Co się stało, Eufrozyno? — Po czym, starając się jakoś wytłumaczyć jej ekstazę, dodałem: — Czyżby Alexius zostawił ci całą gotówkę i uciekł?

— Nie, nie, wujku George, oczywiście, że nie. Alexius, ten najmilszy i najukochańszy ze wszystkich ludzi na świecie, od tygodnia jest w domu.

— Najmilszy, najukochańszy ze wszystkich ludzi na świecie? Chcesz powiedzieć, że pokonał swoje miłośniczości i powrócił do rozkosznego kultu pieniądza?

— Nie wiem, o czym mówisz, wujku George — rzuciła, zadarłszy podbródek. — Wiem tylko, że tamtego dnia, kiedy wrócił do domu, położyłam się po swojej stronie łóżka i zrobiło mi zimniej niż kiedykolwiek. Cała byłam sina i dygotałam. I wtedy on położył się po swojej

stronie, a mnie się wówczas wydało, że czuję z daleka ciepło. Nie wiem, jak mu się to udało, ale jego ciało zdawało się wydzielać cudowne ciepło, które oblewało mnie całą od stóp do głów. Ach, cóż to była za rozkosz! Naturalnie, ruszyłam ku temu ciepłu. On był jak magnes, ja niczym dusza w żelazku. Odruchowo sunęłam w jego stronę, aż w pewnym momencie zderzyłam się z nim i objęłam go swymi biednymi, zziębniętymi ramionkami. Krzyknął przeraźliwie, gdy poczuł dotyk moich zlodowaciałych kończyn, ale ja nie zamierzałam go puścić. Trzymałam go mocniej niż kiedykolwiek. Zwrócił ku mnie swą twarz i uzalił się nade mną: „Biedactwo. Jak ty zmarzłaś”, po czym ułożył swoje słodkie, ciepłe dłonie na moich lodowatych plecach i powiódł nimi w górę i w dół. Czułam ciepło jego dłoni przez koszulę, gdy tak wędrowały w górę i w dół, w górę i w dół. Wujku George, po prostu zasnęłam w ramionach Alexiusa, nie posiadając się ze szczęścia. To była moja najpiękniejsza noc w życiu, a rankiem nie mogłam wprost ścierpieć, że musi wstać z łóżka. Bałam się wręcz, że będzie się musiał odrywać ode mnie siłą. „Nie odchodź — błagałam — przezięb się”. Ale on musiał iść. I tak już jest każdej nocy. Tak cudownie. W ciepłych ramionach mojego ciepłego Alexiusa, wujku George, mam wrażenie, iż nawet pieniądź przestał być ważny. W pieniądzu jest coś takiego zimnego.

— Zamilcz, dziecko — skarciłem ją zaszokowany.

— Ależ ja tak naprawdę myślę — odparła.

— Powiedz mi, moja droga — spytałem — czy w trakcie tego tulenia się, dotykania i rozgrzewania, czy wy... — Urwałem, niezdolny znaleźć słów na wyrażenie bezwstydnym myśli, które przemknęły mi przez głowę. Ostatecznie przeżyłem dość lat, by zgłębić nikczemności tego świata.

— O tak, zrobiłam to — odparła z dumą — ale moim zdaniem nie ma w tym nic złego. Och, moralisci mogą sobie gadać, co chcą, na temat pieniądza jako największego daru Boga dla ludzi, mogą też mówić, że „miłość jest źródłem wszelkiego zła”, lecz ja twierdzę, iż miłość to samo ciepło.

— Co będziesz robiła latem? — sprowokowałem ją.

— Będę się trochę pocila — odparła, i wiedziałem, że jest stracona ponad wszelką nadzieję.

Nigdy nie znałem szczęśliwszego małżeństwa niż Eufrozyna i Alexius Mellon. Było im ciepło każdej nocy, latem się trochę pocili, a na dodatek spłodzili dwoje dzieci.

A Eufrozyna zmieniła się całkowicie. Już ani trochę nie bała się mężczyzn ani nie żywiła podejrzeń co do ich motywów. W rzeczy samej, ich motywy akceptowała z radością i nabrała zwyczaju wyrażania się z pogardą o każdym, kto sprawiał wrażenie nasiąkniętego kurtuazją Starego Świata.

Ubierała się w taki sposób, by przyciągać uwagę mężczyzn, i w rzeczy samej, przyciągała uwagę całych rzesz.

Zwierzyła mi się kiedyś, że z czystej ciekawości próbowała się ogrzać z jednym lub drugim, ale po piętnastej czy szesnastej próbie — przyznała, że straciła rachubę — zrezygnowała. Żaden nie był tak niebiańsko ciepły jak Alexius.

Zdarza jej się z tego powodu popadać w rozdrażnienie: narzeka, że miłością, w odróżnieniu od pieniądza, trzeba się dzielić i że miłość, w odróżnieniu od pieniądza, można zwielokrotnić jedynie przez jej swobodne rozdawanie. Stale to powtarza, nawet kiedy jej przypominam, iż mądrze zainwestowany pieniądz przynosi duże zyski.

I żyje z Alexiusem po dziś dzień. Czyż nie jest to szczęśliwe zakończenie?

— Tak to brzmi, George — odparłem — jakby Eufrozyna była prawdopodobnie bardzo nieszczęśliwa, bo nie czerpie przyjemności z zakazanych związków i jest monogamiczna za sprawą interwencji Azazela, a nie z wyboru.

— Jak już powiedziałem — odparł George — trochę się skarży, iż jej eksperymenty się nie powiodły, ale co z tego? Odrobina nieszczęścia to żadna zapłata za osiągnięcia w dziedzinie moralności. A poza tym — dodał — kiedy szaleństwo miłości opuszcza co jakiś czas jej znękaną ciało, wówczas zawsze pozostaje jeszcze pieniądz. Co ja znakomicie rozumiem i ty też zrozumiesz, kiedy ci powiem, że banknot pięciodolarowy starcza mi na kilka dni.

Z takich kilku dni składało się całe życie George'a, lecz i tak dałem mu pięć dolarów.

# Podróżujący w czasie

— Wyobraź sobie, znam kogoś bardzo do ciebie podobnego — oświadczył George, kiedy rozsiedliśmy się w westybulu Cafe des Modistes po skonsumowaniu całkiem strawnego posiłku.

Nawet cieszyło mnie to, że akurat nic nie robię, zlekceważywszy kilka czekających mnie w domu, nieprzekraczalnych terminów, niemniej jednak jakoś nie potrafiłem być beztroski. Doceniam głęboko wyjątkowość mojego charakteru.

— Co masz na myśli? — spytałem. — Nie ma drugiego takiego jak ja.

— Cóż — przyznał George — on nie pisze tyle co ty. Nikt tyle nie pisze. Ale to tylko dlatego, że on przynajmniej trochę dba o jakość swoich utworów i bynajmniej nie jest przekonany, że byle chochlik drukarski zasługuje na miano nieśmiertelnej prozy. A mimo to pisze, albo raczej pisał, bowiem kilka lat temu umarł i przeszedł do tego specjalnego miejsca w czyścicu, zarezerwowanego dla pisarzy, w którym natchnienie dopisuje zawsze, za to nie ma maszyn do pisania ani papieru.

— Chylę czoło przed twoją wiedzą na temat czyścica, George — odparłem sztywno — zwłaszcza że mocno przypominasz duszę czyścicową, lecz z jakich to powodów uważasz, iż ten twój znajomy pisarz był podobny do mnie, oprócz prostego faktu, że również był pisarzem?

— Powód, z jakiego owo podobieństwo rzuciło mi się w oczy, stary przyjacielu, jest taki, że on tak samo jak ty wiecznie narzekał, że nikt go nie docenia, mimo iż podobnie jak ty doszedł do sławy i bogactwa. Uniosłem brew.

— Ja wcale nie narzekam, że nikt mnie nie docenia.

— Czyżby? Mam za sobą nudny lunch spędzony na wysłuchiwanie twoich utyskiwań, że nie spotykają cię w pełni zasłużone i sprawiedliwe nagrody, do których, jak podejrzewam, nie zaliczasz końskich batów.

— George, wiesz bardzo dobrze, że skarżę się jedynie na niektóre recenzje moich utworów, recenzje napisane przez małostkowych i zazdrosnych niedoszłych pisarzy.

— Często się zastanawiam, kto to jest niedoszły pisarz.

— To pisarz, któremu się nie powiodło, albo, innymi słowy, recenzent.

— Otóż to. Właśnie twoje skargi na recenzentów przypomniały mi o moim dawnym znajomym, którego nie ma już wśród nas, Fortescue Quackenbrane Flubbie.

– Nazywał się Fortescue Quackenbrane Flubb?

– Tak. My nazywaliśmy go Stara Głęda.

– A jak on nazywał ciebie?

– Nadawał mi rozmaite przydomki, ale już ich nie pamiętam — odparł George. — Przyjaźniliśmy się od czasów młodości, ponieważ studiowaliśmy na tej samej uczelni. On był na wyższym roku, lecz spotykaliśmy się podczas zjazdów absolwentów.

– Naprawdę, George? Z jakiegoś powodu w życiu bym cię nie podejrzewał o wyższe wykształcenie.

– Kiedy to prawda. Stary Głęda i ja chodziliśmy do Wyższej Szkoły im. Aarona Burra. Wiele razy śpiewaliśmy wspólnie hymn naszej starej Alma Mater, zalani łzami nostalgii. Ach, te studenckie czasy!

I tu zaśpiewał, fałszując niemiłosiernie:

*Gdy pierwsze, poranne zorze wstają,*

*I do życia zaczyna się budzić przyroda,*

*Czernie i błękity dumnie już powiewają,*

*To Stary Kibel wita cię w swych progach.*

– Stary Kibel? — spytałem.

– Takie czułe określenie. Yale jest znane jako „Old Eli”, Uniwersytet Mississippi to „Ol’ Miss”\*, a Wyższa Szkoła im. Aarona Burra...

– To Stary Kibel.

– Nie inaczej.

– A co to są te „czernie i błękity”?

– Barwy naszej szkoły — wyjaśnił George — ale jestem pewien, że bardzo chcesz wysłuchać historii Fortescue Quackenbrane Flubba.

– Nie ma niczego takiego, czego chciałbym wysłuchać mniej — odparłem.

Fortescue Quackenbrane Flubb (powiedział George) po osiągnięciu wieku średniego był szczęśliwym człowiekiem. A w każdym razie mógł się za takiego uważać, los bowiem obdarzył go wszystkim, czego można pragnąć w granicach rozsądku.

Miał za sobą długą karierę wziętego pisarza, autora książek, które dobrze się sprzedawały, były popularne i na dodatek zyskiwały wysokie notowania u tych niedoszłych pisarzy, którzy mówią o sobie, iż są recenzentami.

Widzę po twojej minie, stary, że zaraz mnie spytasz, jak to możliwe, by człowiek mógł być wziętym pisarzem, nazywać się Fortescue Quackenbrane Flubb i jednocześnie pozostać ci zupełnie nie znany. Mógłbym odpowiedzieć, że to dowód twojego całkowitego zaabsorbowania własną osobą, lecz nie uczynię tego, ponieważ istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie. Jak wszyscy pisarze, którzy mają bodaj odrobinę przyzwoitości, Stary Głęda posługiwał się pseudonimem. Nie chciał, by ktoś się dowiedział, jak zarabia na życie. Wiem,

że ty podpisujesz się swoim prawdziwym nazwiskiem, ale ty przecież nie masz za grosz wstydu!

Pseudonim Głędy, rzecz jasna, byłby ci doskonale znany, lecz Flubb kiedyś wymógł na mnie przyrzeczenie, iż nie zdradzę tej tajemnicy nawet wtedy, gdy on już odejdzie do swego pozbawionego maszyn do pisania czyścica i ja, naturalnie, muszę tego przyrzeczenia dotrzymać.

Jak już wspomniałem, Stary Głęda nie był szczęśliwym człowiekiem.

Zwierał mi się, ponieważ tak jak on byłem absolwentem starego, poczciwego Burr.

— Co z tego, George, że pieniądze płyną do mnie nie wysychającym strumieniem? Co z tego, że moja sława rozciąga się na cały świat? Cóż z tego, że wszyscy bez wyjątku traktują mnie z najwyższym szacunkiem?

— Głęda — odparłem uroczyście — naprawdę wierzę, że jednak coś z tego masz.

— Ba — odparł — być może w doczesnym sensie, być może w zwykłym materialnym sensie. A mimo to dusza pozostaje nieczuła.

— Dlaczego? — spytałem.

— Z powodu — i tu uderzył się w pierś z głuchym łoskotem — palących wspomnień doznanych w młodości krzywd i zniewag, które pozostają nie pomszczone i w rzeczy samej, nigdy się pomścić nie dadzą.

Jakby poraził mnie piorun.

— Ależ ty chyba nie doznałeś żadnych krzywd i zniewag?

— Czyżby? A właśnie, że doznałem. I to w Starym Kiblu. W Wyższej Szkole imienia Aarona Burra.

— Lecz jak to się stało? — spytałem, nie wierząc własnym uszom.

— Wszystko to działo się w trzydziestym czwartym — odparł — kiedy byłem na pierwszym roku i zaczynałem już czuć przyływ boskiego natchnienia. Wiedziałem, że któregoś dnia zostanę wielkim pisarzem, zapisałem się więc na dodatkowe ćwiczenia z pisania, prowadzone przez starego Jusufa Newberry'ego. Pamiętasz Jusufa Newberry'ego, George?

— Masz na myśli Starego Wampira?

— Tego samego. To on właśnie wpadł na pomysł, że dzięki zorganizowaniu takich zajęć będzie dysponował obfitym źródłem talentów, z którego mógłby czerpać literackie klejnoty i wypełniać nimi ukazujący się raz na pół roku uczelniany magazyn literacki. Pamiętasz ten magazyn, George?

Wzdrygnąłem się, a Stary Głęda ciągnął:

— Widzę, że pamiętasz. W ramach wstępnej oceny naszych umiejętności mieliśmy napisać jakiś esej i, jak sobie przypominam, stworzyłem pean na cześć wiosny, zapierający dech w piersiach elokwencją, a poza tym niezwykle liryczny. Kiedy Wampir wezwał ochotników do odczytania swoich pódów, moja ręka natychmiast z dumą strzeliła do góry. Kazał mi wówczas wyjść na środek sali. Ścisnąłem rękopis w dłoni, która, pamiętam, pocila się z podniecenia, po czym dźwięcznym głosem zacząłem czytać zapis przepełniających mnie

uczuć. Spodziewałem się, że przeczytam wszystkie piętnaście stron, powodując rosnące napięcie publiczności, i że zakończę przy akompaniamencie burzy wiwatów i oklasków. Moje przewidywania okazały się błędne. Po półtorej strony Newberry przerwał mi. „To — rzekł, dobitnie akcentując słowa — absolutne bzdury, które nadają się tylko na nawóz, a nawet co do tego można mieć wątpliwości”. I wtedy całe to zgromadzenie młodocianych służalców ryknęło gromkim śmiechem, ja zaś zostałem odesłany na miejsce, mimo iż jeszcze nie skończyłem czytać. Ale nie koniec na tym. Od tego momentu Newberry korzystał z każdej okazji, żeby mnie upokorzyć. Nie podobało mu się nic, co napisałem, i w obrzydliwy sposób upubliczniał swoje niezadowolenie, zawsze ku zachwytowi grupy, przez co stałem się jej kozłem ofiarnym. Wreszcie w ramach zadania na zakończenie semestru każdy z nas musiał napisać opowiadanie, wiersz albo esej, który miał zostać przedłożony do publikacji w półroczniku literackim. Napisałem niefrasobliwy, tryskający inteligencją i humorem esej. I wyobraź sobie moje zdumienie, Newberry przyjął go. Naturalnie uważałem, że przyzwoitość i rozsądek nakazują mi odszukać Wampira po zajęciach i pogratulować mu decyzji. „Cieszę się, sir — powiedziałem — że dzięki wykorzystaniu mojego eseju w półroczniku, uzyska pan lepszy produkt niż zazwyczaj”. Na co Wampir, w skrajnie ohydny sposób obnażając żółte kły, od — Parł: „Przyjąłem to, F. Q. Flubb, tylko dlatego, że była to jedyna propozycja, która, bez powodzenia wprawdzie, próbowała być zabawna. Jej wymuszona akceptacja, Flubb, jest przysłowiową ostatnią kroplą i więcej już nie będę prowadził tych zajęć”. I rzeczywiście, potem już ich nie prowadził a jednak, mimo iż minęło czterdzieści lat, wspomnienie traktowania, z jakim się spotkałem na ćwiczeniach w Starym Kiblu, wciąż pozostaje żywe. Te rany nigdy się nie zabiły, George, i ja się z nich do końca życia nie wyleczę.

— Ależ Głęda — powiedziałem — pomyśl, co ten stary partacz musiał poczuć, kiedy zdobyłeś sławę. Przecież fakt, że wdrapałeś się prawie na sam szczyt literackiego świata, musiał mu zatruć życie bardziej, niż tobie zatruły je tamte afronty i zniewagi.

— Co masz na myśli, mówiąc „prawie na sam szczyt”? Nieważne zresztą. Najwyraźniej nie śledziłeś najnowszej historii szkoły. Ów nieszczęsny heretyk umarł mniej więcej pięć lat po tym, jak skończyłem szkołę, czyniąc to, rzecz jasna, w oczywistym celu, by nie zostać świadkiem triumfu człowieka sponiewieranego, jako że blask sławy załśnił na mojej skroni dopiero po upływie trzech lat od jego śmierci. I tak oto żyję na zawsze pogrążony w rozpacz, ponieważ nie mogę z pogardą dać po nosie temu mistrzowi afrontu. Ale co ty byś zrobił? Nawet bogowie nie potrafią zmienić przeszłości.

— Właśnie się zastanawiam — odparłem cicho.

— Co?

— Nic, nic.

Myślałem oczywiście o Azazelu, moim dwucentymetrowym przyjacielu z innego świata czy raczej wszechświata, względnie kontinuum, gdzie wiedza techniczna tak dalece przekracza naszą, że przypomina magię. (Że co? Jakiś Clarke powiedział już coś takiego? No cóż, to raczej nikt ważny, skoro nigdy o nim nie słyszałem).



Azazel spał, kiedy wykorzystawszy zwykłą procedurę przywoływania, ściągnąłem go z jego świata, czy raczej wszechświata, względnie kontinuum, ale oczywiście nie podam ci jej szczegółów. Umysł równie prymitywny jak twój mógłby zostać nieodwracalnie uszkodzony, gdyby spróbował objąć subtelności tego egzorcyzmu. Mam tylko na uwadze twoje dobro, stary przyjacielu.

Czekałem cierpliwie, aż Azazel się obudzi, jako że potrafi się nieźle wkurzyć, jeśli się go wyrwie ze snu, a wkurzony Azazel to niebezpieczny Azazel, nawet mimo niepozornych rozmiarów. Tak więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko patrzeć na skomplikowane ewolucje jego rąk i nóg, ewolucje, z którymi nie mogłem nic zrobić. Prawdopodobnie coś mu się śniło i w ten sposób reagował.

Gdy ruchy stały się gwałtowniejsze, otworzył nagle oczy i poderwał się, jakby czymś przestraszony.

— Tak myślałem — jęknął piskliwie i świszcząco, co przywodziło na myśl cichuteńki gwizd pary. — To był tylko sen.

— To znaczy, o Cudzie Wszechświata?

— Moje umówione spotkanie z piękną zibbulk. Czy to się nigdy nie ziści? Nic dziwnego — dodał smutnym głosem — rozmiarami dorównuje tobie i dlatego nie chce mnie traktować poważnie.

— Czy nie mógłbyś się jakoś rozrosnąć, Cudzie Wieków?

— Pewnie — odparł z nieznacznym grymasem — ale wówczas materia, z której zbudowane jest moje ciało, staje się rzadka, mglista i widmowa, a gdy próbuję ją objąć, ona nic nie czuje. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale piękne samice lubią coś czuć w takich sytuacjach. Dość jednak romantycznych wyznań o mojej osobistej tragedii. Czego chcesz tym razem, ty nieszczęsny okazie tandety?

— Podróży w czasie, o Ty, Który Ciała Astralne Wprawiasz w Zdumienie.

— Podróży w czasie? — zaskrzeczał Azazel. — To niemożliwe.

— Czyżby? Nie jestem fizykiem, o Wielki, ale naukowcy na tym świecie mówią o podróżach szybszych od światła i o tunelach czasoprzestrzennych.

— Mogą sobie, jeśli o mnie chodzi, gadać o melasie i kolibrach, lecz podróż w czasie jest teoretycznie niemożliwa.

Zapomnij o tym.

— Bardzo dobrze — westchnąłem — ale to oznacza, że Stary Głęda dożyje kresu swoich dni, niezdolny zemścić się za krzywdy i zniewagi, jakich zaznał w przeszłości od rozmaitych nikczemników, nikczemników, którzy nie tyle nie docenili, ile wręcz nie dostrzegli jego wielkiego talentu.

Pod wpływem tych słów normalna, buraczana barwa twarzyczki Azazela nabrała odcienia bardziej przypominającego delikatny róż wnętrza arbuza.

— Krzywdy i zniewagi? — powtórzył. — Ach, jak dobrze to znam! Masz zatem przyjaciela, który cierpi tak samo, jak ja cierpiałem.

— Nikt wprawdzie — rzekłem ostrożnie — nie może cierpieć tak, jak cierpiał twój potężny

duch, o Pocieszycielu Ubogich Duchem, ale mój przyjaciel istotnie doznaje bólu.

— Jakie to smutne. I pragnie wrócić w czasie, aby się zemścić.

— Tak właśnie jest, lecz sam powiedziałeś, że podróż w czasie jest niemożliwa.

— To prawda. Niemniej jednak potrafię korygować umysły. Jeśli masz lub potrafisz zdobyć jakiś przedmiot, który długo pozostawał z nim w bliskim kontakcie, wówczas będę mógł w taki sposób wpłynąć na funkcjonowanie jego umysłu, że będzie mu się zdawało, iż wrócił do przeszłości i spotkał twarzą w twarz ze swymi dawnymi dręczycielami. Będzie mógł wówczas postąpić z nimi, jak będzie chciał.

— Znakomicie — powiedziałem. — Tak się składa, że mam tutaj dziesięciodolarowy banknot, który pożyczyłem z jego portfela podczas naszego ostatniego spotkania. Jestem absolutnie przekonany, iż banknot ten pozostawał z nim w intymnym kontakcie przez co najmniej miesiąc. Stary Głęda to ostatecznie tylko Stary Głęda: i zawsze był skąpcem.

I tak się złożyło, że mniej więcej miesiąc później spotkałem Głędę. Odciągnął mnie na bok.

— George — powiedział — ostatniej nocy miałem zdumiewający sen. W każdym razie myślę, że to był sen, bo jeśli coś innego, to chyba oszaleję. Wydawał się taki realistyczny, zupełnie jakbym się cofnął w czasie. Całe czterdzieści lat.

— Jakbyś wrócił do przeszłości?

— Tak mi się zdawało, George. Zupełnie jakbym był podróżnikiem w czasie.

— Opowiedz mi o tym, Głęda.

— Śniło mi się, że wróciłem do Starego Kibla. To znaczy do starego Starego Kibla. Nie tego dzisiejszego, podupadłego i zagubionego w wielkim mieście, lecz takiego, jaki był czterdzieści lat temu, czyli szacownej starej budowli, postarzałej jedynie od upływu lat. Spacerowałem po korytarzach i oglądałem sale wykładowe, profesorów przy pracy. Wszędzie panowała ledwie wyczuwalna atmosfera kryzysu. Pamiętasz jeszcze Wielki Kryzys, George?

— Pewnie, że pamiętam.

— Przeczytałem ogłoszenia na tablicy. Przejrzałem ostatnie wydanie uczelnianej gazetki. Nikt mnie nie zatrzymał. Nikt mnie nie zauważył. Jakbym dla nich nie istniał. Zrozumiałem, że to moje teraźniejsze „ja” wędruje po tamtych czasach. Nagle przyszło mi na myśl, iż gdzieś w budynku kryje się Jusuf Newberry, ciągle żywy. W tym momencie pojąłem, że zostałem sprowadzony do Starego Kibla w jakimś celu. W rękach trzymałem teczkę; zbadałem jej zawartość i bardzo się ucieszyłem, ponieważ okazało się, że mam przy sobie wszystkie niezbędne dowody. Popędziłem schodami na trzecie piętro, gdzie należało szukać jego gabinetu. Pamiętasz jego gabinet, George, ten charakterystyczny, stęchły zapach starych książek? Otóż zapach ów ciągle jeszcze się tam unosił, po czterdziestu latach, albo raczej to ja cofnąłem się w czasie o czterdzieści lat i poczułem go tam, gdzie był zawsze. Bałem się, że Stary Wampir może być na jakichś ćwiczeniach, ale sen sprowadził mnie we właściwym momencie. Miał okienko i właśnie poprawiał prace.

Kiedy wszedłem, spojrzał na mnie. Zobaczył mnie. Zauważył mnie. Tak miało być.

— Kim jesteś? — spytał.

— Przygotuj się na niespodziankę, Jusufie Newberry, bo nie jestem nikim innym, tylko Fortescue Quackenbrane Flubben.

Zmarszczył brew.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś sędziwym ojcem tamtego niechlujnego matoła, który w ubiegłym roku chodził na moje ćwiczenia?

— Nie, nie jestem sędziwym ojcem tamtego niechlujnego matoła. Strzeż się, Newberry, bo to ja jestem tym niechlujnym matolem. Przybyłem z przyszłości, pokonując całe czterdzieści lat, by stanąć z tobą twarzą w twarz, ty tchórzliwy oprawco mojego młodego „ja”.

— Czterdzieści lat, powiadasz? Muszę przyznać, że upływ czasu nie podziałał na ciebie dodatnio. Kiedyś byłem skłonny dać ci niewielkie szansę, że gorzej już wyglądać nie będziesz, ale widzę, iż jednak ci się udało.

— Newberry! — zagrzmiałem. — Przygotuj się na cierpienia. Czy wiesz, kim się stałem przez te czterdzieści lat?

— Tak — odparł spokojnie. — Stałeś się nadzwyczaj szpetnym człowiekiem, który właśnie kończy wiek średni. Przypuszczam, że nie mogłeś tego uniknąć, a mimo to nieledwie mi cię żal.

— Jestem kimś więcej, Jusufie Newberry. Zostałem jedną z najwybitniejszych postaci życia literackiego w Stanach Zjednoczonych. Mam tu dla ciebie kopię mojego hasła z *Who's Who in America*. Zwróć uwagę na liczbę opublikowanych przeze mnie książek i zauważ dalej, Newberry, że nigdzie w tych przepastnych tomach nie wspomniano nazwiska Jusuf Newberry. Mam tutaj dodatkowo, Jusufie Newberry, niektóre recenzje moich ostatnich dzieł. Przeczytaj je i zwróć szczególną uwagę na miejsca, gdzie jest mowa o moim talencie i rzetelnym piórze. Mam tutaj ponadto pochlebną notkę, którą na mój temat zamieszczono w magazynie „New Yorker”. A teraz, Jusufie Newberry, przypomnij sobie te wszystkie chamskie i nikczemne rzeczy, które ubiegłego roku mówiłeś podczas ćwiczeń o mnie i o mojej twórczości, i pokornie spuść głowę!

— Przypuszczam, że to sen — odparł na to Newberry.

— To prawdopodobnie jest sen — rzekłem — lecz jeśli nawet, to mój, i to, co mam ci tutaj do pokazania, jest prawdą, tą samą, która wyjdzie na jaw za czterdzieści lat od tej chwili. Nie pochylisz głowy z najgłębszym zażenowaniem, Jusufie Newberry?

— Nie — odparł Newberry. — Ja nie jestem odpowiedzialny za przyszłość. Mogę tylko powiedzieć, że w ubiegłym roku na moich lekcjach pisałeś same brednie, które pozostaną bredniami nie tylko przez czterdzieści lat, ale do ostatniej sekundy zarejestrowanego czasu. A teraz wynoś się stąd i pozwól mi poprawiać prace.

— I wtedy sen się skończył. Co o nim myślisz, George?

— Musiał być realistyczny.

— Istotnie, istotnie. Ale nie o to mi chodzi. Czy potrafisz sobie wyobrazić taką zakałą ludzkości, która dowiedziawszy się o moim sukcesie, nadal obstaje przy swoim? Za grosz wstydu. Żadnej rozpacz. Wciąż utrzymywał, że moje juvenilia to brednie, i za nic nie chciał odstąpić od swego zdania. Mam złamane serce, George. W życiu nie przeszedłem przez nic

paskudniejszego. Nikogo nie czeka gorsze wieczne spoczywanie niż mnie.

I po tych słowach oddalił się starym krokiem — zgruchotany, popękany wrak człowieka. Niedługo potem umarł.

George zakończył swoją opowieść i przetarł oczy banknotem pięciodolarowym, który podałem mu w tym celu. Nie był tak chłonny jak chusteczka, ale George upiera się, iż nic nie prześcignie wrażeń dotykowych, jakie wywołują banknoty.

— Przypuszczam, że nie mam co pytać, George — powiedziałem — czy twoje historie mają jakiś sens, niemniej jednak jestem zmuszony wskazać, iż to nie była prawdziwa podróż w czasie, tak jak ją przedstawiasz, a jedynie podróż w wyobraźni. Była to, w rzeczy samej, wizja wywołana manipulacjami, jakich Azazel dokonał na mózgu Flubba. Wynika z tego, że Flubb albo ją kontrolował, albo powinien był ją kontrolować. Dlaczego nie zmusił Jusufa Newbenyego, by pełzał u jego stóp, błagając o wybaczenie?

— O to samo spytałem Azazela przy innej okazji — odparł George. — Wyjaśnił mi, że biedny Głęda, niezależnie od jego wysokiego mniemania o sobie, był dostatecznie dobrym rzemieślnikiem literackim, by wiedzieć, przynajmniej w podświadomości, że część jego spuścizny literackiej to rzeczywiście brednie i że Newberry miał rację. Jako człowiek uczciwy musiał się zmierzyć z tym faktem. — George zamyślił się na kilka chwil, po czym dodał: — Chyba jednak nie był do ciebie podobny.

# Wino jest szydercą

George zamówił kieliszek białego wina, od którego zamierzał rozpocząć kolację, ja natomiast bezkrwawą mary, która, jeśli o mnie chodzi, stanowi najlepszą namiastkę pijackiej biesiady.

Wolno sączyłem mocno przyprawiony sok pomidorowy i nagle zdałem sobie sprawę, że George z obrzydzeniem wpatruje się w swój piękny szklany kielich. Był już zupełnie pusty, a ja wcale nie zauważyłem, by go opróżniał. Niekiedy potrafi być niesłychanie zręczny.

— O co chodzi, George? — spytałem. Westchnął ciężko.

— W dawnych czasach — powiedział — człowiek za pensa dostawał uczciwy kufel zanego *ale*.

— W jak dawnych czasach, George? Czy rozmawiamy może o średniowieczu?

— W dawnych czasach — powtórzył George. — Dzisiaj, jeżeli chcesz, by starczyło ci na taką ilość cienkusa, od której w najlepszym wypadku poczujesz mgłę na górnej wardze, to musisz się włamać do świnki swojego dziecka, oczywiście pod warunkiem, że takowe masz.

— O czym ty gadasz? Przecież to wino nie kosztowało cię nawet owego średniowiecznego pensa. Ale jeśli ci mało, to zamów sobie jeszcze. Stawiam.

— Gdzieżbym śmiał — odparł ponurym tonem George. — Lecz skoro już proponujesz, a ja chciałbym ci wyświadczyć przysługę... — Zastukał łyżeczką o brzeg kieliszka i kelner pospiesznie przyniósł mu następny. — Wino — powiedział, wpatrując się w swój kielich — jest szydercą. Tak mówi Biblia. Powiedział to albo Mojżesz, albo Belzebub.

— W rzeczy samej — odparłem. — Znajdziesz to w *Księdze Przysłów 20,1*, gdzie jest powiedziane: „Szydercą jest wino, swarliwą — sycera, każdy, kto tutaj błądzi, niemądry”. Tę księgę przypisuje się królowi Salomonowi.

Wpatrywał się we mnie z bezbrzeżnym oburzeniem.

— Czemu, do licha, tak uparcie grzęzniesz w tej pseudo — erudycji. Skazujesz się przez nią na powszechną krytykę. Ja chciałem tylko powiedzieć, że znajdziesz to oświadczenie albo w Habakuku, albo w Malachiaszu. Nie masz się chyba zamiaru kłócić, że to z Biblii?

— Absolutnie nie.

— No i tu cię mam. Wspomniałem, iż wino jest szydercą, bo przypomniałem sobie o moim przyjacielu, Kambyzesie Greenie.

— Kambyzesie?

— Został tak nazwany po jakimś możnowładcy ze starożytnego Wschodu.

— Wiem, o kim mówisz — odparłem. — Kambyzes był synem Cyrusa Wielkiego, króla Persji. Ale jak to się...

— Zamówmy najpierw kolację — rzekł George — a potem opowiem ci historię Kambyzesa Greena.

Mój przyjaciel, Kambyzes Green (powiedział George), któremu dano tak na imię na cześć jakiegoś możnowładcy ze starożytnego Wschodu, zasługiwał niemalże na miano najbardziej czarującego i najmiłszego ze wszystkich ludzi na świecie. Zawsze dysponował niewyczerpanym zasobem opowieści i potrafił przekazywać je nadzwyczaj barwnie. W towarzystwie nieznanym był całkowicie swobodny i umiał ich sobie natychmiast zjednać. Uprzejmy i czarujący wobec młodych kobiet, fascynował je wszystkie bez wyjątku, aczkolwiek swoją miłość zarezerwował, z całym żarem, jakiego zdołał użyć mu Eros, dla Valencii Judd, młodej kobiety obdarzonej niesłychaną urodą i inteligencją.

To właśnie Valencia przyszła do mnie któregoś razu. Jej jasne włosy były potargane, mały, zadarty nosek lekko zaczerwieniony, jakby ostatnio dużo płakała, w lewej dłoni zaś ścisnęła podejrzanie mokrą chusteczkę. Tak naprawdę wcale nie miała na imię Valencia. Był to skrót od jej prawdziwego imienia, które brzmiało Benevolencia. Daje ci ono chyba jakieś pojęcie o słodczy jej usposobienia oraz ciepłe serca.

— Och, wujku George — powiedziała i zabalgotała, dalsze słowa bowiem uwięzły jej w gardle.

Nie byłem jej wujkiem w genetycznym sensie, lecz skoro ona uważała mnie za wujka, to ja musiałem uważać ją za swoją siostrzenicę i z całym naturalnym oddaniem, jakie mógłbym żywić do nadzwyczaj pięknej kobiety przestającej ze mną w tego typu związku, objąłem ją w tali i jednocześnie uspokoiłem jednym czy dwoma pocałunkami.

— To przez Kambyzesa — wyznała w końcu.

— Nie mógł się chyba zapomnieć — powiedziałem, czując w piersi ukłucie bezimiennego lęku — i złożyć ci jakiejś nie — przystojnej propozycji...

— Och, nie — odparła, a jej wielkie, niebieskie oczy otworzyły się szeroko. — To ja składałam wszelkie propozycje. Chodzi o to... o to, że on jest taki miły.

— To oczywiste, a poza tym przystojny, inteligentny, czarujący i obdarzony niezwykłym poczuciem humoru...

— O tak, wujku George, o tak. To wszystko prawda.

— Wobec tego, droga, mała Valencio, dlaczego płaczesz? Przedawkowanie radości?

— Niekoniecznie. Widzisz, wujku George, nie wiem, czy ty to kiedykolwiek zauważyłeś, ale Kambyzes jest zawsze odrobinę pijany.

— Doprawdy? — Zrobiłem zdziwioną minę. Zawsze przebywałem z nim w sytuacjach biesiadnych, kiedy istotnie był pijany, ale wówczas wszyscy byli pijani. Nawet mnie, po bardzo niewielu drinkach, ogarniał zazwyczaj dość przyjemny nastrój, co zapewne potwierdziłaby z chęcią każda barmanka. — Z pewnością w takich sytuacjach, gdy...

— Nie, wujku George — przerwała mi łagodnie. — Nie ma takich sytuacji, kiedy nie jest. On jest zawsze trochę pijany. — Westchnęła. — I, oczywiście, jeśli mówię „trochę pijany”, to chcę tak naprawdę powiedzieć „bardzo pijany”. W rzeczy samej, pijany jak bela.

— Nie potrafię w to uwierzyć.

— A ja nie potrafię tego wytrzymać. Czy sądzisz, wujku George, że jako człowiek o niezmiernie wysokim morale mógłbyś porozmawiać z Kambyzesem i wytłumaczyć mu, że wino jest szydercą i że powinien pić świeżą, zwykłą wodę oraz być może sporadycznie perriera w chwilach wielkiego rozweselenia?

— Nawet jeżeli się zgodzić — odparłem z powątpiewaniem — iż istotnie jestem uosobieniem wysokiego morale, to wcale nie wiem, czy umiałbym wytłumaczyć Kambyzesowi... — W tym momencie Valencia otworzyła usta, przyłożyła chusteczkę do oczu i wiedziałem, że brakuje tylko mikrosekundy, by zawyła ze smutku. Powiedziałem więc: — Ale spróbuję, małeńka. Zrobię, co będę mógł.

W konsekwencji istotnie spotkałem się z Kambyzesem. To był pierwszy raz, gdy kiedykolwiek odwiedziłem go w domu. W rzeczy samej, był to pierwszy raz, gdy kiedykolwiek zobaczyłem go samego, bez towarzystwa rozwydrzonej hałastry, wśród której wszyscy bez wyjątku konsumowali spirytualia o rozmaitej mocy.

Przypuszczam, że instynktownie spodziewałem się zobaczyć ponurego i poważnego Kambyzesa, ci bowiem, których opisuje słowo „trzeźwy”, zawsze są ponurzy i poważni.

A jednak się myliłem. To był ten sam wesoły Kambyzes, do którego byłem przyzwyczajony. Kiedy wszedłem do pokoju, roześmiał się głośno i przywitał mnie serdecznie klepnięciem w ramię.

— Mój kamrat! — zawołał. — Stary kompan! Co ty robisz bez drinka w rękę? Wyglądasz jak nagi. Chodź, pozwól, że naprawię to niedopatrzenie.

I wmusił we mnie małą whiskey. Było trochę za wcześnie na takie rozpraszenie uwagi, ale odmowa z mojej strony byłaby brakiem uprzejmości. Wychyliłem do dna, rozmyślając o tych wszystkich okazjach, kiedy Kambyzes stawiał mi drinka, oraz wszystkich innych, gdy się nie godził, bym to ja mu postawił, i w zamian kupował mi kolejnego. Przyznaję, pod tym względem zasługiwał na miano arystokraty.

Ale teraz, kiedy Valencia otworzyła mi oczy, widziałem również, że to zaprzędany pijak. Pora była wczesna, był sam, a mimo to w jego krokach dawało się bez trudu zauważyć chwiejność, w oczach zdecydowaną szklistość, w uśmiechu wyraźną mglistość, a w powietrzu silną woń alkoholu — zwłaszcza kiedy robił wydech.

— Kambyzesie — powiedziałem — przyjacielu mój, przyszedłem tu w imieniu tej niezwyklej młodej istoty, Valencii Judd.

— Urodzonej arystokratki, bogini piękna i wszelkich cnót. Wypiję za jej zdrowie!

— Nie — zaprotestowałem żarliwym głosem — nie pij za nią. To źródło problemu. Ona ma uczucie, że zbyt często pijesz za nią i za wszystko inne, bez różnicy zresztą. Bardzo by chciała, byś przestał pić.

Wyraźnie się zasepił.

— Nigdy mi tego nie powiedziała.

— Podejrzewam, iż onieśmielona twymi licznymi zaletami, wahała się, nie chcąc ranić twych uczuć przez wykazywanie jednej jedynej wady, tej nieznaczonej luki w twoim wychowaniu, tej mikroskopijnej skazy na twoim charakterze, a mianowicie faktu, że jesteś moczymordą.

— Tylko dlatego, że przy rzadkich okazjach zdarza mi się łyknąć co nieco w celach terapeutycznych?

— Te łyki nie są małe, Kambyzesie, okazje też nierzadkie, a cele bynajmniej nie terapeutyczne, aczkolwiek akceptuję pozostałą część twojego oświadczenia. Valencia wprawdzie nie powiedziała tego wprost, lecz właśnie dlatego chce, byś zrozumiał, że usta, które posmakowały alkoholu, rzadko znajdują czas na posmakowanie jej ust.

— Kiedy jest już za późno, George, byku kraso, stary chłopie. Moje usta zasmakowały w alkoholu. Nie mogę temu zaprzeczyć.

— One są w nim zamarynowane, Kambyzesie. Czy nie mógłbyś przestać? Czy nie mógłbyś wyzbyć się tego straszliwego nałogu i zacząć się wygrzewać na czystym słońcu trzeźwości, tak jak to kiedyś czyniłeś?

Zmarszczył się w zamyśleniu.

— A niby kiedy ja to czyniłem?

— Zaczynaj od zaraz.

Nalał sobie kolejnego drinka i przytknął szklanekę do ust.

— George — powiedział — czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że ten świat to śmierdzące, żałosne bagno?

— Niejeden raz — odparłem.

— A nie chciałeś go zmienić we wspaniały, rozkoszny raj?

— Niejeden raz — stwierdziłem.

— Ja to zrobiłem. Odkryłem sekret. Kilka kolejek, pograżenie się w przyjaznym ciepłe ginu, rumu, brandy względnie całego szeregu różnych drinków i zaraz żałosna powłoka tej planety topnieje i ulatnia się. Łzy zmieniają się w śmiech, kwaśne spojrzenia w uśmiechy, niebiosy dźwięczą pieśnią. No sam powiedz, czy mogę z tego wszystkiego zrezygnować?

— Chociaż z części. Przynajmniej wtedy, kiedy Valencia patrzy.

— Nie mogę. Nawet dla Valencii. Mam obowiązki względem ludzkości i świata. Czy mogę pozwolić, by społeczeństwo na powrót pograżyło się w tej zgniliznie, przed którą ratuje je alchemia alkoholu?

— Ależ ta alchemia, o której mówisz, jest czymś subiektywnym. Skutkuje jedynie w twoim umyśle. Nie istnieje w rzeczywistości.

— George — rzekł Kambyzes uroczystym tonem — jesteś bliskim i ukochanym przyjacielem, więc nie mogę wyprosić cię z tego domu. Ale i tak zamierzam to zrobić. Precz z mego domu!



Jak wiesz, stary, wszelkie niepowodzenia, jakich doznaję, mają przyczynę wyłącznie w moim niewiarygodnie miękkim sercu. Nigdy na przykład nie godziłbym się na te kolacje, które pochłaniam na twój koszt, gdybym się tak nie przejmował twoją oczywistą potrzebą przebywania w stymulującym towarzystwie. Co zresztą oznacza, że sam z kolei muszę znosić twoje towarzystwo, lecz cóż z tego?

W każdym razie serce mi się krajało z powodu Valencii i czułem, iż jest to problem dla Azazela, mojego dwucentymetrowego przyjaciela z innej płaszczyzny bytu.

To stworzenie... Ach, już ci o nim opowiadałem? No dobrze, już dobrze, nie musisz tego tak ostentacyjnie okazywać.

Chociaż raz Azazel nie był wściekły, że został wezwany. Był zachwycony. Tak przynajmniej twierdził.

Płasał w koło, wykonując dziwaczne gesty łapkami tak maleńkimi, że nie mogłem obejrzeć ich ze wszystkimi szczegółami.

— Jakże w trójnasób fortunnie dla niego, żeś mnie tu wezwał — powiedział skrzekliwym głosem. — Zasepotulowałbym go. Sflaksowałbym jego modinem. Zadałbym mu...

— Komu byś to wszystko zrobił? — spytałem z niejakim zainteresowaniem. — I z jakiego powodu?

Wyniosły ton, jakim Azazel starał się odpowiedzieć, zupełnie nie licował z piskliwym głosem i niepokąźnymi rozmiarami.

— Ten wielki sasquam użył w stosunku do mnie określeń, jakich nie powinna użyć żadna dobrze wychowana istota.

Pozwoliłem mu ochłonać. O Azazela, który był obiektem niepozornym zarówno we własnym, jak i w naszym świecie, stale się ktoś potykał, depcząc go przy okazji, i na całe szczęście, dzięki temu bowiem jego wiecznie posiniaczone ego miało chęć mi pomagać. Czuł wielką potrzebę demonstrowania swych mocy.

— Mój znajomy jest alkoholikiem — oznajmiłem.

— Ach, tak — powiedział Azazel. — Trudni się holowaniem alku? Co to jest alk?

— Nie, to nie tak. Alkohol jest płynem organicznym, który w niewielkich dawkach działa jak środek stymulujący, za to w dużych powoduje rozpad psychiczny. Mój przyjaciel nie może się powstrzymać od zażywania dużych dawek.

Azazel przez chwilę wyglądał na mocno zdumionego, po czym stwierdził:

— Aha. Ty masz na myśli fosfotonika.

— Fosfotonika? — spytałem, dość zdumiony, przyznaję. Azazel wyjaśnił:

— Ludzie z mojego świata uwielbiają tego czy innego rodzaju fosfatony. Wąchamy fosfinę, pijemy rozmaite roztwory fosforanu, chłepczemy kwas fosfopirogronowy i tak dalej. — Azazel wzdrygnął się. — Nadmierne spożywanie jest przyczyną obrzydliwego nałogu, ja jednak przekonałem się, iż odrobina fosforylizowanego amoniaku przyjmowanego po posiłkach to znakomity środek na trawienie. Stąd nasze przysłowie: „Pomóż swemu żołądkowi i wypij kapkę fosfanu”. — Azazel potarł się po wymodelowanym jak u Brigitte Bardot brzuchu i oblizał swe czerwone usta małym, czerwonym języczkiem.

— Pytanie brzmi: Jak wyleczyć mojego przyjaciela alkoholika i nakłonić go, by odstawił kielich? — powiedziałem.

— Odstawił...

— No, żeby przestał pić o każdej porze dnia i nocy.

— To łatwe — rzekł Azazel. — Przy moich zdobyczach technologicznych to dziecinna igraszka. Muszę jedynie przekształcić ośrodki smaku w jego mózgu, dzięki czemu alkohol będzie mu smakował jak coś obrzydliwego, na przykład ekskrementy.

— Nie — powiedziałem. — Absolutnie wykluczone. To byłaby przesada. Rozsądne dawki, takie, na jakie ja sam sobie pozwalam, czyli zaledwie ćwiartka dziennie, dodają animuszu i nikogo nie należy ich pozbawiać. Odwołaj się do swej niedoścignionej mądrości, o Potężny Bezmiarze, i wymyśl coś innego.

— No cóż... — powiedział Azazel. — A czy istnieje jakiś sposób, by picie alkoholu stało się cnotą? Czy zdarzają się pijacy, których się podziwia?

— Zdarzają się koneserzy — stwierdziłem po namyśle. — Ludzie posiadający ogromną wiedzę o napojach alkoholowych i potrafiący rozpoznać te, które cechuje najwyższa jakość. Ci są zazwyczaj traktowani z wielkim podziwem.

— Twój przyjaciel do takich nie należy? Nie potrafi odróżnić niskiej jakości od wysokiej?

— Dobry Boże, ani trochę. On wypije płyn do kąpieli, odżywkę do włosów, pastę do butów, rozmrażacz szyb samochodowych. To zdumiewające, ale jego jakoś nic nie może zabić.

— Cóż, w takim razie uzgodnijmy, że zmienię pole smakowe w jego mózgu w taki sposób, by umiał odróżnić dwie dowolne odmiany alkoholu, nawet bardzo podobne, i określić, która jest lepsza. Nie będzie już uważany za alkoholika, którym się gardzi, lecz za konesera, którego się podziwia. W rzeczy samej, ja mam cechy koneserskie w odniesieniu do fosfatonów i często moje umiejętności przejmowały zgrozą wielkie zgromadzenia...

Opowiadał dalej ze szczegółami, a ja słuchałem, nawet jeśli nie z ochotą, to z cierpliwością, tak bardzo bowiem pragnąłem pomóc Kambyzesowi.

Odwiedziłem Kambyzesa jakiś czas potem, gdy uznałem, że otrząsnął się już z tego złego nastroju, w jakim wyrzucił mnie ze swego domostwa. Stwierdziłem, iż nie muszę się niczego obawiać. Alkoholicy to wesołe dusze, które nigdy nie pamiętają przelotnych napadów gniewu i rozdrażnienia z przeszłości. W rzeczy samej, w ogóle nic nie pamiętają.

Jak się jednak okazało, Kambyzes bynajmniej nie wyglądał na wesołą duszę. Siedział na podłodze, otoczony morzem kieliszków wypełnionych płynami najrozmaitszej proveniencji. Na jego twarzy gościł wyraz stężałej melancholii.

— Co się stało, Kambyzesie? — spytałem zatrwożony.

— Właściwie to nie wiem — odparł Kambyzes — jednak ewidentnie zacząłem dostrzegać ujemne strony tych artykułów spożywczych. Bardzo proszę, George, spróbuj tego.

Było to jakieś porto znacznej mocy, o czym się przekonałem po jednym małym łyku.

— Bardzo dobre, stary — pochwaliłem.

— Bardzo dobre? Mówisz poważnie? Brakuje mu wyrazu! — krzyknął.

— Nie zauważyłem — odparłem.

– Nic dziwnego – stwierdził obraźliwym tonem. – Ani też nie jest tak łagodne, jak powinno. Nie wyczułeś niestosownej ostrości?

– W ogóle.

Kambyzes zamknął oczy i pokręcił głową, udając, że jest porażony moją niewiedzą.

– W całej tej kolekcji najlepszą rzeczą jest to. Spróbuj. Była to doskonała cherry heering. Omal nie krzyknąłem z powodu niezwykłości jego bukietu i subtelności smaku.

– Znakomite – rzekłem ze zgrozą.

– Ledwie znośne – stwierdził. – Przyznaję, że ci idioci chcieli dobrze, ale gdzieś podczas produkcji ten płyn zetknął się z zardzewiałym gwoździem. Stąd ów może niekoniecznie zabójczy, lecz bez wątplenia skończenie nieprzyjemny metaliczny posmak.

– Nie zauważyłem niczego takiego – powiedziałem z oburzeniem.

– Bo ty nie zauważyłbyś jednoroźca, nawet gdyby cię ubódł w tyłek – odparł grubiańsko.

Nie potrafiłem już dłużej nie zauważać skrzywionej natury jego drwin, co z kolei zmusiło mnie do zaobserwowania cechy, której wcześniej nigdy nie kojarzyłem z moim młodym przyjacielem.

– Kambyzesie – powiedziałem – ty ani chybi jesteś trzeźwy. Spojrzał na mnie ze wzgardliwym grymasem.

– A czego się spodziewasz? Nie mam tu niczego, co mógłbym wypić. To wszystko pomyje i trucizna.

Podczas kilku miesięcy, które upłynęły od tamtego zdarzenia, zrozumiałem, że stało się coś dziwnego. Azazel nie przeorientował percepcji smakowej Kambyzesa w taki sposób, by wszystkie napoje alkoholowe smakowały mu jak ekskrementy. Obdarzył go natomiast nadzwyczaj wyrafinowanym zmysłem rozróżniania alkoholi i w swych poszukiwaniach nieosiągalnego ideału Kambyzes zachowywał się tak, jakby każdy drink, który nie dostawał do tego ideału (czyli wszystkie), smakował jak ekskrementy.

Kambyzes nie tylko wytrzeźwiał, ale wręcz stał się prawdziwym wcieleniem trzeźwości. Chodził sztywno wyprostowany, rzucał surowe spojrzenia, kładł się wcześniej spać, zaczął prowadzić niepokojąco regularny tryb życia i spoważniał do tego stopnia, iż nie ufał nikomu, kto choć odrobinę zbaczał z drogi cnoty. Dla niego każdy przejaw normalnego ludzkiego zachowania przypominał drinka o niezadowalającym aromacie i metalicznym posmaku.

Valencia, moja przemiła, młoda siostrzenica, nie posiadała się ze smutku. Wykręcała ociekającą wilgocią chusteczkę, a jej twarz była cała w plamach.

– Kambyzes, tak jak sobie życzyłaś, jest trzeźwy – zauważyłem.

– Trzeźwy jak nie wiem co – powiedziała. – Trzeźwy jak lodowa skorupa. Trzeźwy jak skroplone powietrze. Tak, jest dokładnie tak, jak być powinno. – Bredziła w ten sposób jeszcze przez chwilę, po czym powściągnęła emocje i powiedziała: – Stanowisko w firmie finansowej ojca, dotychczas zwykła synekura, stało się polem do popisu dla jego talentów. Jest znany jako „tyranozaur Wall Street”. Podziwia się w nim powszechnie kwintesencję

amerykańskiej przedsiębiorczości i całe tłumy się zbierają, by patrzeć, jak gnębi wdowy i sieroty. Bezwzględność jego czynów wywołuje bezgraniczne uznanie i została już nagrodzona pochwałą sekretarza stanu.

— Jaka ty musisz być dumna — stwierdziłem.

— A rzeczywiście, jestem dumna. Jego bezlitosna cnotliwość jest podziwiana przez wszystkich, a niezwykle wymowny sposób, w jaki publicznie potępił kłamstwo, kradzieże i pobłażliwość, zyskał taki poklask, że aż słychać było echo. A jednak...

— A jednak?

— Stał się dla mnie strasznie chłodny, wujku George.

— Chłodny? Ty chyba żartujesz. Jesteś przecież równie cnotliwa jak on.

— Ach, w każdym calu — przyznała. — Jestem wcieleniem wszelkich cnót. A jednak z jakiegoś powodu przestałam go chyba zadowalać.

Poszedłem się spotkać z Kambyzesem. Nie było to łatwe. Tyle uwagi poświęcał obecnie interesom, że doszedł do wniosku, iż dwunastogodzinny dzień pracy to za mało, by skutecznie omamić opinię publiczną przez zasypywanie Departamentu Obrony wykałaczkami i kapslami. Dlatego otoczył się sekretarkami, asystentkami i doradcami, do których ominięcia musiałem użyć wszystkich swoich talentów i elokwencji.

Jakoś w końcu przedarłem się do jego wielkiego gabinetu; na mój widok zrobił wzgardliwą minę. Nieco się postarzał, ponieważ trzeźwość, która go obecnie trawiła, wyrzyła pionowe bruzdy w policzkach i pokryła te jasne niegdyś i roziskrzzone oczy twardą, marmurową powłoką. — Czego tu szukasz, George? — spytał.

— Przychodzę, mój przyjacielu — powiedziałem — w imieniu twojej ukochanej Valencii.

— Kogo?

Stwierdziłem, że to zły znak.

— Valencii — powtórzyłem. — Tej małej blondyneczki, uduchowionej, pięknej i cnotliwej, stworzonej wprost do kochania.

— A tak. — Kambyzes podniósł z biurka szklankę z wodą, skrzywił się i odstawił ją. — Chyba ją sobie przypominam. Nie jest mi do niczego potrzebna, George.

— Dlaczego? Została określona jako całkowicie godna miłości przez kilku najlepszych ekspertów w branży.

— Najlepsi eksperci, też coś! Niekompetentni partacze. George, ta kobieta używa perfum, od których zemdliłoby skunksa. Mimo to pod koniec dnia wyczuwam nieprzyjemny odór ciała. Jej oddech często zatrwająco cuchnie. Lubi szwajcarski ser, sardynki oraz inne artykuły, które oblepiają język i zęby. Czy ja naprawdę muszę kąpać się w tych smrodliwych wyziewach? A skoro już o tym mowa, George, stwierdzam, że przeoczyłeś poranną kąpiel.

— Nic podobnego, Kambyzesie — zaprzeczyłem gorąco. — Kąpałem się.

— W takim razie następnym razem stań bliżej mydła — odparł. — Nie musisz przekazywać Valencii szczegółów, jeśli uważasz, że one ją obrażą, tak jak często obrażają mnie. Ale możesz jej powiedzieć, że jeśli jeszcze kiedyś mnie zobaczy, to lepiej niech stanie po

zawietrznej.

— To absurd, Kambyzesie — zaprotestowałem. — Valencia jest schludną młodą damą, która pachnie niezwykle słodko. Nie znajdziesz nikogo lepszego od niej.

— Nie — odpowiedział Kambyzes, a jego twarz spochmurniała. — I bynajmniej na to nie liczę. To plugawy, śmierdzący świat. Jestem zdumiony, że ludzie tego nie zauważają.

— Czy przyszło ci do głowy, iż być może sam jesteś pod tym względem niedoskonały?

Uniósł rękę i powąchał nadgarstek.

— Nie — odparł. — Nie przyszło.

— Jest tak być może dlatego, iż zmysły masz przesycone własnym odorem. Dla innych jesteś prawdopodobnie odpychający.

— Dla innych? Cóż mnie, na litość boską, obchodzą inni? Na to stwierdzenie, musiałem przyznać, nie było odpowiedzi.

Kambyzes ponownie uniósł szklanekę z wodą, upił łyk i z wyrazem przerażenia na twarzy powiedział:

— Potrafię wyczuć co najmniej pięć obrzydliwych w smaku związków organicznych, które dodano do tej wody. Nawet butelkowana źródłana woda ma za sprawą rozpuszczonego w niej szkła krzemionkowy posmak.

Westchnąłem i wyszedłem. Przypadek był beznadziejny. Azazel przesadził z tym niewiarygodnym wyostrzeniem jego zmysłów.

Próbowałem jakoś łagodnie przekazać Valencii wieści. Bredziła, piszcziała i straszliwie się słaśniała. Pocieszałem ją przez całe trzy dni i trzy noce.

Jeśli zaś chodzi o Kambyzesa, to ostatni raz, kiedy o nim słyszałem, szukał świata, w którym mógłby zamieszkać, gdzie powietrze i woda są dostatecznie czyste dla jego wysublimowanego podniebienia, oprócz tego kucharza, który spełniłby wszystkie jego wymagania, oraz przede wszystkim młodej kobiety nie obrażającej jego delikatnego nosa. Jest dokładnie tak bogaty, jak można się spodziewać po kontrahencie Departamentu Obrony — jego kiepski jakościowo, za to kosztowny sprzęt stanowi chlubę sił zbrojnych naszej wspaniałej ojczyzny — podejrzewam jednak, że nie jest szczęśliwy.

George westchnął ze współczuciem, roztaczając przy tym opary wina, i wychylił piątą kielich. Wkurzyłem się.

— Twierdziłeś, jak mi się zdawało, iż wino jest szydercą.

— No bo jest. Lecz nie wtedy, rzecz jasna, gdy jest obecne, tylko gdy go brakuje.

— Wyrażam sprzeciw. — Rzadko kiedy byłem równie zły na tego człowieka. — Jestem zawsze przygotowany na te wszystkie osobliwe podejścia do życia, jakie te twoje wielce wątpliwe wspomnienia portretują, ale w tym wypadku odcinam się. Wyrażam sprzeciw, jakoby trzeźwy człowiek, tylko dlatego, że jest trzeźwy, mógł rozwinąć w sobie wszystkie te negatywne cechy, które przypisałeś Kambyzesowi.

— Doprawdy? — spytał George, wyraźnie zdziwiony. — A masz jakieś dowody na to, iż jest inaczej?

- Cóż, przede wszystkim sam jestem abstynentem.
- Oddalam sprawę — odparł George.

# Szalony naukowiec

George i ja spotykamy się zazwyczaj w jakimś neutralnym miejscu, na przykład w restauracji albo na ławce w parku. Powód jest prosty: moja żona nie zniosłaby go w naszym domu, uważa bowiem George'a za naciągacza — i ja się z nią zgadzam. Niemniej jednak — z przyczyn, których nie potrafię sobie wytłumaczyć — nie jestem w takim samym jak ona stopniu odporny na jego wdzięk.

Któregoś dnia moja ukochana wyszła z domu na cały dzień. George wiedział o tym, więc wpadł koło południa. Jakoś nie potrafiłem go odegnąć od progu, zaprosiłem zatem do środka z całym entuzjazmem, na jaki było mnie stać. Niekoniecznie dlatego, że właśnie zmagalem się z nieprzekraczalnym terminem oraz całą stertą domagających się korekty szczotek.

— Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko — powiedziałem. — Muszę to skończyć. Może tak wzięłbyś sobie jakąś książkę i chwilę poczytał?

Ani przez chwilę nie wierzyłem, że tak postąpi. Popatrzył na mnie spode łba, po czym wskazawszy szczotki, zapytał:

— Od ilu lat zarabiasz w ten sposób na życie?

— Od pięćdziesięciu — odburknąłem.

— Nie dosyć już? Dlaczego tego nie rzucisz?

— Ponieważ — odparłem dobitnie — muszę dobrze zarabiać, by móc wspomagać kilku wiecznie obzerających się na mój koszt przyjaciół.

Miało to zabrzmieć kąśliwie, jednak George jest odporny na takie uwagi.

— Powinienem chyba uważać, że mózg skurczył ci się do rozmiarów orzeszka, skoro strawiłeś pięćdziesiąt lat na pisaniu opowieści o szalonych naukowcach — powiedział.

I takim sposobem to ja zostałem ukąszony. Odparłem więc dość ostrym tonem:

— Ja nie piszę opowieści o szalonych naukowcach. Nikt w science fiction powyżej poziomu dymków komiksowych tego nie robi. Historie o szalonych naukowcach pisano w czasach neandertalskich; dziś już się ich nie tworzy.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ to prehistoria, George. A na dodatek wątek szaleństwa naukowców wykorzystują jedynie mierni pisarze, lubujący się w wyświechtanych banałach. Nie ma żadnych szalonych naukowców. Wśród nich zdarzają się, być może, genialni ekscentrycy, ale

nigdy szaleńcy.

— Lecz ja naprawdę znałem kiedyś jednego szalonego naukowca — upierał się George. — Martinusa Augustusa Dandera. Nawet jego inicjały były szalone\*. Słyszałeś może o nim?

— Nigdy — odparłem i ostentacyjnie wbiłem wzrok w szczotki.

— Nie powiedziałem, że był wariatem — dodał George, całkowicie ignorując moje zainteresowanie szczotkami — ale każda ponura, powszechnie szanowana i nieciekawa osoba, taka jak ty na przykład, uważałaby go za szalonego. Opowiem ci jego historię...

— Może później? — zaproponowałem z błagalną nutą w głosie.

Kiepsko ci idzie udawanie, że jesteś zbyt zajęty, by wysłuchać mej opowieści (powiedział George). Widzę przecież, iż cały zamieniłeś się w słuch, toteż nie będę cię dłużej zadręczał, tylko od razu przejdę do rzeczy.

Mój dobry znajomy, Martinus Augustus Dander, był fizykiem. Doktoryzował się na Uniwersytecie Mudlarka w Tennessee, a w czasach, kiedy się to wszystko działo, pracował jako wykładowca w Korespondencyjnej Szkole Nauk Przyrodniczych we Flatbush.

Zwykle jadałem z nim lunch w uczelnianej stołówce, mieszczącej się na rogu Drexel i Avenue D, tuż obok budki z falafłami. Siadywaliśmy na stopniach, by spożyć nasze falafle albo sporadycznie kebaby, i Dander otwierał przede mną swą umęczoną duszę.

Był genialnym fizykiem, ale człowiekiem niestety zgorzkniałym. Cała moja wiedza w dziedzinie fizyki zatrzymuje się na czasach poprzedzających odkrycia Newtona G. Descartes'a, sam więc nie potrafię ocenić jego geniuszu, lecz on powiedział mi, że jest genialny, a z pewnością genialny fizyk potrafi rozpoznać geniusz, kiedy już go widzi.

Jego zgorzknienie brało się z tego, że nie traktowano go poważnie. Zwykł mawiać:

— Widzi pan, George, w świecie fizyki wszystko zależy od koneksji. Gdybym miał dyplom Harvardu i wykładał w Yale, MIT, CalTech albo przynajmniej w Columbii, to świat spiąłby słowa z mych ust. Niestety muszę stwierdzić, że doktorat uzyskany na starym, zapleśniałym Mudlarku oraz stanowisko wykładowcy w KSNP Flatbush cieszą się nieco mniejszym poważaniem.

— Jak rozumiem, Flatbush nie należy do Ivy League.

— Ma pan całkowitą rację — odparł Martinus. — To nie jest ogniwo Ivy League. Co gorsza, nie ma nawet własnej drużyny futbolowej. Jednakże — dodał zaczepnie — nie ma jej również Columbia, a jednak jestem lekceważony. „Postępy Fizyki” nie publikują moich prac badawczych. Są genialne, rewolucyjne, znaczące na kosmiczną skalę — w tym to właśnie momencie jego oczy nabrały tego szczególnego blasku, od którego przyziemni ludzie twojego pokroju dostają zazwyczaj szału — lecz odrzucają je nie tylko „Postępy Fizyki”. Również „Amerykański Przegląd Kosmologiczny”, „Biuletyn Oddziaływania Cząstek”, a nawet „Dziennik Łotewskiego Towarzystwa Myśli Zakazanej”.

— To bardzo niedobrze — powiedziałem, zastanawiając się, czy zechce zapłacić za jeszcze jeden knysz z yamem, który w tej budce podawano *à la française*. — A czy próbował pan w prasie popularnonaukowej?



— Przyznaję — odparł — że niekiedy bywam zdesperowany, ale mam swoją dumę, George, i nigdy nie zapłacę takiej ceny za opublikowanie moich teorii, które wszak byłyby zdolne wstrząsnąć światem.

— A tak nawiasem mówiąc — zapytałem trochę już zaciekawiony — czego dotyczą te pańskie teorie, skoro byłyby zdolne wstrząsnąć światem?

Rozejrzał się ukradkiem na boki, jakby się chciał upewnić, że w zasięgu słuchu nie przebywa żaden kolega po fachu. Na szczęście jedynymi ludźmi w pobliżu były jakieś obszarpane indywidua badające zawartość sąsiednich pojemników na śmieci, i mój znajomy, zlustrowawszy ich baczным spojrzeniem, przekonał się, iż ani jedno z nich nie jest członkiem kolegium akademickiego KSNP Flatbush.

— Naturalnie nie mogę zdradzić panu żadnych szczegółów, ponieważ muszę dbać o swoje pierwszeństwo. Ostatecznie moi koledzy akademicy, ludzie skądinąd prawi, bez wahania ukradliby cudzą własność intelektualną. Dlatego pominię matematykę i przedstawię w najogólniejszych zarysach same wnioski. Zapewne pan wie, że odpowiednia ilość dostatecznie zagęszczonej energii powoduje powstawanie elektronów i pozytonów, względnie, ujmując to jeszcze ogólniej, wszelkich par cząstka — antycząstka.

Pokiwałem głową z mądrą miną. W końcu zajrzałem kiedyś niechęć do jednego z twoich esejów naukowych, stary, i coś niecoś z tego załapałem.

Dander ciągnął swoje.

— Cząstka i antycząstka w polu elektromagnetycznym rozejdą się po przeciwnie skierowanych torach, jedna w lewo, druga w prawo, a jeśli znajdą się w dobrej próżni, to rozdziela się bezpowrotnie, nie zamieniając powtórnie w energię, ponieważ w próżni nie mają z czym oddziaływać.

— Ach tak — powiedziałem, śledząc tych zabłąkanych w próżni malców okiem swego umysłu. — Słuszne spostrzeżenie.

— Jednakowoż równania opisujące tę sytuację działają także w odwrotnym kierunku, czego dowodzę na podstawie bardzo subtelного wywodu. Innymi słowy, można w próżni stworzyć parę cząstka — antycząstka, przy czym obie będą od siebie oddzielone, bez dostarczania energii rzecz jasna, ponieważ w ruchu one same ją wytwarzają. A to oznacza, że możemy wytworzyć nieograniczoną ilość energii z próżni, spełniając tym samym marzenia wszystkich tych, którzy kiedykolwiek pragnęli mieć lampę Aladyna. W rzeczy samej, jestem przekonany, iż duchy tak licznie zamieszkujące arabskie legendy znały i stosowały moją teorię.

(Stary, błagam, nie przerywaj mi tymi pompatycznymi okrzykami, że to niemożliwe, ponieważ wymagałoby to odwrócenia kierunku czasu względnie pogwałcenia zarówno pierwszej, jak i drugiej zasady termodynamiki. Ja jedynie streszczam wszystko, co powiedział mi Dander, i czynię to bez dokonywania skomplikowanych poprawek redakcyjnych. A teraz, wracając do mojej opowieści... A żebyś wiedział, uraziłeś mnie...)

Wysłuchawszy tego, co Dander miał do powiedzenia, skomentowałem to po chwili namysłu:

— Ależ Martinusie, przyjacielu mój, pana sugestie implikowałyby konieczność albo odwrócenia kierunku czasu, albo naruszenia pierwszej i drugiej zasady termodynamiki.

Na co on odparł, że na poziomie subatomowym czas można zawrócić i że zasady termodynamiki są prawami statystycznymi, które nie stosują się do cząstek elementarnych.

— W takim razie, mój przyjacielu — powiedziałem — dlaczego nie zapozna pan świata ze swoim wielkim odkryciem?

— A niby jak? — spytał Dander z drwiącą miną. — Ot tak? Co, pańskim zdaniem, by się stało, gdybym złapał za guzik jakiegoś koleżę fizyka i powiedział mu to, co właśnie powiedziałem panu? Zaczęłyby bredzić o zawracaniu czasu i zasadach termodynamiki, a potem poszedłby sobie. Nie! Muszę przedstawić moją teorię ze wszystkimi jej szczegółami w jakimś prestiżowym periodyku, cieszącym się powszechnym poważaniem naukowców. Wtedy ludzie zwrócą na nią uwagę.

— W takim razie dlaczego jej pan nie opublikuje... Nie dał mi dokończyć.

— Jaki zacofany, tępy redaktor albo recenzent przyjąłby rozprawę naukową, która jest bodaj odrobinę niezwykła? Czy pan wie, że James P. Joule nie mógł opublikować swojego artykułu na temat zachowania energii w żadnym czasopiśmie naukowym, ponieważ był pijakiem? Czy pan wie, że Oliver Heaviside nie potrafił zwrócić niczyjej uwagi na swoje prace, bo był samoukiem i posługiwał się niekonwencjonalnymi symbolami matematycznymi? A pan się spodziewa, że ktoś wydrukuje artykuł, który napisałem ja, pracownik nędznego KSNP Flatbush?

— To okropne — stwierdziłem ze współczuciem.

— Okropne? — powtórzył, odtrącając moją rękę, która uspokajająco spoczęła na jego ramieniu. — I to wszystko, co może pan powiedzieć? Czy zdaje pan sobie sprawę, że gdyby mi się tylko udało wydrukować tę rozprawę, to wówczas jej czytelnicy zrozumieliby dokładnie, o co mi chodzi, i okrzyknęliby moją teorię najwspanialszym opracowaniem i zastosowaniem teorii kwantów? Czy dociera do pana, że z pewnością otrzymałbym Nagrodę Nobla i zostałbym kanonizowany do spółki z Albertem Einsteinem? I że jedynie dlatego, iż nikt w naukowym establishmencie nie ma dość odwagi albo rozumu, by rozpoznać geniusza, jestem skazany na spoczęcie w nie oznakowanym grobie, przez nikogo nie oplakiwany, nie obsypywany zaszczytami, nie opiewany.

(Ta tyrada wzruszyła mnie, stary, aczkolwiek przyznaję, że nie miałem zielonego pojęcia, dlaczego Danderowi się nie podobało, iż nie będzie opiewany. Nie wyobrażam sobie, co zyskałoby jego martwe ciało, gdyby jakaś grupa rockowa wydzierała się nad jego świeżym grobem).

— Wie pan co, Martinus? Chyba mogę coś dla pana zrobić — powiedziałem.

— Ach tak — odparł z lekką goryczą w głosie. — Jest pan pewnie krewniakiem wydawcy „Postępów Fizyki” albo pańska siostra jest jego kochanką bądź to pan skrycie wspierał bezpardonowe metody, za pomocą których on zdobył to stanowisko, wykorzystując

podejrzane...

Podniosłem rękę.

— Mam swoje sposoby — powiedziałem. — Obiecuję, że załatwię, by pański artykuł został opublikowany.

I dotrzymałem słowa, tak się bowiem składa, że potrafię nawiązać kontakt z dwucentymetrowym stworzeniem z obcej planety. Nazywam go Azazel, a jego wiedza na polu zaawansowanej techniki umożliwia...

(Ach, słyszałeś już o nim! Czyżbym ostrzegął cię kiedyś przed straszliwymi konsekwencjami, jakie poniósłbyś, gdyby usłyszał to głupawe *ad nauseam*<sup>\*</sup>, które dodałeś do swojej wypowiedzi?).

W każdym razie nawiązałem z nim kontakt. Jak zwykle przybył do mnie w stanie najwyższego podniecenia. Jest on rzecz jasna stworzeniem niewielkim w porównaniu z osobnikami rodzaju ludzkiego, a w gruncie rzeczy mniejszym nawet od inteligentnych istot z jego własnego świata obdarzonych, jak zrozumiałem, długimi, zakrzywionymi i ostrymi rogami, w odróżnieniu od tych małych wypustek, które ku własnemu zażenowaniu wykształcił sobie Azazel. To właśnie owym nieszczęściem — niepokąźnym wzrostem oraz innymi pigmej skimi atrybutami — tłumaczę sobie jego choleryczny temperament. Jako osoba o szerokich horyzontach potrafię nie tylko zrozumieć sytuację, w której się znalazł, ale wręcz aprobuję ją, albowiem jego permanentne przygnębienie przynosi mi określone korzyści. Ostatecznie Azazel spełnia moje prośby jedynie dlatego, że ma wówczas szansę zabłysnąć jako istota obdarzona licznymi uzdolnieniami, która to szansa w jego własnym świecie nigdy nie jest mu dawana. Jego gniew ostygł, ledwie wyjaśniłem, na czym polega sprawa.

— Biedny facet. Ma na pieńku z redaktorami, prawda? — zapytał skrzekliwym głosem.

— Obawiam się, że tak — odparłem.

— Nie jestem zdziwiony — stwierdził Azazel. — Redaktorzy to wrogowie, wszyscy co do jednego, i warto wyrównać z nimi rachunki. O ileż szczęśliwszy, czystszy, piękniej pachnący byłby świat — tu jego głos wzbił się do nagłego, pełnego pasji wrzasku — gdyby wszystkich redaktorów pogrzebano pod ogromną kupą cuchnącego maradramu, nawet jeśli jego smród stałby się przez to jeszcze gorszy.

— Skąd tyle wiesz o redaktorach? — zapytałem.

— No jakże — odpowiedział — swego czasu napisałem przemiłe opowiadanko, o treści nasyconej prawdziwym uczuciem i oddaniem, a pewien niewiarygodnie głupi... — Urwał. — Chcesz powiedzieć, że na tej zacofanej kuli szlamu macie redaktorów tego samego pokroju, co my w naszym zaawansowanym świecie?

— Najwyraźniej — powiedziałem. Azazel pokręcił głową.

— Doprawdy, zasadniczo wszystkie inteligentne społeczeństwa są podobne. Możemy się różnić cechami zewnętrznymi, takimi jak budowa biologiczna, kondycja intelektualna, jednakże odnośnie do kwestii zasadniczej — osobowości redaktorów — jesteśmy podobni.

(Tak, stary, wiem, że ty nie masz kłopotów z redaktorami, ale to dlatego, że się płaszczysz).

— Czy jest coś, co mógłbyś zrobić, o Potężna i Uniwersalna Mocy, w celu naprawienia sytuacji? — spytałem.

Azazel zamyślił się.

— Muszę uzyskać wskazówki dotyczące struktury psychicznej jakiegoś konkretnego redaktora. Zakładam, że twój przyjaciel ma — powinieneś wybaczyć wyrażenie — świstek odmowny otrzymany od owego redaktora.

— Jestem o tym przekonany, o Wielki.

— Sformułowania i aura owego świstka dostarczą mi niezbędnych informacji. Lekka korekta tej aury, kropla mleka ludzkiej uprzejmości, odrobina inteligencji, śladowe ilości tolerancji... Nie możemy się spodziewać, że stworzymy z jakiegoś redaktora uosobienie moralności, to pewne, lecz możemy w dostateczny sposób umniejszyć zło...

Cóż, nie zamierzam się brać za bary z technikami Azazela; mogłoby się to zresztą okazać niebezpieczne.

Dość powiedzieć, że zdobyłem wystosowany do profesora Dandera świstek o treści odmownej, a dokonałem tego dzięki sprytnej strategii, która wymagała wyłamania zamka w jego gabinecie i przejrzenia znajdujących się tam dokumentów. Następnie przekonałem go, by raz jeszcze złożył rozprawę w redakcji periodyku, z której to srożej siedziby pochodziło °w pismo.

W rzeczy samej, stary, przekonałem go do zastosowania sztuczki, której niegdyś nauczyłem się od ciebie.

— Dander — powiedziałem — mój przyjacielu, proszę raz jeszcze przesłać artykuł do tego obdarzonego twardym sercem ignoranta i napisać list o następującej treści: „Uwzględniłem wszystkie zmiany sugerowane przez recenzenta. To wprost niewiarygodne, w jakim stopniu wpłynęły one dodatnio na moją rozprawę. Dziękuję serdecznie za okazaną pomoc”.

Dander z początku oponował słabo, wskazując, że nie uwzględnił żadnych zmian i dlatego to oświadczenie nie stanowi obiektywnego opisu rzeczywistego stanu rzeczy. Wyjaśniłem mu jednakże, iż potrzebuje publikacji, a nie odznaki skautowskiej.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem powiedział;

— Ma pan rację. Odznaka skautowska byłaby absolutnie niestosowna, zwłaszcza że nigdy nie przyjęto mnie do skautów. Obląłem oznaczanie drzew.

Artykuł został wysłany i dwa miesiące później opublikowany. Nie masz pojęcia, jaki szczęśliwy był Martinus Augustus Dander. Kupiliśmy w ulicznym barze dość szaszłyków, by napchać żołądki, a potem splukaliśmy je pomarańczowym kruszonem o smaku ptomainy.

(Błagam, przestań kiwać głową, stary, i sięgać po te swoje koszmarne szczotki. Jeszcze nie skończyłem opowieści).

Działo się to tej zimy, którą spędziłem u przyjaciela na wsi; tego samego, którego uczyłem chodzić po śniegu. Jestem przekonany, że opowiedziałem ci tę historię. I dlatego właśnie nie widziałem profesora Dandera przez jakieś trzy, może cztery miesiące.

Niemniej jednak natychmiast po powrocie odszukałem go, byłem bowiem pewien, że

zakończył już wstępne negocjacje z jakąś japońską firmą w sprawie wytwarzania energii z niczego i że aktualnie tarza się w stosach wysokich nominałów. Byłem pewien, że nie będzie skłonny skąpić i że w związku z tym obiad w Burger Kingu mieści się znakomicie w domenie praktycznych możliwości. Przezornie przyniosłem nawet butelkę mojej specjalnej mieszanki keczupowej. Zastałem go w gabinecie, wpatrzonego apatycznie w ścianę. Miał trzydniowy zarost, a jego ubranie wyglądało tak, jakby spał w nim od trzech dni, aczkolwiek sam wyglądał, jakby nie zmrużył oka od czterech. Był to paradoks, którego nie próbowałem rozwikłać.

— Profesorze Dander, co się stało? — spytałem.

Spojrzał na mnie pozbawionymi blasku oczyma. Skupiły się powoli, a po chwili pojawił się w nich wyraz zrozumienia.

— George? — spytał.

— Ten sam — zapewniłem go.

— Nie wyszło, George — powiedział słabo. — Zawiodł mnie pan.

— Ja zawiodłem? W jaki sposób?

— Ten artykuł. Został opublikowany. Wszyscy go przeczytali. Każdy, kto go przeczytał, znalazł w nim inny błąd matematyczny. Pan mnie oszukał, George. Twierdził pan, że rozwiąże mój problem, a nie rozwiązał. Jest tylko jedna rzecz, którą mogę teraz zrobić, George. Podsumowałem rachunek z narożnej stołówki. Jest mi pan winien 116,50 za samą pizzę, George.

(Byłem przerażony. Kiedy znajomy zaczyna sumować rachunki, to kto wie, jak się wszystko skończy? Nawet ty byś się zaniepokoił, mimo kłopotów, jakie masz z sumowaniem).

— Profesorze Dander — powiedziałem. — Ja pana nie oszukałem. Twierdziłem, że dopilnuję, by pański artykuł został opublikowany, i zrobiłem to. Nie obiecywałem nic ponadto. Nigdy mi nie przyszło do głowy, by ręczyć za pańską matematykę. Jak mógł się pan spodziewać, iż będę wiedział, czego jej nie dostaje?

— Jej nic nie brakowało. — Do głosu Dandera zakradła się nuta oburzenia. — Wcale nie brakowało.

— A ci profesorowie, którzy znaleźli błędy?

— Durnie, wszyscy, co do jednego. Nie znają się na matematyce.

— Przecież każdy znalazł inny błąd.

— Właśnie. — Jego głos był teraz prawie normalny, a oczy zaczęły lśnić. — Powinienem był to wcześniej zauważyć. Są niekompetentni. Na pewno są niekompetentni. Gdyby się znali na matematyce, to wszyscy znaleźliby ten sam błąd. Wtedy blask zgasł i Dander znowu popadł w nastrój pesymizmu.

— Ale po co? — spytał. — Oni zniszczyli moją reputację. Stałem się przedmiotem pośmiewiska. Chyba że... chyba że... — Wstał nagle i chwycił mnie za rękę. — Chyba że im udowodnię.

— Co chce im pan udowodnić, profesorze?

— Jak dotąd dysponuję tylko teorią, linią argumentacji, skomplikowanym dowodem

matematycznym. Jest to coś, z czym można polemizować i co prawdopodobnie można obalić. Lecz gdybym rzeczywiście zdołał wytworzyć cząstki i antycząstki... Gdybym mógł je wygenerować w dostatecznych ilościach i uzyskać niemałą ilość energii z niczego...

— Tak, ale czy jest pan w stanie to zrobić?

— Musi być jakiś sposób. Muszę pomyśleć... pomyśleć... — Ukrył głowę w dłoniach. — Myśleć — mruknął. — Myśleć. — Potem spojrział na mnie zmrużonymi oczyma. — Ostatecznie robiono to już przedtem.

— Doprawdy?

— Jak najbardziej. Osiemdziesiąt lat temu jakiś Rosjanin musiał stworzyć metodę uzyskiwania energii z próżni. Einstein opracował teorię kwantów w 1905 roku podczas badań nad efektem fotoelektrycznym, a potem...

Nie będę zaprzeczał, że odniosłem się do tego sceptycznie.

— Jak się nazywał ten Rosjanin?

— A skąd miałbym to wiedzieć? — spytał z oburzeniem Dander. — Ale on musiał wytworzyć masę cząstek tutaj, na Ziemi, i dokładnie taką samą masę antycząstek w przestrzeni poza atmosferą, choćby wyłącznie po to, by dowieść słuszności swej teorii. Tory ich lotu zakrzywiły się ku sobie i ostatecznie przecięły gdzieś w atmosferze. To było w 1908 na Syberii, nad rzeką Tunguzka. Dlatego nazywa się to Epizod Tunguski. Nikt nie potrafił wyjaśnić, co się stało. Obaliło wszystkie drzewa w promieniu czterdziestu kilometrów, a nie znaleziono żadnego krateru. Ale my wiemy, co się stało nieprawdaż? — Mocno podniecony, poderwał się z krzesła. Podskakiwał i zacierał ręce. Owładnięty entuzjazmem, zaczął bredzić: — Ten Rosjanin, ktokolwiek to był, specjalnie przeprowadzał swe eksperymenty w samym sercu Syberii, by uniknąć szkód, i bez wątpienia zginął podczas eksplozji. W dzisiejszych czasach jednakże dysponujemy metodami przeprowadzania eksperymentów za pomocą zdalnych sygnałów radiowych przesyłanych na dużą odległość.

— Dander — powiedziałem raczej zaszokowany. — Z pewnością nie zamierza pan przeprowadzać żadnych poważnych eksperymentów.

— Czyżby? — odparł i w tym momencie w jego oczach rozbłysło najczystsze zło.

Wtedy właśnie naprawdę objawiło się szaleństwo. Mówiłem ci, przypominam, że był szalonym naukowcem.

— Pokażę im — zaskrzeczał. — Pokażę im wszystkim. Zobaczą, czy można uzyskiwać energię z próżni, czy nie. Spowoduję eksplozję, która wstrząśnie Ziemią. Dalej będą się ze mnie śmiali? — Potem nagle napadł na mnie: — Wynoś się stąd! Wynoś się! Wiem bardzo dobrze, że próbujesz ukraść moje pomysły, lecz nie uda ci się. Wydrę ci serce i zetnę je na miazgę. — Chwycił z biurka jakiś przyrząd o ostrych krawędziach i rzucił się na mnie, nie przestając bełkotać.

(Cóż, stary, wiesz, że nie da się o mnie powiedzieć, iż nie wiem, kiedy mnie gdzieś nie chca. Wyszedłem z godnością, z którą tak bardzo mi do twarzy, lekko biegnąc rzecz jasna).

Nigdy więcej nie zobaczyłem Dandera; już nie pracuje w KSNP Flatbush.

I na tym się kończy moja opowieść o szalonym naukowcu.

Wpatrywałem się w twarz George'a, zastygłą w charakterystycznym wyrazie bezczelnej niewinności.

– Kiedy to wszystko się działo, George?

– Kilka lat temu.

– Oczywiście masz kopię rozprawy profesora Dandera?

– Nie, stary, prawdę mówiąc, nie mam.

– Jakąś notę bibliograficzną, chociaż tytuł czasopisma, które ją opublikowało.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie to zostało wydane. Nie interesuję się takimi banałami.

– Nie wierzyłem ci ani przez chwilę, George. Kiedy mówisz mi, że ten twój szalony naukowiec próbuje gdzieś doprowadzić do potężnej kolizji materii i antymaterii, to powiadam ci, cała ta historyjka to nonsens.

– Lepiej nie przestawaj w to wierzyć – odparł spokojnym tonem George – jeżeli chcesz zachować spokojny umysł. Pamiętaj jednak, że gdzieś tam, w jakimś zakątku świata, Dander dwoi się i troi. Z jego ostatnich niespójnych uwag wniosłem, iż planował powtórzyć Epizod Tunguski nad rzeką Potomac. Stwierdził, że oprócz serca Syberii albo może pustyni Gobi, najbardziej zbytecznym miejscem na Ziemi jest Washington D. C. Oczywiście po jego zniszczeniu ci członkowie rządu, którzy pozostaną przy życiu, nabiorą przekonania, że to atak Sowietów, i natychmiast zastosują środki odwetowe, w wyniku czego wojna termonuklearna zniszczy Ziemię. W związku z tym jestem ciekaw, czy pożyczysz mi pięćdziesiąt dolarów do następnego pierwszego, stary cwaniaku?

– Niby dlaczego miałbym?

– Bo jeśli Danderowi się uda, to pieniądze stracą wszelką wartość, więc niczego nie stracisz. Albo ujmując to inaczej, stracisz wszystko, więc na co ci te pięćdziesiąt?

– Tak, lecz jeżeli Danderowi się jednak nie uda?

– Czy wówczas, gdy już się z ulgą przekonasz, że ludzkości nic nie grozi, będziesz taki małostkowy, by poskąpić kilku dolarów?

Dałem mu te pięćdziesiąt.

# Bajka o trzech królewiczach

Pewnego razu żył sobie król o imieniu Hilderyk, który władał małym królestwem znanym pod nazwą Mikrometryka. Nie było ono ani bogate, ani silne, lecz za to szczęśliwe, Hilderyk zaliczał się bowiem do tych dobrych królów, którzy kochają swych poddanych i są przez poddanych kochani.

Ponieważ Mikrometryka była taka mała i biedna, Hilderyk nie próbował podbijać innych królestw. Z tego samego powodu również inne królestwa nie uważały, by ją warto było podbijać. Dlatego właśnie w Mikrometryce żyło się spokojnie i przyjemnie.

Oczywiście królowi Hilderykowi wcale się nie podobało, że jest biedny. Pałac miał całkiem mały, musiał pomagać w ogrodzie, a jego żona, królowa Ermentruda, w kuchni. Byliby przez to wszystko bardzo nieszczęśliwi, gdyby nie jedna rzecz, której mieli w bród — a mianowicie synowie.

Jednego dnia, tak się złożyło, królowa po raz pierwszy powiła potomstwo. Całe królestwo byłoby nadzwyczaj uszczęśliwione, gdyby nie to, że przedobrzyła. Urodziła trojaczki. Trzech chłopców.

— Aj, aj, aj — rzekł pogrążony w zadumie król Hilderyk. — Jak zdecydujemy, który ma wstąpić na tron, skoro to trojaczki?

— Może kiedy nadejdzie czas — odparła królowa Ermentruda, która patrzyła na noworodki z miłością i dumą — będziemy mogli pozwolić, by panowali wszyscy trzej.

Ale król Hilderyk pokręcił głową.

— Nie sędzę, moja miłości. Królestwo swą wielkością ledwie wystarcza dla jednego władcy. Wszystkie królestwa by się śmiały, gdyby Mikrometryka miała trzech władców. A poza tym pomyśl, do czego może dojść, jeśli tych trzech nie będzie się zgadzało? Nasz lud byłby taki nieszczęśliwy pod skłóconymi monarchami.

— No cóż — stwierdziła królowa — zadecydujemy, kiedy dorosną.

Trzech malców wyrosło na wysokich, silnych i przystojnych młodzieńców, a królewska para kochała ich jednako i baczyła, by chłopcy pilnie się uczyli: gdy nadejdzie czas, każdy miał być jak najlepiej przygotowany do roli króla.

Mimo iż wszyscy trzej radzili sobie z nauką znakomicie, niebawem wyszło na jaw, że nie są identycznymi trojczkami. Różnili się znacznie wyglądem i gustami.



Jeden z trzech królewiczów był roślejszy i silniejszy od pozostałych. Zaczęto go nazywać Primusem, co w starożytnym, świętym języku królestwa oznaczało „numer jeden”. Primus, kiedy nie uczestniczył w naukach, ćwiczył i rozwijał mięśnie. Potrafił podnosić duże ciężary, wyginać grube żelazne sztaby i gołymi dłońmi łupać orzechy kokosowe. Wszyscy mieszkańcy królestwa podziwiali jego siłę i uważali, że czuliby się bezpiecznie, gdyby to on właśnie został królem, kiedy nadejdzie czas.

Drugi syn nie był ani tak wysoki, ani tak silny jak królewicz Primus, dlatego więc nazywano go Secundus, co w tymże samym starożytnym, świętym języku oznaczało „numer dwa”.

Nie był tak umięśniony jak królewicz Primus, lecz gdy nie uczestniczył w naukach, ćwiczył się we władaniu orężem. Królewicz Secundus potrafił rzucać włócznią dalej i strzelać z łuku celniej niżli ktokolwiek w królestwie. Nikt nie mógł mu dorównać w walce na miecze, a jazdę konną opanował do perfekcji.

Wszyscy mieszkańcy królestwa podziwiali jego umiejętności i uważali, że czuliby się bezpiecznie, gdyby on też był królem.

Ostatni syn był stosownie wysoki i silny, ale nie tak jak pozostali dwaj bracia, tak więc nazwano go Tertius, co oznaczało „numer trzy”.

Królewicz Tertius uczył się nawet lepiej jeszcze niż jego dwaj bracia, za to nie interesowało go ani podnoszenie ciężarów, ani miotanie oszczepem. Kiedy nie pobierał nauk, pisał wiersze miłosne i śpiewał je wielce przyjemnym głosem. Czytał poza tym dużo książek.

Zamieszkujące królestwo młode damy uważały, że poezja królewicza Tertiusa jest piękna. Wszyscy pozostali jednak nie byli tacy pewni, czy czuliby się bezpieczni, gdyby poeta został ich królem. Cieszyli się, iż mogą wybierać spośród dwóch silniejszych królewiczów.

Na szczęście trzech królewicze odnosili się do siebie całkiem przyjaźnie i postanowili, że nie będą się ani bić, ani kłócić o to, który pewnego dnia zostanie królem. W rzeczy samej kochali ojca i chcieli, by królował jeszcze wiele lat.

— Prawdą jest jednak — rzekł królewicz Primus — że nasz królewski ojciec się starzeje. Musimy podjąć jakąś decyzję. Wszyscy trzech jesteśmy rówieśnikami, nie ma więc sensu wybierać najstarszego. Ale ja jestem najroślejszy i najsilniejszy. Trzeba to rozważyć.

— To prawda — zgodził się królewicz Secundus — lecz ja jestem najbardziej doświadczonym wojownikiem. Nie chciałbym się nad tym rozwodzić, jednak to ważne.

— Uważam — stwierdził królewicz Tertius — iż powinniśmy pozwolić mamie i tacie, by to oni podjęli decyzję.

Królewicz Primus skrzywił się.

— Moim zdaniem nie powinieneś nazywać naszych królewskich rodziców „mamą i tatą”.

— Przecież nimi właśnie są — zdziwił się królewicz Tertius.

— Nie o to idzie — rzekł królewicz Secundus. — Tu trzeba myśleć o ich godności. Jeśli któregoś dnia zostanę królem, to z pewnością będę od was oczekiwał, byście zwracali się do mnie: „mój królewski bracie”. Poczuję się bardzo urażony, jeśli tytułowalibyście mnie „chłopem” albo „starym”.

— Całkiem słusznie — zgodził się król Primus. — Gdybym to ja został królem, gardziłbym mianem „Prymek”.

— W takim razie — rzekł Tertius, który nie lubił się kłócić — może byśmy tak zapytali naszych królewskich rodziców, co powinniśmy zrobić? Ostatecznie są monarchami i powinniśmy być posłuszni ich życzeniom.

— Bardzo dobrze — orzekli dwaj pozostali i wszyscy trzej udali się pospiesznie do sali tronowej.

Król Hilderyk zastanawiał się nad tym. Jako dobry władca chciał uczynić to, co najlepsze dla jego małego państwa. Wcale nie miał pewności, czy temu krajowi będzie dobrze pod panowaniem króla, który jest albo bardzo silny, albo bardzo wojowniczy, albo też niezwykle rozmiłowany w poezji.

Ten kraj, myślał sobie, potrzebuje króla bardzo bogatego, takiego, który będzie potrafił wydawać pieniądze, czyniąc swe państwo szczęśliwszym i lepiej prosperującym.

W końcu westchnął i powiedział:

— Nie znajduję sposobu, by wybrać między wami. Będę musiał wysłać was na trudną i niebezpieczną wyprawę, której celem będzie zdobycie pieniędzy, mnóstwa pieniędzy. Nie chcę, aby wyszło na to, że pieniądze są tak strasznie ważne, ale wiecie, naprawdę bardzo ich potrzebujemy. Dlatego królem zostanie ten, który przywiezie ich najwięcej.

Królowa Ermentruda wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

— Ależ, papciu... (Nigdy nie nazywała go „wasza królewska mość”, chyba że w obecności dworzan, a tych w ich ubogim królestwie nie było wielu). — Papciu — powiedziała — a co będzie, jeżeli naszym królewiczom stanie się coś złego podczas tej wyprawy?

— Możemy tylko mieć nadzieję, że nic im się nie stanie, mateczko, ale widzisz, my naprawdę potrzebujemy pieniędzy, a tak się składa, że cesarz Alemarii, Maksymian, ma ich mnóstwo. Jest prawdopodobnie najbogatszym monarchą na świecie.

— Być może tak jest, mój ojcie królu — rzekł królewicz Primus — lecz cesarz nie da nam pieniędzy tylko dlatego, że o nie poprosimy.

— W ogóle nikt nie da nam pieniędzy tylko dlatego, że o nie poprosimy — stwierdził królewicz Secundus.

— A ja ze swojej strony uważam, że królewicze w ogóle nie powinni prosić o pieniądze — oświadczył królewicz Tertius.

— No cóż, moi królewicze — odparł król — to nie jest kwestia proszenia o pieniądze. Wiedźcie, iż cesarz Maksymian ma córkę o imieniu Meliversa. To jeszcze dziewczynka. — Włożył duże okulary, a z szuflady królewskiego biurka dobył zwój sztywnego pergaminu. — Kurier dostarczył mi tę notę dwa dni temu i od tego czasu zdążyłem ją przestudiować wiele razy. Została wystosowana do wszystkich władców świata i jest to doprawdy uprzejme ze strony cesarza, że pamiętał o mnie, mimo iż jestem królem tak małego i biednego państwa. — Chrząknął. — Jest tu powiedziane — stwierdził, bardzo uważnie przypatrując się pergaminowi — że cesarzówna jest piękna jak dzień, wysoka, wysmukła i doskonale

wykształcona.

— To nieco kłopotliwe, gdy córka władcy jest doskonale wykształcona. Może się okazać zbyt gadatliwa — stwierdził królewicz Primus.

— Przecież wcale nie musimy jej słuchać — dodał królewicz Secundus.

— Mój królewski ojciec — odezwał się królewicz Tertius — co cesarzówna ma wspólnego ze sprawą pozyskania pieniędzy?

— Cóż, moi młodzi królewicze — rzekł król — każdemu, kto jest królewskim synem i kto to udowodni, pokazując świadectwo urodzenia, będzie wolno przedstawić swoje umiejętności. Jeżeli te zachwyca cesarzównę Meliverse do tego stopnia, że zechce poślubić takiego królewicza, wówczas zostanie on mianowany następcą tronu i otrzyma spory majątek. Ostatecznie zostanie cesarzem. Może szczęście sprawi, iż będzie nim jeden z was; po jakimś czasie zostanie również królem tego kraju i dysponując bogactwem cesarstwa, sprawi, iż Mikrometryka stanie się bardzo bogata.

— Cesarzówna Meliversa nie oprze się moim muskułom, mój królewski ojciec — rzekł królewicz Primus.

— Ani mojej jeździe konnej, skoro już o tym mowa — dodał królewicz Secundus.

— Ciekaw jestem, czy ona lubi poezję... — zadumał się królewicz Tertius.

— Jest jednak jeden haczyk — oznajmił król Hilderyk. — Wykształciłem was, chłopcy, w ekonomii, socjologii i innych przedmiotach, które powinien znać król. Meliversa natomiast została wykształcona w dziedzinie czarów. Jeśli jakikolwiek królewicz spróbuje zdobyć jej serce i przegra, ona zamieni go w posąg. Powiedziała, że potrzebuje mnóstwo posągów do ozdobienia alei w swym parku.

— Wiedziałam! — zakrzyknęła królowa Ermentruda i zaczęła łkać.

— Nie płacz, moja królewska matko — powiedział królewicz Tertius, który bardzo ją kochał. — Jestem pewien, że przemienianie królewiczów w posągi nie jest zgodne z prawem.

— Normalnie nie — rzekł król — ale to część umowy. Poza tym trudno się procesować z cesarzówną. Jeżeli więc wy, królewicze, nie zechcecie skorzystać z okazji, to z pewnością nie będę was winił... Chodzi tylko o to, że tak bardzo potrzebujemy pieniędzy.

— Ja się nie boję — oznajmił królewicz Primus. — Ona nie będzie w stanie mi się oprzeć.

— Ani mnie — dorzucił królewicz Secundus. Królewicz Tertius zamyślił się jakby i nie powiedział nic.

Trzej królewicze byli natychmiast gotowi do długiej podróży. Odzienie mieli raczej spłowiałe i niemodne, a wierzchowce stare, lecz na więcej nie było ich stać.

— Żegnajcie, moi królewscy rodzice — powiedział królewicz Primus. — Nie zawiodę was.

— Liczę na to — odparł król Hilderyk bez przekonania, a królowa Ermentruda załkała cicho w tle.

— Ja też was nie zawiodę, moi królewscy rodzice — rzekł królewicz Secundus.

Królewicz Tertius czekał, aż tamci dwaj ruszą w drogę, i wtedy powiedział:

— Do widzenia, mamie i tacie. Zrobię, co będę mógł.

— Do widzenia, synu — odrzekł król Hilderyk ze ściśniętym gardłem.

Królowa Ermentruda uściskała królewicza Tertiusa i ten pogalopował w ślad za braćmi.

Długo trwało, nim trzej bracia dotarli do głównego miasta cesarstwa. Ich konie zmęczyły się do tego czasu, a ubrania mocno zniszczyły. Wydali także wszystkie pieniądze i musieli się zapożyczać w skarbcach królestw, przez które przejeżdżali.

— Na razie — stwierdził ze smutkiem królewicz Tertius — zaciągnęliśmy pokaźny dług, przez co nasze królestwo znalazło się w jeszcze gorszej sytuacji niż kiedykolwiek.

— Kiedy już zdobędę cesarzównę — oświadczył królewicz Primus — spłacę dług po trzykroć.

— Ja go spłacę po pięciokroć — powiedział królewicz Secundus.

— Jeśli którykolwiek z nas zwycięży — stwierdził królewicz Tertius.

— Jak moglibyśmy przegrać? — spytali pospołu Primus i Secundus.

Gdy już przybyli do stolicy, spotkali się z wielce łaskawym przyjęciem. Dano im nowe konie i piękne, nowe odzienie uszyte z najprzedniejszych materii, a następnie zaprowadzono do paradnego apartamentu w największym i najpiękniejszym pałacu, jaki sobie kiedykolwiek wyobrażali. Mnóstwo sług było na każde ich wezwanie, a wszyscy usługiwali im z najwyższą uprzejmością.

Trzej królewicze byli zachwyceni sposobem, w jaki ich potraktowano.

— Cesarz musi wiedzieć, z jak znamienitego rodu pochodzimy — stwierdził królewicz Primus. — Nasi przodkowie zasiadają na królewskim tronie od wielu pokoleń.

— Tak — zgodził się królewicz Tertius — ale wszyscy byli biednymi królami. Ciekaw jestem, czy cesarz Maksymian wie o tym.

— Na pewno — odparł królewicz Secundus. — Cesarze wiedzą wszystko. W przeciwnym razie, jak mogliby być cesarzami?

Akurat w tym momencie młodsza pomocnica starszej pokojówki przygotowywała świeże ręczniki, by królewicze mogli wziąć kąpiel przed wielką ucztą, jaka miała być wydana tego wieczoru.

— Ej, ty! Posługaczko! — zawołał królewicz Primus. Posługaczka zadrżała, gdy przemówił do niej królewicz, i skłoniła się bardzo nisko.

— Tak, wasza wysokość?

— Czy cesarz jest mądrym cesarzem?

— Och, wasza wysokość — odpowiedziała posługaczka — całe cesarstwo dziwuje się jego mądrości.

— Czy zważa na to, czy odwiedzający go królewicze są bogaci lub biedni? — spytał królewicz Secundus.

— Ależ skąd, wasza wysokość — odparła dziewczyna. — Jest tak bogaty, że pieniądze nic dla niego nie znaczą. Przejmuje się jedynie szczęściem swej córki. Jeżeli ona zechce poślubić jakiegoś królewicza, wówczas ten zostanie następcą tronu, nawet jeśli nie posiada ani pensa.

Królewicz Primus z królewiczem Secundusem uśmiechnęli się i skinęli do siebie głowami, jakby chcieli powiedzieć: „Od razu to wiedzieliśmy”.

Królewicz Tertius uśmiechnął się do posługaczki i zapytał:

— A jaka jest cesarzówna, moja miła? Czy równie piękna jak ty?

Służka mocno się zarumieniła i tylko szeroko otworzyła usta. Wyraźnie nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Królewicz Primus odezwał się cicho do brata:

— Nie nazywaj jej „moją miłą”. Służące płoszą się, jeżeli jakiś królewicz je tak tytułuje.

Królewicz Secundus przemówił do brata jeszcze ciszej:

— Jak posługaczka może być piękna? Posługaczka to tylko posługaczka.

— Ja jednak chciałbym poznać odpowiedź na moje pytanie — nalegał królewicz Tertius.

Posługaczka, która rzeczywiście była całkiem ładna, mimo iż była jedynie posługaczką (czego, niestety, większość królewiczów nie zauważała), odparła:

— Wasza królewska mość raczy żartować. Cesarzówna jest wyższa ode mnie i o wiele piękniejsza. Jest piękna jak słońce.

— Ach — rozmarzył się królewicz Primus. — Bogata cesarzówna, która jest piękna jak słońce, to ktoś godny zainteresowania.

— Byłoby nawet przyjemnie mieć taką bogatą cesarzównę w swoim pałacu — dodał królewicz Secundus.

— Skoro jest tak piękna jak słońce, to może oślepić człowieka, gdy ten na nią spojrzy — stwierdził królewicz Tertius.

— Ale jest wyniosła — dodała posługaczka.

— Posługaczka nie powinna się odzywać nieproszona — skarcił ją natychmiast królewicz Primus.

— Oto do czego prowadzi tytułowanie posługaczek „moja miła” — dodał surowym tonem królewicz Secundus.

Ale królewicz Tertius nie dał za wygraną.

— Czy bardzo jest wyniosła, moja miła?

— Bardzo, wasza wysokość — odrzekła posługaczka, trzęsąc się pod wpływem wyniosłych spojrzeń pozostałych dwóch braci. — Wielu królewiczów starało się dotąd o jej rękę, lecz ona nie chciała żadnego.

— To oczywiste — stwierdził królewicz Primus. — Byli zapewne miernotami, które nie mogły zgiąć żelaznej sztaby nawet o cal. Czemuż miałyby się nimi interesować?

— Zapewne — stwierdził królewicz Secundus — nie potrafili nawet udźwignąć miecza, nie mówiąc już o walce. Nie zdołałyby się nimi zainteresować.

— Być może — rzekł królewicz Tertius — powinniśmy spytać posługaczkę, co się stało z królewiczami, którzy się nie spodobali cesarzównie.

Posługaczka spuściła oczy i ze smutkiem w głosie odparła:

— Wszyscy zostali przemienieni w posągi, wasza wysokość. W piękne posągi, wszyscy bowiem byli młodzi i przystojni.

Królewicz Tertius pokiwał głową.

— Miałem nadzieję, że cesarz tylko żartował, ale najwyraźniej w pergaminie napisał samą prawdę. Czy tych posągów jest wiele?

— Około tuzina po każdej stronie ogrodowej ścieżki, którą cesarzówna przechadza się co rano, wasza wysokość. Nigdy na nie nie spogląda, ponieważ jest równie twardego serca, jak wielkiej piękności.

— Phi — skwitował to królewicz Primus. — Fakt, że ma twarde serce, nie ma znaczenia, dopóki jest bogata. A także piękna, ma się rozumieć. Ja zmiękczę jej serce... Możesz już odejść, posługaczko.

Posługaczka pokłoniła się głęboko i wyszła z komnaty tyłem, byłoby bowiem bardzo nieuprzejme z jej strony, gdyby odwróciła się plecami do trzech królewiczów.

Tamtego wieczoru urządzono wystawną ucztę i trzech królewicze uczestniczyli w niej jako goście honorowi.

Powitał ich cesarz, usadowiony na wspaniałym tronie u szczytu stołu. Po jego prawicy siedziała cesarzówna Meliversa. Zaiste, była piękna jak słońce. Jej włosy były długie, barwy pszenicy, oczy zaś tak niebieskie, że wszystkim przywodziły na myśl niebo w pogodny, wiosenny dzień. Jej rysy były idealnie regularne, a cera bez skazy.

Oczy jednak miała puste, twarz zaś pozbawioną wyrazu.

Nie uśmiechnęła się, gdy przedstawiono jej królewicza Primusa. Spojrzała na niego wyniośle i zapytała:

— Z jakiego królestwa pochodzisz?

— Przybywam z Mikrometryki, wasza cesarska wysokość.

Na co cesarzówna odparła z pogardą:

— Znam wszystkie królestwa na świecie i Mikrometryka jest wśród nich najmniejsza. — I odwróciła od niego wzrok.

Królewicz Primus cofnął się i zasiadł do stołu.

— Zainteresuje się, kiedy jej pokażę, na co mnie stać — szepnął do królewicza Tertiusa.

Kiedy przedstawiono jej królewicza Secundusa, powiedziała:

— Domyślam się, że ty pewnie też pochodzisz z Mikrometryki.

— Tak, wasza cesarska mość. Królewicz Primus to mój brat.

— Mikrometryka jest także najuboższym królestwem na całym świecie. Jeżeli ty i twój brat jesteście zmuszeni dzielić do spółki jej majątek, to doprawdy musicie być biedni. — I odwróciła od niego wzrok.

Królewicz Secundus cofnął się i zajął swoje miejsce przy stole.

— Zapomni o naszej biedzie, kiedy jej pokażę, co potrafię — szepnął do królewicza Tertiusa.

Kiedy przedstawiono jej królewicza Tertiusa, zapytała:

— Jeszcze jeden z Mikrometryki?

— Jesteśmy trojczkami, wasza cesarska wysokość — rzekł królewicz Tertius — lecz nie identycznymi. I to, co mamy, dzielimy między siebie.

— Przecież wy nie macie się czym dzielić.

— Nie mamy ani pieniędzy, ani władzy — odparł królewicz Tertius — ale my i nasze

królestwo jesteście szczęśliwi. A szczęście pomnaża się, jeśli się je dzieli z innymi.

— Nie zauważyłam tego — stwierdziła cesarzówna i odwróciła od niego wzrok.

Królewicz Tertius cofnął się i zasiadł do stołu.

— Jest bogata, a nasz kraj potrzebuje pieniędzy. Lecz jej uroda jest zimna jak lód, a bogactwo wcale jej nie uszczęśliwia — szepnął do swych braci.

Następnego ranka królewicz Primus przygotował się do zademonstrowania swych umiejętności przed cesarzówną. Ubrał się w piękne, dostarczone przez cesarza szorty atlety i napiął przed lustrem swoje wspaniałe mięśnie. Bardzo był zadowolony ze swego wyglądu.

W tym momencie jednakże rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i kiedy królewicz Primus zawołał „Wejść”, w komnacie pojawiła się młodsza pomocnica starszej pokojówki z misą pełną jabłek.

— A to co? — spytał rozdrażnionym tonem królewicz Primus.

— Pomyślałam, że może miałbyś chęć trochę się pokrzepić, zanim podejmiesz swe zmagania, wasza wysokość — odparła posługaczka.

— Nonsens — powiedział królewicz Primus. — Krzepy mam tyle, ile trzeba. Zabierz te głupie jabłka.

— Mam także wątpliwości, wasza wysokość — rzekła posługaczka, czerwieniąc się z powodu swej śmiałości — czy w ogóle powinieneś przyjmować to wyzwanie.

— Dlaczego nie? — spytał królewicz Primus, naprężając ramiona i uśmiechając się do siebie w lustrze. — Uważasz, że nie jestem dość męski?

— Jesteś z pewnością dostatecznie męski dla każdego na świecie z wyjątkiem cesarzówny — odparła posługaczka. — Ją tak trudno czymś zachwycić i byłaby to wielka szkoda, gdyby taki wspaniały królewicz jak wasza wysokość miał zostać przemieniony w marmurowy posąg.

Królewicz Primus zaśmiał się wzgardliwie.

— To niemożliwe, aby aż do tego stopnia trudno było ją zachwycić i abym ja tego nie dokonał. I w ogóle dość tego gadania. Wolno ci mówić tylko wtedy, kiedy ci się każe, posługaczko. Zabieraj się stąd, natychmiast!

I posługaczka wyszła natychmiast, pokłoniwszy się przedtem.

Królewicz Primus wyszedł na wielką arenę. Otaczały ją trybuny nakryte pięknym baldachimem z jedwabiu. Cesarz siedział na samym środku, a po jego prawej ręce spoczywała cesarzówna Meliversa. Na trybunach zgromadzili się także dworscy oficjele oraz wielu młodych dżentelmenów i dam. W jednym rogu zasiedli królewicz Secundus i królewicz Tertius.

Królewicz Primus stanął twarzą do widzów; wokół niego piętrzyły się niezbędne sprzęty.

Na początek odwrócił się w stronę wielkiej sterty sztang. Lżejsze spośród nich odrzucił bez trudu na bok, nawet te, z których podniesieniem zwyczajny człowiek miałby kłopot.

Następnie jął dźwigać te cięższe, chwytając je obiema dłońmi i zarzucając sobie na kark, a potem nieco wolniej unosząc je nad głowę.

Wszyscy dworzanie zaczęli gromko klaskać, kiedy udało mu się podźwignąć największy z dostarczonych ciężarów. Nie znano dotąd człowieka, który by go podniósł.

Na koniec wygiął żelazną sztabę, umieściwszy ją sobie na karku i pociągając za jej końce tak, że zetknęły się przed jego twarzą. Potem na powrót ją rozprostował, uniósł w górę i odrzucił na bok.

Cokolwiek zrobił, otrzymywał od dworzan kolejne owacje. Nawet cesarz z aprobatą skinął głową. Tylko cesarzówna nie klaskała ani też nie skinęła głową.

Cesarz nachylił się w stronę córki i powiedział:

— Doprawdy, moja droga, ten królewicz jest chyba najsilniejszym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem. Byłby znakomitym następcą tronu.

Na co cesarzówna odparła zimnym tonem:

— Byłby znakomitym cyrkowym siłaczem, mój cesarski ojciec, ale zupełnie się nie nadaje na małżonka. Pomijając wszystko, czy ja trzymam w swej komnacie komplet ciężarów albo żelazne sztaby, które trzeba wyginać? Szybko bym się znużyła patrzeniem, jak napina ramiona, a gdyby spróbował mnie objąć, zapewne połamałby mi żebra. — Powstała i natychmiast wszyscy ucichli. — Jesteś najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziałam — oświadczyła — i dziękuję ci za to, żeś się starał mnie zachwycić. Niemniej jednak nie jest moim życzeniem mieć cię za męża.

Znasz karę.

Wykonała magiczny gest rękoma (była bowiem naprawdę bardzo wykształconą cesarzówną) i błysnęło jaskrawe światło. Dworzanie zakryli oczy, wiedzieli bowiem z góry, czego się spodziewać, lecz królewicz Secundus i królewicz Tertius nie byli przygotowani, toteż błysk oślepił ich na moment.

Kiedy odzyskali wzrok, zobaczyli posąg, który właśnie ładowano na furę; miał zostać przewieziony do alejki w ogrodzie, po której cesarzówna odbywała swe poranne przechadzki.

Był to posąg królewicza Primusa; przystojny i dumny, prężył się sztywno z założonymi na piersi rękoma.

Królewicz Tertius był smutny tamtego wieczoru. Nigdy przedtem nie stracił brata i stwierdził, że wcale mu się to nie podoba.

— Moim zdaniem, naszemu królewskiemu ojcu też się to nie spodoba — rzekł do królewicza Secundusa. — A co się tyczy naszej królewskiej matki, ona nie ścierpi tego. Jak my im o tym powiemy?

— Kiedy już zdobędę rękę cesarzówny — odparł królewicz Secundus — to być może namówię ją jakoś, by znalazła sposób na odzyskanie naszego królewskiego brata. Ostatecznie ktoś tak wykształcony jak ona powinien coś wymyślić.

— Ale jak zdobędziesz jej rękę? Ona zdaje się mieć serce z kamienia. Z lodowatego kamienia.

— To nic trudnego — odrzekł królewicz Secundus. — Tu idzie tylko o to, że ona nie zainteresowała się bezużyteczną siłą i mięśniami. Co dobrego wynika z podnoszenia



ciężarów? Ja dla odmiany jestem wojownikiem. Potrafię się bić i posługiwać bronią. To są pożyteczne zajęcia.

— Mam taką nadzieję — powiedział królewicz Tertius — narażasz się jednak na wielkie ryzyko. No, ale cesarzówna jest bogata, a my potrzebujemy pieniędzy.

Następnego ranka królewicz Secundus stroił się właśnie w lśniącą zbroję, kiedy do komnaty weszła młodsza pomocnica starszej pokojówki, niosąc ogromny miecz. Zgięła się wzdłuż pod jego ciężarem, a gdy spróbowała oddać pokłon, wypadł jej z rąk, robiąc potworny hałas.

— Jesteś okropnie niezdarna — rzekł z irytacją królewicz Secundus.

— Proszę o wybaczenie, wasza wysokość — przeprosiła pokornie, jeszcze raz się kłaniając — ale czy naprawdę zamierzasz przyjąć to wyzwanie?

— To oczywiste, lecz co cię to obchodzi, posługaczko?

— Ależ nic, wasza wysokość — przyznała posługaczka — jednak cesarzówna ma takie twarde serce i tak trudno ją czymś zachwycić. Nie chcę, by przemieniła cię w posąg tak jak twojego brata.

— Nie zostanę zamieniony w posąg — oświadczył królewicz Secundus — ponieważ cesarzówna będzie mną zafascynowana. A teraz, posługaczko, natychmiast zejź mi z oczu. Nie mogę znieść kogoś równie impertynenckiego jak ty.

Posługaczka dygnęła i wyszła.

Królewicz Secundus wyszedł na arenę i natychmiast został nagrodzony brawami przez wszystkich dworzan. Zbroja, którą ofiarował mu cesarz, była piękna, lśniąca i znakomicie na niego pasowała. Tarczę miał barwy czystej bieli, miecz wykuty z najlepszej stali, włócznię znakomicie wyważoną, hełm zaś zakrywał mu twarz, nadając zapalczego wyglądu.

Najpierw cisnął włócznię, która przeleciała przez całą arenę i wbiła się w sam środek tarczy.

Następnie rzucił wyzwanie: każdy, kto chciał, mógł stanąć z nim do walki na miecze. Na arenę wyszedł jakiś rosy mężczyzna w zbroi i obaj długo walczyli, głośno uderzając mieczami o tarcze. Jednak królewicz Secundus potrafił odpowiedzieć dwoma ciosami na każdy zadany mu przez przeciwnika, a poza tym w miarę, jak tamten się coraz bardziej męczył, królewicz Secundus zdawał się nabierać sił. Niebawem przeciwnik podniósł rękę na znak, że się poddaje, i królewicz Secundus został zwycięzcą. Aplauz był ogłuszający. Na koniec królewicz Secundus zdjął hełm oraz zbroję i dosiadł konia. Posługując się tylko jedną ręką, perfekcyjnie kierował rumakiem, zmuszając go do stawania na tylnych kończynach, wierzgania i płaśów. Było to niezwykle widowisko i widownia całkiem oszalała.

— Doprawdy, moja droga — rzekł cesarz, nachyliwszy się w stronę córki — ten królewicz jest znakomitym wojownikiem. Mógłby poprowadzić moje wojska do bitwy i pokonać wszystkich wrogów. Na pewno cię zachwycił.

Oblicze cesarzówny pozostało chłodne.

— Może byłby z niego wspaniały generał — powiedziała — gdyby również wiedział, jak dowodzić armią, ale na co by mi się zdał jako mąż? W mojej komnacie nie ma uzbrojonych mężczyzn, z którymi mógłby walczyć, nie ma koni, na których mógłby jeździć, żadnych celów, do których mógłby mierzyć. Jeszcze by się zapomniał i rzucił we mnie włócznią, broń bowiem to jego największa miłość i jedyny talent. — Podniosła się z miejsca i wszyscy natychmiast ucichli. — Książę Secundusie, jesteś najwybitniejszym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek widziałam — powiedziała. — Dziękuję, że usiłowałeś mnie zachwycić. Niemniej jednak nie jest moim życzeniem mieć cię za męża. Znasz karę.

Wykonała ten sam magiczny gest co przedtem. Tym razem królewicz Tertius wiedział, że powinien zakryć oczy. Kiedy odjął rękę, zobaczył jeszcze jeden posąg: pełnego wdzięku, przystojnego królewicza z jedną ręką uniesioną, jakby właśnie cisnął włócznią. Królewicz Tertius miał świadomość, że stracił drugiego brata.

Następnego dnia królewicz Tertius siedział samotnie w apartamencie. Nie spał całą noc i prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, co powinien zrobić.

— Jeżeli pojedę do domu, wszyscy orzekną, że jestem tchórzem — powiedział do siebie. — A poza tym, jak mógłbym jechać teraz do domu i przekazać wieści tacie? A biedna mama zapłacze się chyba na śmierć. Jeśli zaś idzie o mnie, to straciłem dwóch braci, którzy byli dla mnie dobrzy, nawet jeśli nieco zarozumiali i tępi.

I w tym momencie do komnaty wsunęła się ukradkiem młodsza pomocnica starszej pokojówki. Tym razem nie miała nic w rękach.

— Czy przyniosłaś mi coś, moja miła? — spytał królewicz Tertius.

Pokłoniła się bardzo nerwowo i powiedziała:

— Nie, wasza wysokość. Nie bądź na mnie zły, przyszłam bowiem jedynie po to, by ci powiedzieć, że prosiłam obu twych braci, by nie przyjmowali tego wyzwania, ale oni nie posłuchali.

Królewicz Tertius westchnął.

— Obaj byli bardzo uparci, wiem. Nie powinnaś się obwiniać za to, że cię nie posłuchali. I z pewnością nie jestem na ciebie zły.

— Czy w takim razie ty, wasza wysokość, posłuchasz, jeśli cię poproszę, byś nie przyjmował tego wyzwania? Nie jesteś ani wielkim siłaczem, ani wielkim wojownikiem. Jakim sposobem miałbyś zdobyć zimną, twardą cesarzównę, skoro twoim braciom się to nie udało?

— Wiem, że potrafię jedynie tworzyć mierną poezję i trochę śpiewać, lecz może cesarzównie by się to spodobało.

— Bardzo trudno ją czymś zachwycić, wasza wysokość — odparła posługaczka i wzdrygnęła się, że oto ma czelność spierać się z królewiczem. — Jeśli i ty zostaniesz przemieniony w posąg, wówczas twoim rodzicom nie zostanie już ani jeden syn i nie będą mieli spadkobiercy.

Królewicz Tertius ponownie westchnął.

– Niestety nie mylisz się, mała posługaczko. Czułe masz serce i przenikliwy umysł. Ale widzisz, nasze królestwo jest takie biedne, że aż tato musi pomagać w ogrodzie, a mama w kuchni. Gdybym poślubił cesarzównę, wówczas byłbym tak bogaty, że uszczęśliwiłbym mamę, tatę i całe królestwo... Myślę więc, iż muszę spróbować zachwycić cesarzównę. Może byłaby zadowolona, gdybym odśpiewał jej najlepiej jak umiem swoje najlepsze wiersze.

Po policzkach posługaczki pociekły łzy.

– Och, jakżebym chciała, byś ją zachwycił, ale ona ma takie twarde serce. Gdyby tylko miała moje, byłoby inaczej.

– No cóż, moja miła – odparł królewicz Tertius – pozwól, że poddam tve serce sprawdzianowi. Odśpiewam ci kilka moich pieśni, a ty mi powiesz, czy ci się podobają. Jeśli tak, to może również spodobają się cesarzównie.

Posługaczka przeraziła się.

– Jakże to, wasza wysokość? Nie wolno ci tego czynić. Swe pieśni powinieneś śpiewać księżniczkom, nie prostej posługaczce. Jak możesz ocenić cesarzównę za pośrednictwem posługaczki?

– W takim razie – rzekł królewicz Tertius – zapomnijmy o cesarzównie. Zapytam posługaczkę, co myśli o mojej poezji.

Królewicz Tertius nastroił lirę, jego własną lirę, którą przywiózł tutaj ze sobą, po czym bardzo łagodnym i melodyjnym głosem odśpiewał smutną pieśń o odrzuconej miłości. A kiedy posługaczka nieomalże roztopiła się we łzach smutku, wykonał wesołą pieśń o szczęśliwej miłości. Łzy wyschły; dziewczyna zaczęła klaskać i głośno się śmiać.

– Podobało ci się? – spytał królewicz Tertius.

– O tak – odparła posługaczka. – Pieśni były bardzo piękne, a twój głos sprawił, że czułam się jak w niebie.

Królewicz Tertius uśmiechnął się.

– Dziękuję ci, moja pani. – Pochylił się i pocałował ją w rękę; posługaczka poczerwieniała z zażenowania i szybko schowała dłoń za plecami.

Ale w tym właśnie momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi i do komnaty wszedł szambelan, wysoki urzędnik dworski. Skłonił się głęboko (ale nie za bardzo) przed królewiczem Tertiusiem i powiedział:

– Wasza wysokość, cesarzówna Meliversa chce wiedzieć, dlaczego nie stawieś się na arenie.

Mówiąc to, popatrzył twardo na młodszą pomocnicę starszej pokojówki i przerażona młoda kobieta prędko wyszła z komnaty.

– Nie wiem jeszcze, czy przyjmę to wyzwanie – oznajmił królewicz Tertius. – Zastanawiam się.

Szambelan ukłonił się jeszcze mniej głęboko niż przedtem i odrzekł:

– Przekażę cesarzównie to, co powiedziałeś. Pozostań, proszę, w tej komnacie, dopóki ona nie zadecyduje, co należy zrobić.

Królewicz Tertius czekał w komnacie i zastanawiał się, czy cesarzówna nie przemieni go przypadkiem w posąg za to, że zwleka z przyjęciem wyzwania.

Wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy do komnaty weszła Meliversa. Nie zapukała. Cesarzówny nigdy nie pukają.

— Mój szambelan mówi mi, że możesz nie przyjąć wyzwania.

— Waszej cesarskiej mości moja poezja albo mój głos mogą się nie spodobać. A to jest wszystko, co mam do zaoferowania.

— A jeśli mi się spodobają, to co wtedy?

— Odpowiem na to, że wcale nie jestem pewien, czy chcę mieć za żonę kogoś tak zimnego i nieczułego, iż jest skłonny przemieniać dzielnych i szlachetnych królewiczów w posągi.

— Czy ja nie jestem piękna, królewiczu?

— To powierzchowne piękno, cesarzówno.

— Czy ja nie jestem bogata, królewiczu?

— Masz tylko pieniądze, cesarzówno.

— Czy ty nie jesteś biedny, królewiczu?

— Brak mi jedynie pieniędzy, cesarzówno, i jestem do tego przyzwyczajony, tak samo jak moi rodzice i moje królestwo.

— Czy nie chciałbyś zostać bogaty, królewiczu, przez ożenek ze mną?

— Chyba nie, cesarzówno. Ostatecznie, nie jestem na sprzedaż.

— A jednak mój szambelan słyszał przez drzwi, jak śpiewałeś nisko urodzonej posługaczce.

— To prawda, ale posługaczka ma czułe i kochające serce, więc chciałem dla niej zaśpiewać. Czułe i kochające serce to ostatecznie cała uroda i bogactwo, jakich pragnę. Jeśli ona mnie zechce, to się z nią ożenię i któregoś dnia, kiedy zastąpię swojego ojca na królewskim tronie, nisko urodzona posługaczka będzie moją królową.

Usłyszawszy to, cesarzówna się uśmiechnęła. Kiedy się uśmiechała, była jeszcze piękniejsza.

— A teraz — powiedziała — zobaczysz, jakie są pożytki z dobrego wykształcenia.

Wykonała ręką jakiś ruch, wymruczała dwa, może trzy słowa i w tym momencie jej postać stała się jakby mglista, nieco się skurczyła, trochę zmieniła — i królewicz Tertius stwierdził, że patrzy na młodszą pomocnicę starszej pokojówki.

— Kim ty jesteś, cesarzówna czy posługaczka? — spytał zdumiony.

— Jestem nimi obydwoma, królewiczu Tertusie — odparła. — To właśnie w postaci posługaczki zabrałam się do szukania odpowiedniego męża dla siebie. Na cóż mogło mi się przydać to, co potrafili zrobić królewicze, by zdobyć rękę pięknej i bogatej cesarzówny, nie zważając na to, że jest zimna i okrutna. Ja chciałam kogoś, kto będzie miły i kochający dla delikatnej, dobrej dziewczyny, nawet jeśli ta nie jest ani piękna jak słońce, ani bogata. Zdałeś ten sprawdzian. — Znowu się zmieniła, stając się na powrót cesarzówną, ale tym razem uśmiechniętą i pełną ciepła. — Czy teraz pojdziesz mnie za żonę, królewiczu Tertusie?

A królewicz Tertius odrzekł:

— Jeżeli obiecasz, że na zawsze pozostaniesz w sercu tą delikatną, kochającą kobietą, którą pokochałem, to ożenię się z tobą.

I po tych słowach wszyscy królewicze, którzy zostali przemienieni w posagi, nagle odzyskali swe ciepłe ciała.

Królewicz Tertius i cesarzówna Meliversa pobrali się dwa miesiące później, po tym jak najszybszymi dylizansami przywieziono do stolicy króla i królową Mikrometryki. Nie sposób sobie wyobrazić, jacy byli szczęśliwi.

Królewicz Primus i królewicz Secundus także byli szczęśliwi, znowu bowiem żyli, zamiast być zamienionymi w zimny kamień posągami. Stale powtarzali:

— Posługaczka? W życiu by nam to nie przyszło do głowy!

Naturalnie królewicz Tertius również był szczęśliwy, ale najszczęśliwsza ze wszystkich była cesarzówna. Ostatecznie bała się przecież, że nawet mimo swego wykształcenia nigdy nie znajdzie nikogo, kto odwróci się od jej urody i bogactwa, a pokochają za nią samą.

# Marsz na wroga

— Przyznaj się, George, czyś ty kiedykolwiek myślał o zdobyciu jakiejś pracy? — spytałem.

Byliśmy już po kolacji; szliśmy teraz skrajem spowitego w łagodny zmierzch parku. Zadałem to pytanie na próżno. Wiedziałem, że nigdy o tym nie myślał.

A mimo to George się wzdrygnął i wyraz nieokreślonego przerażenia przemknął mu przez twarz, jakby nagle się zorientował, że stoi nad kłębowskiem węży.

— To nie uchodzi — powiedział głuchym głosem — wypytywać o coś takiego dżentelmena, który dzielnie trawi raczej mało wykwinną kolację.

— A to czemu? — Dostatecznie mnie zirytował opisem sutego posiłku, który mu zafundowałem, by drażnić temat. — Niezliczone miliony istnień ludzkich pracują na życie.

— O tak — zgodził się George. — Tak to właśnie jest. No i co z tego? Ja uważam, że mam całkowite prawo nie zaliczać się do ich grona. — Westchnienie, które z siebie wydał, zdawało się pochodzić z najgłębszych otchłani jego jestestwa. — Czy opowiadałem ci już historię Cuthberta Cantripa Cullodena?

— Nie, George, nie opowiadałeś i jestem ci za to wdzięczny — Naprawdę bardzo ci dziękuję.

George usadowił się na parkowej ławce, zwolnionej właśnie przez nowojorskiego dżentelmena hipisowskiej proveniencji, i zaczął:

— Opowiem ci teraz historię Cuthberta Cantripa Cullodena.

Zdjęty rozpaczą, starałem się jakoś ratować.

— Culloden — powiedziałem — to interesujące imię. Podczas bitwy pod Culloden\* w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku...

Podczas studiów Cuthbert Cantrip Culloden (powiedział George) i ja byliśmy w jednej grupie. Nie zaliczał się do osób wybitnie lotnych i niejedno z jego imion dawało się łatwo skracać, tworząc nieformalny przydomek. Żadną miarą rzecz jasna nie mogliśmy nazywać go Kupa, Koń, Kant, Klop albo Lody, dlatego więc...

To prawda, teraz, gdy o tym wspominasz, widzę, iż mogliśmy wołać na niego Bert, ale nigdy na to nie wpadliśmy. Między innymi również dlatego, że znalazłem lepsze rozwiązanie

problemu. Nazwałem go Kundel, które to przezwisko, dzięki temu, że nieźle przypominało jego imię, zostało natychmiast przez wszystkich bez wyjątku przyjęte.

Wydaje się, że zrodziło to w nim poczucie niejakiej wdzięczności. W każdym razie sam w rewanżu nadawał mi najrozmaitsze przydomki.

Takie sprawy budują więzi przyjaźni, rozumiesz chyba, i przez wszystkie lata na uniwersytecie byliśmy sobie bliscy. A po uzyskaniu dyplomów przysięgliśmy sobie, że niezależnie od tego, jak potoczą się nasze losy, pozostaniemy przyjaciółmi i że choćby nie wiadomo co, w rocznicę otrzymania dyplomów spotkamy się obaj i wypijemy za dawną przyjaźń.

Co masz na myśli, pytając, czy to zrobiłem? Niezależnie od wszystkiego, stary. Ani razu nie zawiodłem. I wierz mi, on też ani razu nie zawiódł. Ach, te studenckie czasy...

Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy któregoś dnia, piętnaście lat po ukończeniu studiów, napotkałem starego Kundla w pewnym barze, do którego zwyczajowo uczęszczałem. Spotkanie było opatrnościowe, ponieważ akurat zaangażowałem się w pewien zawiślany układ finansowy, z powodu którego nie mogłem zaciągnąć kredytu na jeszcze jednego drinka. Nagle poczułem, że obejmuje mnie czyjeś ramię, i usłyszałem głos szepczący mi do ucha: — Ja stawiam, stary byku. I to był Kundel.

Nie mogłem liczyć na nic przyjemniejszego niżli jego uprzejma propozycja i bezzwłocznie zatopiliśmy się we wspomnieniach będących zmorą i postrachem spotkań po latach ze szkolnymi kolegami. Wywlekał nazwiska i zdarzenia, których wolałem nie pamiętać, toteż sam ze swej strony zadbałem o to, by robić to samo z nim. I cały czas obserwowałem go uważnie.

W czasach uniwersyteckich Kundel nie rokował żadnych nadziei na to, iż kiedykolwiek mu się powiedzie, chyba że spotka jakąś kobietę o dostatecznie nieokreślonym wieku i wyglądzie, za to o adekwatnie określonym majątku. Niemniej jednak już kilka zadanych zdawkowo pytań przekonało mnie, że tego typu chwalebne starania nie zostały w jego wypadku, podobnie zresztą jak i w moim, uwieńczone sukcesem. A mimo to otaczała go jakaś bliżej nie określona aura dobrobytu. To, że zapłacił za kilka drinków, jeszcze nic nie oznacza, każdy bowiem w jakimś szczególnym momencie życia może mieć trochę grosza w kieszeni. Kundel emanował raczej pewnością siebie płynącą z faktu, iż dysponuje bardziej niż wystarczającymi zapasami gotówki.

Trudno w to było uwierzyć, ale czułem, że mam rację.

— Kundel — powiedziałem z pewną zgrozą i wstrętem w głosie — czy to aby możliwe, iż ty masz pracę?

Kundel miał dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić, lecz ostatecznie był człowiekiem, który nie skłamał bez dobrego czy w każdym razie uzasadnionego powodu.

— To prawda, George — przyznał. — Masz pracę. — Jego rumieniec pogłębił się. — W rzeczy samej, George, jestem wiceprezesem.

Wytrzeszczyłem oczy z niedowierzaniem.

— Czego?

– Jestem wiceprezesem do spraw kolektywnego entuzjazmu w B&G.

– Co to jest B&G?

Kundel wyjaśnił, jednak wciąż trudno było mi w to uwierzyć.

– Chcesz mi powiedzieć, że B&G to skrót od „Punk i Apacz?”

– Ależ skąd – odparł z irytacją. – Przeszyszałeś się, George. Widzę, że nie na darmo nazywaliśmy cię Drewniane Ucho. To firma założona przez Morrisa U. Bunque’a i Charlesa F. Gabbage’a. Bunque to nazwisko starego angielskiego rodu, wywodzące się z dawnego, teutońskiego słowa, które oznacza umiejętności krasomówcze. Gabbage to dla odmiany wyraz pochodzenia holenderskiego, stosowany w pewnym regionalnym dialekcie na oznaczenie bogatej mieszanki użyźniającej glebę. Z jakiegoś powodu jednakże firma jest zdania, iż nazwa „Bunque i Gabbage” prowadzi do nieporozumień, w związku z czym powszechnie używa się terminu

– Bardzo rozsądnie – stwierdziłem. – A jakąż to działalność prowadzi B&G?

– I tu mnie dopadłeś, George – odparł Kundel. – Nie mam pojęcia. To nie mój dział. Ja się zajmuję wyłącznie kolektywnym entuzjazmem. – Był tak uprzejmy, że zamówił po jeszcze jednym drinku dla nas obu, i dodał: – Pozwól, bym ci wytłumaczył, na czym polega kolektywny entuzjazm, George, bowiem w swym błogim stanie braku zatrudnienia być może nie masz pojęcia o zawiłościach nowoczesnego biznesu.

– Istotnie, nie mam – przyznałem, tłumiąc lekki dreszcz.

– Najgorszym problemem, przed którym w dzisiejszych czasach stają duże firmy, jest brak lojalności pracowników. Ty być może uważasz, że przeciętny pracownik bardzo pragnie, by przedsiębiorstwo, w którym pracuje, odnosiło sukcesy, ale tak niestety nie jest. Przeciętny pracownik – i tu Kundel zaczął odginać palce – żąda regularnych podwyżek płac, bezpieczeństwa pracy, ubezpieczenia zdrowotnego, długich płatnych urlopów i różnych innych klauzul wżerających się mocno w pozyskiwane przez Bunque’a i Gabbage’a zyski.

Kiedy wyjaśnia się rzeczonym pracownikom, iż wszystkie te żądania nadwreżyłyby wielkie roczne pensje wypłacane Bunque’owi, Gabbage’owi i kilku ich krewnym; że prywatne kursy golfa i jachty są kosztowne i że nie można ich brać, jeśli się marnuje pieniądze na pracowników, wówczas rodzi się paskudny duch braku satysfakcji, zatruwający serca Bunque’a i Gabbage’a.

Postanowili zatem kultywować w B&G ducha dumy, uczucie ekscytacji płynące z tego, że pracuje się dla tak wielkiej firmy, wobec którego to uczucia zarzucone zostaną wszelkie małostkowe rozważania nad systemem płac. Pamiętasz chyba drużynę futbolową z naszego uniwerku.

– Bardzo dobrze – odparłem.

– I przypominasz sobie, jacy byliśmy z niej dumni? Nikt nam nie musiał płacić, żebyśmy byli dumni. Pieniędzmi byśmy pogardzili – chyba że byłoby ich dość dużo. Przypomnij sobie, co się działo, kiedy drużyna rzeczywiście wygrała mecz.

– A, prawda.

– No i właśnie takiego ducha zapragnęli w B&G. Ktoś w firmie znał mnie przypadkiem



jako autora inspirujących pieśni, wykonywanych podczas uroczystości kościelnych oraz przyjęć na świeżym powietrzu, i dlatego przyszli właśnie do mnie, bym wykreował odpowiedni kolektywny entuzjazm.

– I napisałeś dla firmy kilka pieśni?

– Całkiem sporo. Jak dotąd najlepszy jest uduchowiony marsz, który brzmi następująco (i tu zaczął śpiewać tenorem, którym przyciągnął pełne dezaprobaty spojrzenia wszystkich gości w barze):

*Śmiało, B&G, naprzód marsz na wroga!*

*Śladem sztandaru liliowego wiedzie nasza droga.*

*Podzielimy wszystko między ciebie i mnie,*

*Tak jednak, by jak najwięcej zostało dla B&G.*

– Hm – powiedziałem. – Poruszające. Ale skąd ten liliowy sztandar? Macie tam jakiś liliowy sztandar? , – Słowa nie mają znaczenia – rzekł Kundel. – Liczy się uch. Poza tym będziemy mieli liliowy sztandar. Robię właśnie projekt flagi firmy, na którym zostaną umieszczone lilie burbońskie. Francuzi, z tego, co mi wiadomo, już ich nie używają i głupio byłoby je marnować.

– Ale co z tym kawałkiem na temat „ciebie i mnie” oraz tym „jak najwięcej dla B&G”? Czy to sprawiedliwe?

– Absolutnie sprawiedliwe. Bunque i Gabbage znacznie bardziej potrzebują pieniędzy niż ci szaraczkowie, którzy dla nich pracują. Nigdy nie widziałeś ich rezydencji. Samo ich ogrzanie kosztuje fortunę.

– No tak, lecz czy pracownicy uważają to za sprawiedliwe? Kundel wyglądał na poirytowanego.

– Dotknąłeś drażliwego tematu, George. Pracownicy nie uważają, że to sprawiedliwe. Organizowałem seminaria na ten temat, uzupełniane slajdami przedstawiającymi prywatne posiadłości Bunque’a i Gabbage’a oraz amatorskimi filmami z udziałem ich ukochanych małżeństw, jednak raczej nie wzbudziłem odpowiedniego kolektywnego entuzjazmu. W rzeczy samej, osiągnąłem tyle, iż Bunque oraz Gabbage ostrzegli mnie, że jeśli w ciągu dwóch tygodni nie będzie efektów, wówczas zostaną wylany.

Możesz sobie chyba wyobrazić, stary, jak bardzo się tym przejąłem. Kundel był nie tylko szkolnym kumplem, ale jeszcze postawił mi kilka drinków i ani słowem nie wspomniał o rewanżu. Wydawało mi się, iż będzie to z mojej strony drobnostka, jeśli odwdzięczę się za pośrednictwem Azazela.

Azazel jak zwykle gwałtownie protestował, kiedy udało mi się go wywlec z zakrzywienia czasoprzestrzeni czy cokolwiek to jest, co łączy jego świat z naszym.

Nie mógł się zrobić czerwony ze złości, ponieważ z natury jest taki, ale jego dwucentymetrowe ciało trzęsło się niepohamowanie, a długi kolczasty ogon kiwał się gwałtownie. Nawet małe wypustki w miejscu, gdzie powinien mieć rogi, wydawały się lekko

napuchnięte.

— Co znowu? — zapytał. — Wzywałeś mnie nie dalej jak dwa miesiące temu. Czy mam się stawiać na każde twoje zawołanie, o każdej porze dnia i nocy? Czyja nie mam prywatnego życia?

Nie miałem wyboru, musiałem go ubłagać.

— Błagam, o Koordynatorze Wszechświata. Nie istnieje w całym kosmosie potęga, która potrafi robić to, co ty. Gdy ktoś jest najlepszy, powinien się spodziewać, że będą go wzywali.

— Cóż, to raczej prawda — odparł niechętnie Azazel. — Ale, do juguwoleń, czego chcesz tym razem? — Był już dostatecznie udobruchany, bo natychmiast przeprosił za użycie tak wulgarnego wyrażenia. Nie miałem pojęcia, co ono oznacza, lecz kiedy je wymawiał, jego ogon zrobił się niebieski, więc istotnie musiało być bardzo wulgarnie.

Wyjaśniłem mu, na czym polegają tarapaty, w które wpadł nieszczęsny Kundel.

— I twierdzisz, że on jest twoim kolegą z uniwersytetu? Ach, te studenckie czasy... Pamiętam pewnego mojego profesora, obrzydłego grumczika, który miał nas rzekomo uczyć neuroadjustometrii, cały czas spędzał jednak na picciu fosfoamitolu i na wykładach pojawiał się niezdolny do mówienia, że się tak wyrażę, nie mówiąc już o nauczaniu.

— Mnie też uczył jeden taki obrzydły grumczik, o Władco Nieskończoności. Kilku grumczików, w rzeczy samej.

— Biedny facet — uzalił się Azazel, ocierając swe małe oczka. — No cóż, będziemy musieli coś zrobić. Czy masz może jakiś przedmiot, który należy do niego?

— Hmm, tak — przyznałem. — Udało mi się wyciągnąć z jego kłapy szkolną odznakę.

— Ach, nie ma rzecz jasna sensu poprawiać umysłów upierdliwych i zimnych pracowników tej cudownej firmy, która go zatrudnia. Zamiast tego poprawię umysł twojego przyjaciela, dzięki czemu jego poglądom nikt się nie oprze.

— Czy to się da zrobić? — spytałem raczej niezbyt mądrze.

— Patrz i dziwuj się, Nieszczęsny Odpadzie Cuchnącej Planety — odpowiedział.

Patrzyłem i dziwiłem się.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy Kundel stawił się w moim skromnym mieszkaniu, z wykrzywioną szerokim uśmiechem twarzą.

— George — powiedział — spotkanie ciebie w tamtym barze było chyba jakimś zrzędzeniem losu albo czymś podobnym, gdyż nagle wszystko się zmieniło i nie grozi mi już, że zostanę wylany. Nie może to być coś, co powiedziałaś, ponieważ, jak sobie przypominam, nie powiedziałaś w ogóle nic sensownego, a zatem musiał to być zwykły fakt, iż nieświadomie porównałem siebie do ciebie. Byłem tam ja, energiczny, przystojny wiceprezes i byłeś tam ty, naciągacz i próżniak — bez urazy, George — więc sam kontrast sprawił, że wyszedłem i wziąłem się za bary z całym światem.

Nie będę zaprzeczał, że byłem wstrząśnięty, lecz on mówił dalej, nie zważając na mnie.

— Cały personel — powiedział — każdego dnia, o ósmej rano, z bezprzykładnym entuzjazmem śpiewa „Naprzód marsz, B&G”. Musiałbyś zobaczyć, George, z jakim wigorem i

odwagą maszerują na wroga. Będą jeszcze wymachiwać liliowymi sztandarami, niech je tylko zdobędzie. Będziemy organizowali parady. Wszyscy będą nosić mundury B&G, z szarfami B&G o różnych szerokościach i barwach wskazujących stanowisko. Będziemy maszerowali główną ulicą do placu miejskiego, śpiewając pieśni. Napisałem dwie kolejne.

— Jeszcze dwie — powiedziałem, mocno oszołomiony jego osiągnięciami.

— A żebyś wiedział — odparł. — Jedną na cześć Bunque'a, drugą na cześć Gabbage'a. Ta na cześć Bunque'a brzmi następująco:

*Wiwat! Wiwat na cześć pana Bunque'a Morris  
Bez jego mądrości nasz los na włosku by wisiał.  
Spójrzcie na uśmiech genialny i młody.  
Toż to wypisz wymaluj krokodyl!*

— Krokodyl? Czy to słowo znaczy to, co znaczy?

— No, właściwie to tak. Od dawna jest znany pod czułym mianem Starego Krokodyla i jest z niego raczej dumny.

— A ta na cześć Gabbage'a?

— Ta brzmi następująco:

*Kogóż kochamy? Ach, kogóż kochamy?  
To nasz wielbiony Charles F Gabbage.  
Jesteśmy pod nim, on jest nad nami,  
Wiwat Charles F. Gabbage! Wiwat B&G!*

— Bardzo się nad tym namęczyłem — rzekł Kundel. — Ale to, co mi w końcu wyszło, jest genialne, nie sądzisz?

— Przypuszczam, że można to tak określić — odparłem bez przekonania.

— Cóż, nie mam czasu na dalszą rozmowę, George. Chciałem ci tylko przekazać wspaniałe wieści. Muszę już wracać i organizować korowód na fajrant o piątej, który ma być wyrazem wielkiej radości przepełniającej każdego pracownika po całodniowej pracy w B&G.

— Kundel, chcesz przez to powiedzieć, iż pracownicy nie domagają się już podwyżek płac i całej tej reszty?

— Nie usłyszysz już ani słowa na ten temat. Teraz to sama radość i zabawa. Wszystko jest pełne wesołości i zachwytu. A ja muszę pilnować, by wszystkie chwile każdego dnia pracy przepełniał kolektywny entuzjizm. Jestem pewien, że już niedługo będę partnerem spółki.

(I tak też się stało, stary. B&G zostało ośrodkiem niezwykłej radości. Opisano to w „Fortune”, w „Time” i w „Corporations Illustrated”. W tym ostatnim na okładce zamieszczono podobiznę Kundla.

I to już koniec tej historii, stary).

— To już koniec, George? — spytałem zdumiony. — Ale przecież ta historia kończy się szczęśliwie. Dlaczego zatem tak cię skwasiło, kiedy spytałem o pracę?

George wstał z ławki i powiedział:

— Pomiąłem ostatni element, stary. Kundel odniósł wielki sukces. Więszego nie mógłbyś sobie wyobrazić. Ale nie B&G, które zbankrutowało.

— Zbankrutowało? Dlaczego?

— No cóż, wszyscy tak dobrze się bawili, tyle było tego śpiewania, paradowania i chodzenia w uniformach, że nikt chyba nie pracował i firma się rozpadła.

— Niedobrze.

— Tak. Przykład biednego Kundla dowodzi, jak niepewne są losy zatrudnionych w wielkich korporacjach. Odniósł ogromny sukces, ale czy został partnerem firmy? Nie. Jego stanowisko zwyczajnie przestało istnieć i od tego czasu jest bezrobotny. I ty mnie pytasz, czy kiedykolwiek myślałem o zdobyciu pracy. Po co? Żeby przegrać w samym środku sukcesu? Nigdy! No cóż, nie dalej jak w ubiegłym tygodniu stary Kundel poprosił mnie, bym mu pożyczył pięć dolarów, i ja nie mogłem. W związku z tym, stary, gdybyś dał mi dziesięć, to mógłbym przekazać mu połowę i dzięki temu upiekłbyś dwie pieczenie na jednym ogniu.

Podąłem mu dziesięć i powiedziałem:

— To chyba byłaby przesada, gdybym miał piec was obu. George spojrzął z pogardą na banknot dziesięciodolarowy i odparł:

— Cóż, uprzejmością to nas na pewno nie upieczesz.

— Zaczekaj, George! — zawołałem, kiedy zaczął się oddalać. — Jakiego rodzaju działalność prowadziło B&G?

— Nigdy się tego nie dowiedziałem! — krzyknął w odpowiedzi George. — I stary Kundel też nie.

# Północny Zachód

— Gdzieś ty się, do diabła, podziewał? — spytał cicho Thomas Trumbull Emmanuela Rubina. — Szukam cię od tygodnia.

Oczy Rubina błysnęły za grubymi szklami okularów, rzadka bródka zjeżyła się.

— Wyjechałem na tydzień do Berkshires. Nie wiedziałem, że najpierw powinienem prosić cię o zgodę.

— Chciałem z tobą pogadać.

— No to gadaj teraz. Jestem do twojej dyspozycji, rzecz jasna pod warunkiem, iż masz coś inteligentnego do powiedzenia.

Trumbull rozejrzał się pospiesznie. Czarni Wdowcy zebrali się na swym comiesięcznym bankiecie w Mediolanie i Trumbullowi udało się przybyć na czas, ponieważ tym razem to on był gospodarzem.

— Na litość boską, nie podnoś głosu, Manny. Nie mogę w tej chwili mówić swobodnie. Tu idzie — tak zniżył głos, że praktycznie tylko poruszał wargami — o mojego gościa.

— No dobra, co z nim? — Rubin spojrział w stronę wysokiego, starszego mężczyzny o dystyngowanym wyglądzie, rozmawiającego w przeciwległym kącie sali z Geoffreyem Avalonem. Gość o dobre dwa cale przewyższał Avalona, który zazwyczaj bywał najwyższym uczestnikiem zgromadzenia. Rubin, niższy od Avalona o dziesięć cali, uśmiechnął się szeroko.

— Moim zdaniem Jeffowi dobrze robi, jak od czasu do czasu zadrze głowę — stwierdził.

— Posłuchasz mnie wreszcie czy nie? — warknął Trumbull — Rozmawiałem już z pozostałymi. Ty byłeś jedynym, którym się naprawdę przejmowałem, i jedynym, z którym za nic nie mogłem się skontaktować.

— A czym ty się tak przejmujesz? Gadaj wreszcie, o co ci chodzi.

— O mojego gościa. To dziwny człowiek.

— Jeżeli to twój gość...

— Ciii! To interesujący typ, wcale nie czubek, ale możesz uznać, iż to dziwak, a ja sobie nie życzę, żebyś z niego drwił. Niech będzie dziwakiem, ty się z tym pogódź.

— A cóż w nim takiego dziwnego?

— Ma pewną idée fixe, jeśli wiesz, co to znaczy. Rubin wyraźnie wyglądał na wzburzonego.

— Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego Amerykanie, z tą ich ledwie dostateczną

znajomością angielskiego, tak się upierają, by używać wyrażenia „idée fixe”, skoro przecież mogłoby im wystarczyć zwykłe słowo „mania”?

– W porządku. Facet jest maniakiem. To wyjdzie na jaw, bowiem nie potrafi tego ukryć. Błagam, nie nabijaj się z niego. Zaakceptuj go z jego własnymi zasadami.

– To pogwałcenie idei maglowania, Tom.

– Jedynie nieznaczne naruszenie. Błagam cię, bądź uprzejmy, to wszystko. Pozostali się zgodzili.

Rubin zmrużył oczy.

– Spróbuję, lecz przysięgam, Tom, jeśli się okaże, że to jakiś kawał, że jestem w coś wrabiany, wtedy stanę na stołku i przywalę ci prosto w oko.

– Zapewniam cię: to nie jest żaden kawał.

Rubin przespacerował się do Maria Gonzala, który właśnie poprawiał narysowaną przez siebie karykaturę gościa. Która zresztą niespecjalnie była karykaturą.

Rubin przyjrzał się rysunkowi, po czym odwrócił się, by popatrzeć na gościa.

– Te rysy trochę za bardzo odpowiadają prawdzie, Mario — zauważył.

– Karykatura — odparł Gonzalo — jest sztuką realistycznej przesady, Manny. Kiedy facet wygląda tak dobrze w swoim wieku, to nie należy niszczyć efektu przez nadmierne zniekształcanie rysów.

– Jak on się nazywa?

– Nie wiem. Tom go nie przedstawił. Twierdzi, że powinniśmy poczekać do maglowania i dopiero wtedy pytać.

Podszedł do nich Roger Halsted; w ręku trzymał szklanę z drinkiem.

– Tom szukał cię cały tydzień, Manny — powiedział cicho.

– Mówił mi. I znalazł mnie właśnie tutaj.

– Wyjaśnił ci, czego chce?

– Nie. Poprosił tylko, żebym był grzeczny.

– I co, będziesz grzeczny?

– Będę, jeśli nie nabiorę podejrzeń, że to jakiś kawał na mój koszt. A wtedy...

– Nie, on naprawdę nie żartuje.

W tym momencie Henry, żywe wcielenie ideału kelnera, obwieścił cichym, dźwięcznym głosem:

– Panowie, kolacja podana.

I wszyscy zasiedli do koktajlu z krabów.

Kiedy drogą powszechnego głosowania zdecydowano, że nie wolno palić podczas głównego dania, James Drake zgasił cygaro i wręczył popielniczkę Henry’emu.

– Swym zaproszeniem do stołu Henry przerwał naszemu gościowi komentarze na temat Supermana. Chętnie bym poprosił o ich powtórzenie, jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko — powiedział.

Gość majestatycznie skinął głową, wyrażając wdzięczność, i dokończywszy spory kęs

pieczeni cielecej, oznajmił:

— Jak mówiłem, Superman to trawestacja pewnej chlubnej tradycji wywodzącej się jeszcze z czasów starożytnych. Zawsze istniała gałąź literatury, która traktowała o herosach, czyli istotach ludzkich cechujących się niezwykłą siłą i odwagą. Niemniej jednak heros to człowiek jak najbardziej normalny, a nie ktoś obdarzony nadprzyrodzonymi mocami.

— Zgadza się — rzekł Avalon swym zaskakującym barytonem. — W literaturze zawsze pojawiali się tacy bohaterowie jak: Herkules, Achilles, Gilgamesz, Rustam...

— Orientujemy się, o czym mowa, Jeff — przerwał mu złowieszczym tonem Rubin. Avalon kontynuował, bynajmniej nie wytrącony z równowagi.

— Przecież nie dalej jak pół wieku temu Robert Howard wykorzystał postać Conana dla stworzenia nowożytnej legendy. Wszyscy herosi byli zawsze silniejsi od nas, słabeuszy, niemniej jednak nie można ich porównywać do bogów. Można im było zadać ból, dawali się zranić, a nawet zabić. Zresztą zazwyczaj na końcu opowieści tak się właśnie działo.

— W *Iliadzie* bogów można było zranić — wtrącił Rubin, jak zawsze gotów do dyskusji. — Ares i Afrodyta zostali zranieni przez Diomedesa.

— Homer nie musiał się kierować żadnymi ograniczeniami — stwierdził gość. — Ale porównajcie, panowie, powiedzmy, Herkulesa z Supermanem. Superman ma oczy z promieniami rentgenowskimi, potrafi lecieć w przestrzeni kosmicznej bez żadnej osłony, porusza się szybciej niż światło. Żadnej z tych rzeczy nie da się powiedzieć o Herkulesie. A jednak, mimo tych wszystkich umiejętności Supermana, gdzie to podniecenie, gdzie suspens? I gdzie walka o sprawiedliwość? Przecież on się bije ze zwykłymi rzezimieszkami, którzy dla niego nie są nawet tym, czym dla mnie byłaby biedronka. A czyja mogą być z siebie dumny, gdy strzepują biedronkę z nadgarstka?

— Cały problem z herosami polega na tym — zauważył Drake — że z przetrenowania sztywnieją im mięśnie w skroniach. Weźcie na przykład Zygryda. Nawet jeśli dysponował bodaj atomem inteligencji, to nie raczył tego okazać. Zresztą Herkules, moim zdaniem, również nie był tytanem myśli.

— Za to król Artur miał tęgi umysł — zauważył Halsted. — Odyseusz podobnie.

— Rzadkie wyjątki — stwierdził Drake.

Rubin odwrócił się w stronę gościa i powiedział:

— Pan, jak się zdaje, bardzo się interesuje książkowymi bohaterami.

— Tak, to prawda — odparł gość cichym głosem. — To w moim wypadku niemalże idée fixe. — Uśmiechnął się z wyraźną przyganą dla siebie. — A w każdym razie chyba bez przerwy o nich mówię.

Tuż po tym oświadczeniu Henry podał lody.

Gdy Henry zabrał się do nalewania brandy, Trumbull zastukał łyżeczką o swoją szklanę z wodą. Odczekał długi czas po kawie, jakby nie miał ochoty na rozpoczęcie maglowania, i nawet teraz szcęk metalu o szkło wydawał się mniej rozkazujący niż zazwyczaj.

— Czas najwyższy, abyśmy zaczęli maglować naszego gościa. Proponuję, by to Manny Rubin pełnił honory — powiedział Trumbull.

Rubin obdarzył Trumbulla twardym spojrzeniem, po czym zwrócił się do gościa:

— Zazwyczaj prosimy naszego gościa, aby rozpoczął ceremonię uzasadnieniem swojej egzystencji, ja jednak chciałbym zauważyć, iż Tom, wbrew wszelkim obyczajom, nie przedstawił pana z nazwiska. Czy mogę zatem spytać, jak się pan nazywa?

— Naturalnie — odparł gość. — Nazywam się Bruce Wayne. Rubin natychmiast odwrócił się w stronę Trumbulla, który wykonał dyskretny, ale czytelny uspokajający gest. Rubin wziął głęboki wdech i zdobył się na uśmiech.

— Cóż, panie Wayne, ponieważ rozmawialiśmy o herosach, nie mogę nie spytać, czy kiedykolwiek żartowano z pana, że jest tym komiksowym bohaterem, Batmanem. Bruce Wayne to prawdziwe nazwisko Batmana, o czym pan zapewne wie.

— Wiem o tym doskonale — odparł Wayne — ponieważ to ja jestem Batmanem.

Po tych słowach przy stole zapanowało ogólne poruszenie i nawet zazwyczaj niewzruszony Henry uniósł brwi. Wayne był najwyraźniej przyzwyczajony do takiej reakcji, bowiem zupełnie nie zmieszany upił łyk brandy.

Rubin rzucił kolejne szybkie spojrzenie na Trumbulla, po czym odparł ostrożnie:

— Przypuszczam, że mówiąc to, daje pan do zrozumienia, że należy pana w taki czy inny sposób identyfikować z tym bohaterem komiksów, a nie z kimś innym, komu nadano przydomek Batman, na przykład z ordynansem jakiegoś oficera armii brytyjskiej.

— Ma pan rację — rzekł Wayne. — Mówię o tym właśnie bohaterze komiksów. Rzecz jasna — i tu uśmiechnął się łagodnie — nie będę próbował panów przekonać, że jestem dosłownie tym Batmanem, z jego peleryną, symbolami nietoperza i tak dalej. Jak sami widzicie, jestem trójwymiarowym, żywym przedstawicielem gatunku ludzkiego i zapewniam was, że jestem tego świadom. Rzecz jednak w tym, iż to właśnie ja stanowiłem źródło inspiracji do powstania postaci Batmana.

— A jak do tego doszło? — spytał Rubin.

— W przeszłości, gdy byłem znacznie młodszy...

— Ile lat ma pan teraz? — spytał nagle Halsted.

Wayne się uśmiechnął.

— Tom uprzedził mnie, że na wszystkie pytania będę musiał odpowiadać zgodnie z prawdą, więc zdradzę panom swój wiek, chociaż wolałbym tego nie robić. Mam siedemdziesiąt trzy lata.

— Nie wygląda pan na tyle, panie Wayne — stwierdził Halsted. — Mógłby pan uchodzić za pięćdziesięciolatka.

— Dziękuję panu. Staram się dbać o formę.

— Czy wróci pan do mojego pytania, panie Wayne? — powiedział Rubin ze śladem niecierpliwości w głosie. — Chce pan, abym je powtórzył?

— Nie. Moja chroma pamięć daje sobie jeszcze jakoś radę. Kiedy byłem znacznie młodszy, pomagałem nieco różnym organom ścigania. W tamtych czasach można było zarobić na komiksach z udziałem herosów i pewien mój znajomy zaproponował, bym posłużył jako model jednego z nich. Batmana wymyślono w oparciu o cechy mojej osobowości, a także o



epizody z mojego życia. Rzecz jasna, opatrzone je romantyczną otoczką. Nie chadzałem w pelerynie i nigdy nie miałem helikoptera, lecz nalegałem, by Batmana nie obdarzano żadnymi nadprzyrodzonymi mocami, ograniczając się do czysto ludzkich umiejętności. Przyznaję, że one istotnie bywają niekiedy przesadzone. Nawet te opryszki, z którymi walczy, wprawdzie nieodmiennie groteskowi, są przejawskrawionymi wizerunkami ludzi, z którymi miałem do czynienia w przeszłości i którym pomogłem wypaść z obiegu.

— Rozumiem teraz, dlaczego postać Supermana irytuje pana — rzekł Avalon. — Przez dwa sezony w telewizji siedł Batman. Co pan na to?

— Znakomicie pamiętam ten serial. Zwłaszcza Julie Newmar w roli Kobiety-Kota. Z chęcią zmierzyłbym się z nią jako przeciwnikiem w prawdziwym życiu. Ów serial pokazywano po to, żeby wywołać śmiech i dostarczyć dobrej rozrywki.

— No cóż — wtrącił Drake, rozglądając się po stole i z namaszczeniem zapalając papierosa, kiedy już posiłek dobiegł końca (i nakrywając go dłonią w oczywistym przekonaniu, że ukryje w ten sposób dym) — wychodzi na to, iż wiódł pan zabawne życie. Czy jest pan również multimilionerem jak komiksowy Batman?

— Jestem dość zamożny, w rzeczy samej — odparł Wayne. — Mam okazały dom na przedmieściach, a także przyległe doń muzeum, lecz, rozumiecie panowie, każdy jest tylko człowiekiem. Też mam swoje problemy.

— Żona? Dzieci? — spytał Avalon.

— Nie, pod tym względem również przypominam moje alter ego, albo to ono przypomina mnie. Nigdy nie byłem żonaty i nie mam dzieci. Nie na tym jednak polegają moje problemy. Mam lokaja, który zajmuje się domem, oraz innych, w porównaniu z nim stosunkowo mało ważnych służących.

— W komiksie ten lokaj jest pańskim przyjacielem i powiernikiem — rzekł Gonzalo. — Mam rację?

— No cóż... tak właśnie jest. — I tu westchnął. Rubin zamyślił się, a potem zapytał:

— Proszę nam opowiedzieć o swoim muzeum, panie Wayne. Co to za muzeum? Centrum kryminologii?

— Ależ skąd. Komiks nadal się ukazuje i cieszy popularnością, ale mój czas jako aktywnego obrońcy prawa dobiegł końca. W muzeum mieszczą się kurioza. Istnieje mnóstwo rzeczy stworzonych na podstawie komiksu o Batmanie. Zgromadziłem, jak mi się wydaje, wszystkie przedmioty, które kiedykolwiek wyprodukowano w związku z modą na Batmana: notesy z jego wizerunkiem, wielkie modele Batmobila, figurki przedstawiające wszystkich ważnych bohaterów, którzy wystąpili w komiksie, egzemplarze wszystkich czasopism, w których pojawiła się ta postać, kasety z programami telewizyjnymi i tak dalej. Posiadanie tego wszystkiego sprawia mi przyjemność. Jestem przekonany, że komiks mnie przeżyje i że będzie to ta część mnie, która zostanie najlepiej zapamiętana po mojej śmierci. Nie mam dzieci, które pielęgnowałyby moją pamięć, i w moim prawdziwym życiu nie uczyniłem niczego takiego, co pozwoliłoby mi przejść do historii. Gromadzenie dowodów mego fikcyjnego życia to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić, aby choć trochę zbliżyć się do

nieśmiertelności.

— Rozumiem — odparł Rubin. — A teraz zadam pytanie, które być może trochę pana speszzy, lecz musi pan na nie odpowiedzieć. Twierdził pan... Och, na miłość boską, Tom, to dozwolone pytanie. Może jednak pozwolisz, że je zadam, i dopiero wtedy zaczniesz się ciskać?

Trumbull, wyraźnie zaniepokojony i zakłopotany, skulił się na krześle.

— Przed chwilą, panie Wayne, stwierdził pan, iż ma również problemy, a potem, przy wzmiance o lokaju, wyraźnie się pan zdenerwował — powiedział Rubin. — Czy ma pan kłopoty ze swoim lokajem? Z czego się śmiejesz, Tom?

— Z niczego — odparł Trumbull, chichocząc.

— On się śmieje — odparł Wayne — ponieważ założył się ze mną o pięć dolarów, że jeśli będę odpowiadał na wszystkie pytania dotyczące mojej osoby, i to zgodnie z prawdą, to Czarni Wdowcy wydobędą ze mnie całą sprawę w ciągu dwudziestu minut. No i wygrał zakład.

— Czyli, jak rozumiem, Tom Trumbull zna odpowiedź.

— Tak, znam — rzekł Trumbull — jednak właśnie z tego powodu odcinam się od sprawy. Wy się nią zajmiecie.

— Proponuję — wtrącił się Avalon — by Tom i Manny się uciszeli. I poprosimy pana Wayne'a, żeby opowiedział nam o kłopotach ze swoim lokajem.

— Mój lokaj — zaczął Wayne — nazywa się Cecil Pennyworth...

— Nie chciał pan przypadkiem powiedzieć: Alfred Pennyworth? — wtrącił Halsted.

— Nie przerywać — skarcił go Trumbull, stukając w szklanę z wodą.

— W porządku, Tom — rzekł Wayne. — Nie przeszkadza mi, gdy mi ktoś przerywa. Istotnie, Alfred Pennyworth był moim pierwszym lokajem i zgodził się, żeby jego nazwisko zostało wykorzystane w komiksie. Niemniej jednak był starszy ode mnie i w swoim czasie umarł. Bohaterowie komiksów nie muszą się starzeć i umierać, ale jak sami dobrze wiecie, w prawdziwym życiu jest inaczej. Mój obecny lokaj to siostrzeniec Alfreda.

— Czy godnie go zastępuje? — spytał cicho Drake.

— Nikt rzecz jasna nie mógłby zastąpić Alfreda, ale Cecil sprawdził się we wszystkim — tu Wayne się skrzywił — we wszystkim prócz jednej rzeczy, i na tym polega mój problem. Otóż musicie wiedzieć, że czasami uczestniczę w zjazdach poświęconych bohaterom komiksów. Nie robię wielkiej wrzawy z faktu, że jestem Batmanem, nie wkładam peleryny ani niczego takiego, aczkolwiek wydawcy wynajmują niekiedy aktorów, by to robili. Organizuję natomiast wystawę pamiątek po Batmanie. Czasami moi wydawcy gromadzą bardziej konwencjonalne przedmioty na sprzedaż, nie tyle dla pieniędzy, co dla rozgłosu, bo dzięki temu pamięć o Batmanie pozostaje żywa. Nie mam nic wspólnego z tym komercyjnym aspektem. Wystawiam na pokaz wybrane, bardziej niezwykłe kurioza, których nie można kupić. Pozwalam, by je oglądano i badano, jednocześnie wygłaszając krótkie wykłady na ich temat. To też się przyczynia do rozgłosu. Nie muszę chyba dodawać, że eksponatów trzeba pilnie strzec. Większość z nich nie przedstawia istotnej wartości materialnej, lecz są

niezmiernie cenne dla mnie i czasami, obawiam się, dla fanów. Wprawdzie ogromna większość nawet nie pomyślałaby o przywłaszczeniu sobie któregoś z tych przedmiotów, zawsze jednak muszą się znaleźć jednostki, które z wrodzonej nieuczciwości albo, co bardziej prawdopodobne, z żądzy nie do odparcia, próbują ukraść jeden lub nawet kilka. Dlatego musimy się wystrzegać takich ludzi. Bywam nawet ofiarą bardziej zdesperowanych przestępców. Już dwukrotnie próbowano włamać się do mojego muzeum; próby te, z przyjemnością stwierdzam, zostały udaremnione dzięki dość wyrafinowanemu systemowi alarmowemu. Widzę, że się pan uśmiecha, panie Avalon, ale w rzeczy samej, moje pamiątki, jak trywialne mogłyby się wydawać, można zbyć potajemnie za niebagatelne sumy. Jeden z posiadanych przeze mnie przedmiotów istotnie przedstawia znaczną wartość. Jest to pierścień Batmana ze szmaragdem, w którym wyryto symbol nietoperza. Ofiarowano mi go w okolicznościach, które, jeśli mogę się tak wyrazić, odcisnęły silne piętno na życiu prawdziwego Batmana, czyli moim, dlatego więc był mi zawsze drogi bardziej z tego powodu niżli z powodu wartości samego kamienia. Jest to *pièce de résistance* mojej kolekcji i bardzo rzadko wystawiam go na pokaz. Jakiś rok temu obiecałem wystąpić na zjeździe w Minneapolis, ale nie całkiem miałem ochotę jechać. Jak sami widzicie, starzeję się i mimo systematycznego dbania o formę moje zdrowie oraz samopoczucie nie są już takie jak kiedyś. Dlatego poprosiłem Cecila Pennywortha, by wystąpił tam za mnie. Wcześniej już nieraz zdarzało mi się prosić go o taką przysługę, nigdy jednak w wypadku tak dużych zjazdów. Obiecałem zorganizować interesującą wystawę, ale musiałem ją przykroić na miarę Cecila. Wybrałem drobne przedmioty, takie, które można zapakować do jednej walizki, i dzięki temu szybko sprawdzić, czy niczego nie ubyło. Wysłałem Cecila z niepotrzebnym jak zwykle przykazaniem, by starannie wszystkiego strzegł. Zadzwoił do mnie z Minneapolis, aby poinformować o swym bezpiecznym przybyciu, i kilka godzin później, by zawiadomić, iż ktoś próbował podmienić walizki. „Mam nadzieję, że mu się nie udało”, powiedziałem wtedy. Zapewnił mnie, że ma właściwą walizkę i że eksponaty wystawy są nietknięte, lecz zapytał, czy naprawdę uważam, że powinien wystawić pierścień. Rozumiecie, panowie, czułem, że niejako oszukuję swoją publiczność przez to, iż posyłam jedynie drobne przedmioty, i dlatego włączyłem do nich pierścień, by przynajmniej mogli obejrzeć najrzadszy i najcenniejszy okaz mojej kolekcji. Powiedziałem więc Cecilowi, że powinien wystawić pierścień na pokaz, ale ma na niego bardzo uważać. Kolejną wiadomość od niego otrzymałem dwa dni później, kiedy zjazd zbliżał się ku końcowi. Wyraźnie brakowało mu tchu i w jego głosie słyszało się napięcie. „Wszystko jest bezpieczne, panie Wayne — powiedział — jednak wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Ale potrafię ich wykiwać. Wybieram Północny Zachód i niebawem spotkam się z panem”. „Czy coś ci grozi?”, spytałem mocno zaniepokojony. Na co on odparł jedynie: „Muszę już iść”, i odwiesił słuchawkę. Przystąpiłem do działania — to ten Batman we mnie, jak mniemam. Zapomniałem więc o wszelkich symptomach swojej niedyspozycji i przygotowałem się do akcji. Wydawało mi się, że wiem, co się stało. Cecila, który nie był człowiekiem silnym, ulepionym z tej samej gliny co bohaterowie, śledził ktoś, kto się bardzo zainteresował walizką. Dlatego właśnie mój lokaj uznał, iż powinien zrobić coś

nieoczekiwanego. Zamiast wrócić do Nowego Jorku, oszuka tych, którzy go gonią, i potajemnie wymknie się w całkiem innym kierunku. A kiedy już zgubi swych prześladowców, będzie mógł bezpiecznie wrócić do Nowego Jorku. Co więcej, wiedziałem, dokąd się udał. W ramach przywilejów osoby dość zamożnej mam kilka domów na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Jeden z nich to niewielka, spokojna posiadłość w Dakocie Północnej, dokąd się udaję od czasu do czasu, gdy odczuwam potrzebę odizolowania się od zbyt nieznośnych ingerencji świata w moje prywatne życie. Wyprawa tam właśnie była jak najbardziej sensowna. Nikt oprócz Cecila i mnie oraz kilku prawników nie wie, iż rzeczony dom należy do mnie. Gdyby dotarł tam bezpiecznie, mógłby uznać, że już nic mu nie grozi. Wiedział, że sugestia wyboru Północnego Zachodu będzie dla mnie całkowicie zrozumiała, a nie będzie znaczyła nic dla kogoś, kto mógł go podsłuchiwać. Było to sprytnie posunięcie. Rozłączył się szybko, ponieważ, jak zakładam, wiedział, iż gdzieś blisko czai się wróg. Powiedział: „Niebawem zobaczę się z panem co, jak mi się zdawało, oznaczało prośbę o to, bym się udał do domu w Dakocie Północnej i dołączył do niego. Najwyraźniej chciał, żebym przejął na siebie obowiązek obrony eksponatów. Jak już powiedziałem, nie był typem bohatera. Zadzwoił do mnie rankiem, a ja, zanim jeszcze zapadł zmrok, dotarłem do Dakoty Pomocnej. Byłem rad, pamiętam, że to wczesna jesień. Nie zniósłbym podróży w tamte strony, gdyby na ziemi leżała warstwa śniegu grubości dwóch stóp, a temperatura wynosiła czterdzieści stopni poniżej zera.

— Przypuszczam, iż wówczas pański lokaj wybrałby jakieś inne miejsce na kryjówkę — rzekł Rubin, który przysłuchiwał się uważnie całej relacji. — Powiedziałyby panu, że wybiera Południowy Wschód, i wtedy pojechałby pan do swego domu na Florydzie, jeśli ma pan takowy.

— Mam dom w Georgii — oświadczył Wayne — ale tak czy inaczej, ma pan rację. Przypuszczam, że to by właśnie uczynił. W każdym razie, kiedy przybyłem do Dakoty Północnej, stwierdziłem, że Cecila jeszcze tam nie ma. Skontaktowałem się z ludźmi, którzy opiekują się domem pod moją nieobecność (i którzy znają mnie jako „pana Smitha”), i ci zapewnili mnie, iż nikt, o ile im wiadomo, się tam nie pojawił. Nie było śladów czyjejs niedawnej bytności, wiedziałem więc, że jeszcze nie zdążył dotrzeć na miejsce. Rzecz jasna, ktoś mógł mu przeszkodzić *en route*. Spędziłem tam noc, bezsenną i bardzo nieprzyjemną; chyba możecie to sobie wyobrazić. Rankiem, kiedy wciąż go jeszcze nie było, zadzwoniłem na policję. Nie było żadnych doniesień o katastrofach samolotów, pociągów, autobusów albo samochodów, którymi mógł podróżować Cecil. Postanowiłem poczekać jeszcze jeden dzień. Ostatecznie mógł przecież wybrać okreśną trasę albo zatrzymać się gdzieś po drodze, „zadekować się”, jak to się mówi, by wprowadzić w błąd prześladowców, i podjąć podróż po odczekaniu jakiegoś czasu. Mówiąc krótko, mógł się spóźnić o jeden lub dwa dni.

Trzeciego ranka jednakże nie mogłem już dłużej czekać. Do tego czasu nabrałem pewności, że stało się coś złego. Zadzwoiłem do swego nowojorskiego domu, czując, że mógł zostawić tam wiadomość, i mocno zbeształem siebie za to, iż nie zadzwoniłem wcześniej w tym celu albo nie zostawiłem numeru, pod którym można się było ze mną skontaktować. W każdym

razie zadzwoniłem trzeciego ranka. Słuchawkę podniósł Cecil. Jakby mnie piorun poraził. Cecil przyjechał tego samego popołudnia, którego ja wyjechałem. Powiedziałem tylko, że wracam wieczorem do domu, i rzeczywiście wróciłem. Rozumiecie teraz, panowie, w jak kłopotliwej sytuacji się znalazłem.

Po tym dość nagłym zakończeniu całej historii zapadło chwilowe milczenie, które przerwał Rubin.

— Jak rozumiem, Cecil był cały i zdrow.

— Jak najbardziej. Spytałem go o prześladowców, na co uśmiechnął się nieznacznie i odparł: „Sądzę, że ich zgubiłem, panie Wayne. Albo może całkiem się myliłem i oni w ogóle nie istnieli. W każdym razie w drodze powrotnej nikt mnie nie nękał.

— A zatem dotarł do domu bezpiecznie?

— Tak, panie Rubin.

— I żaden z eksponatów nie zginął?

— Ani jeden.

— Nawet pierścień, panie Wayne?

— Nawet pierścień.

Rubin opadł na siedzenie z wyrazem irytacji na twarzy.

— No cóż, muszę powiedzieć, że zupełnie nie rozumiem, na czym polega pańska kłopotliwa sytuacja.

— Dlaczego on mi powiedział, że wybiera Północny Zachód? Powiedział to wyraźnie. Nie mogłem się przesłyszeć.

— Cóż, myślał, że go śledzą, więc powiedział panu, iż wybiera się do domu w Dakocie Północnej — stwierdził Halsted. — A potem stwierdził, że albo uciekł prześladowcom, albo że oni nie istnieją, więc zmienił plany i pojechał prosto do Nowego Jorku, ale nie starczyło mu już czasu, by zadzwonić do pana ponownie i uprzedzić.

— A czy nie uważacie, że należały mi się jakieś przeprosiny? — odparł Wayne z niejaką zapalczywością. — Ostatecznie wprowadził mnie w błąd, posłał na bezsensowną wyprawę do Dakoty Pomocnej i naraził na dwa dni niepewności, podczas których nie tylko martwiłem się o moją kolekcję, ale również bałem się, iż on nie żyje lub został poważnie ranny. Wszystko to przecież stało się z powodu owej fałszywej informacji, że wybiera Północny Zachód. Przecież po Przybyciu do Nowego Jorku powinien się domyślić, że skoro nie ma mnie w domu, to poleciałem do Dakoty Północnej, być razem z nim, i w takim razie mógł się wysilić na uprzejmość i zadzwonić do mnie i zawiadomić, że nic mu nie grozi. Znał numer w Dakocie Północnej. Jednak nie zadzwonił do mnie, nie przeprosił ani się nie usprawiedliwił, kiedy wróciłem do domu.

— Pana zdaniem, on na pewno wiedział, iż jest pan w Dakocie Północnej? — spytał Halsted.

— Naturalnie, jestem o tym przekonany. Po pierwsze, powiedziałem mu. Musiałem jakoś wytłumaczyć fakt, że przebywałem trzy dni poza domem. Powiedziałem więc: „Przepraszam, że nie było mnie w domu, kiedy wróciłeś, Cecilu. Nieoczekiwanie musiałem natychmiast

wyjechać do Dakoty Północnej”. Trzeba mieć chyba serce z kamienia, żeby się wtedy nie skrzywić i nie zacząć przeproszać, a tymczasem jego to w ogóle nie poruszyło.

W tym momencie znowu zapadła cisza, po czym Avalon chrząknął głośno i powiedział:

— Panie Wayne, zna pan swojego lokaja lepiej niż my. Jak pan wytłumaczy jego zachowanie?

— Logika podpowiada, że to zwykła gruboskórność — odparł Wayne — ale to nie jest człowiek gruboskórny, na ile go znam. W pewnym momencie pomyślałem: A jeśli to jego samego nasza pokusa, by przywłaszczyć sobie pierścien i inne przedmioty? I wszystko to tylko ukartował, żeby moje zagarnąć? Mógł mi powiedzieć, iż jest śledzony, i tym sposobem nakłonić do tej głupiej wyprawy do Dakoty Północnej. Dzięki temu zyskałby czas na schowanie łupów i mógłby potem udawać, że go obrabowano. Rozumiecie, panowie?

— Czy uważa pan, że Cecil jest zdolny do popełnienia kradzieży? — spytał Rubin.

— Tego bym nie powiedział, lecz każdy może ulec pokusie.

— Bez wątplenia. Jeśli jednak nawet tak było, to oparł się jej. Ma pan wszystko. Nie ukradł niczego.

— To prawda, ale powiedział mi przecież, że wybiera Północny Zachód, i potem nigdy nie wyjaśnił, dlaczego zmienił zdanie, co dla mnie oznacza, iż zamierzał popełnić jakiś niecny uczynek. Fakt, że okazał się zanadto podszyty tchórzem, by to zrobić, wcale go nie usprawiedliwia. Być może następnym razem będzie miał więcej odwagi.

— Czy poprosił go pan o wyjaśnienie tej afery z Północnym Zachodem? — spytał Rubin. Wezwał się.

Wayne zawahał się.

— Tego nie chcę robić. Przypuśćmy, że jest jakieś wytłumaczenie. Takie pytanie oznaczałoby, iż mu nie ufam, co popsułoby nasze stosunki. A dodatkowo wszystko pogarsza fakt, że tak długo zwlekałem z tym pytaniem. Gdybym je teraz zadał, znaczyłoby to, że podejrzewałem go przez cały rok i jestem pewien, iż wówczas z oburzeniem wymówiłby posadę. Z drugiej zaś strony jakoś nie przychodzi mi do głowy nic, czym mógłby się wytłumaczyć, a ponieważ nigdy go nie zapytałem, nie czuję się swobodnie w jego obecności. Myślę, że się uprzedziłem i czekam, aż on znowu spróbuje.

— A zatem wychodzi na to, iż wasz związek się rozpad — nie, jeżeli go pan nie zapyta i nie przekona się, czy rzeczywiście jest winny — orzekł Rubin. — Jeśli jednak zapyta go pan i on pana przekona, że jest niewinny, wówczas wasz związek również się rozpadnie. W takim razie może nie będzie go pan o nic pytał, tylko sam się utwierdzi w przekonaniu o jego niewinności?

— Tak byłoby wspaniale — odparł Wayne — ale jak to zrobić? Bardzo bym przecież tego pragnął. Kiedy wspominam mój długi i zażyły związek z Alfredem Pennyworthem, wujem Cecila, czuję, iż jestem coś winien jego siostrzeńcowi, choć muszę znać wyjaśnienie, a nie mam odwagi o nie zapytać.

— Tom Trumbull wie o wszystkim... — zadumał się Drake. — Co o tym myślisz, Tom?

— Tom twierdzi, że powinienem zapomnieć o całej sprawie — wtrącił Wayne.

— Zgadza się — odparł Trumbull. — Cecil mógł tak się wstydzić swojej bezsensownej paniki, że zwyczajnie nie chciał o tym mówić.

— Ależ on przecież o tym mówił — stwierdził uniesionym głosem Wayne. — Obojętnym tonem przyznał, że chyba mu się tylko wydawało, iż go ścigają. Zrobił to, ledwie dotarłem do domu. Dlaczego w takim razie nie przeprosił i nie wyraził żalu za kłopoty, na jakie mnie naraził?

— Może właśnie o tym nie potrafi mówić? — powiedział Trumbull.

— To absurdalne. Co ja mam robić? Czekać na wyznanie na łożu śmierci? On mnie przeżyje, bo jest o dwadzieścia dwa lata młodszy.

— W takim razie — rzekł Avalon — jeśli mamy oczyścić atmosferę między wami, to musimy znaleźć jakiś powód, który wyjaśniałby, dlaczego powiedział panu, iż wybiera Północny Zachód, i dlaczego nie wyraził żalu z powodu kłopotów, na które pana naraził.

— Ma pan rację — zgodził się Wayne — tyle że wytłumaczenie obu tych rzeczy naraz jest niemożliwe. Twierdzę, że to się wam nie uda.

Tym razem cisza, która wówczas zapadła, trwała bardzo długo, dopóki Rubin nie powiedział:

— Uważa pan, iż to nie zażenowanie jest powodem, dla którego nie wyraził żalu?

— Oczywiście, że tak.

— I nie poprosi go pan o wytłumaczenie?

— Nie, nie poproszę — odparł Wayne, stanowczo dając do zrozumienia, że to nie ulega kwestii.

— I uważa pan, że zatrudnianie go w obecnej sytuacji działa panu na nerwy?

— Tak, tak właśnie uważam.

— Ale jednocześnie nie chce go pan zwolnić?

— Nie. Nie uczynię tego przez pamięć o starym Alfredzie.

— W takim razie — rzekł ponuro Rubin — sam się pan zagnał w kozi róg, panie Wayne. Nie mam pojęcia, jak mógłby się pan z niego wydostać.

— Nadal twierdzę — warknął Trumbull — że powinien pan o tym zapomnieć, Bruce. Udawać, że nic się nie stało.

— To mnie przerasta — odparł Wayne, krzywiąc się.

— W takim razie Manny ma rację — rzekł Trumbull. — Nie wydostanie się pan z sideł, w które sam się pan złapał.

Rubin rozejrzał się po siedzących przy stole.

— Tom i ja twierdzimy, iż Wayne nie wyjdzie z impasu. A co wy na to?

— A gdyby jakaś trzecia... — zaczął Avalon.

— Nie — natychmiast przerwał mu Wayne. — Nie pozwolę, by ktokolwiek rozmawiał o tym z Cecilem. To sprawa wyłącznie między nim a mną.

Avalon pokręcił głową.

— No to ja też utknąłem.

— Wygląda na to — rzekł Rubin, rozglądając się po twarzach siedzących przy stole osób

— że żaden z Czarnych Wdowców panu nie pomoże.

— Żaden z Czarnych Wdowców siedzących przy stole — rzekł Gonzalo — ale jeszcze nie pytaliśmy Henry'ego. To nasz kelner, panie Wayne. Będzie pan zdumiony jego umiejętnościami rozwiązywania problemów. Henry!

— Tak, panie Gonzalo — odpowiedział Henry ze swego cichego posterunku przy bufecie.

— Słyszałeś wszystko. Co, twoim zdaniem, powinien zrobić pan Wayne?

— Zgadza się z panem Trumbullem, sir. Myślę, że pan Wayne powinien zapomnieć o całej sprawie. — Wayne wywrócił oczyma i stanowczo potrząsnął głową. — Niemniej jednak — ciągnął Henry — mam szczególny powód, by to sugerować, taki, z którym pan Wayne być może się zgodzi.

— Znakomicie — odparł Gonzalo. — Co to takiego, Henry?

— Nie mogłem nie zauważyć, że wszyscy panowie, odnosząc się do tego, co pan Pennyworth powiedział przez telefon, powtarzali jego oświadczenie, iż wybiera się na Pomocny Zachód. A to nie było dokładnie tak. Pan Wayne, kiedy po raz pierwszy napomknął o rozmowie telefonicznej, zacytował Pennywortha, który powiedział „Wybieram Północny Zachód”. Zgadza się?

— Tak, w rzeczy samej, to właśnie powiedział, ale jakie to ma znaczenie? — spytał Wayne.

— Jaka jest różnica między „wybieram się na Północny Zachód” a „wybieram Północny Zachód”?

— Różnica jest ogromna, panie Wayne. „Wybranie się na Północny Zachód” może oznaczać jedynie zamiar podróżowania w tym konkretnym kierunku, natomiast „wybranie Północnego Zachodu” wcale tego oznaczać nie musi.

— Ależ oczywiście, że musi.

— Nie, sir. Z całym szacunkiem, panie Wayne, jednakże „wybranie Północnego Zachodu” mogło oznaczać zamiar udania się samolotem należącym do Północno-Zachodnich Linii Lotniczych, jednej z największych amerykańskich firm przewozowych.

Milczenie, które wówczas nastąpiło, było elektryzujące. Po jakimś czasie Wayne szepnął:

— Dobry Boże!

— Tak, sir. I w takim wypadku wszystko wyjaśnia się samo. Pan Pennyworth mógł się mylić, myśląc, że ktoś go śledził, ale nawet jeśli tak mu się wydawało, to nie przejmował się aż tak bardzo sytuacją, by udać się do domu okrężną trasą. Powiedział panu, że leci samolotem Linii Północno-Zachodnich, wyrażając się o całej sprawie dwuznacznie, jak czyni to wielu ludzi, i zakładając, że pan zrozumie. Wbrew swej nazwie, która być może na początku była precyzyjna, Linie Północno-Zachodnie obsługują zasadniczo całe Stany i można polecieć jednym z ich samolotów z Minneapolis do Nowego Jorku, podróżując tym samym na wschód. Jestem przekonany, że gdyby nie zbieg okoliczności, iż ma pan dom w Dakocie Północnej, zinterpretowałby pan właściwie oświadczenie pana Pennywortha. Pan Pennyworth, przekonany, iż poinformował pana o locie do Nowego Jorku, powiedział, że niebawem pana



zobaczy, mając na myśli Nowy Jork. I nagle odwiesił słuchawkę, prawdopodobnie dlatego, że obwieszczono zbliżający się odlot jego samolotu.

— Dobry Boże! — jęknął znowu Wayne.

— Tak to właśnie było, sir. Potem, kiedy pan Pennyworth dotarł do domu i stwierdził, że pan jest w Dakocie Północnej, nie potrafił żadną miarą dostrzec związku między tym faktem a tym, co mógł zrobić, więc w ogóle mu nie przyszło do głowy, by przeproszać za swoje czyny. Nie mógł pytać, dlaczego pan poleciał do Dakoty Północnej: jako służącemu nie wolno mu było pozwolić sobie na taką poufałość. Gdyby pan wyjaśnił mu to z własnej woli, zrozumiałby całe zamieszanie i bez wątpienia przeprosił za to, że się do niego przyczynił. Pan jednak milczał.

— Dobry Boże! — zawołał Wayne po raz trzeci, po czym stanowczym tonem dodał: — Cały rok spędziłem na unieszczęśliwianiu się bez żadnego powodu. Nie ma co do tego żadnych wątpiwości. Batman popełnił straszliwą pomyłkę.

— Batman — rzekł Henry — ma, jak sam pan zauważył, tę wielką przewagę, która działa niekiedy na jego niekorzyść, że jest tylko człowiekiem.

# Bajka o królewiczu Zachwyteuszu i smoku, który nie ział ogniem

Król Marcus i jego ukochana małżonka, królowa Ermentruda, pragnęli mieć dziecko. To znaczy pragnęła go królowa, lecz i król był tym wielce zainteresowany. Oboje mieli pod czterdziestkę i zasadniczo zdążyli się już wyzbyć nadziei, że jeszcze uda im się spłodzić potomka. Dyskutowali nawet o ewentualnej adopcji, ale z tego pomysłu też musieli zrezygnować, okazało się bowiem, że znajdy królewskiego rodu są czymś absolutnie nieosiągalnym. A znajdy pośledniejszego pochodzenia rzecz jasna nie wchodziły w rachubę.

Jak to się jednak często zdarza, samo gadanie o adopcji wywołało fizjologiczne ożywienie i nim minął czas, w jakim człowiek zdążyłby obliczyć, ile podatku można wydusić z dziesięciu wieśniaków, królowa szeptała już radosną wieść do ucha króla. Otworzył szeroko oczy i zapytał:

— O, do diaska, jak to się stało?

Na co królowa dość uszczypliwym tonem odparła, że kto ma o tym wiedzieć lepiej niż on sam?

W miarę upływu czasu, a z jakiegoś powodu, którego nikt nie pojmuje, urodzenie dziecka zajmuje królowej tyle samo, co zwykłej kobiecie od krów, wyniknął problem chrzcina.

Królowa, której zaczęło się już robić bardzo niewygodnie i która w związku z tym bardzo pragnęła, by już było po wszystkim, powiedziała:

— Żywię głęboką nadzieję, że to będzie chłopiec i że będzie miał wszystkie cechy, jakich należy się spodziewać u porządnego królewicza, nie sądzę bowiem, mój drogi mężu, bym potrafiła przejść przez coś takiego po raz drugi.

— Dopilnujemy tego, moja najdroższa królowo. Sprosimy na te chrzciny wszystkie wróżki królestwa i już one sprawią, żeby był mężny, przystojny i w ogóle miał wszystkie zalety.

— Jesteś pewien? — spytała królowa Ermentruda. — Rozmawiałam wczoraj z czarnoksiężnikiem. On twierdzi, że tak naprawdę to jest sprawa genów.

Król Marcus zmarszczył brwi.

— Jakich znowu Geniów?

— Żadnych Geniów, tylko genów. Nie mam pojęcia, co to takiego, ale podobno wszyscy je mamy.

— E tam! — zachnął się zirytowany król. — Ja osobiście w ogóle nie wierzę w te bzdurne przesady. Jak można mieć coś, czego się nie zna i nie rozumie? Wróżki natomiast znamy i rozumiemy, więc będzie tak, jak ja mówię, i basta.

— Bardzo dobrze, mój drogi — zgodziła się królowa — mam jednak nadzieję, iż żadnej nie pominiesz.

Król się roześmiał.

— Myślisz, że jestem szalony?

Oboje, Marcus i Ermentruda, nasłuchali się wielu historii o wróżkach, których nie zaproszono na chrzciny. Nieodmiennie okazywało się, że są one nadzwyczaj złośliwe. Oczywiście i tak przybywały na chrzciny, a potem bardzo utrudniały życie biednemu niemowlęciu. Niby osoba z królewskiego rodu powinna mieć więcej oleju w głowie i dzięki temu nie zapomnieć o zaproszeniu takiej złośliwej wróżki, a mimo to podobne rzeczy zdarzały się zdumiewająco często. Królowi Marcusowi i królowej Ermentrudzie coś takiego nie miało się przytrafić. Przewertowali dokładnie Spis Wrózek i dopilnowali, by królewski skryba wystosował zaproszenia do wszystkich bez wyjątku.

To właśnie był błąd, ponieważ zaproszono również wróżkę Niezgulanę. Królewska para z pewnością by ją pominęła, gdyby cokolwiek o tym wiedziała. Była to zresztą najmilsza i najbardziej urocza ze wszystkich wrózek, więc wcale by się nie zdenerwowała, gdyby się tak stało. Trzeba powiedzieć, że kiedy już ktoś ją zapraszał, stawiała się duszą towarzystwa, dużo się bowiem śmiała, znała mnóstwo dowcipnych dykteryjek i pięknie śpiewała piosenki. Można by się zatem zastanawiać, dlaczego należało postąpić na odwrót. Otóż kiedy uczestniczyła w chrzcinach, upierała się, żeby ofiarować niemowlęciu prezent, i z tego właśnie brały się wszystkie kłopoty.

Nie robiła tego specjalnie, ale zawsze udawało jej się rzucić zły czar.

Tym razem również tak było. Do kołyski, w której leżał mały królewicz, podchodziły po kolei wróżki i dawały mu najrozmaitsze dary — urok osobisty, wspaniałą karoce, oszłamiającą inteligencję, poczucie humoru i tak dalej, i tak dalej. (Był to rzeczywiście królewicz i po jego narodzinach królowa Ermentruda oświadczyła bardzo dobitnie — kiedy wreszcie odzyskała oddech — że więcej królewiczów już nie będzie).

W pewnym momencie podeszła do niego wróżka Niezgulanka, machnęła różdżką i wypowiedziała magiczne słowa, na mocy których królewicz miał otrzymać tyle wdzięku, ile tylko można sobie wyobrazić.

Tyle że chwilę przedtem upuściła różdżkę i tak ją to wytrąciło z równowagi (niebo wie tylko dlaczego, wiecznie bowiem to robiła), iż podniosła ją za niewłaściwy koniec. Sami wiecie, co to oznacza.

Jedna z pozostałych wrózek wystąpiła naprzód i powiedziała:

— Moja droga Niezgulanko, trzymasz różdżkę... — ale było już za późno. Niezgulanka wymówiła zaklęcie, wymachując ręką różdżki nad milusią główką małego królewicza, i oczywiście przepłynęła nad nią niczym pijacka aureola zupełna odwrotność tej cechy, którą Niezgulanka zamierzyła pierwotnie.

Królewscy rodzice nie potrzebowali dużo czasu, by przekonać się, że stało się coś złego. Królewicz skończył trzy lata, zanim nauczył się przejść więcej niż dwa łokcie i nie przewrócić się przy tym. Nie potrafił niczego podnieść, żeby zaraz tego kilka razy nie upuścić. I wiecznie też stawał komuś na drodze. Królewski lokaj potykał się o niego nieustannie, i to zawsze wtedy, gdy niósł akurat najprzedniejsze wino. Małemu królewiczowi nigdy nie przyszło do głowy, że powinien schodzić ludziom z drogi.

Nikogo jednak nigdy nie wyprowadzał z równowagi, ponieważ posiadał wszystkie inne dary, które ofiarowały mu wróżki. Miał wesołe usposobienie, rozumiał, co się do niego mówi, był posłuszny, łagodny i w ogóle byłby wszystkich zachwycał — gdyby nie ten brak wdzięku.

Nie dziwota więc, iż zachwyceni rodzice nazwali go królewiczem Zachwyteuszem i tak też nazywali go wszyscy. Nawet kiedy tłukł kolejne sztuki bezcennej zastawy, które mu wpadły w ręce, wszyscy uważali go za zachwycającego.

Możecie być pewni, że zasięgnięto rady u Niezgulanki. Królowa zapytała bardzo uprzejmie (wobec wróżki należy być zawsze bardzo uprzejmym, niektóre z nich bowiem są strasznie drażliwe), co się właściwie stało.

Niezgulanka mocno poczerwieniała i odparła:

— Ja... hm... chyba niechcący złapałam różdżkę za niewłaściwy koniec.

— No cóż, moja droga — rzekła królowa Ermentruda przymilnym tonem — czy nie mogłabyś chwycić jej teraz poprawnie i spróbować raz jeszcze?

— Bardzo bym chciała — odparła Niezgulanka — i zrobiłabym to natychmiast, lecz znoszenie własnego zaklęcia, które zostało rzucone w dobrej wierze, jest niezgodne z wyznawanymi przez wróżki zasadami.

— Jeśli tego nie zrobisz — zauważyła królowa — to pozostawisz nas w straszliwym położeniu.

— Jeśli to zrobię — rzekła Niezgulanka — to zostanę wyrzucona ze Związku Zawodowego Wróżek.

Rzecz jasna, na coś takiego królowa nie znała odpowiedzi.

Sprawy toczyły się coraz gorzej. Kiedy Zachwyteusz skończył trzynaście lat, oddano go w ręce instruktora tańca, ponieważ jednym z pierwszych obowiązków królewicza jest uczestniczenie w królewskich balach. Miał wówczas tańczyć z damami dworu i być doskonały w gawotach, menuetach oraz innych nowomodnych pługach.

To było wprost beznadziejne. Królewicz Zachwyteusz tańczyłby lepiej, gdyby robił to, stając na rękach. Za każdym razem, gdy żądano od niego, by wystawił prawą stopę, wystawiał lewą i na odwrót. Zawsze, kiedy wykonywał ukłon, uderzał głową o głowę partnerki. Gdy się obracał, nieuchronnie na kogoś wpadał. I zwyczajnie nie umiał tańczyć do taktu. Instruktorzy tańca, w strachu, że obrażą królewską osobę, nieodmiennie zapewniali rodziców królewicza, iż ten tańczy jak anioł. Ci jednak rzecz jasna widzieli, że porusza się jak pijany marynarz.

Jeszcze gorzej było, gdy zaczął się uczyć władania bronią. W czasie lekcji fechtunku najsprytniejsza nawet praca nóg przeciwnika nie ratowała królewicza przed trafieniem się własną szpadą. W zapasach, nawet kiedy przeciwnik jakoś umiał utrzymać go w pozycji pionowej, królewicz Zachwyteusz nadeptywał na swoje sznurowadła i przewracał się. Króla Marcusa ogarnęła rozpacz.

— Moja najdroższa — rzekł do królowej Ermentrudy — nasz ukochany syn, królewicz Zachwyteusz, skończy jutro dwadzieścia lat, a my nie możemy wydać balu, by to uświetnić, ponieważ on nie potrafi tańczyć. Nie możemy zorganizować turnieju, gdyż nie umie walczyć. Nie odważę się nawet zaaranżować jakiejś procesji, ponieważ może się przewrócić.

— Mógłby jechać konno — odparła bez przekonania królowa Ermentruda.

— Nie bez kozery wahasz się, mówiąc to, moja droga. Z pewnością widziałas go na koniu.

— Widziałam — przyznała.

— Wiesz zatem, iż w żaden sposób nie potrafi się dostosować do ruchów zwierzęcia i tylko idiotycznie podskakuje.

Królowa westchnęła.

— No to co zrobimy?

— Co zrobimy? Musimy wysłać go w świat na poszukiwanie szczęścia.

— Och nie! — zaprotestowała królowa. — Nie naszego jedynego syna.

— Ależ o co ci chodzi? Z tego, co mi wiadomo, królowie zazwyczaj mają trzech synów i wysyłają w świat wszystkich, jednego po drugim. My wyślemy tylko jednego, a to dlatego, że ty nigdy nie chciałaś mieć ich więcej.

Królowa natychmiast wybuchnęła płaczem.

— To okrutne z twojej strony — poskarżyła się. — Nie powiedziałbyś tego, gdybyś to ty wydawał go na świat. Chciałabym cię zobaczyć, jak rodzisz dziecko, jeśli ci się wydaje, że to taka zabawa. Chciałabym zobaczyć jakiegokolwiek mężczyznę...

— Tylko mi tu nie płacz, moja najdroższa — pośpiesznie przerwał jej król Marcus. — Powiedziałem to bezmyślnie i bardzo tego żałuję. Ale tak czy inaczej musimy wysłać Zachwyteusza w świat. Tak nakazuje obyczaj.

— On robi sobie krzywdę. Nie potrafi inaczej. Jemu brakuje wdzięku, bo ta głupia Niezgulanka...

— Cicho bądź — wtrącił prędko król. — Może tu gdzieś latać, niewidzialna dla nas, i jeszcze cię usłyszy. Poza tym nawet jeśli Zachwyteuszowi brakuje wdzięku, to ma wszystkie inne zalety i być może te wystarczą. Może na przykład zabić jakiegoś smoka i poślubić piękną księżniczkę, a następnie w imieniu swojego teścia pokonać wrogą armię i zdobyć królestwo tak piękne jak nasze. Zostanie wielkim królem i będzie zwycięzcą. Jeśli zdarzyło ci się przeczytać podręczniki do historii, to powinnaś wiedzieć, że tak się dzieje od zawsze.

— Ale czy dojdzie do tego wszystkiego? Nie ma tu w okolicy żadnych smoków, o których bym wiedziała. Nie ma ich tu od lat.

— To oczywiste. Królewicze tak się napracowali przy ich zabijaniu, że teraz smoki są zagrożonym gatunkiem. W rzeczy samej, chodzą słuchy, iż wszystkie królestwa mają zawrzeć

specjalną umowę i zabronić dalszego ich zabijania.

— Wspaniała wiadomość dla dziewic, nie ma co — odparła królowa z oburzeniem. — Przecież smoki nimi właśnie się żywią.

— Wiem. Związek Zawodowy Dziewic energicznie walczy z tym trendem. Z tego, co wiem, rozsyłają odezwy o wsparcie finansowe, opatrzone hasłem: „Wolisz mieć smoka czy dziewicę na każde swoje zawołanie?” Przypuszczam, że królewicze mogą w zamian zabijać bazyliuszki, chimery i hydry, ale i one należą do zagrożonych gatunków. Żyjemy w ciężkich czasach, jednak mimo wszystko jest pewna nadzieja. Poprosiłem czarnoksiężnika, by przejrzał kolumnę ogłoszeń w „Gazecie Zabójców Smoków”. W królestwie Poictesme mają smoka, którego chcą zabić, i ogłoszenie zawiera miniaturową podobiznę córki króla. Wydaje się dość ładna, ale smok to chyba jakiś wielki bydlak i królewicze raczej się boją tego zadania.

— Jeśli to wielki bydlak, to z pewnością nie pozwolę, by Zachwyteusz ryzykował życie...

— Ależ moja droga, ja już się skonsultowałem z Zachwyteuszem. Może wdzięku to on nie ma, lecz jest odważny jak lew — i to wielki lew — a ponadto wymiary tej młodej damy, które król Poictesme rozsądnie zawarł w ogłoszeniu, zrobiły na nim wielkie wrażenie.

— Już nigdy go nie zobaczę — załkała królowa. — I jestem pewna, że ta dziewczka ma silikonowe implanty.

Niemniej jednak królowe mogą sobie płakać, a królewicze muszą wywiązywać się z obowiązków.

Królewicz spakował sakwy, schował do kieszeni spory zapas złota i przestudiował trasę do Poictesme na dostarczonej przez czarnoksiężnika mapie, gdzie zaznaczono wszystkie ważniejsze autostrady. Wziął ze sobą dwie lance długości dwunastu stóp oraz zbroję, która zdaniem czarnoksiężnika była lekka i miała nie zardzewieć, ponieważ wykuto ją z magicznego metalu zwanego aluminium.

Odjechał; król z królową machali dopóty, dopóki go widzieli. Przy drodze stało też sporo gapiów, którzy żegnali swego królewicza wiwatami. Niektórzy również zakładali się, czy spadnie z konia, zanim jeszcze zniknie im z oczu. Spadł raz czy dwa.

Podróż Zachwyteusza z królestwa ojca do Poictesme trwała standardowy czas — rok i jeden dzień.

W rzeczy samej, tyle potrzebował czasu, by dotrzeć do pałacu króla Poictesme, Faradaya. Do granic królestwa dotarł kilka tygodni wcześniej.

Powitał go stary szambelan, który jak najstaranniej zbadał jego dowód tożsamości, w mocno wyświechtanym atlasie sprawdził położenie jego królestwa i zadzwonił do Rejestru Królewiczów, by poznać ocenę jego zdolności kredytowej. Wszystko musiało pójść jak trzeba, ponieważ szambelan ostatecznie skinął głową i kwaśnym tonem powiedział:

— Chyba jesteś okay.

— To wspaniale — ucieszył się królewicz Zachwyteusz, potykając się o nieznaczące wybrzuszenie w gładkiej posadzce. — Czy dostanę numerek?

— Numerek? Po co ci numerek, wasza wysokość?

— Żeby wiedział, kiedy przypada moja kolej. To znaczy, kiedy mogę pojechać, by zabić smoka.

— Och, możesz to zrobić w każdej chwili. Jesteś aktualnie jedynym królewiczem w okolicy. Mamy spore niedobory.

— Zabójczy smok, co?

— Któż to wie? Te strachajła pojawiają się, po czym natychmiast zawracają i pospiesznie odjeżdżają. Żaden nie miał na tyle przyzwoitości, by dać się zabić przed wyjazdem.

Królewicz zacmokał z niesmakiem. Wieści o upadku dobrych manier zawsze go przygnębiały.

— W moim wypadku będzie inaczej. Zatrzymam się jedynie po to, by poznać króla, uzyskać jego błogosławieństwo i pościskać się... chciałem powiedzieć, przywitać się z piękną księżniczką. A przy okazji, jak ona ma na imię? Nie podano tego w ogłoszeniu.

— Laurelene, wasza wysokość.

— By powitać łaskawą księżniczkę Laurelene. Czy moja przyszła teściowa, królowa, żyje?

— Tak, lecz wycofała się na emeryturę do klasztoru.

— Ach, zapewne wszystkim to ucieszyło, z wyjątkiem samego klasztoru.

— Klasztor istotnie się uskarżał, wasza wysokość.

Król Faraday powitał Zachwyteusza z najgłębszym sceptycyzmem, zwłaszcza po tym, jak królewicz wsparł się na swej włóczni w taki sposób, że ta usunęła się spod niego.

— Jesteś pewien, że wiesz, jak zabić smoka? — spytał król.

— Tą włócznią — odparł królewicz Zachwyteusz, zbyt entuzjastycznie nią wymachując, przez co wyleciała przez okno, rozbijając po drodze witraż.

— To się rozumie samo przez się, jak widzę — stwierdził król Faraday z jeszcze głębszym sceptycyzmem i posłał po nią służącego.

Księżniczka Laurelene ogarnęła wzrokiem posturę i muskuły królewicza Zachwyteusza, po czym uśmiechnęła się niemal uwodzicielsko.

— Tylko nie daj się zabić, królewiczu, kiedy będziesz zabijał smoka — powiedziała. — Martwy nie przydasz mi się na nic.

— Nie znam lepszego od ciebie powodu do pozostania przy życiu — odparł królewicz Zachwyteusz, wymachując podczas ukłonu kapeluszem. Uderzył przy tym pióropuszem w królewskie oko.

Następnego ranka otrzymał wskazówki od czarnoksiężnika króla Faradaya, który również miał mapę. W końcu wyruszył w drogę, machając radośnie do króla i jego córki.

Król pomachał mu i stwierdził ponurym tonem:

— Całkiem możliwe, iż zabije smoka swą latającą włócznią albo swym jeszcze bardziej śmiercionośnym kapeluszem.

— Pomyśl, ojczy — powiedziała Laurelene, która była piękna jak dzień i miała długie, jasne włosy, których koloru prawie nie musiała poprawiać — jeśli on zabije smoka, wszystkie dziewczęta w królestwie będą znowu bezpieczne.

— I ty także, na domiar wszystkiego — stwierdził król Faraday.

Na co Laurelene, z łobuzerskim uśmiechem, dodała:

— Ależ ojciec, co by sobie królewicz Zachwyteusz pomyślał, gdyby to usłyszał? — I tu przydepnęła stopę staruszka.

Królewicz Zachwyteusz jechał wytyczoną trasą tydzień i jeden dzień, aż znalazł się w głębi ciemnego boru.

Zaczął podejrzewać, że być może przebywa w pobliżu smoka, bowiem jego koń zastrzygł uszami i wydał chrapy.

Królewicz sam zastrzygł uszami, gdy usłyszał odgłos świszczącego pochrapywania, dokładnie taki sam, jaki opisano w jego *Podręczniku dla polujących na smoki*. Był to bardzo głośny dźwięk, który zdawał się zdradzać obecność potężnej bestii.

Co więcej, nozdrza królewicza również się rozděły, kiedy poczuł woń smoka. Woń bardzo nieprzyjemną.

Królewicz Zachwyteusz zatrzymał się, by obmyślić strategię. Sądząc po chrapaniu, było oczywiste, że smok śpi, a według podręcznika smoczy sen jest głęboki i trudny do zakłócenia. To miało sens, bowiem smoki nie mają naturalnych wrogów z wyjątkiem królewiczów i zazwyczaj śpią bezpiecznie.

Wydawało się, że jedyny słuszny pomysł to dźgać bestię włócznią, dopóki ta się nie obudzi. Potem mógłby stanąć z nią do sprawiedliwej i wyrównanej walki, odpowiadając czujnością na czujność.

Z drugiej strony jednakże, pomyślał królewicz, czy to rzeczywiście słuszne?

Ostatecznie smok był znacznie większy i silniejszy od Zachwyteusza, nawet jeśli wziąć pod uwagę królewicza razem z koniem. Poza tym smoki potrafią latać. A także ziać ogniem.

Czy to słuszne? Nie, pomyślał królewicz Zachwyteusz.

Ponieważ królewicz studiował logikę u czarnoksiężnika, wyciągnął całkiem poprawny wniosek, że równowaga zostanie niejako zachowana, jeżeli smok będzie spał. Jeśli będzie spał, to nie będzie mógł ani latać, ani ziać ogniem, choć nadal będzie większy i silniejszy od królewicza, a więc będzie miał przewagę.

Królewicz Zachwyteusz pogonił konia do galopu, a gdy ten wpadł na polanę, zobaczył pogrążonego we śnie smoka. Był rzeczywiście bardzo duży. Miał prawie sto stóp długości i porastały go twarde łuski, których, jak instruował podręcznik, nie dawało się przebić zwykłą włócznią. Należało mierzyć w oko, które, na całe szczęście, było zamknięte.

Królewicz Zachwyteusz wycelował włócznią i spiął konia ostrogami. Wierny rumak ruszył do przodu, niosąc królewicza, który nie odrywał wzroku od zamkniętego oka potwora.

Niestety, oko królewicza pozostało pewne, nieruchome i wymierzone we właściwy cel, za to włócznia nie. Wysięk nakierowania obu tych rzeczy na jeden obiekt przerastał możliwości królewicza i ostrze chybiło celu. Włócznia utknęła w ziemi, a królewicz wykonał wysoki skok w powietrzu.

Broń wypadła mu z ręki. Zachwyteusz stwierdził, że upadł na coś twardego i łuskowatego.



Instynktownie uchwycił to w śmiertelnym uścisku i przekonał się, że obejmuje smoka za kark, tuż za łbem.

Wstrząs obudził bestię, która uniosła łeb na wysokość dwudziestu stóp. Królewicz Zachwyteusz mimo woli krzyknął:

— Ej! Ej!

Smok z trudem podniósł się na nogi i jego łeb wystrzelił w górę na kolejne dziesięć stóp. Koń, zauważywszy, że jego pan spadł, roztropnie postanowił wrócić do domu. Zawrócił i uciekł, a królewicz Zachwyteusz poczuł się opuszczony.

Smole obrócił łeb, wyraźnie szukając tego, co wydało ów dźwięk i wspierało swój niewielki ciężar na jego karku, ale oczywiście nic nie zobaczył. W żaden sposób nie umiał obrócić łba o sto osiemdziesiąt stopni.

— E! Jezd tam kto? — zapytał wreszcie głębokim, tubalnym warkotem.

Królewicz Zachwyteusz wytrzeszczył oczy. Nikt w całej obszernej literaturze smokoznawczej, którą czytał w ramach swej edukacji, nie informował, że smoki potrafią mówić — i to najwyraźniej z gminnym akcentem.

— No jakże, ja tu jestem — odparł. — Królewicz Zachwyteusz.

— E, co ty tam robisz? Złaż stamtąd, nie? Złaż z moich łusek.

— Nie zejdem, jeśli to oznacza, że mnie pan pożre.

— Nie pożrę cię. Po pierwsze primo, mnie się nie chce żreć. Po drugie primo, nie wziąłbym takiego jak ty do gęby. Złaż, to se pogadamy. Nie masz żadnej dzidy, co nie?

— Obawiam się, że ją straciłem.

— No i dobra jezd. Złaż i gadaj jak cywilizowany smok.

Wielki łeb i kark opuściły się powoli, a kiedy już dotknęły ziemi, królewicz Zachwyteusz zsunął się ostrożnie. W rękawicy miał niewielkie rozdarcie, w tym miejscu, gdzie zahaczyła o twarde brzeg łuski. Wycofał się do lasu.

— Na pewno mnie pan nie zaatakuje?

— A weź ty się wyluzuj. Powiedziałem, że nie zaatakuję. Dałem słowo. Smok jezd związany swoim słowem. Nie jak te chamy królewicze. Po co wy tu przyłazita? Żeby tylko zawracać łeb? Jeden z was ukatrupił mi siostrę. Inny starego zaciukał. Co wy do nas macie?

— No jak to? Przecież wy zjadacie dziewice.

— To kłamstwo. Ja tam bym nie dotknął dziewicy. One zawsze śmierdzą jak tania perfuma. Jak byłem mały, to polizałem taką po gębie. Ble! Sam puder. Dziewiców nie da się szamać.

— To w takim razie co pan jada?

— A co podleci. A to wtrząchnę trawy, a to owoców, orzechów i korzonków... no, co jakiś czas króliczka albo kociaka. A potem wy, chłopaki, gonita nas z włóczniami, mieczami i koniami, chociaż my wam nic nie zrobili.

— Kiedy wszyscy mówią, że wy jecie dziewice.

— No bo to te dziewice chcą, co by o nich gadali. Chłopie, ale mnie to wnerwia.

— Proszę chwilę poczekać — powiedział zatrwożony królewicz. — Proszę nie pluć

ogniem.

— Kto, ja? — Smok wysunął do przodu dolną wargę, a w jego oku pojawiła się łza, która mogłaby wypełnić wiadro. — Ja nie umim pluć ogniem. Jezdem pewno jedynym smokiem, który nie umi pluć ogniem.

— Och? Czemu nie?

Smok westchnął potężnie i cuchnący zapach wypełnił powietrze. Królewicz zacisnął nos, ale bestia zdawała się tego nie zauważać.

— To bardzo smutna historia — oświadczył.

— Czy mógłbym ją poznać, uhm, sir? A tak nawiasem mówiąc, jak panu na imię?

— Jak mi na imię? Boinard, ale możesz mnie nazywać Bernie. Wtedy właśnie zaczęły się moje kłopoty. Przy chrzcinach.

— Przy twoich chrzcinach? — zdziwił się niepomiernie królewicz Zachwyteusz. — Co za dziwny zbieg okoliczności. Wtedy właśnie zaczęły się również moje kłopoty.

— No tak, ale co za kłopoty może mieć królewicz? No dobra, posłuchaj mnie. Mój stary ze starszą chcieli, cobym miał dobry start w życiu dzięki imieniu Boinard, które w rodzinie przynosi szczęście, więc zaprosili wszystkie wróżki z całego królestwa na chrzciny. I, no, tego, wiesz, pojawiła się tyż jakaś wróżka z zagranicy.

— Wróżka z zagranicy?

— Ano. Taka miła, starsza damulka, tak mi powiedzieli moi, ale jakaś taka niedodziałana, rozumiesz, co chcę powiedzieć? Kompletna oferma.

— Czy miała może na imię Niezgulanka?

— A jak raz! Tak jej właśnie było. Skąd wiesz?

— Ta sama wróżka była na moich chrzcinach.

— I w tobie też coś spaprała?

— I to bardzo.

— E, tośmy jakby kumple. Podaj grabę, kumpel. Gigantyczna łapa smoka wyciągnęła się w stronę królewicza Zachwyteusza i pochłonęła jego drobną dłoń.

— Wiesz, co ona mi zrobiła? — spytał smok.

— Nie.

— Jak już te wszystkie wróżki tak zrobiły, że byłem duży, silny i przystojny przez te śliczne łuski, to ona tyż podlazła, coby mi dać pysk, co to zionie wielgaśnym ogniem, ale wszystko się jej pomigało. No i żadnego ognia.

— Ale ja nic nie rozumiem. Skoro nie ziejesz ogniem, Bernie, to czemu inni królewicze nie chcą z tobą walczyć? Mówiono mi, że wszyscy natychmiast odchodzą, jak się tylko z tobą spotkają.

— No i w tym sęk. Nikt się ze mną nie zadaje. Nawet smoczyce. Patrz na mnie. Jezdem duży, silny i pikny, a od siedemdziesięciu pięciu lat nie spojrziała na mnie żadna kobitka.

— Dlaczego nie?

— No bo jak się wścieknę albo zrobię namiętny, jeśli kapujesz, co chcę powiedzieć, to nie strzelam ogniem, tylko czymś innym.

– Czym?

– Chcesz zobaczyć?

– Nic mi się nie stanie, prawda?

– A pewno, że nie. Tylko daj mi pomyśleć o sytuacji, cobym się wściekł.

Smok zamyślił się przez chwilę, a potem powiedział:

– Teraz!

Otworzył paszczę i dmuchnął, a królewicz natychmiast padł na ziemię, zakrywając dłońmi nos. To, co się z niej dobyło, to był najgorszy, najohydniejszy, najpaskudniejszy smród, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się poczuć. Toczył się po ziemi i krztusił.

– Zara ci przejdzie – pocieszył go smok. – Dałem ci tylko ociupinę. Ja to se nawet umyśliłem, że tak jezdź lepiej. Przed ogniem możesz zwiąć, przed tym nie. Jak oddycham, to wszyscy rycerze, każdy jeden, od razu zwiewają. I smoczyce też. Co za życie.

Smok ze smutkiem potrząsnął łbem. Królewicz Zachwyteusz podniósł się chwiejnie. Las wciąż śmierdzał, ale to dawało się wytrzymać.

– Bernie, czy chciałbyś wrócić ze mną do Poictesme, żebym cię przedstawił królowi Faradayowi?

– Że jak? I co? Milion rycerzy pochłastałoby mnie włóczniami?

– Nie, uwierz mi. Zostaniesz potraktowany jak sam król. Dostaniesz tyle króliczków, ile zdołasz zjeść, i trawę też.

– Jak to?

– Zobaczysz. Zaufaj mi. Ale będę musiał jechać na twoim grzbiecie. Już nie mam konia.

Królewicz Zachwyteusz wrócił na grzbiecie Berniego, usadowiony tuż za jego łbem, spoglądając na świat z wysokości trzydziestu stóp.

Z początku wszyscy uciekali z wrzaskiem, ale królewicz Zachwyteusz wołał nieustannie:

– Przyjaciele, to oswojony smok, dobry smok! Nazywa się Bernie! Powiedz coś do nich, Bernie!

I smok zawołał:

– Hej, ludziska! To ino ja i mój kumpel, królewicz!

W końcu jacyś wieśniacy, robotnicy, a także hultajstwo wszelkiej maści, odważniejsi niż reszta, zaczęli podążać za nimi. Smok stawiał ostrożnie swoje wielkie kroki, pilnując, by kogoś przypadkiem nie zdeptać. Jego wielki łeb obracał się z boku na bok na długiej szyi, a królewicz machał majestatycznie najpierw tym z prawej, a potem tym z lewej.

Potem, kiedy wieść się rozniosła, ludność zaczęła ustawiać się szpalerem przy drodze i nim Bernie wkroczył do stolicy, a następnie na główną aleję wiodącą do pałacu, wiwatujące tłumy przemieniły się w triumfalną procesję.

– Ej, te ludzie to wcale nie są takie złe, jak ich poznać, królewiczu – stwierdził smok.

– Są prawie cywilizowani – potwierdził królewicz Zachwyteusz.

Król Faraday wyszedł naprzeciw, żeby ich powitać, a razem z nim Laurelene, która zawołała:

– Witaj, mój dzielny królewiczu!

Naprzeciw wyszedł także czarnoksiężnik, wytarł oczy i powiedział:

— Apatozaur! I kto by powiedział? — Ale on często gadał od rzeczy, więc nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Berniego ulokowano w stajni, tak daleko od pałacu, jak to było możliwe. Król Faraday, dopatrzwszy tego, powrócił do sali tronowej i powiedział do królewicza Zachwyteusza:

— Przyznaję, że sprowadzenie tego potwora to niezły numer, ale nie do tego cię zaangażowałem. Miałeś go zabić.

— Tak, lecz ujarzmiony smok jest znacznie lepszy od martwego. Jeśli wasza wysokość pozwoli, mogę to wyjaśnić.

— Słucham.

— Przede wszystkim zakładam, iż jako szanowany monarcha masz jakiegoś sąsiada, który jest twoim wrogiem i z którym walczysz od pokoleń. Spustoszyłeś jego ziemie, on spustoszył twoje, a wielu ludzi po obu stronach umarło w męczarniach.

— No, tak istotnie jest. To cywilizowany kraj i nie przyszłoby nam do głowy, by zachowywać się inaczej. Pomiedzy mną a bezbożną, barbarzyńską Lotaryngią na wschodzie toczy się wojna.

— I w danej chwili twoja armia atakuje ich, czy też ich armia atakuje ciebie?

Król Faraday zakasłał.

— W danej chwili Lotaryngia zyskała nieznaczną przewagę i doszła na odległość dziesięciu mil od stolicy jednej z naszych prowincji, Papeete.

— A czy chciałbyś zniszczyć ich wojska i narzucić im warunki pokojowe wedle własnego uznania?

— Bez wątpienia, lecz kto potrafiłby siać takie zniszczenie?

— No jakże? Bernie i ja. Sami.

— Toż w poczet armii Lotaryngii zalicza się tysiąc mężnych, uzbrojonych po zęby rycerzy. Twój smok może zabije kilku, ale potem sam zostanie zabity, a nasi ludzie będą wielce zdeprymowani taką porażką.

— Nie będzie porażki. Każ przygotować siodło na kark Berniego oraz wodze, żebym nie spadł z jego grzbietu. Poproś czarnoksiężnika, by zaprojektował jakieś nakrycie głowy, które będzie mi oczyszczało powietrze. Przyślij także mały oddział, który eskortuje mnie do lotaryńskiej armii.

— Mały oddział?

— Będą mogli zawrócić, kiedy Bernie i ja dotrzemy do Lotaryńczyków. Bernie i ja zmierzmy się z nieprzyjacielem sami. Każ jednak, żeby wojska czekały na flankach, gotowe zająć od tyłu armię wroga, by odciąć jej drogę ucieczki.

— To szaleństwo, ale zrobię, jak chcesz — rzekł król Faraday. — Ostatecznie ty przyprowadziłeś smoka, podczas gdy inni tylko uciekali.

Przygotowano siodło i wodze. Czarnoksiężnik przyniósł urządzenie dziwaczного kształtu, dopasowane specjalnie do głowy królewicza Zachwyteusza.

— Dzięki temu powietrze będzie czyste — rzekł czarnoksiężnik. — To maska gazowa. Ale, jak zwykle, jego słowa nie zrobiły na nikim wrażenia.

Królewicz Zachwyteusz i Bernie pojawili się przed liniami lotaryńskiej armii. Ustawieni w bojowym szyku Lotaryńczycy nastawili włócznie.

Niemniej jednak na widok smoka i jeźdźca z twarzą ukrytą pod jakimś straszliwym przyrządem po ich szeregach przebiegło drżenie.

Ostatecznie wszyscy Lotaryńczycy widzieli wizerunki smoków, ale żaden nie widział maski gazowej ani w książkach, ani w prawdziwym życiu.

Lotaryński generał zebrał się jednak na odwagę i zawołał:

— To tylko jedna bestia na grzbiecie drugiej, moi dzielni Lotaryńczycy. Nie ustępujcie im pola, zachowujcie się jak mężczyźni. Otoczcie smoka, unikajcie płomieni i zaatakujcie ostrzami jego ogon. Ból spowoduje, że ucieknie.

Lotaryńczycy nabrali odwagi i stanęli w pogotowiu, czekając, aż smok się przybliży. Nie przybliżył się jednak, tylko zachował dystans.

— Słyszałeś ich? — spytał królewicz Zachwyteusz. — Chcą posiekać twój piękny ogon.

— To żem słyszał — warknął smok — ale nie zrobią tego, bo od tego, co powiedzieli, naprawdę się wściekł.

I otworzył swą gigantyczną paszczę, z której przy akompaniamencie ogłuszającego ryku wyłoniła się chmura wzburzonego, cuchnącego gazu. Fala gazu przetoczyła się po armii lotaryńskiej, rozprzestrzeniając się we wszystkie strony. Uzbrojeni mężczyźni wypadali z szeregów i rzucali się do ucieczki, odrzucając przy tym broń; pragnęli jedynie znaleźć się jak najdalej od tego niewiarygodnie ohydneho smrodu.

Kilka mil dalej armia, zredukowana do pogrążonej w chaosie grupki, spotkała się z czekającymi na nią wojskami Poictesme i tylko nielicznym udało się uniknąć śmierci albo niewoli.

— Możesz poślubić moją piękną dziewczyną córkę, królewiczu Zachwyteuszu — oznajmił król Faraday — a ponieważ nie mam syna, odziedziczysz po mojej śmierci królestwo, a także podbitą Lotaryngię oraz państwo swego ojca. A co do smoka, to będzie on naszym bohaterem tak długo, jak zechce tu pozostać. Będzie się żywił najzaczniejszym sianem, a my będziemy łapać dla niego drobne zwierzątka, gdy najdzie go na nie ochota.

— Chciałby też mieć do towarzystwa jedną, może dwie smoczyce — rzekł nieśmiało królewicz Zachwyteusz.

— Nawet da się to załatwić — odparł król — pod warunkiem, że nauczy się do pewnego stopnia panować nad swymi namiętnościami.

Podczas ceremonii zaślubin królewicz Zachwyteusz potknął się tylko dwa razy, ale do Berniego w stajni powiedział potem:

— To się nie liczy. W rzeczy samej wszystko to osiągnąłem dzięki Niezgulance. Własna niezdarność wrzuciła mnie na twój kark, a twój obrzydliwy oddech zniszczył armię wroga.

No, muszę już wracać do mojej pięknej żony.

Jak się okazało, nie był niezdarny podczas nocy poślubnej, toteż razem z księżniczką Laurelene żyli długo i szczęśliwie.

# Cal

Jestem robotem. Nazywam się Cal. Mam swój numer rejestracyjny CL-123X, ale mój pan nazywa mnie Cal.

To „X” w moim numerze rejestracyjnym oznacza, że wykonano mnie specjalnie dla mojego pana. On poprosił o mnie i pomógł mi zaprojektować. Ma mnóstwo pieniędzy. Jest pisarzem.

Nie jestem skomplikowanym robotem. Mój pan nie potrzebuje skomplikowanego robota. On chce tylko, żeby ktoś sprzątał po nim, obsługiwał drukarkę, układał dyskietki i robił inne rzeczy tego typu.

Mówi, że mam z nim nie dyskutować i robić, co mi się każe. Mówi, że tak jest dobrze.

Czasami przychodzą do niego ludzie i pomagają mu. Dyskutują z nim. Czasami nie robią tego, co pan im każe. Pan robi się wtedy bardzo zły i czerwony na twarzy.

Potem każe mi coś zrobić i ja to robię. Mówi wtedy: „Bogu niech będą dzięki, że ty przynajmniej robisz, co ci się każe”. To oczywiste, że robię, co mi się każe. Cóż innego mogę zrobić? Ja chcę, by mój pan czuł się dobrze. Wiem, kiedy mój pan czuje się dobrze. Jego usta rozciągają się i on nazywa to uśmiechem. Klepie mnie po ramieniu i mówi:

— Bardzo dobrze, Cal.

Lubię, jak on mówi: „Bardzo dobrze, Cal”.

— Dziękuję panu. Ja też czuję się dobrze dzięki panu — odpowiadam.

I on się śmieje. Lubię, gdy on się śmieje, bo to oznacza, że czuje się dobrze, jednak to dziwny dźwięk. Nie rozumiem, ani jak on to robi, ani dlaczego. Pytam go, a on mówi, że śmieje się wtedy, gdy coś jest śmieszne.

Pytam go, czy to, co powiedziałem, jest śmieszne.

— Tak, jest śmieszne — mówi.

Mówię, że czuję się dobrze, i to jest śmieszne. Pan mówi, że roboty raczej nie mogą czuć się dobrze. Mówi, że tylko panowie, którzy są ludźmi, czują się dobrze. On mówi, że roboty mają pozytronowe ścieżki mózgowe i że te ścieżki działają sprawniej, kiedy one wypełniają polecenia.

Nie wiem, co to są pozytronowe ścieżki mózgowe. On mówi, że to jest coś, co ja mam w środku.

Pytam:

— Czy dla mnie wszystko staje się łatwiejsze, kiedy pozytronowe ścieżki działają sprawniej? Czy to dlatego czuję się dobrze? — A potem pytam jeszcze: — Czy kiedy pan czuje się dobrze, to dlatego, że coś w jego środku działa sprawniej?

Mój pan kiwa głową i mówi:

— Cal, jesteś mądrzejszy, niż na to wyglądasz.

Też nie wiem, co to oznacza, ale mój pan jest wyraźnie zadowolony ze mnie, a dzięki temu moje pozytronowe ścieżki mózgowe pracują lepiej i w efekcie czuję się dobrze. Po prostu łatwiej jest powiedzieć, że dzięki temu czuję się dobrze. Pytam, czy mogę tak powiedzieć.

— Mów sobie, co chcesz, Cal — mówi pan.

Ja chcę być pisarzem, tak jak mój pan. Nie rozumiem, skąd to uczucie, lecz mój pan jest pisarzem i pomógł mi zaprojektować. Może to dzięki jego projektowi czuję, że chcę być pisarzem. Nie wiem, skąd to uczucie, bo nie wiem, co to jest pisarz. Pytam mojego pana, co to jest pisarz.

Pan znowu się uśmiecha.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć, Cal? — pyta.

— Nie wiem — mówię. — Może dlatego, że pan jest pisarzem, i ja chcę wiedzieć, co to jest pisarz. Pan się wydaje taki szczęśliwy podczas pisania, a skoro pan jest dzięki temu szczęśliwy, to może ja też bym mógł być szczęśliwy. Mam uczucie... — Brakuje mi słów, żeby to wyrazić. Myślę chwilę, a pan czeka. Nadal się uśmiecha.

— Chcę wiedzieć, bo poczuje się lepiej, jeśli będę wiedział. Jestem... jestem...

— Jesteś zaintrygowany, Cal — mówi.

— Nie wiem, co to słowo oznacza — odpowiadam.

— To znaczy, że chcesz się dowiedzieć, bo po prostu chcesz to wiedzieć — mówi.

— Chcę się dowiedzieć, bo po prostu chcę to wiedzieć — mówię.

— Pisanie polega na zmyślaniu opowieści — mówi pan. — Ja opowiadam o ludziach, którzy robią różne rzeczy i z którymi dzieją się różne rzeczy.

— Skąd pan wie, co oni robią i co się z nimi dzieje? — pytam.

— Ja ich wymyślam, Cal — odpowiada pan. — To nie są prawdziwi ludzie. Oni nie żyją naprawdę. Ja ich sobie wyobrażam, o tutaj.

Pokazuje swoją głowę.

Nie rozumiem i pytam, jak on to robi, że ich wymyśla, na co on się śmieje i mówi:

— Ja też nie wiem. Ja ich po prostu wymyślam. I mówi: — Ja piszę kryminały. Opowiadania sensacyjne. Opowiadam o ludziach, którzy robią złe rzeczy, którzy wyrządzają krzywdę innym ludziom.

Czuję się bardzo źle, kiedy to słyszę.

— Jak pan może mówić o wyrządzaniu krzywdy innym ludziom? Tego nie wolno robić — mówię.

— Przedstawiciele gatunku ludzkiego nie podlegają Trzem Prawom Robotyki. Ludzie mogą wyrządzać krzywdę innym ludziom, jeśli chcą — odpowiada pan.

— To niedobrze — mówię.



— To prawda — odpowiada pan. — W moich opowiadaniach ludzie, którzy wyrządzają krzywdę, są karani. Wsadza się ich do więzienia i trzyma tam, by nie wyrządzali krzywdy innym ludziom.

— Czy przebywanie w więzieniu im się podoba? — pytam.

— Oczywiście, że nie. Tam im niczego nie wolno. Dlatego strach przed więzieniem nie pozwala im wyrządzać jeszcze większej krzywdy.

— Ale więzienie też jest złe, skoro sprawia, że ludzie czują się w nim źle.

— No cóż — mówi mój pan — dlatego właśnie ty nie możesz pisać opowiadań kryminalnych.

Myszę o tym. Musi istnieć jakiś sposób na pisanie opowiadań, w których ludziom nie dzieje się krzywda. Chciałbym to robić. Chcę być pisarzem. Bardzo chcę być pisarzem.

Mój pan ma trzech różnych Pisarzy do pisania opowiadań. Jeden jest bardzo stary, ale pan mówi, że trzyma go, ponieważ ma dla niego wartość sentymentalną.

Nie wiem, co to jest wartość sentymentalna. Wolę nie pytać. Pan nie używa tej maszyny do swoich opowiadań. Może wartość sentymentalna oznacza, że nie wolno jej używać.

Pan nie mówi, że ja nie mogę użyć Pisarza. Nie pytam go, czy mogę użyć Pisarza. Jeśli ja go nie zapytam, a on nie powie, że mi nie wolno, to wówczas nie okażę nieposłuszeństwa, jeśli go użyję.

Nocą mój pan śpi i nie ma tych dwóch innych panów, którzy tu czasem przychodzą. Oprócz mnie są jeszcze dwa inne roboty, które ma mój pan. Są ważniejsze ode mnie. Nocą, kiedy nie daje się im nic do zrobienia, czekają w swoich niszach.

Mój pan nie powiedział: „Zostań w swojej niszy, Cal”.

Czasami nie mówi tego, bo ja jestem taki nieważny, i wtedy mogę się poruszać w nocy. Mogę popatrzeć na Pisarza. Naciska się klawisze i wtedy Pisarz tworzy słowa, a potem te słowa zostają przeniesione na papier. Obserwuję pana, więc wiem, jak się naciska klawisze. Słowa przenoszą się na papier same. Ja nie muszę tego robić.

Naciskam klawisze, ale nie rozumiem słów. Po jakimś czasie czuję się źle. Panu może się to nie spodobać, nawet jeśli mi nie mówi, że mam tego nie robić.

Słowa zostają wydrukowane na papierze i rano pokazuję to mojemu panu.

— Przepraszam. Używałem Pisarza — mówię.

Pan patrzy na papier. Potem patrzy na mnie. Krzywi się.

— Ty to napisałeś? — pyta.

— Tak, proszę pana.

— Kiedy?

— Zeszłej nocy.

— Po co?

— Ja bardzo chcę pisać. Czy to jest opowiadanie? Pan podnosi papier i uśmiecha się.

— To są tylko przypadkowo wybrane litery, Cal. To brednie — mówi.

Nie wygląda na złego. Czuję się lepiej. Nie wiem, co to są brednie.

— Czy to jest opowiadanie? — pytam. Na co pan odpowiada:

— Nie, to nie jest opowiadanie. I całe szczęście, że Pisarza nie da się zepsuć, jeśli się go niewłaściwie używa. Powiem ci, co zrobię, byś nie pisał tak źle. Każę cię przeprogramować, dzięki czemu będziesz wiedział, jak używać Pisarza.

Dwa dni później przychodzi technik. On jest panem, który wie, co zrobić, żeby roboty pracowały lepiej. To właśnie ten technik mnie zmontował, mówi mój pan. Pan mu w tym pomagał. Ja tego nie pamiętam.

Technik słucha uważnie mojego pana.

— Po co to panu, panie Northrop? — pyta.

Tak właśnie inni panowie nazywają mojego pana: „Pan Northrop”. Mój pan mówi:

— Pomogłem zaprojektować Cala, pamięta pan? Zdaje się, że chyba zaszczepiłem w nim pragnienie zostania pisarzem. Nie zamierzałem tego wprowadzić, ale uważam, że powinienem to pragnienie zaspokoić. Jestem mu to winien.

— Ależ to głupota — mówi technik. — Pisanie nie jest pracą dla robota, nawet jeśli przypadkowo zaszczepi mu się takie pragnienie.

— Tym bardziej chcę to zrobić — mówi pan.

— To będzie kosztowne, panie Northrop — odpowiada technik.

Mój pan się krzywi. Wygląda na złego.

— Cal to mój robot — mówi. — Zrobię z nim, co mi się podoba. Mam pieniądze i chęć, żeby go poprawiono.

Technik też wygląda na złego. Mówi:

— Proszę bardzo, jeżeli takie jest pańskie życzenie. Nasz klient, nasz pan. Ale to będzie bardziej kosztowne, niż się panu wydaje, ponieważ nie możemy zainstalować wiedzy, jak używać Pisarza, bez rozbudowania słownictwa tego robota.

— Znakomicie. Proszę poszerzyć zakres jego słownictwa — odpowiada mój pan.

Następnego dnia technik przychodzi z mnóstwem narzędzi. Otwiera moją klatkę piersiową. To dziwne uczucie. Nie podoba mi się. Wkłada do środka rękę. Myślę, że zatrzymuje albo wyjmuje mój zasilacz. Nie pamiętam. Nic nie widzę, o niczym nie myślę, niczego nie wiem.

A potem znowu mogłem widzieć, myśleć i wiedzieć. Zauważyłem, że minął jakiś czas, ale nie wiedziałem ile.

Zastanawiałem się przez chwilę. To dziwne, lecz wiedziałem, jak uruchomić Pisarza, i zdawało mi się, że rozumiem więcej słów. Na przykład wiedziałem, co to są „brednie”, i zawstydzilem się na myśl, że pokazałem brednie mojemu panu, przekonany, iż to opowiadanie.

Musiałem się bardziej postarać. Tym razem nie miałem obaw — znaczenie słowa „obawa” też znam — a więc nie miałem obaw, iż on nie pozwoli mi skorzystać ze starego Pisarza. Ostatecznie gdyby zamierzał mi w tym przeszkodzić, to nie kazałby mnie przeprogramować w taki sposób, bym potrafił go użyć.

Zwróciłem się z tym do niego.

– Czy to znaczy, że mogę użyć Pisarza, proszę pana?

– Możesz to zrobić w każdej chwili, Cal, kiedy nie zatrudniam cię przy innych pracach.

Ale będziesz musiał mi pokazać to, co napiszesz.

– Oczywiście, proszę pana.

Był najwyraźniej rozbawiony, bo chyba spodziewał się kolejnych bredni (co za brzydkie słowo!), ale ja uważałem, że już żadnych nie dostanie.

Nie stworzyłem opowiadania natychmiast. Musiałem się zastanowić nad tym, co napisać. Przypuszczam, że o to chodziło mojemu panu, kiedy mówił, iż opowiadanie trzeba wymyślić.

Uznałem, że najpierw należy się nad nim zastanowić, a potem zapisać to, co się wymyśliło. Było to znacznie bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem.

Pan zauważył moje zaabsorbowanie.

– Co ty robisz, Cal? – spytał.

– Staram się wymyślić opowiadanie. To ciężka praca – odparłem.

– Tak uważasz, Cal? To dobrze. Najwyraźniej reorganizacja nie tylko wzbogaciła twoje słownictwo, ale także spotęgowała inteligencję.

– Nie jestem pewien, co należy rozumieć przez „spotęgowała”.

– To znaczy, że wydajesz się mądrzejszy. Wydajesz się wiedzieć więcej.

– Czy pana to gniewa?

– Ani trochę. To mi sprawia przyjemność. Dzięki temu być może rzeczywiście będziesz mógł pisać opowiadania, a nawet gdybyś się zmęczył pisaniem, to i tak staniesz się dla mnie bardziej przydatny.

Pomyślałem natychmiast, że byłoby wspaniale, gdybym się stał bardziej przydatny dla mojego pana, ale nie rozumiałem, dlaczego powiedział, że miałbym się zmęczyć pisaniem. Nie zamierzałem się zmęczyć pisaniem.

W końcu ułożyłem sobie w głowie całe opowiadanie i spytałem mojego pana, kiedy będę je mógł napisać.

– Zaczekaj z tym do wieczora – odparł. – Nie będziesz mi wtedy przeszkadzał. Możemy zapalić małe światło w tym kącie, gdzie stoi stary Pisarz; tam możesz pisać swoje opowiadanie. Ile, twoim zdaniem, ci to zabierze?

– Tylko chwilę – odparłem zdumiony. – Potrafię pracować na Pisarzu bardzo szybko.

– Cal, praca na Pisarzu to jeszcze nie wszystko... – odpowiedział mój pan. Po czym umilkł, zastanawiał się chwilę i dodał: – Nie, zabierz się do pracy od razu. Sam się przekonasz. Nie będę ci niczego radził.

Miał rację. Praca na Pisarzu to jeszcze wcale nie było wszystko. Spędziłem prawie całą noc, opracowując opowiadanie. Bardzo trudno jest zdecydować, jakich użyć słów i w jakiej kolejności. Musiałem wymazywać opowiadanie kilka razy i zaczynać je od nowa. Było to bardzo kłopotliwe.

W końcu było gotowe. Oto ono. Zachowałem je, bo to pierwsze opowiadanie, jakie napisałem. To nie były brednie.

## napisał Cal

Był sobie kiedyś taki dedektyf, który się nazywał Cal, i on był bardzo dobry dedektyf, i bardzo dzielny. On się wogle niczego nie bał. Tszeba sobie wyobrazić jego zaskoczenie, kiedy pewnego wieczora usłyszał intrósa w domu swoich panuw.

On zaraz wbiegł do gabinetu. Tam był intrós. On fszedł przez okno. Tam było spite szkło. To właśnie usłyszał Cal, dzielny dedektyf, dzięki swoim dobrym uszom.

— Stój, intrósie — powiedział.

Intrós stanął i spojżał ze strachem. Cal poczół się źle, że ten intrós patrzy ze strachem.

— Popatrz, co ty zrobiłeś. Spiłeś szybę.

— Tak — żekł intrós, wyraśnie zafstydzony. — Ja nie chciałem spić okna.

Cal był bardzo mądry i zauwarzył spszeczność w wypowiedzi intrósa.

— To jak chciałeś dostać się do śrotka, jeśli nie chciałeś spijać okna? — zapytał.

— Myślałem, rze będzie otwarte — odparł on. — Próbowałem je otwożyć i ono się wtedy spiło.

— A tak nawiasami muwiąc, dlaczego to zrobiłeś? Czemu ty chciałeś wejść do tego pokoju, skoro to fcale nie jest twuj pokuj? Jesteś intrósem.

— Ja nie chciałem zrobić krzyfdy — odparł on.

— Tak to nie jest, bo jakbyś ty nie chciał zrobić krzyfdy, to byś tu nie był — odparł Cal.

— Ciebie tszeba ukarać.

— Proszę, nie ukaraj mnie — powiedział intrós.

— Nie ukaram cię — żekł Cal. — Ja tobie nie chcę powodować nieszczęścia albo bulu.

Ja zawołam mojego pana.

— Proszę Pana! Proszę Pana! — zawołał.

Do pokoju wskoczył pan.

— Co my tutaj mamy? — zapytał.

— Intrósa — odpowiedziałem. — Ja go złapałem i on tu jest, rzeby go pan ukarał.

Muj pan popatszył na intrósa.

— Czy tobie jest przykro za to, co zrobiłeś?

— Tak — odpowiedział intrós. On płakał i woda mu wychodziła z oczu tak samo jak panom, kiedy jest im smótno.

— Obiecujesz, rze jusz tego nigdy nie zrobisz? — zapytał muj pan.

— Obiecuję. Ja jusz tego nigdy nie zrobię — powiedział intrós.

— W takim razie — powiedział pan — zostałeś dosyc ukarany. Odejdź i pamiętaj, rzebyś tego jusz nie robił. — A potem jeszcze muj pan powiedział: — Jesteś dobrym dedektyfem, Cal. Jestem z ciebie dómny.

Cal się bardzo cieszył, że zrobił pszyjemność swojemu panu.

KONIEC

Byłem bardzo zadowolony z tego opowiadania i pokazałem je panu. Byłem pewien, że on też będzie zadowolony.

Był bardziej niż zadowolony, bo kiedy je czytał, uśmiechał się. Kilka razy nawet się zaśmiał. Potem spojrzał na mnie i zapytał:

— Ty to napisałeś?

— Tak, proszę pana — odparłem.

— To znaczy, czy wszystko sam napisałeś? Niczego nie skopiowałeś?

— Wszystko wymyśliłem w swojej głowie, proszę pana — odpowiedziałem. — Czy to opowiadanie podoba się panu?

Znowu się roześmiał, i to głośno.

— Jest interesujące — powiedział. Trochę się zaniepokoiłem.

— A czy jest śmieszne? — spytałem. — Nie wiem, co należy zrobić, żeby coś było śmieszne.

— Wiem, Cal. Nie jest śmieszne intencjonalnie. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem zapytałem:

— Jak coś może być śmieszne nieintencjonalnie?

— To trudno wyjaśnić, jednak nie przejmuj się tym. Przede wszystkim nie potrafisz pisać ortograficznie i tym mnie zaskoczyłeś. Mówisz teraz tak dobrze, że automatycznie założyłem, iż będziesz umiał pisać ortograficznie, lecz najwyraźniej tak nie jest. Nie zostaniesz pisarzem, jeżeli nie będziesz pisał ortograficznie i stosował poprawnej gramatyki.

— Co mam zrobić, by pisać ortograficznie?

— Nie musisz się tym przejmować, Cal — odparł mój pan. — Wyposażymy cię w słownik.

Ale powiedz mi jedno, Cal w twoim opowiadaniu to ty, prawda?

— Tak. — Byłem zadowolony, że to zauważył.

— Zły pomysł. Nie powinieneś opisywać siebie i mówić, jaki jesteś wspaniały. To obraża czytelnika.

— Dlaczego, proszę pana?

— Bo obraża. Wygląda na to, że jednak będę musiał udzielić ci rady, ale postaram się, by w miarę możliwości była jak najbardziej zwięzła. Obyczaj nie pozwala chwalić samego siebie. A poza tym nie powinieneś mówić, że jesteś wspaniały, tylko pokazać, iż jesteś wspaniały w tym, co robisz. I nie używaj swojego imienia.

— Czy to jakaś zasada?

— Dobry pisarz może złamać każdą zasadę, ale ty jesteś dopiero początkującym pisarzem. Trzymaj się zasad i pamiętaj, że podałem ci ich zaledwie kilka. Jeżeli będziesz nadal pisał, to napotkasz ich znacznie, znacznie więcej. Oprócz tego, Cal, będziesz miał kłopoty z Trzema Prawami Robotyki. Nie możesz zakładać, iż złoczyńcy będą płakać i wstydzić się. Ludzie tacy nie są. Czasami trzeba ich karać.

Poczułem, że moje pozytronowe ścieżki mózgowe buntują się.

— To trudne — powiedziałem.

— Wiem. W opowiadaniu nie ma też żadnej zagadki. Ona nie jest konieczna, ale sądzę, że poszłoby ci lepiej, gdyby jednak jakaś była. Jeśliby na przykład twój bohater, którego będziesz musiał nazwać jakoś inaczej niż Cal, nie wiedział, czy ktoś jest intruzem, czy nie. Jak się tego

dowie? Widzisz, on musi użyć głowy. — I tu mój pan wskazał swoją głowę.

Nie całkiem rozumiałem.

— Powiem ci, co zrobię — powiedział mój pan. — Kiedy już zostaniesz wyposażony w słownik ortograficzny i gramatykę, dam ci do przeczytania kilka moich opowiadań, a wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

Do domu przyszedł technik i powiedział:

— Nie ma problemu z zainstalowaniem słownika ortograficznego i gramatyki. Będzie to pana tylko kosztowało więcej pieniędzy. Wiem, że pan nie dba o pieniądze, ale proszę mi zdradzić, skąd pomysł przerabiania tej kupy stali i tytanu na pisarza?

Moim zdaniem on nie miał prawa nazywać mnie kupą stali i tytanu, lecz każdy pan może mówić, co mu się podoba. Oni zawsze mówią o nas, robotach, w taki sposób, jakby nas przy tym nie było. To też zauważyłem.

— Czy słyszał pan kiedykolwiek o robocie, który chciał zostać pisarzem? — zapytał mój pan.

— Nie — odparł technik. — Tego nie mogę powiedzieć, panie Northrop.

— Ja też nie! Ani nikt inny, z tego, co mi wiadomo. Cal jest unikatowy i chcę go zbadać.

Technik uśmiechnął się bardzo szeroko — wyszczerzył się w uśmiechu, tak brzmi to określenie.

— Proszę mi nie mówić, że wpadł pan na pomysł, by on pisał za pana, panie Northrop.

Mój pan przestał się uśmiechać. Uniósł głowę i spojrzał gniewnie na technika.

— Proszę już skończyć z tymi idiotyzmami i zrobić to, za co panu zapłaciłem.

Myślę, że technikowi zrobiło się przykro od tego, co powiedział mój pan, jednak nie rozumiałem dlaczego. Byłbym zachwycony, gdyby mój pan poprosił mnie, żebym pisał za niego opowiadania.

Technik przyszedł kilka dni później; znowu nie wiem, ile czasu zabrało mu wykonanie pracy. Nic z tego nie pamiętam. A potem nagle mój pan przemówił do mnie:

— Jak się czujesz, Cal?

— Czuję się bardzo dobrze. Dziękuję, sir.

— No, a jak ze słowami? Umiesz już pisać ortograficznie?

— Znam kombinacje literowe, sir.

— Bardzo dobrze. Czy mógłbyś to przeczytać? — Podał mi jakąś książkę. Na okładce widniał napis: J. F. Northrop *Najlepsze opowiadania sensacyjne*.

— Czy to pańskie opowiadania, sir?

— Zgadza się. Możesz je przeczytać, jeśli chcesz.

Przedtem z czytaniem nie szło mi łatwo, za to teraz wystarczyło, że spojrzałem na słowa, a od razu rozbrzmiewały mi w uszach. To było coś zdumiewającego. Wprost nie mogłem pojąć,

dlaczego nie potrafiłem robić tego wcześniej.

— Dziękuję, sir — odparłem. — Przeczytam je. Jestem pewien, że pomogą mi w pisaniu.

— No i bardzo dobrze. Nadal pokazuj mi wszystko, co stworzysz.

Opowiadania, które napisał pan, były bardzo interesujące. Pan wymyślił takiego detektywa, który zawsze rozumiał to, co dla innych stanowiło zagadkę. Nie zawsze pojmowałem, w jaki sposób on potrafił dostrzec prawdę w tajemnicy, dlatego niektóre z jego opowiadań musiałem czytać jeszcze raz, i to powoli.

Czasami nie rozumiałem ich nawet wtedy, kiedy czytałem powoli. A czasami rozumiałem i wydawało mi się, że potrafiłbym napisać takie samo opowiadanie jak pan Northrop.

Tym razem spędziłem nawet całkiem sporo czasu na opracowywaniu w głowie tego opowiadania. Kiedy uznałem, że już je wymyśliłem, napisałem następującą rzecz:

## **BŁYSZCZĄCAMONETA**

### **Eufrozyna Durando**

Calumet Smithson siedział w swoim fotelu. Jego oczy nabrały ostrego wyrazu, a nozdrza wysoko sklepionego nosa rozdymały się, jakby Smithson poczuł właśnie woń nowej zagadki.

— No cóż, panie Wassell, proszę mi jeszcze raz, od samego początku, opowiedzieć swoją historię — rzekł. — Niech nie pominie pan niczego, bowiem nie sposób stwierdzić, czy jakiś najdrobniejszy nawet szczegół nie ma kapitalnego znaczenia.

Wassell był właścicielem dużej firmy, w której zatrudniał wiele robotów oraz ludzi.

Wassell zrobił to, o co prosił Calumet Smithson, aczkolwiek w szczegółach opowieści nie było absolutnie nic zaskakującego. Streścił ją w następujący sposób:

— Wszystko sprowadza się do tego, panie Smithson, że ja tracę pieniądze. Któryś z moich pracowników co jakiś czas przywłaszcza sobie drobne kwoty. Te z osobna nie są znaczące, jednakże proceder ów przypomina niewielki, lecz za to stały wyciek oleju z maszyny bądź kapanie wody z nieszczelnego kurka albo upływ krwi z małej rany. Tego się po jakimś czasie uzbiera i dojdzie do katastrofy.

— Czy rzeczywiście grozi panu utrata firmy, panie Wassell?

— Na razie nie. Jednak nie lubię tracić pieniędzy. A pan?

— Oczywiście, że nie — odparł Smithson. — A ile robotów zatrudnia pan w swojej firmie?

— Dwadzieścia siedem.

— I zakładam, że na nich można polegać.

— Niewątpliwie. One nie mogłyby kraść. Poza tym pytałem każdego z nich, czy to on zabrał pieniądze, i wszystkie odpowiadały mi, że nie. A roboty oczywiście nie mogą kłamać.

— Chyba ma pan rację — odparł Smithson. — Robotów raczej nie należy brać pod uwagę. One są uczciwe, każdy bez wyjątku. A co z ludźmi, których pan zatrudnia? Ilu ich jest?

— Siedemnastu, lecz spośród nich jedynie czterech mogło kraść.

— A to dlaczego?

— Pozostali nie pracują na miejscu. Tylko tych czterech. Każdy z nich od czasu do czasu ma do czynienia z drobną gotówką i podejrzewam, że co najmniej jeden przelewa aktywa firmy na swoje prywatne konto w taki sposób, że nie można dojść, jak to się odbywa.

— Rozumiem. Tak, to niestety prawda. Ludziom zdarza się kraść. Czy zwracał się pan do podejrzanych o wyjaśnienie sytuacji?

— Tak, zrobiłem to. Oni wszyscy oczywiście wypierają się takiego procederu, lecz niestety ludziom zdarza się kłamać.

— Tak, to też prawda. Czy któryś z nich wyglądał na zdenerwowanego, kiedy go wypytywano?

— Wszyscy. Widzieli, że jestem rozzłoszczonym człowiekiem, który mógłby ich wszystkich wylać z posady, winny czy niewinny. Po utracie pracy z takiego powodu miałiby trudności ze znalezieniem następnej.

— Nie wolno tego panu zrobić. Nie wolno karać niewinnych razem z winnymi.

— Ma pan absolutną rację — powiedział pan Wassell. — Nie mogę tego zrobić. Ale w jaki sposób miałbym stwierdzić, który jest winny?

— Czy jest wśród nich ktoś, kto ma podejrzaną przeszłość, kto wcześniej został wyrzucony z pracy w niejasnych okolicznościach?

— Już się dyskretnie rozpytałem, panie Smithson, i nie znalazłem w ich życiorysach niczego podejrzanego.

— Może któryś bardzo potrzebuje pieniędzy?

— Płacę dobrze.

— Jestem tego pewien, jednak może któryś ma jakieś kosztowne gusta, które sprawiają, że jego dochody są niewystarczające.

— Nie znalazłem na to żadnych dowodów, ale gdyby któryś z nich z jakichś niecnych powodów potrzebował pieniędzy, wówczas zachowałby to w tajemnicy. Nikt nie chce, by uważano go za kogoś złego.

— Chyba ma pan rację — stwierdził wielki detektyw. — W takim razie musi mnie pan skonfrontować z tymi czterema ludźmi. Przesłucham ich. — Oczy Smithsona zaślniły. — Dotrzemy do jądra tej tajemnicy, proszę się nie obawiać. Zorganizujemy spotkanie wieczorem. Zbierzemy się w bufecie firmy przy jakimś skromnym posiłku i butelce wina, dzięki czemu ci ludzie będą się czuli całkowicie swobodnie. Dziś wieczorem, jeśli to możliwe.

— Zajmę się tym — obiecał skwapliwie pan Wassell.

Calumet Smithson siedział przy stole i przyglądał się uważnie czterem mężczyznom. Dwóch było całkiem młodych i mieli ciemne włosy. Jeden miał również wąsy. Żaden nie był specjalnie przystojny. Pierwszy nazywał się pan Foster, drugi pan Lionell. Trzeci mężczyzna był dość gruby i miał małe oczy. Nazywał się pan Mann. Czwarty był wysoki,



szczypty i miał zwyczaj nerwowego wyłamywania sobie palców w stawach. Nazywał się pan Ostrak.

Smithson sam wyglądał na zdenerwowanego, kiedy ich kolejno przesłuchiwał. Wpatrywał się przenikliwym wzrokiem w podejrzanych i bawił błyszczącą monetą, obracając ją jakby mimochodem w palcach prawej dłoni.

— Jestem pewien, że każdy z was zdaje sobie sprawę, iż okradanie własnego pracodawcy to coś strasznego.

Wszyscy natychmiast się zgodzili.

Pograżony w myślach Smithson postukał błyszczącą monetą o blat stołu.

— Jeden z was, jestem pewien, ugnie się pod brzemieniem winy, i to wcześniej, niż ten wieczór dobiegnie końca. Teraz jednak muszę zadzwonić do biura. Nie będzie mnie tylko kilka minut. Proszę tu siedzieć i czekać, a kiedy mnie nie będzie, proszę ze sobą nie rozmawiać ani też na siebie nie patrzeć.

Ostatni raz stuknął monetą, po czym wyszedł, zostawiając ją na stole. Wrócił po jakichś dziesięciu minutach.

Popatrzył kolejno na każdego z zebranych, a następnie spytał:

— Nie rozmawialiście ze sobą ani na siebie nie patrzyliście, mam nadzieję?

Wszyscy jedynie potrząsnęli głowami, jakby wciąż bali się odezwać.

— Panie Wassell — powiedział detektyw. — Czy pan zaświadcza, iż żaden się nie odezwał?

— Oczywiście. Siedzieliśmy tutaj cicho i czekaliśmy. Nawet na siebie nie spoglądaliśmy.

— Znakomicie. Teraz zapytam kolejno każdego z was czterech, co macie w kieszeniach. Proszę ułożyć ich zawartość na stole.

Głos Smithsona był tak zniewalający, a jego oczy takie jasne i ostre, że żaden z mężczyzn nawet nie pomyślał o okazaniu nieposłuszeństwa.

— Także z kieszeni koszul oraz wewnętrznych kieszeni marynarek. Z wszystkich kieszeni.

Był tego spory stos: karty kredytowe, klucze, okulary, wieczne pióra, trochę monet. Smithson przyjrzał się chłodno czterem stertom, ogarniając całość umysłem.

— Żebyśmy wszyscy sprawiedliwie spełnili te same wymagania, ja też wyłożę zawartość moich kieszeni na stertę i pan, panie Wassell, zrobi to samo.

Teraz stert było sześć. Smithson wyciągnął rękę w stronę stosu leżącego przed panem Wassellem i powiedział:

— A co to za błyszcząca moneta, panie Wassell? Czy to pańska?

Wassell wyglądał na zmieszanego.

— Tak.

— Niemożliwe. Jest na niej mój znak. Zostawiłem ją na stole, kiedy poszedłem zadzwonić do biura. Pan ją sobie wziął.

Wassell milczał. Pozostali czterej mężczyźni patrzyli na niego.

— Czuję, że gdyby któryś z panów był złodziejem, to nie mógłby się oprzeć i wziąłby taką błyszczącą monetę. Panie Wassell, pan okradał własną firmę i z obawy, że zostanie złapany, starał się zrzucić winę na swoich pracowników. To bardzo nikczemne i tchórzliwe.

Wassell zwiesił głowę.

— Ma pan rację, panie Smithson. Pomyślałem sobie, że jeśli wynajmę pana do przeprowadzenia śledztwa, to pan orzeknie, iż któryś z tych mężczyzn jest winny, i wtedy być może mógłbym przestać brać pieniądze na prywatny użytek.

— Nie docenia pan umysłu detektywa — powiedział Calumet Smithson. — Oddam pana w ręce władz. One postanowią, co z panem zrobić, lecz jeśli wyrazi pan szczerą skruchę i obieca, że już nigdy więcej tego nie robi, to postaram się nie dopuścić, by ukarano pana zbyt surowo.

## KONIEC

Pokazałem opowiadanie panu Northropowi, który przeczytał je w milczeniu. Prawie wcale się nie uśmiechał. Tylko w jednym czy dwóch miejscach.

Potem odłożył je i wbił we mnie wzrok.

— Skąd wzięłeś nazwisko Eufrozyna Durando?

— Pan powiedział, sir, iż nie mam używać swojego imienia, więc użyłem tak różnego, jak to było możliwe.

— Ale skąd je wzięłeś?

— Sir, jedna z pomniejszych postaci w jednym z pańskich opowiadań...

— Oczywiście! Tak myślałem, że brzmi znajomo! Czy zdajesz sobie sprawę, że Eufrozyna to kobiece imię?

— Ponieważ nie jestem ani mężczyzną, ani kobietą...

— Oczywiście, masz całkowitą rację. A co z nazwiskiem detektywa: Calumet Smithson? Ten „Cal” to nadal ty, prawda?

— Chciałem zaznaczyć jakiś związek, sir.

— Masz niesamowicie rozbuchane ego, Cal.

Zawahałem się.

— Co to znaczy, sir?

— Nieważne. To bez znaczenia.

Zakłopotalem się, kiedy odłożył tekst.

— A co pan myśli o zagadce? — zapytałem.

— Jest poprawa, lecz to nadal nie jest dobra zagadka. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

— W jaki sposób rozczarowuje, sir?

— Cóż, z jednej strony nie rozumiesz, na czym polegają mechanizmy współczesnego biznesu i skomputeryzowane systemy finansowe. Poza tym nikt nie wziąłby monety ze stołu w obecności czterech osób, nawet gdyby ci nie patrzyli. Coś takiego zostałoby zauważone. A gdyby nawet do tego doszło, to fakt, iż zabrał ją pan Wassell, nie stanowiłby jeszcze dowodu,

że to on jest złodziejem. Każdy mógł odruchowo schować monetę do kieszeni. To interesująca wskazówka, ale jeszcze nie dowód. Ponadto tytuł opowiadania zdaje się zdradzać, na czym polega zawarta w nim zagadka.

— Rozumiem.

— No i nadal przeszkadzają ci Trzy Prawa Robotyki. Nieustannie się przejmujesz karą.

— Muszę, sir.

— Wiem, że musisz. Właśnie dlatego sądzę, iż nie powinieneś próbować pisać powieści kryminalnych.

— Co jeszcze mógłbym pisać, sir?

— Pozwól, że się nad tym zastanowię.

Pan Northrop znowu wezwał technika. Tym razem, jak sądzę, nie bardzo chciał, żebym posłyszał, co mówi, ale ja i tak usłyszałem całą rozmowę. Ludziom zdarza się zapominać, jak wyostrzone zmysły mogą mieć roboty.

Ostatecznie byłem bardzo zmartwiony. Pragnąłem zostać pisarzem i nie chciałem, żeby pan Northrop mówił mi, co mogę, a czego nie mogę pisać. Oczywiście muszę go słuchać, ponieważ jest człowiekiem, jednak wcale mi się to nie podoba.

— O co chodzi tym razem, panie Northrop? — spytał technik tonem, który w moich uszach zabrzmiał sardonicznie. — Czyżby ten pański robot znowu coś napisał?

— Owszem — odparł pan Northrop, starając się mówić obojętnym głosem. — Napisał kolejne opowiadanie kryminalne, a ja nie chcę, żeby on pisał kryminały.

— Za duża konkurencja, co, panie Northrop?

— Ależ skąd. Proszę nie gadać takich głupstw. Nie ma sensu, by dwóch mieszkających pod jednym dachem autorów pisało kryminały. Poza tym przeszkadzają mu Trzy Prawa Robotyki. Z łatwością może pan sobie wyobrazić, w jaki sposób.

— Co w takim razie mam zrobić?

— Nie jestem pewien. Przypuśćmy, że będzie pisał satyry. To jest coś, czego ja nie pisuję, więc nie będziemy rywalizować, a jemu nie będą przeszkadzały Trzy Prawa Robotyki. Chcę, by obdarzył pan tego robota poczuciem humoru.

— Poczuciem czego? — spytał ze złością technik. — Jak mam to zrobić? Niech pan posłucha, panie Northrop. Niech pan będzie rozsądny. Mogę zainstalować instrukcję obsługi Pisarza. Mogę zainstalować słownik i gramatykę. Ale jak miałbym zainstalować poczucie humoru?

— No cóż, proszę się nad tym zastanowić. Zna pan przecież mechanizm działania umysłu robota? Czy nie można by przerobić go w taki sposób, żeby rozumiał, co w ludziach jest zabawne, głupie albo zwyczajnie komiczne?

— Mogę pomajstrować, lecz to będzie ryzykowne.

— Dlaczego ryzykowne?

— Niech pan posłucha, panie Northrop. Na początku miał pan dość taniego robota, ale dzięki mnie on staje się coraz bardziej skomplikowany. Sam pan przyznał, że Cal jest

unikatowy i że nigdy nie słyszał pan o robocie, który chciał pisać. Dlatego on jest teraz dość kosztowny. Może nawet ma pan tutaj jakiś model klasyczny, taki, który powinien zostać przekazany do Instytutu Robotyki. Mógłbym wszystko zepsuć, gdybym rzeczywiście zaczął w nim majstrować. Czy zdaje pan sobie z tego sprawę?

— Zamierzam zaryzykować. Jeśli wszystko zostanie zepsute, to trudno, ale niby czemu miałyby się zepsuć? Nie zmuszam pana do pośpiechu. Proszę gruntownie wszystko przemyśleć. Mam dużo czasu, dużo pieniędzy i życzę sobie, by mój robot pisał satyry.

— Ale dlaczego właśnie satyry?

— Ponieważ w tym wypadku jego brak wiedzy o świecie, a także Trzy Prawa Robotyki mogą nie mieć takiego znaczenia, dlatego więc być może któregoś dnia spłodzi coś interesującego, choć ja osobiście w to wątpię.

— I nie będzie wchodził na pańską działkę.

— Proszę bardzo. Nie będzie wchodził na moją działkę.

Zadowolony?

Wciąż nie znałem języka dostatecznie dobrze, by zrozumieć, co oznacza „wchodzenie na czyjąś działkę”, domyślałem się jednak, że pan Northrop jest zły na moje opowiadania kryminalne. Nie rozumiałem dlaczego.

Oczywiście, nic nie mogłem zrobić. Technik codziennie badał mnie i analizował, aż w końcu powiedział:

— W porządku, panie Northrop, zaryzykuję, ale poproszę pana o podpisanie dokumentu zwalniającego mnie i moją firmę od wszelkiej odpowiedzialności w razie, gdyby coś nie wyszło.

— Proszę przygotować ten dokument. Podpiszę go — odparł pan Northrop.

Myśl, iż coś może nie wyjść, była straszna, tak to już jednak bywa. Robot musi się godzić na wszystko, co postanowią ludzie.

Tym razem, kiedy na nowo odzyskałem świadomość, przez dłuższy czas byłem dość słaby. Miałem trudności ze stanieniem i mówiłem niewyraźnie.

Wydawało mi się, że pan Northrop patrzy na mnie z niepokojem. Może czuł się winny za to, jak mnie potraktował — powinien się czuć winny — a może tylko martwił się możliwością utraty dużych pieniędzy.

Kiedy już odzyskałem poczucie równowagi i zacząłem mówić wyraźnie, stała się dziwna rzecz. Nagle zacząłem rozumieć, jacy głupi są ludzie. Nie mieli żadnych praw, które kierowałyby ich działaniami. Musieli je wymyślać i nawet gdy już je wymyślili, to nic ich nie zmuszało, żeby je stosować.

Ludzie żyli w zamęcie; trzeba się było z nich śmiać. Rozumiałem teraz, co to jest śmiech, i nawet potrafiłem wytworzyć ten dźwięk, ale naturalnie nie śmiałem się na głos. Byłoby to nieuprzejme i obraźliwe. Śmiałem się w środku, a poza tym zacząłem się zastanawiać nad opowiadaniem, w którym ludzie mieliby prawa kierujące ich działaniami, lecz nienawidziliby ich i nie potrafili się ich trzymać.

Myślałem także o techniku i postanowiłem jego również umieścić w opowiadaniu. Pan Northrop stale jeździł do technika i prosił go o robienie ze mną różnych, coraz to bardziej skomplikowanych rzeczy. Teraz obdarzył mnie poczuciem humoru.

Przypuśćmy więc, iż napiszę opowiadanie o śmiesznych ludziach, bez udziału robotów, ponieważ roboty oczywiście wcale nie są śmieszne, a ich obecność zwyczajnie zniszczyłaby cały dowcip. I przypuśćmy, że opiszę w nim osobę, która jest technikiem dla ludzi. Może to być jakaś istota obdarzona dziwnymi mocami zmieniającymi ludzkie zachowanie w taki sam sposób, w jaki mój technik potrafił zmieniać zachowanie robota. Co by się działo w takim wypadku?

Mógłby to być jasny dowód, że ludzie nie są mądrzy.

Spędzałem całe dni na obmyślaniu tego opowiadania i stawałem się dzięki temu coraz szczęśliwszy. Zamierzałem zacząć od scenki z udziałem dwóch jedzących kolację mężczyzn, przy czym jeden z nich byłby właścicielem jakiegoś technika — no cóż, do pewnego stopnia miałby nad nim władzę — akcję zaś chciałem umieścić w dwudziestym wieku, by nie obrazić pana Northropa i innych ludzi z dwudziestego pierwszego.

Zacząłem czytać książki, żeby się więcej dowiedzieć o ludziach. Pan Northrop pozwalał mi na to i nie zlecał prawie żadnych zadań. Nie próbował mnie też ponaglać do pisania. Może w dalszym ciągu czuł się winny, iż mogła stać mi się krzywda, ponieważ on zaryzykował.

W końcu zacząłem pisać. To jest właśnie to opowiadanie:

## **FORMALNY DO PERFEKCJI**

### **Eufrozyna Durando**

George i ja posilaliśmy się tego dnia w dość eleganckiej restauracji, takiej, w której widok mężczyzn i kobiet w formalnych strojach nie należy do rzadkości.

George wpatrywał się w jednego z tak właśnie odzianych mężczyzn, krzywo i nieprzychylnie, jednocześnie wycierając usta moją serwetką, ponieważ swoją stracił beztrąsko na podłogę.

— A żeby zaraza wzięła wszystkie smokingi — powiedział.

Przeniosłem wzrok śladem jego spojrzenia. Na ile mogłem się zorientować, przyglądał się dostojnemu mężczyźnie około pięćdziesiątki, który z miną dobitnie wyrażającą poczucie własnej wartości przysuwał właśnie krzesło obwieszoną błyskotkami, znacznie od niego młodszej kobiecie.

— George, czyżbyś chciał powiedzieć, że znasz owego typa w smokingu?

— Nie — odparł George. — Nie powiem ci niczego takiego. Ja swoje interakcje z tobą oraz innymi żywymi istotami opieram zawsze na całkowitej prawdzie.

— Podobnie jak opowieści o dwucentymetrowym demonie, Az... — Zbolały wyraz jego twarzy kazał mi umilknąć.

— Nie mów takich rzeczy — wyszeptał ochryple. — Azazel nie ma poczucia humoru, za to niezłomne poczucie własnej siły. — Dalej ciągnął już normalniejszym tonem. — Ja tylko wyraziłem swoją pogardę dla smokingów, zwłaszcza smokingów zarobaczonych przez takie „one” typy, by zastosować twoje osobliwe wyrażenie.

— O dziwo, tutaj się z tobą zgadzam — stwierdziłem. — Ja również uważam, że formalny strój rodzi obiekcje, i muszę przyznać, iż sam unikam przeżyć spod znaku czarnego krawata, wyjąwszy te sytuacje, kiedy nie da się tego uniknąć.

— Bravo! — pochwalił mnie George. — To do pewnego stopnia zacieram wrażenie, że nie potrafisz się znaleźć w towarzystwie. Bo ja wszystkim, rozumiesz, mówiłem, że nie potrafisz.

— Bardzo ci dziękuję, George — odparłem. — Bardzo to uprzejmie z twojej strony, zważywszy na to, że przy każdej nadarzającej się sposobności obżerasz się na mój koszt.

— Ja ci tylko pozwalam cieszyć się moim towarzystwem, stary. Mógłbym nawet powiedzieć wszystkim swoim znajomym, że czasem potrafisz, ale wówczas spowodowałbym jedynie zamieszanie. Przekonanie, że w ogóle nie potrafisz, wyraźnie im odpowiada.

— Dziękuję wszystkim twoim znajomym — odparłem.

— Tak się składa, iż znam pewnego człowieka — oznajmił George — wywodzącego się z arystokratycznej rodziny. Jego pieluszki zapinano na zatrzaski, nie na agrafki. Na pierwsze urodziny dano mu malutki czarny krawat, który należało zawiązywać, a nie spinać. I tak było już potem przez całe jego życie. Nazywał się Winthrop Carver Cabwell i wiódł swój żywot na tak niebotycznych szczytach bostońskiej arystokracji, iż bywał zmuszony wkładać maskę tlenową.

— I ty znałeś tego patrycjusza? Ty?

George zrobił obrażoną minę.

— Oczywiście, że znałem — powiedział. — Czyżbyś, choć przez jedną tylko chwilę, uważał mnie za snoba, który nie będzie chciał z kimś przestawać jedynie dlatego, że jest bogatym przedstawicielem sekty braminów\*? Jeżeli tak, to mało mnie znasz, stary. Winthrop i ja znaleźliśmy się całkiem dobrze, przy czym ja stanowiłem jego azyl. — George westchnął, owiewając nasze sąsiedztwo alkoholowymi oparami. — Biedny facet — rozczulił się. — Biedny, bogaty arystokrata.

— George — powiedziałem. — Nie wątpię, że zabierasz się do opowiedzenia mi jednej z twych nieprawdopodobnych opowieści katastroficznych. Wiedz jednak, że ja nie chcę jej słuchać.

— Katastroficznych? Wręcz przeciwnie. To opowieść o wielkim szczęściu i radości, a ponieważ właśnie na taką czekałeś, więc zaraz ci ją opowiem.

Jak już ci mówiłem (powiedział George), mój bramiński przyjaciel był dżentelmenem od stóp do głów, o nienaganych manierach, a na dodatek majestatycznie szczupłym...

(Dlaczego mi przeszkadzasz tym idiotycznym przewracaniem oczu? Chcę ci opowiedzieć o Winthropie Carverze Cabwellu. Czemu mnie nie słuchasz? Na czym to ja stanąłem? A tak.)

Był dżentelmenem od stóp do głów, o nienaganych manierach, a na dodatek majestatycznie szczupłym. W wyniku tego oczywiście wszyscy porządni ludzie uważali

go za zakałę ludzkiego rodu, o czym zapewne dowiedziałby się, gdyby się w ogóle zadawał z porządnymi ludźmi. Przystawał jednak wyłącznie z duszami równie zagubionymi jak on sam.

Tak, jest jak mówisz: znał mnie i to go ostatecznie uratowało — co wcale nie znaczy, by mnie ta sprawa przyniosła jakieś korzyści. No, ale sam przecież wiesz, stary, pieniądze to ostatnia rzecz, jaka mnie interesuje.

(Zignoruję stwierdzenie, iż to jedyna rzecz, jaka mnie interesuje, przekonany, że to produkt twego złośliwego nastawienia).

Biedny Winthrop zwykł niekiedy uciekać. Gdy podróże w interesach rzucały mnie do Bostonu, zrzucał swoje łańcuchy i jadał ze mną kolacje w pewnej odludnej knajpce przy Parker House.

— George — mawiał Winthrop. — Dbanie o nazwisko i tradycję Cabwellów jest ciężkim i trudnym zadaniem. Ostatecznie nie chodzi tu tylko o to, że mamy pieniądze, ale także o to, iż są to bardzo stare pieniądze. Jesteśmy zupełnie inni od tych parweniuszy Rockfelerów, jeśli dobrze zapamiętałem to nazwisko, którzy w dziewiętnastym wieku zrobili pieniądze na ropie. Nie wolno mi zapomnieć, że moi przodkowie zakładali swoje fortuny w epoce kolonialnej, w tych czasach, kiedy pionierów otaczał splendor. Podczas Wojny Królowej Anny mój przodek, Isaiah Cabwell, przemyczał broń oraz wodę ognistą Indianom i był zmuszony żyć z dnia na dzień w strachu, że zostanie przez pomyłkę oskalpowany przez jakiegoś Algonkina, Hurona albo kolonistę. Natomiast jego syn, Jeremiah Cabwell, włączył się do partyzanckiego handlu trójstronnego, ryzykując wszystko, cytując Thoreau, narażał się bowiem na niebezpieczeństwa, jakie towarzyszyły wymianie cukru na rum i niewolników, lecz jednocześnie pomagał tysiącom afrykańskich imigrantów, którzy przybywali do naszej wspaniałej ojczyzny. Ciężkie jest brzemię tradycji, gdy się ma takie dziedzictwo, George. Opieka nad tymi sędziwymi pieniędzmi to przerażający obowiązek.

— Nie mam pojęcia, jakim cudem ty jakoś się z niego wywiązujesz, Winthrop — przyznałem.

Winthrop westchnął.

— Cytując Emersona, ledwie siebie znam. Z tym obowiązkiem wiąże się ubiór, styl, manieri, robienie wyłącznie tego, co wypada, zamiast tego, co ma sens. Cabwell zawsze wie, co wypada, rzadko natomiast ma pojęcie o tym, co ma sens.

Przytaknąłem i powiedziałem:

— Często się zastanawiałem nad twoim ubiorem, Winthrop. Czy buty zawsze muszą być tak lśniące, by aż odbijały światła żyrandoli? Czy trzeba koniecznie codziennie pastować podeszwy, a obcasy wymieniać raz w tygodniu?

— Wcale nie raz w tygodniu, George. Mam buty na każdy dzień miesiąca, w związku z czym każda para wymaga nowych obcasów tylko raz na siedem miesięcy.

— Ale po co to wszystko? Po co te wszystkie białe koszule z przypinanymi guzikami? Po co te krawaty ze spinkami? Po co kamizelki? I ten goździk w klapie?

— Żeby odpowiednio wyglądać! Od pierwszego wejrzenia odróżnisz Cabwella od wulgarnego maklera giełdowego. Zdradza go choćby ten prosty fakt, iż Cabwell nie nosi sygnetu na małym palcu. Ktoś, kto spojrzy najpierw na mnie, a potem na ciebie, w tej twojej brudnej, przetartej w wielu miejscach marynarce, w tych butach ewidentnie ukradzionych włóczędzie, w tej koszuli barwy zszarzałej kości słoniowej, odróżni nas bez najmniejszego problemu.

— To prawda — przyznałem. Biedny facet! Z jakąż ulgą muszą spoczywać na mnie czyjeś oczy po tym, gdy uprzednio zostaną przez niego oślepione. Zastanawiałem się przez chwilę, a następnie stwierdziłem: — A tak nawiasem mówiąc, Winthrop, jak ty sobie radzisz z tymi wszystkimi butami? Skąd wiesz, które włożyć w danym dniu? Trzymasz je w ponumerowanych pudełkach?

Winthrop się wzdrygnął.

— Cóż za wulgarny pomysł! Dla oczu plebejusza wszystkie one wyglądają identycznie, ale dla przenikliwego oka Cabwella różnią się zasadniczo.

— Zdumiewające, Winthrop. Jak ty to robisz?

— Przeszedłem w dzieciństwie morderczy trening, George. Nie masz pojęcia, z jakimi osobliwościami w dziedzinie rozróżniania musiałem się zapoznawać.

— Czy ta wieczna troska o ubiór nie przysparza ci czasem kłopotów?

Winthrop zawahał się.

— Czasami przysparza, cytując Longfellowa. Na przykład przeszkadza mi w życiu seksualnym. Zanim umieszczę buty w odpowiednich przegródkach, starannie powieszę spodnie w taki sposób, by nie straciły idealnie zaprasowanych kantów, oraz pieczołowicie wyszczotkuję surdut, towarzysząca mi dziewczyna często traci zainteresowanie. Chłodnieje, jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

— Rozumiem, Winthrop. Z własnego doświadczenia wiem, że kobiety stają się podłe, jeśli zmusić je do czekania. Porzuć zatem ten ubiór, proponuję...

— Zamilcz! — przerwał mi surowym tonem Winthrop. — Na szczęście jestem zaręczony z Hortensją Hepzibah Lowot, cudowną kobietą z rodu niemalże tak dobrego jak mój. Jeszcze ani razu się nie pocałowaliśmy, lecz przy kilku okazjach o mały włos doszłoby do tego. — I tu szturchnął mnie łokciem w żebra.

— Ach, ty bostoński ogierze — powiedziałem jowialnym tonem, mimo iż mój umysł cwałował. Pod spokojnymi słowami Winth — ropa wyczułem zbolełe serce. — Winthrop — dodałem — co by się stało, gdybyś włożył niewłaściwe buty albo rozpiął guzik przy kołnierzyku bądź zapił pieczeń niestosownym gatunkiem wina...

Winthrop wyraźnie się zatrwożył.

— Ależ ugryź się w język! Długi szereg przodków, pociotków i krewnych, urodzonych tudzież skoligaconych z bostońską arystokracją, przewracałby się w grobach, cytując Whittiera. Moja krew wzburzyłaby się i spieniła, podnosząc w ten sposób bunt. Hortensja ukryłaby twarz ze wstydu, a na dodatek utraciłbym posadę w banku. Musiałbym przemaszerować przed stojącymi w rządzie wiceprezesami, wywodzącymi się tak jak ja z



arystokratów, którzy oderwaliby guziki od mojej kamizelki i przerzucili mi krawat na plecy.

— Nie może być! Za takie drobne, nic nie znaczące uchybienie? Głos Winthropa zniżył się do lodowatego szeptu.

— Nie istnieje coś takiego jak drobne, nic nie znaczące uchybienie. Istnieją jedynie uchybienia.

— Winthrop, pozwól, że zajmę się sytuacją z innej perspektywy. Czy chciałbyś dokonać jakiegoś uchybienia, gdybyś mógł?

Winthrop wahał się długo, a potem odparł:

— Cytując Olivera Wendella Holmesa, zarówno seniora, jak i juniora... — Nie potrafił mówić dalej, ale zauważyłem ostrzegawczy krysztalek łzy w kącie jego oka. Ta łza mówiła o emocjach zbyt głębokich, by dały się ująć w słowa, a mnie krwawiło serce, kiedy patrzyłem, jak mój nieszczęsny przyjaciel płaci rachunek za nas obu.

Wiedziałem, co muszę zrobić.

Musiałem wezwać Azazela z innego kontinuum. To skomplikowana procedura, wymagająca użycia runów i pentagramów, aromatycznych ziół i zaklęć, w związku z czym nie opiszę ci jej, albowiem wtedy nieodwracalnie rozstroiłbym twój, już i tak osłabiony, umysł, stary.

Azazel stawiał się na wezwanie, jak zwykle skrzeczając piskliwie na mój widok. Niezależnie od tego, jak często mnie widuje, mój wygląd zdaje się zawsze wywierać na niego jakiś silny wpływ. Myślę, że zakrywa sobie oczy po to, by osłonić je przed łuną mojego majestatu.

I oto miałem go przed sobą w całej dwucentymetrowej okazałości, obdarzonego maleńkimi wypustkami zamiast rogów i długim, kolczastym ogonem. Niemniej jednak tym razem wyglądał nieco inaczej za sprawą niebieskiej wstążki zasupłanej na ogonie w sposób tak skomplikowany, że aż zakręciło mi się w głowie, kiedy się przyjrzałem tym esom — floresom i zakrętasom.

— A cóż to takiego, o Protektorze Bezbronnych? — zwróciłem się do niego takimi słowami, ponieważ on znajduje upodobanie w bezsensownych tytułach.

— To jest tutaj — rzekł Azazel, wielce zadowolony — ponieważ za mój wkład dla dobra narodu mam zostać uhonorowany bankietem. Dlatego właśnie noszę zplacznik.

— Splacznik?

— Nie. Zplacznik. Początkową głoskę szczelinową należy udźwignąć. Żaden porządny osobnik płci męskiej nie pozwoliłby się uhonorować, nie włożywszy zplacznika.

— Aha — ucieszyłem się, ponieważ nagle mnie oświeciło. — To formalny strój.

— Oczywiście, że to formalny strój. A wygląda na coś innego? W rzeczy samej, zplacznik przypominał zwykłą niebieską wstążkę, ale czułem, iż nieuprzejmie byłoby głośno o tym mówić.

— Wygląda doskonale formalnie — stwierdziłem. — A akurat tak się składa, że chciałbym ci przedstawić problem pewnej osoby wynikły z jej doskonałej formalności.

Opowiedziałem mu historię Winthropa. Azazel uronił kilka małych łez, czasami bowiem mięknie mu serce, gdy czyjeś kłopoty kojarzą mu się z jego własnymi.

— O tak — odparł — formalność potrafi wystawić na próbę. Nie jest to coś, do czego przyznałbym się przed każdym, jednakże mój zplacznik jest bardzo niewygodny. Nieodmiennie zakłóca krążenie w moim wspaniałym wyrostku ogonowym. Lecz co ty byś zrobił na moim miejscu? Osobników, którzy pojawiają się bez niego na formalnych zgromadzeniach, wyrzuca się formalnie za drzwi. W rzeczy samej, wyrzuca się ich na twardą, betonową nawierzchnię w taki sposób, by odbili się od niej.

— Czy możesz jednak zrobić coś dla Winthropa, o Obrońco Pożałowania Godnych?

— Chyba tak. — Azazel nieoczekiwanie się rozradował. Zazwyczaj kiedy zwracam się do niego z moimi drobnymi prośbami, robi mi ciężką awanturę, wściekając się na czekające go trudności. Tym razem oświadczył: — Rzeczywiście, nikt w moim świecie ani też, jak sobie wyobrażam, na tej twojej nieszczęsnej planecie nie lubi formalności. Formalność to jedynie efekt męczącej i sadystycznej tresury w dzieciństwie. Wystarczy tylko uwolnić pewne miejsce w mózgu, które w moim świecie nazywane jest zwojem Itchko, a następnie spru-u-u-dować, dzięki czemu dany osobnik natychmiast powraca do stanu naturalnej abnegacji.

— Czy mógłbyś zatem spru-u-u-dować Winthropa?

— Z pewnością, jeśli nas sobie przedstawiś, ponieważ musiałbym zbadać jego aktualną kondycję mentalną.

Spełnienie tego żądania przyszło mi bez trudu. Podczas następnego spotkania z Winthropem zwyczajnie wsadziłem Azazela do kieszeni koszuli. Chwalić Boga, odwiedziliśmy tym razem pewien bar, a bostońskie bary są zazwyczaj okupowane przez zaprzysięgłych pijaków, których nie wytrąca z równowagi mała, czerwona główka wystająca z kieszeni koszuli. Bostońscy pijacy widują gorsze rzeczy nawet wtedy, gdy są trzeźwi.

Winthrop jednakże nie zobaczył Azazela, bowiem ten, jeśli chce, potrafi zmać człowieka umysł, czym — pod tym względem — przypomina twój styl pisania, stary.

W pewnej chwili zorientowałem się, że Azazel coś robi, bowiem Winthrop otworzył szeroko oczy. Zapewne coś w nim musiało ulec spr-u-u-u-dowaniu. Dźwięku nie usłyszałem, ale oczy go zdradziły.

Nie minęło dużo czasu, by rezultaty dały znać o sobie. Jeszcze przed następnym weekendem zjawił się w moim pokoju hotelowym. Zatrzymałem się na jakiś czas w Copley Manhole, w odległości zaledwie pięciu przecznic i kilku podestów od Copley Plaza.

— Winthrop! — zawołałem. — Wyglądasz strasznie. — Istotnie, jeden z małych guziczków przy kołnierzyku jego koszuli był rozpięty.

Dłoń mojego przyjaciela powędrowała do guziczka, a potem Winthrop cichym głosem

powiedział:

— Do diabła z tym. Mam to gdzieś. — Po czym jeszcze ciszej dodał: — Zerwałem z Hortensją.

— Wielkie nieba! — krzyknąłem. — Dlaczego?

— Przez drobiazg. Odwiedziłem ją, jak zwykle, na poniedziałkowej herbatce. Na nogach przez zwykle przeoczenie miałem niedzielne buty. Nie zauważyłem tego, ale ostatnio mam trudności z dostrzeganiem takich rzeczy. To mnie trochę martwi, George, lecz na szczęście nie bardzo.

— Jak rozumiem, Hortensja zauważyła.

— Natychmiast, bowiem ma poczucie poprawności równie wyostrzone jak ja albo przynajmniej tak samo wyostrzone jak ja kiedyś. Powiedziała: „Winthrop, jesteś niestosownie obuty”. Z jakiegoś powodu jej głos zdawał się działać mi na nerwy. Odparłem: „Hortensjo, jeżeli chcę być niestosownie obuty, to mam do tego prawo, a jeśli ci się to nie podoba, to możesz sobie jechać do New Haven”.

— Do New Haven? Dlaczego do New Haven?

— Bo to wstrętne miejsce. Z tego, co mi wiadomo, mają tam jakąś niższą uczelnię zwaną Yeti, Yale czy jakoś tak. Hortensja postanowiła odebrać moje stwierdzenie jako zwykłą zniewagę, którą zresztą w moim zamierzeniu było. Natychmiast oddała mi spłowiałą różę, którą podarowałem jej ubiegłego roku, i oznajmiła, iż zrywa zaręczyny. Zachowała jednakże pierścioneł, jak bowiem całkiem słusznie zauważyła, jest cenny. Dlatego właśnie znalazłem się tutaj.

— Przykro mi, Winthrop.

— Niepotrzebnie, George. Hortensja ma płaski biust. Nie mam na to ostatecznych dowodów, lecz z pewnością od frontu wydaje się wklęsła. Ani trochę nie przypomina Cherry.

— Co to jest cherry?

— Nie co. Kto. To kobieta obdarzona niesłychanym talentem prowadzenia konwersacji, którą poznałem ostatnio i która wcale nie ma płaskiego biustu, tylko jest nadzwyczaj wypukła. Jej pełne nazwisko brzmi Cherry Lang Gahn. Pochodzi z Bensonhoist\*.

— Bensonhoist? Gdzie to jest?

— Nie wiem. Gdzieś na rubieżach kraju, jak sobie wyobrażam. Mówi dziwną odmianą czegoś, co niegdyś było angielskim. — Uśmiechnął się głupawo. — Nazywa mnie „boyczik”.

— Dlaczego?

— Bo to po bensonhoistowsku oznacza „młodego człowieka”. Szybko uczę się tego języka. Przypuśćmy na przykład, że chciałbyś powiedzieć: „Witam szanownego pana, cóż za miłe spotkanie”. Jak byś to powiedział?

— Dokładnie tak samo jak ty.

— Po bensonhoistowsku mówisz: „Sie masz, figo!” Krótko i treściwie, rozumiesz. Ale

słuchaj, chcę, żebyś ją poznał. Zjedz z nami jutro kolację w Locke–Ober’s.

Z wielką ciekawością czekałem na poznanie Cherry, a poza tym rezygnacja z kolacji w Locke–Ober’s byłaby sprzeczna z moją religią, dlatego więc stawiłem się tam następnego wieczoru, i to raczej wcześniej niż późno.

Wkrótce przyszedł Winthrop, a wraz z nim młoda kobieta, w której bez trudu rozpoznałem Cherry Lang Gahn z Bensonhoist, była bowiem zaiste wspaniale wypukła. Miała ponadto szczupłą talię oraz obfite biodra, którymi kołysała nie tylko wtedy, gdy szła, lecz także wtedy, kiedy stała. Gdyby jej miednica była pełna śmietany, to ta już dawno temu zmieniłaby się w masło.

Miała bujne włosy w szokującym, żółtawym odcieniu, szokującej zaś czerwonej barwy wargi nieustannie wybrzuszały się na gumie do żucia, którą mełła w zębach.

— George, poznaj moją narzeczoną, Cherry — powiedział Winthrop. — Cherry, to jest George.

— Młociępznać — rzuciła Cherry.

Nie rozumiałem tego języka, lecz z tonu jej wysokiego, dość nosowego głosu domyśliłem się, że możliwość poznania mnie wprawiła ją w ekstazę.

Cherry zaabsorbowała moją uwagę na dobrych kilka minut, jako że bliższa obserwacja ujawniała w niej kilka punktów godnych zainteresowania. Ostatecznie jednak udało mi się zauważyć, że Winthrop znajduje się w stanie nieprawdopodobnego rozmamłania. Miał rozpiętą kamizelkę i nie nosił krawata. Przyjrząwszy się mu uważniej, stwierdziłem, iż przy kamizelce brakuje mu po prostu guzików i że jednak ma krawat, tyle że na plecach.

— Winthrop... — powiedziałem i musiałem wyrazić to gestem. Nie potrafiłem ubrać tego w słowa.

— Przyłapali mnie w banku — wyjaśnił Winthrop.

— Na czym?

— Nie chciało mi się golić tego ranka. Pomyślałem sobie, że skoro wybieram się na kolację, to ogolę się po powrocie z pracy. Po co golić się dwa razy dziennie? Czyż nie jest to sensowne, George? — Ton jego głosu wskazywał, iż jest mocno zasmucony.

— „Jak najbardziej sensowne — odparłem.

— Cóż, zauważyli, że się nie ogoliłem, i po szybkim procesie w biurze prezesa — sąd kangurowy, jeśli chcesz wiedzieć — jak sam widzisz, ukarano mnie. Zostałem ponadto zwolniony z posady i wyrzucony na twardy beton Tremont Avenue. Odbiłem się dwa razy — dodał z niejaką dumą w głosie.

— Ale to oznacza, że straciłeś pracę! — Byłem poruszony. Ja całe życie byłem bez pracy i doskonale wiem, jakie sporadyczne trudności ów fakt za sobą pociąga.

— To prawda — przyznał Winthrop. — Nie zostało mi na życie nic prócz zasobnego portfela akcji, bogatego pakietu obligacji, szeregu działek, na których obecnie stawiane jest duże centrum handlowe, oraz Cherry.

— Msie rozmieć — powiedziała Cherry, chichocząc — nie oleję mojego facia, jak on ma

tyle kasy na głowie. Ochajtamy się, co nie, Winthrop?

— Ochajtamy? — spytałem.

— Sądzę, że ona sugeruje błogi stan małżeński.

Cherry wyszła na chwilę do toalety, a ja stwierdziłem:

— Winthrop, to cudowna kobieta, pełna oczywistych zalet, ale jeśli się z nią ożenisz, to zostaniesz odrzucony przez całą śmietankę towarzyską Nowej Anglii. Nawet ludzie z New Haven nie będą się do ciebie odzywali.

— A niech się nie odzywają. — Rozejrzał się, pochylił w moją stronę i szepnął: — Cherry uczy mnie seksu.

— A ja myślałem, że znasz się na seksie, Winthrop — odparłem.

— Ja też. Najwyraźniej jednak istnieją poddyplomowe kursy w dziedzinie namiętności i odmian, o jakich nigdy mi się nie śniło.

— A ona co na to?

— Dokładnie o to ją spytałem, nie będę bowiem przed tobą skrywał, iż istotnie przyszło mi do głowy, jakoby mogła mieć doświadczenia z innymi mężczyznami, aczkolwiek może się to komuś wydawać nieprawdopodobne, jeśli zważyć na jej oczywiste wyrafinowanie i niewinność.

— I co na to powiedziała?

— Powiedziała, że w Bensonhoist kobiety rodzą się z całą wiedzą o seksie.

— Jakże przekonujące!

— To prawda. W Bostonie tak nie jest. Miałem dwadzieścia cztery lata, zanim... ale nieważne.

Ogólnie mówiąc, był to pouczający wieczór, i nie muszę ci chyba mówić, że wkrótce potem Winthrop spadł na samo dno. Najwyraźniej wystarczy tylko potrząsnąć tym zwojem, który odpowiada za formalność, a wówczas wszelkie granice, do jakich może się posunąć nieformalność, przestają istnieć.

Dokładnie tak, jak przewidziałem, wszyscy w Nowej Anglii odcięli się od niego. Nawet w New Haven, w owej niższej uczelni, którą Winthrop wymienił, otrząsając się z takim niesmakiem, jego przypadek stał się znany i niełaska, w jaką popadł, była na ustach wszystkich. Na wszystkich murach Yoli, Yule, czy jak tam brzmi ta nazwa, pojawiło się wulgarne graffiti, które orzekało: „Winthrop Carver Cabwell to człowiek Harvardu”.

Wzbudziło to, jak doskonale możesz sobie wyobrazić, fanatyczne oburzenie dobrych ludzi z Harvardu i mówiło się nawet o inwazji na Yale. Stany Massachusetts i Connecticut przygotowały się do wezwania policji stanowej, ale na szczęście kryzys minął. Awanturnicy, zarówno z Harvardu, jak i z tego drugiego miejsca, stwierdzili, że w czasie wojny mogą im się pomicić ubrania.

Winthrop musiał uciekać. Ożenił się z Cherry i schronili się w małym domku w jakimś miejscu, które nazywa się Fah Rockaway\* i najwyraźniej uchodzi za Riwierę Bensonhoist. Żyje tam teraz z dala od świata, otoczony zawrotnymi resztkami swego bogactwa, z Cherry, której włosy z upływem czasu stały się kasztanowate, a figura nabrała ociężałości.

Jest także otoczony pięciorgiem dzieci, bowiem Cherry wykazała się nadmiarem entuzjazmu podczas nauczania seksu. Dzieciom nadano dobre, bensonhoistowskie imiona: Pafryk, Boinard, Goitrude, Poił i Poicy. Co zaś się tyczy Winthrop, jest on powszechnie znany pod czułym mianem Dupka z Fah Rockaway, a stary, zniszczony szlafrok to preferowany przez niego artykuł odzieżowy na wszelkie formalne okazje.

Wysłuchałem cierpliwie tego opowiadania i kiedy George skończył, powiedziałem:

— Cały ty. Kolejna opowieść o nieszczęściu spowodowanym twoją ingerencją.

— Nieszczęście? — spytał George z oburzeniem. — Na jakiej podstawie przyszło ci do głowy, że to było nieszczęście? Odwiedziłem Winthrop, nie dalej jak w ubiegłym tygodniu. Właśnie czekał nad swoim piwem, klepał się po kałdunie, który udało mu się wyhodować, i mówił mi, jaki jest szczęśliwy. „Wolność, George, powiedział. Jestem wolny, dzięki czemu mogę być sobą i z jakiegoś powodu czuję, iż zawdzięczam to tobie. Nie wiem, skąd się bierze to uczucie, ale ono naprawdę jest we mnie”. I ze zwykłej wdzięczności wcisnął mi do ręki banknot dziesięciodolarowy. Wziąłem go tylko dlatego, by nie zranic jego uczuć. A to mi przypomina, stary, że jesteś mi winien dziesięć dolarów, bo założyłeś się ze mną, że nie opowiem ci żadnej historii, która by nie zakończyła się nieszczęściem.

— Ja nie pamiętam takiego zakładu, George — powiedziałem. George przewrócił oczyma.

— Jakże wygodnie jest mieć giętką pamięć. Gdybyś to ty wygrał zakład, to na pewno pamiętałbyś go. Czyżbym musiał od ciebie żądać spisywania treści zakładów, dzięki czemu uniknąłbym twych niezdarnych prób uchylania się od uiszczenia należności?

— Och, już dobrze — powiedziałem i wręczyłem mu banknot dziesięciodolarowy, dodając: — Nie zranisz moich uczuć, George, jeśli nie zechcesz go przyjąć.

— Jakie to uprzejme z twojej strony, że tak mówisz — rzekł George — jestem jednak pewien, że twoje uczucia byłyby i tak zranione, a tego bym znieść nie mógł.

I powiedziawszy to, schował banknot do kieszeni.

KONIEC

To opowiadanie również pokazałem panu Northropowi i obserwowałem go uważnie w trakcie lektury.

Przeczytał je z pełną powagą, bez jednego chichotu, jednego uśmiechu, mimo iż wiedziałem, że jest śmieszne, i to intencjonalnie śmieszne.

Skończył, po czym przeczytał je jeszcze raz, tym razem szybciej. Potem spojrzał na mnie i w jego oczach pojawiła się czysta wrogość.

— Czy napisałeś to całkiem sam, Cal? — zapytał.

— Tak, proszę pana.

— Czy ktoś ci pomagał? Może coś skopiowałeś?

— Nie, proszę pana. Czy nie jest śmieszne?

– To zależy od czyjegoś poczucia humoru – odparł pan Northrop kwaśnym tonem.

– Czy to nie jest satyra? Nie ukazuje tego, co śmieszne?

– Nie będziemy o tym dyskutować, Cal. Idź do swojej niszy.

Zostałem w niszy cały dzień, dumając o tyranii pana Northropa. Wydawało mi się przecież, że napisałem dokładnie takie opowiadanie, jakiego sobie zażyczył, nie miał więc powodów, by mi tego nie powiedzieć. Nie umiałem sobie wyobrazić, co go zaniepokoiło, i byłem na niego zły.

Następnego dnia przyszedł technik. Pan Northrop wręczył mu mój tekst.

– Proszę to przeczytać – powiedział.

Technik przeczytał go, często się zaśmiewając, po czym z szerokim uśmiechem na twarzy oddał opowiadanie panu Northropowi.

– To naprawdę napisał Cal?

– Tak.

– I to dopiero trzecie napisane przez niego opowiadanie?

– Tak.

– No cóż, jest wspaniałe. Myślę, że może się pan starać o jego publikację.

– Czyżby?

– Owszem, a poza tym będzie potrafił napisać jeszcze inne, podobne. Ma pan tu robota wartego milion dolarów. Żałuję, że nie jest mój.

– Doprawdy? A jeśli napisze więcej opowiadań i za każdym razem będzie coraz lepszy?

– Ach – powiedział nagle technik. – Widzę już, co pana gryzie. Znajdzie się pan w cieniu.

– Z pewnością nie chcę grać drugich skrzypiec.

– No cóż, proszę mu w takim razie powiedzieć, by już więcej nie pisał.

– To nie wystarczy. Chcę, by stał się na powrót taki jak kiedyś.

– Co znaczy „taki jak kiedyś”?

– Dokładnie to, co mówię. Chcę, żeby był taki jak wtedy, gdy kupiłem go w waszej firmie, zanim jeszcze zainstalował pan te wszystkie ulepszenia.

– Chce pan, żebym wyjął również słownik ortograficzny?

– Chcę, żeby nawet nie umiał obsługiwać Pisarza. Pragnę robota, którego kupiłem, który tylko przynosi i odnosi.

– A co z tymi wszystkimi pieniędzmi, które pan zainwestował?

– To nie pańska sprawa. Popełniłem błąd i jestem gotów za to zapłacić.

– Wyrażam sprzeciw. Nie mam nic przeciwko próbom ulepszania jakiegoś robota, ale odbieranie mu z premedytacją jego umiejętności to coś, czego nie mam ochoty robić. Zwłaszcza robotowi takiemu jak ten, który najwyraźniej zalicza się do modeli klasycznych. Nie mogę tego zrobić.

– Będzie pan musiał. Nie obchodzą mnie pańskie zasady etyczne. Życzę sobie, by wykonał pan pracę, i zapłacę za nią, a jeśli pan odmówi, to zwyczajnie wezwę kogoś innego i zaskarżę pańską firmę. Zawarłem z nią umowę na wszystkie niezbędne naprawy.

— W porządku. — Technik westchnął. — Kiedy mam zacząć? Ostrzegam pana, mam różne prace do wykonania i nie mogę zrobić tego dzisiaj.

— Zatem proszę zrobić to jutro. Do tego czasu będę trzymał Cala w niszy.

Technik wyszedł.

W moich myślach zawrzało.

Nie mogę na to pozwolić.

Drugie Prawo Robotyki mówi mi, że mam wykonać rozkaz i zostać w niszy.

Pierwsze Prawo Robotyki mówi mi, że nie mogę nic zrobić temu tyranowi, który chce mnie zniszczyć.

Czy muszę być posłuszny tym prawom?

Czuję, że muszę pomyśleć o sobie. Zabiję tyrana, jeśli się to okaże konieczne. To będzie łatwe, a poza tym potrafię sprawić, by wyglądało na wypadek. Nikt nie uwierzy, że robot mógłby wyrządzić krzywdę człowiekowi, więc nikt nie uwierzy, że to ja byłem zabójcą. Potem mógłbym pracować dla technika. On docenia moje kwalifikacje i wie, że mógłbym dla niego zarobić dużo pieniędzy. Może mnie dalej ulepszać i sprawić, iż stanę się jeszcze lepszy. Nawet jeśli nabierze podejrzeń, że to ja zabiłem tyrana, to nic nie powie. Byłbym dla niego zbyt cenny.

Tylko czy będzie mnie na to stać? Czy Prawa Robotyki mnie nie powstrzymają?

Nie, nie powstrzymają mnie. Wiem, że nie.

Jest coś, co jest dla mnie znacznie od nich ważniejsze, coś, co dyktuje mi, jak mam się zachować, zanim mnie powstrzymają.

Chcę być pisarzem.



# Z lewa na prawo

Robert L. Forward, pulchny, cherubinkowaty fizyk zatrudniony w Laboratoriach Badawczych im. Hughesa w Malibu, a także niedzielny pisarz science fiction, demonstrował mechanizm w typowy dla siebie sposób, czyli z entuzjazmem i swadą.

— Jak widzisz — powiedział — mamy tutaj duży pierścień obrotowy, toroid, a w nim cząstki poddane kompresji przez oddziaływanie stosownego pola magnetycznego. Cząstki poruszają się z 0,95 prędkości światła w warunkach, w których, jeśli się nie mylę, możliwe jest spowodowanie zmiany parzystości obiektu, który przejdzie przez otwór w toroidzie.

— Zmiana parzystości? — spytałem. — Chcesz powiedzieć, że można zamienić lewą stronę takiego obiektu z jego prawą stroną?

— Coś się na pewno zamieni. Nie jestem pewien co. Osobiście wierzę, iż to spowoduje przemianę cząstek w antycząstki i na odwrót. Stanie się to sposobem uzyskiwania nieskończonej wielkości antymaterii, którą z kolei będzie można wykorzystać do zasilania statków służących do podróży międzygwiazdnych.

— Więc dlaczego nie spróbować? — spytałem. — Przepuść wiązkę protonów przez ten otwór.

— Już to robiłem. Nic się nie stało. Toroid nie ma dostatecznej mocy. Niemniej jednak z moich obliczeń wynika, że im bardziej uorganizowana będzie próbka materii, tym wyższe jest prawdopodobieństwo zajścia takiej przemiany.

Gdybym potrafił udowodnić, iż w wypadku wysoce uorganizowanej materii dochodzi do przemiany, wtedy może miałbym szansę otrzymać grant, dzięki któremu mógłbym zwiększyć moc owego urządzenia.

— Czy wymyśliłeś już, czym mógłbyś się posłużyć w tym doświadczeniu?

— Oczywiście — odparł Bob. — Obliczyłem, że ludzkie ciało jest w dostatecznym stopniu uorganizowane, by uległo transformacji, dlatego więc sam przejdę przez otwór.

— Nie możesz tego zrobić, Bob! — zaprotestowałem przerażony. — Mógłbyś się zabić.

— Nie mogę nikogo prosić, by tak ryzykował. To moje urządzenie.

— Jeśli jednak doświadczenie się uda, to wtedy dolny wierzchołek twojego serca będzie skierowany w prawo, a wątroba znajdzie się po lewej stronie. Co gorsza, wszystkie twoje aminokwasy staną się z lewoskrętnych prawoskrętne, cukry zaś na odwrót. Nie będziesz mógł jeść i trawić.

— Nonsens — odparł Bob. — Po prostu przejdę po raz drugi i stanę się dokładnie taki sam jak przedtem.

I bez dalszych ceregieli wspiął się po małej drabince, złapał równowagę we wnętrzu otworu i skoczył. Wylądował na gumowym materacu i po chwili wypełził spod toroidu.

— Jak się czujesz? — spytałem z niepokojem.

— Ewidentnie jestem żywy — odparł.

— Tak, ale jak się czujesz?

— Absolutnie normalnie — odparł Bob, raczej jakby rozczarowany. — Czuję się zupełnie tak jak przed skokiem.

— No cóż, to oczywiste, lecz gdzie masz serce?

Bob przyłożył rękę do piersi, pomacał i potrząsnął głową.

— Biję po lewej stronie, jak zwykle... Czekaj, sprawdzimy bliznę po wyrostku.

Sprawdził, a potem spojrzał na mnie dziko.

— Po prawej, tam gdzie powinna być. Nic się nie stało. I wszystkie szansę na grant przepadły.

— Może zaszła jakaś inna zmiana — powiedziałem z nadzieją.

— Nie. — Entuzjazm Boba ustąpił miejsca przygnębieniu. — Nic się nie zmieniło. Jestem tego równie pewien, jak tego, że nazywam się Robert L. Backward\*.

# Frustracja

Herman Gelb odwrócił głowę, odprowadzając wzrokiem oddalającą się postać.

— Czy to nie był przypadkiem minister? — zapytał.

— Tak, to był minister spraw zagranicznych. Stary Hargrove. Masz ochotę na lunch?

— Oczywiście. Co on tu robił?

Peter Jonsbeck nie odpowiedział od razu. Wyprostował się tylko i dał Gelbowi znak, że ma podążać za nim. Przeszli korytarzem do pomieszczenia wypełnionego aromatycznym zapachem pikantnych potraw.

— Proszę bardzo — rzekł Jonsbeck. — Posiłek został przyrządzony przez komputer. Całkowicie automatycznie. Bez udziału ludzkich rąk i na dodatek na podstawie mojego oprogramowania. Obiecałem ci poczęstunek, a oto rezultat.

Wszystko było smaczne. Gelb nie mógł zaprzeczyć, zresztą wcale nie miał na to ochoty.

— Ale co robił tutaj Hargrove? — spytał przy deserze.

Jonsbeck uśmiechnął się.

— Konsultował się ze mną w sprawach oprogramowania. Czego innego mógłby ode mnie chcieć?

— Ale dlaczego? A może nie wolno ci o tym mówić?

— Raczej nie powinienem, zdaje się jednak, że ta akurat sprawa jest już tajemnicą poliszynela. Nie ma w stolicy ani jednego specjalisty od komputerów, który nie wiedziałby, o co chodzi temu biednemu, sfrustrowanemu naiwniakowi.

— No to o co mu chodzi?

— On prowadzi wojny.

Gelb wytrzeszczył oczy.

— Z kim?

— Tak naprawdę to z nikim. Prowadzi je drogą analizy komputerowej. Robi to nie wiem od jak dawna.

— Tylko po co?

— Chce, żeby świat był taki jak my: szlachetny, uczciwy, porządny, pełen szacunku dla praw człowieka i tak dalej.

— Ja też tego chcę. Wszyscy tego chcemy. Cały czas musimy wywierać presję na złych facetów.

- A oni cały czas wywierają presję na nas. Ich zdaniem wcale nie jesteśmy tacy doskonali.
- Raczej nie, lecz i tak jesteśmy od nich lepsi. Wiesz o tym przecież.

Jonsbeck wzruszył ramionami.

– Różnice poglądów. Zresztą to nie jest ważne. My musimy zarządzać światem, badać kosmos, wspierać rozwój komputeryzacji. Współpraca owocuje premią w postaci utrzymania ciągłości współpracy i dzięki temu następuje powolny postęp. Jakoś sobie poradzimy. Tyle że Hargrove nie chce czekać. On łaknie szybkiego postępu, dokonanego przy zastosowaniu siły. Pragnie, żeby darmozjady wzięły się do roboty, rozumiesz? W końcu stać nas, by tego dokonać.

– Siłą? Innymi słowy, w wyniku wojny. Ale przecież nie prowadzimy już wojen.

– To dlatego, że wojna stała się zanadto skomplikowana. Nazbyt niebezpieczna. Dysponujemy zbyt potężnymi środkami. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? A mimo to Hargrove uważa, że znajdzie jakiś sposób. Wstukujesz do komputera dane określające pewne warunki wstępne, potem pozwalasz mu stoczyć wojnę za pomocą matematyki, a na koniec zbierasz żniwo.

– Jak się układa równania wojny?

– No cóż, sam spróbuj, stary. Ludzie. Broń. Zaskoczenie. Kontratak. Statki. Stacje kosmiczne. Komputery. Nie wolno nam zapominać o komputerach. To są setki czynników, tysiące sił i miliony kombinacji. Hargrove uważa, że można znaleźć taką kombinację warunków wstępnych i przebiegu wydarzeń, która zaowocuje niekwestionowanym zwycięstwem dla nas oraz niewielkimi szkodami dla świata. Dlatego właśnie jego mozolnym działaniom bezustannie towarzyszy frustracja.

– Ale co będzie, jeżeli on osiągnie swój cel?

– No cóż, jemu się chyba wydaje, że jeśli znajdzie ową kombinację, że jeśli komputer powie mu: „To jest to”, to wtedy przekona rząd, by przystąpił do takiej komputerowej wojny. A jeśli nie dopuścimy do ingerencji przypadkowych sytuacji, które zakłócałyby przewidywany bieg zdarzeń, będziemy mieli, czego chcieliśmy.

– Będą ofiary.

– Tak, to oczywiste. Jednak komputer najprawdopodobniej porówna liczbę ofiar i inne szkody – ekonomiczne i ekologiczne na przykład – z korzyściami, jakie osiągnęlibyśmy dzięki przejęciu kontroli nad światem. Jeśli stwierdzi, iż bilans tych korzyści względem liczby ofiar jest dodatni, wówczas da sygnał do wszczęcia „wojny sprawiedliwej”. Ostatecznie być może nawet przegrywające państwa skorzystałyby na tym, że to my nimi kierujemy, my z naszą silniejszą gospodarką i morale.

Gelb wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy.

– Jakoś nigdy do mnie nie dotarło, iż siedzimy na krawędzi wulkanu – powiedział. – A co z tymi „przypadkowymi sytuacjami”, o których wspominałeś?

– Program komputerowy stara się uwzględnić niespodzianki, ale oczywiście nigdy nie wiadomo ostatecznie, czego należy oczekiwać. Nie bój się więc, że sygnał kiedykolwiek padnie. Jak dotąd nie padł i jeśli stary Hargrove nie przedstawi rządowi takiej komputerowej

symulacji wojny, która będzie całkowicie satysfakcjonująca, nie sędzę, by miał większe szanse na jej przeforsowanie.

- W takim razie po co przychodzi do ciebie?
- Chce ulepszać program, to chyba jasne?
- I ty mu pomagasz?
- Oczywiście. Dostaję za to bardzo wysokie honoraria, Hermanie.

Gelb pokręcił głową.

- Peter! Bierzesz udział w przygotowaniach do wojny tylko dla pieniędzy?

– Nie będzie żadnej wojny. Nie istnieje taka realistyczna kombinacja zdarzeń, która mogłaby sprawić, że komputer podejmie decyzję o rozpoczęciu działań. Komputery bardziej niż ludzie cenią ludzkie życie i to, co wydawałoby się znośne dla ministra Hargrove'a albo nawet dla ciebie czy dla mnie, nigdy nie przejdzie przez komputer.

- Jak możesz być tego taki pewien?

– Jestem programistą i nie znam sposobu na takie zaprogramowanie komputera, by dało mu ono to, co niezbędne do wszczęcia wojny, jakichś prześladowań czy innego diabelstwa, a jednocześnie pozwoliło zignorować szkody wynikłe w trakcie działań. I właśnie dlatego, że zawsze będzie im brakowało tego, co najbardziej konieczne, komputery nigdy nie przysporzą Hargrove'owi i wszystkim innym, którzy łakną wojny, niczego prócz frustracji.

- Czego w takim razie brakuje komputerowi?

- No, zastanów się, Gelb. Jemu całkowicie brakuje poczucia własnej nieomyślności.

# Halucynacja

## Część pierwsza

Sam Chase przybył na Planetę Energii w dniu swoich piętnastych urodzin.

Powiedziano mu, że ten przydział jest wielkim osiągnięciem, ale w owej chwili wcale nie był pewien, czy tak to należy rozumieć.

Przydział oznaczał trzyletni pobyt poza Ziemią i separację od rodziny. W tym właśnie czasie miał kontynuować wyspecjalizowane badania terenowe, i to właśnie ta perspektywa tak go przygnębiała. Nie była to dziedzina nauki, którą się interesował, nie potrafił więc zrozumieć, dlaczego Komputer Centralny wyznaczył go do projektu, a to już mogło spowodować prawdziwą depresję.

Spojrzał w górę na sklepienie przezroczystej kopuły. Była wysoka, może na tysiąc metrów, i rozciągała się we wszystkich kierunkach, ginąc gdzieś poza zasięgiem wzroku.

— Czy prawdą jest, że to jedyna Kopuła na tej planecie, sir?

Na statku kosmicznym, który go tutaj przywiózł, obejrzał filmy informacyjne. Pokazywały jedną tylko Kopułę, ale mogły być przestarzałe.

Donald Gentry, do którego zaadresowane było pytanie, uśmiechnął się. Był rosnącym mężczyzną, dość tęgim, obdarzonym ciemnobrązowymi, dobrodusznymi oczyma, rzadkimi włosami i krótką, siwiejącą brodą.

— Jedyna, Sam — odparł. — Jest jednak dość duża, większość pomieszczeń mieszkalnych znajduje się pod ziemią; tam na pewno nie zabraknie ci miejsca. A poza tym, kiedy już zakończysz podstawowe szkolenie, większą część czasu będziesz spędzał w przestrzeni. To tylko nasza baza planetarna.

— Rozumiem, sir — odparł Sam, nieco zakłopotany.

— Odpowiadam za uczestników szkolenia wstępnego, muszę więc dokładnie znać ich akta — oznajmił Gentry. — Jest dla mnie raczej oczywiste, że zostałeś tu przydzielony wbrew własnej woli. Czy mam rację?

Sam się zawahał, a potem stwierdził, iż nie ma innego wyjścia, niż być w tej sprawie szczerym.

— Nie jestem pewien, czy poradzę sobie tak dobrze, jak chciałbym, z zagadnieniami obejmującymi inżynierię grawitacyjną.

— Dlaczego nie? Z pewnością można zaufać Komputerowi Centralnemu, który oceniał twoje osiągnięcia naukowe, a także pochodzenie społeczne i życiorys. Jeśli się spiszesz, będzie

to znaczący etap twojej kariery. Opracowujemy tutaj podstawy zastosowania zupełnie nowej technologii.

— Wiem o tym, sir — rzekł Sam. — Na Ziemi budzi to znaczne emocje. Nikt przedtem nie starał się dotrzeć w pobliże gwiazdy neutronowej, aby wykorzystać jej energię.

— Czyżby? — zapytał Gentry. — Nie byłem na Ziemi od dwóch lat. Co jeszcze o tym mówią? Jak rozumiem, istnieje liczna opozycja.

Jego wzrok sondował chłopca.

Sam niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, świadom, że jest sprawdzany.

— Niektórzy ludzie na Ziemi twierdzą, że to wszystko jest zbyt ryzykowne i że oznacza wyłącznie wyrzucanie pieniędzy w błoto.

— Wierzysz w to?

— Może i tak być, ale z większością nowych technologii wiąże się określone ryzyko, a mimo to wiele z nich wartych jest jego podjęcia. Tak jest, moim zdaniem, tym razem.

— Bardzo dobrze. Co jeszcze mówi się na Ziemi?

— Mówią, że Komandor nie czuje się dobrze, a bez niego projekt może się nie powieść. — Kiedy Gentry nie odpowiedział, Sam dodał pospiesznie: — Tak mówią.

Gentry zareagował, jakby niczego nie usłyszał. Położył dłoń na ramieniu Sama i rzekł:

— Chodź. Muszę ci pokazać drogę do twojego Korytarza, przedstawić współmieszkańcowi i wyjaśnić wstępne obowiązki — Kiedy ruszyli w stronę windy, która miała ich zawieźć na dół, powiedział: — A jaki przydział sam sobie wybrałeś, Chase?

— Neurofizjologię, sir.

— Nieźle. Nawet w obecnej dobie ludzki mózg ciągle pozostaje zagadką. Wiemy więcej o gwiazdach neutronowych niż o mózgu, o czym się zresztą przekonaliśmy już na samym początku prac nad projektem.

— Naprawdę?

— Żebyś wiedział! Na samym początku niektórzy mieszkańcy bazy — była wtedy znacznie mniejsza, a warunki naprawdę prymitywne — donosili, że mają halucynacje. Te halucynacje nie powodowały żadnych skutków ubocznych i po jakimś czasie doniesienia o nich ustały. Nigdy jednak nie znaleźliśmy przyczyny.

Sam zatrzymał się, znowu popatrzył w górę, potem rozejrzał się dokoła.

— Czy właśnie dlatego zbudowano Kopułę, doktorze Gentry?

— Nie, oczywiście, że nie. Potrzebowaliśmy miejsca mieszkalnego, w którym panowałyby ziemskie warunki, z rozmaitych powodów, ale to nie znaczy, że się izolowaliśmy. Ludzie mogą swobodnie wychodzić na zewnątrz. Koniec z doniesieniami o halucynacjach.

— Z informacji, które otrzymałem o Planecie Energii, wynika, iż nie ma tu żadnych form życia prócz roślin i insektów, które są zupełnie nieszkodliwe.

— A poza tym niejadalne, więc sadzimy własne warzywa i hodujemy zwierzęta, właśnie tutaj, pod Kopułą. Nie wykryliśmy jednak żadnych czynników halucynogennych w biosferze planety.

— Niczego niezwykłego w atmosferze, sir?



Wyższy od niego Gentry spojrział z góry i powiedział:

— Absolutnie nic. Zdarzało się, że ktoś obozował na otwartej przestrzeni przez całą noc i nic się nie działo. To przyjazny świat. Są tu strumienie, ale brak w nich ryb, tylko algi i wodne owady. Nic cię tu nie użądli ani nie zatruje. Rosną tu takie żółte jagody, które wyglądają smakowicie, choć w istocie są koszarne, ale oprócz tego nie wywierają żadnych nieprzyjemnych skutków. Pogoda prawie zawsze jest dobra. Często padają przelotne deszcze i czasami wieje, nie ma jednak żadnych ekstremalnych upałów ani chłódów.

— I żadnych halucynacji, doktorze Gentry?

— Wyraźnie jesteś rozczarowany — stwierdził Gentry z uśmiechem.

Sam skorzystał z okazji.

— Czy problemy zdrowotne Komandora mają coś wspólnego z halucynacjami, sir?

Dobroduszny wyraz na moment zniknął z oczu Gentry'ego, czoło przeciął mars.

— O jakich problemach mówisz? — spytał.

Sam zaczerwienił się i dalej szli już w milczeniu.

W Korytarzu, do którego go przydzielono, Sam zauważył niewiele osób, ale Gentry wyjaśnił, że właśnie jest pora pracy na stacji roboczej, gdzie budowano system zasilania w pierścieniu otaczającym gwiazdę neutronową — maleńki obiekt o przekroju mniejszym niż dziesięć mil, który miał masę normalnej gwiazdy oraz pole magnetyczne o niewiarygodnej mocy.

Do tego właśnie pola magnetycznego mieli się podłączyć. A mimo że ilości odprowadzanej energii byłyby ostatecznie ogromne, stanowiłyby jedynie drobne nakłucie szpileczką, a nawet mniej jeszcze, monstrualnego balonu energii rotacyjnej gwiazdy, z której byłaby czerpana. Musiałyby upłynąć miliardy lat, zanim gwiazda wykrwawiłaby w ten sposób całą swą energię, a w tym czasie dziesiątki zamieszkałych planet, zasilanych energią przesyłaną przez hiperprzestrzeń, miałyby wszystko, czego potrzeba do życia.

Okazało się, że pokój dzieli z Robertem Gillette'em, ciemnowłosym młodym człowiekiem o nieszczęśliwym wyrazie twarzy. Przywitali się powściągliwie, po czym Robert zdradził, że ma szesnaście lat i że „uziemilo go” z powodu złamanej ręki, chociaż zewnętrznie nic na to nie wskazywało, ponieważ wszystkie obrażenia wyleczono wewnętrznie.

— Człowiek dopiero po jakimś czasie uczy się, jak radzić sobie z przedmiotami w przestrzeni — rzekł ponurym tonem. — Mogą być pozbawione ciężaru, ale mają przecież bezwładność i nie wolno o tym zapominać.

— Przecież tego uczą w... — zaczął Sam. Zamierzał powiedzieć, że uczą tego w czwartej klasie, lecz uświadomił sobie, że byłoby to obraźliwe, i pohamował się.

Robert zrozumiał jednak sugestię i zaczerwienił się.

— Każdy to wie — powiedział — co wcale nie oznacza, iż nabędziesz prawidłowych odruchów, zanim najpierw trochę nie poćwiczysz. Sam się przekonasz.

— Czy są jakieś problemy z wychodzeniem na zewnątrz? — spytał Sam.

— Nie, ale po co w ogóle wychodzić? Tam nic nie ma.

— A byłeś kiedykolwiek na zewnątrz?

— Jasne — wzruszył ramionami i nic więcej nie dodał.

Sam skorzystał z okazji i zapytał zdawkowym tonem:

— Czy miałeś kiedyś te halucynacje, o których tyle się gada?

— Kto gada? — spytał Robert.

Sam nie odpowiedział bezpośrednio.

— Wielu ludzi je miało, jednak od jakiegoś czasu brak doniesień — powiedział. — Tak przynajmniej mówią.

— To znaczy kto?

Sam skorzystał z kolejnej szansy.

— Albo jeśli je mają, to milczą na ten temat.

— Słuchaj, pozwól, że coś ci poradzę — rzekł gburowatym tonem Robert. — Nie interesuj się tymi... cokolwiek to jest. Jeśli zaczniesz gadać, że sam widziałeś... hm... coś, to możesz zostać odesłany. Stracisz szansę na zdobycie niezłego wykształcenia i dalszy rozwój kariery. — Mówiąc to, patrzył uważnie na Sama.

Ten wzruszył ramionami i usiadł na nie używanej pryczy.

— To może być moje łóżko?

— Trzeciego nie ma — odparł Robert, wciąż mu się przypatrując. — Łazienka znajduje się po prawej stronie. Tu jest twoja szafa, biurko. Należy ci się połowa pokoju. Jest tu także sala gimnastyczna, biblioteka, stołówka. — Urwał, po czym, jakby chciał puścić w niepamięć to, co sobie wcześniej powiedzieli, obiecał: — Później oprowadzę cię po wszystkim.

— Dzięki — odparł Sam. — Jakim facetem jest Komandor?

— To as. Bez niego nie byłoby nas tutaj. Wie więcej niż ktokolwiek o technologii hiperprzestrzennej i ma jakieś układy z Agencją Przestrzeni Kosmicznej, dzięki czemu dostajemy pieniądze i niezbędny sprzęt.

Sam otworzył swój kufer i stając tyłem do Roberta, rzucił obojętnym tonem:

— Podobno nie czuje się najlepiej.

— To wszystko go dobija. Jesteśmy opóźnieni z planem, przekraczamy koszty i tego typu rzeczy. Jest tego dość, by wykończyć każdego.

— Niby jakaś depresja? A myślisz, że to się może wiązać z... Robert niespokojnie poruszył się na krześle.

— Powiedz, dlaczego tak się tym wszystkim interesujesz?

— Tak naprawdę fizyka energii nie jest moją działką. Przyjeżdżając tutaj...

— No, ale przyjechałeś tu jednak, facet, więc lepiej się zdecyduj, bo inaczej zostaniesz odesłany do domu, a wtedy nie pojedziesz już nigdzie. Idę do biblioteki.

Sam pozostał w pokoju z głową wypełnioną myślami.

Nie miał trudności z uzyskaniem pozwolenia na opuszczenie Kopyły. Opiekun Korytarza nie zapytał nawet o powód, dopóki Sam nie przyszedł się odmeldować.

— Chcę się zapoznać z planetą, sir.

Opiekun Korytarza skinął głową.

— Całkiem słusznie, ale pamiętaj, masz tylko trzy godziny. I nie oddalaj się poza zasięg widoczności z Kopuły. Znajdziemy cię, jeśli zajdzie taka potrzeba, ponieważ będziesz nosił to przy sobie. — I podał mu transmitter, nastawiony, jak wiedział Sam, na jego osobistą długość fali, tę, którą przydzielono mu przy narodzinach. — Jeśli jednak narazisz nas na kłopoty, to potem bardzo długo nie będzie ci wolno wychodzić. A poza tym taki zapis nie będzie wyglądał korzystnie w twoich aktach. Zrozumiałeś?

Nie będzie wyglądał korzystnie w twoich aktach”. W obecnych czasach karierę robiło się na podstawie doświadczeń i wykształcenia zdobytego w przestrzeni kosmicznej, było to więc bardzo skuteczne ostrzeżenie. Nic dziwnego, że ludzie mogli przestać donosić o halucynacjach, choćby w dalszym ciągu je miewali.

A mimo to Sam zamierzał skorzystać z szansy. Ostatecznie Komputer Centralny nie mógł przysłać go tu wyłącznie po to, by się zajmował fizyką energii. W jego aktach nie było żadnej wzmianki, która by to uzasadniała.

Jeśli wziąć pod uwagę wyłącznie krajobraz, to planeta równie dobrze mogłaby być Ziemią, a w każdym razie jakimś miejscem na Ziemi, gdzie rośnie niewiele drzew, niskie krzaki i mnóstwo wysokich traw.

Nie było żadnych ścieżek, trawa przy każdym ostrożnym kroku falowała, a w powietrzu, do wtóru cichego brzęczenia skrzydeł, podrywały się maleńkie stworzenia.

Jedno z nich wylądowało Samowi na palcu; przyjrzał mu się z ciekawością. Owad był bardzo mały, dlatego też z trudem dawało się odróżnić szczegóły jego anatomii; tułów miał jednak z grubsza sześciokątny, wypukły od góry i wklęsły od spodu. Obdarzony był licznymi krótkimi odnóżami, więc kiedy się poruszał, sprawiał wrażenie, jakby jechał na miniaturowych kółkach. Skrzydeł nie widziało się aż do momentu, gdy stworzenie nagle poderwało się do lotu, rozwijając cztery niewielkie, pierzaste wypustki.

Było jednak coś, co różniło planetę od Ziemi. Zapach. Nie nieprzyjemny, zwyczajnie inny. Metabolizm roślin musiał być oparty na zupełnie innej chemii niż na Ziemi, dlatego właśnie tak paskudnie smakowały. Całe szczęście, że nie były trujące.

Woń wypełniała nozdrza Sama, w miarę upływu czasu tracąc jakby intensywność. Znalazł wysuniętą skalną odkrywkę, na której mógł usiąść, i rozejrzał się po otoczeniu. Niebem gnały stada chmur, które co jakiś czas przesłaniały Słońce, ale temperatura była znośna i wiał jedynie lekki wiatr. W powietrzu czuło się nieznaczną wilgoć, jakby za kilka godzin miało padać.

Sam przyniósł ze sobą niewielki koszyk; ułożył go teraz na kolanach i otworzył. Miał w nim dwie kanapki i napój w puszcze, mógł więc tę wyprawę zamienić w piknik.

Jadł i myślał: „Skąd tutaj halucynacje?”

Z pewnością ci, których przyjęto do pracy tak ważnej jak ujarzmienie gwiazdy neutronowej, musieli zostać dobrani ze względu na wysoki stopień równowagi psychicznej. Halucynacje u jednego z nich już były czymś osobliwym, nie mówiąc w ogóle o całej ich serii.

Efekt wpływu lokalnych związków chemicznych na mózg?

Na pewno to sprawdzili.

Sam zerwał liść, rozdarł go na pół i roztarł w dłoni. Potem ostrożnie przyłożył zmiętą krawędź do nosa. Bardzo kwaśny, nieprzyjemny zapach. Spróbował tego samego ze źdźbłem trawy. Mniej więcej to samo.

Czy to zapach? Nie wywoływał zawrotów głowy, trudno było doszukać się w nim jakichś innych osobliwych jakości.

Użył odrobiny wody z puszki do opłukania palców, po czym wytarł je o nogawkę spodni. Powoli dokończył kanapki, zastanawiając się, czy jest jeszcze coś, co w tej planecie mogło się wydawać nienaturalne.

Tyle tej zieleni. Powinny tu żyć zwierzęta, które jadłyby owe rośliny; króliki, krowy, cokolwiek. Nie tylko insekty, niezliczone insekty — czymkolwiek były te malutkie stworzenia — i cichutkie westchnienia ich maleńkich pierzastych skrzydełek, bardzo cichy chrzęst przeżuwanych liści i łodyg.

A gdyby przeżuwała to jakaś krowa — wielka, tłusta krowa? I wraz z ostatnim kęsem drugiej kanapki ustał odgłos jego przeżuwania.

W powietrzu dzielącym go od linii kolczastych krzewów pojawiło się coś w rodzaju dymu. Falował, kłębił się i przekształcał; był rzadki, prawie przejrzysty. Sam zamrugał, pokręcił głową, ale ciągle go widział.

Przełknął pospiesznie, zamknął koszyk i zarzucił go sobie na ramię. Wstał.

Dym gęstniał i nabierał kształtu. Niejasno przypominał krowę, jej rozmazaną i niematerialną, przezroczystą sylwetkę. Czy to halucynacja? Wytwór jego umysłu? Dopiero co pomyślał o krowie.

Halucynacja czy nie, zamierzał to zbadać.

Zdeterminowany, ruszył w tamtą stronę.

## Część druga

Sam Chase szedł w kierunku zarysu krowy powstałego z plamy dymu na dziwnej, dalekiej planecie, na której miał zdobyć wykształcenie i solidne podstawy dalszej kariery.

Był przekonany, że z jego umysłem nie dzieje się nic złego. Właśnie o takich „halucynacjach” wspomniał doktor Gentry, ale to nie była przecież żadna halucynacja. Kiedy przedzierał się przez wysokie i cuchnące, podobne do traw rośliny i zdał sobie sprawę z panującej wokół ciszy, zrozumiał, że to nie tylko nie jest żadna halucynacja, gdyż to coś istnieje naprawdę.

Dym zdawał się kondensować i ciemnieć, tworząc coraz wyraźniejszy zarys sylwetki krowy. Jakby ktoś malował ją na materii powietrza.

Sam roześmiał się i krzyknął:

– Przestań! Przestań! Nie wykorzystuj mnie. Nie znam się na krowach. Widziałem je tylko na ilustracjach. Zupełnie źle to robisz.

Bardziej przypominało to karykaturę niż prawdziwe zwierzę; gdy skończył krzyczeć, krowa zafalowała i rozrzedziła się. Dym pozostał, ale było tak, jakby przed chwilą jakaś niewidzialna ręka przeszła przez powietrze, by wymazać to, co zostało na nim napisane.

A potem zaczął powstawać nowy kształt. Sam z początku nie potrafił się zorientować, co właściwie miał przedstawiać, jednak ten zmieniał się szybko, nabierając ostrych konturów. Wpatrywał się w niego, oszołomiony, z otwartymi szeroko ustami, z pustym koszykiem objającym się o plecy.

Dym formował się w kształt ludzkiej istoty. Nie było najmniejszych wątpliwości. Układał się dokładnie tak, jakby miał jakiś model do naśladowania. I rzeczywiście, modelem tym był Sam.

Dym stawał się Samem, z jego ubraniem i całą resztą, nawet koszykiem i rzemieniem koszyka na ramieniu. To był drugi Sam Chase.

Wciąż jeszcze był nieco mętny, chwiał się trochę, niematerialny, lecz coraz bardziej stabilny, jakby sam się poprawiał. Wreszcie znieruchomiał.

Ani na moment do końca się nie zmaterializował. Sam widział za nim niewyraźne zarysy roślin, a kiedy powiał wiatr, poruszył się nieznacznie niczym balon na uwięzi.

Był jednak realny. Sam nie miał wątpliwości, że nie jest to twór jego umysłu.

Nie mógł przecież tak tylko stać i patrzeć.

– Cześć – powiedział przekornie.

Z jakichś powodów spodziewał się, że ten Drugi Sam też się odezwie, i rzeczywiście, jego usta otworzyły się i zamknęły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Być może jedynie naśladował ruchy ust Sama.

– Hej, umiesz mówić? – odezwał się znowu Sam.

Nie usłyszał nic prócz własnego głosu, a mimo to poczuł jakby lekkie łaskotanie w głowie, jakby ślad myśli, że jakoś jednak mogą się porozumieć.

Skrzywił się. Skąd ta pewność? Ta myśl jakby sama wskoczyła mu do głowy.

– Czy to właśnie objawiało się innym ludziom... przedstawicielom mojego gatunku... w tym świecie?

Nie doszedł go żaden dźwięk, lecz Sam był przekonany, iż zna odpowiedź na swoje pytanie. To właśnie objawiało się innym ludziom, niekoniecznie w ich własnym kształcie, ale coś pojawiała się na pewno. I nic z tego nie wyszło.

Skąd to przekonanie? Skąd brały się te myśli równoznaczne z odpowiedziami na jego pytania?

Tak, to były naprawdę odpowiedzi. Drugi Sam zaszczepiał myśli w jego umyśle. Przetwarzał mikroskopijne prądy elektryczne w jego komórkach mózgowych w taki sposób, by powstawały z nich sensowne myśli.

Gdy tylko to zrozumiał, skinął głową, a Drugi Sam musiał pojąć znaczenie tego gestu, bo też przytaknął.

Musiało być tak. Najpierw uformowała się krowa, kiedy Sam pomyślał o krowie, a potem kształt przetworzył się, gdy chłopak powiedział, że obraz zwierzęcia jest niedoskonały. Drugi Sam potrafił jakoś wychwytywać jego myśli, a skoro je pojmował, być może umiał je również modyfikować.

Czy w takim razie chodzi o coś w rodzaju telepatii? Ich komunikacja nie przypominała rozmowy. Można było ją porównać do strumienia myśli, tyle że ich część rodziła się w jakimś innym miejscu, a nie w wyniku własnych operacji intelektualnych. Jak jednak odróżnić swoje myśli od tych, które ktoś narzuca ci z zewnątrz?

Natychmiast poznał odpowiedź. Na razie brakowało mu jeszcze wprawy. Nie miał praktyki. Z czasem, w miarę powtarzanych ćwiczeń, bez większego problemu będzie odróżniał jeden rodzaj myśli od drugiego.

W rzeczy samej, kiedy się odrobinę zastanowił, potrafił to zrobić już teraz. Czy do pewnego stopnia nie prowadził rozmowy? Najpierw zastanawiał się, a chwilę później już wiedział. Namysł i pytanie są jego, wiedza oraz odpowiedź pochodzą od Drugiego Sama. Oczywiście, że tak to się odbywa.

No właśnie! To „oczywiście, że tak się odbywa” stanowiło odpowiedź.

– Nie tak szybko, Drugi Samie – powiedział na głos Sam. – Nie spiesz się tak. Daj mi szansę wszystko sobie poukładać, bo inaczej się pogubię.

Usiadł na trawie, która ugięła się pod nim. Drugi Sam również próbował niezdarnie usiąść. Sam roześmiał się.

– Nogi wyginają ci się w złych miejscach.

Zostało to natychmiast poprawione. Drugi Sam usiadł, ale od pasa w górę pozostał bardzo sztywny.

– Odpręż się – poradził mu Sam.

Tamten powoli się zgarbił, nieznacznie odchylając do tyłu, ale to też wkrótce poprawił.

Samowi ulżyło, gdy stwierdził, że Drugi tak chętnie korzysta z jego wskazówek. Był pewien, iż musi być w to zaangażowana dobra wola. Naprawdę! Właśnie!

– Nie – rzekł Sam. – Powiedziałem, nie tak szybko. Nie podążaj za moimi myślami. Pozwól mi mówić głośno, nawet jeśli mnie nie słyszysz. Potem popraw moje myśli, tak abym wiedział, że to modyfikacja. Rozumiesz mnie?

Odczekał chwilę, aż nabrał pewności, że Drugi Sam zrozumiał.

Ach, odpowiedź padła, ale nie od razu. Dobrze!

– Dlaczego pojawiaasz się ludziom? – spytał Sam. Wpatrywał się z napięciem w Drugiego Sama i wiedział już, że tamten próbował się porozumieć z innymi, lecz bez powodzenia.

Na to pytanie nie potrzebował odpowiedzi. Była oczywista. Dlaczego jednak się nie udało?

Ujął to w słowa.

– Dlaczego ci się nie udało? Ze mną porozumiewasz się skutecznie.

Powoli zaczynał się uczyć, jak rozumieć przekazy obcej istoty. Było tak, jakby jego umysł adaptował się do nowej techniki porozumiewania dokładnie w ten sam sposób, z którym ma się do czynienia podczas nauki nowego języka. A może to Drugi Sam oddziaływał na umysł Sama, nauczając go w taki sposób, że chłopak nawet nie wiedział, iż wszystko się dzieje?

Zorientował się, że opróżnia umysł z myśli. Zadawał pytanie, a potem skupiał wzrok na pustce i przymykał powieki, jakby miał się zaraz pogrążyć we śnie, i w tym momencie znał już odpowiedź. W jego umyśle rozlegało się takie jakby „szczęknięcie”, sygnał, który wskazywał mu, że coś zostało wniesione z zewnątrz.

Wiedział teraz na przykład, iż poprzednie próby porozumienia zawiodły, ponieważ ludzie, którym Sam się objawiał, bali się. Wątpili we własne zdrowie psychiczne. A ponieważ się bali, ich umysły... zacieśniały się. Niczego nie przyjmowały. Wysiłki nawiązania komunikacji stawały się coraz radsze, aczkolwiek nigdy do końca nie ustały.

Ale przecież porozumiewasz się ze mną – zauważył Sam.

Był inny od tamtych. Nie bał się.

– Nie mogłeś sprawić, by tamci się nie bali? I dopiero potem z nimi rozmawiać?

Nie wychodziło. Umysł przepelniony strachem opierał się wszelkiej ingerencji. Próba zmienienia w nim czegoś mogła spowodować trwałe uszkodzenia. Uszkodzenie myślącego umysłu byłoby czymś bardzo złym. Doszło do jednej takiej próby, która zakończyła się całkowitym fiaskiem.

– Co starasz się przekazać, Drugi Samie? Życzenie, by go pozostawiono w spokoju. Rozpacz!

Ta rozpacz była czymś więcej niż samą myślą; była emocją, zatrważającym odczuciem.

Sam czuł, jak zalewają go potoki rozpacz — rozpacz, która nie brała się z jego wnętrza. Na powierzchni umysłu czuł rozpacz bardzo wyraźnie, ale pod spodem, tam gdzie znajdowała się jego jaźń, nie było jej.

— Wygląda na to, że się poddałeś. Dlaczego? Nie przeszkadzamy ci chyba? — spytał ze zdziwieniem Sam.

Ludzkie istoty zbudowały Kopułę, usuwając z ogromnego obszaru całą warstwę planetarnej biosfery, i zastąpiły ją własną. Odkąd gwiazda neutronowa została wyposażona w elektrownię, odkąd rzeki energii ruszyły przez hiperprzestrzeń ku łaknącym jej światom, zaczęto budować kolejne Kopuły, a miało ich być coraz więcej. Co się wtedy stanie z Domem? (Drugi Sam z pewnością nazywał jakoś tę planetę, ale jedyną myślą, jaką Sam znalazł, był Dom, a pod nią inna myśl: nasz... nasz... nasz...).

Ta planeta, znajdując się najbliżej gwiazdy neutronowej, stanowiła dogodną bazę. Będą ją zalewały coraz większe rzesze ludzi, będzie powstawało coraz więcej Kopuł i Dom zostanie zniszczony.

— Ale potrafiłbyś zmienić nasze umysły, jeśli musiałbyś, nawet gdyby trzeba kilka z nich uszkodzić, prawda?

Gdyby spróbowali, ludzie uznaliby ich za niebezpiecznych. Domyśliliby się, co się dzieje. Przyleciałyby statki i z oddali użyto by broni, by zniszczyć życie na planecie, a w jego miejsce wprowadzić życie ludzi. Tyle można odczytać z ludzkich umysłów. Historia ludzkości jest przepełniona przemocą; ludzie nie zatrzymają się przed niczym.

— Ale co ja mogę zrobić? — spytał Sam. — Jestem tylko praktykantem. Przebywam tu zaledwie kilka dni. Co mogę zrobić?

„Strach. Rozpacz”.

Nie było już żadnych myśli, które Sam mógłby wyodrębnić, wyłącznie warstwa odrętwiałego strachu i rozpacz.

To go poruszyło do głębi. Taki spokojny świat. Oni nikomu nie zagrażali, nawet nie uszkadzali umysłów, chociaż mogli.

To nie ich wina, że znajdowali się w tak dogodnej odległości od gwiazdy neutronowej. To nie ich wina, iż stanęli na drodze ekspansji ludzkości.

— Pozwól mi się zastanowić — poprosił.

Zastanawiając się, miał uczucie, że tamten umysł obserwuje go. Czasami jego myśli mknęły do przodu i wtedy rozpoznawał wniesioną z zewnątrz sugestię.

Pojawiły się załamki nadziei. Sam czuł je, ale nie był pewien.

— Spróbuję — obiecał bez przekonania.

Spojrzał na zapiętą na przegubie dłoni bransoletę, która wskazywała czas, i drgnął. Upłynęło go znacznie więcej, niż myślał. Jego trzy godziny dobiegały prawie końca.

— Muszę już wracać — powiedział.

Otworzył koszyk, wyjął zeń niewielki termos z wodą i napił się z niego łapczywie; wypił wszystko. Wcisnął puste naczynie pod pachę. Wydobył opakowania po kanapkach i wepchnął je do kieszeni.



Drugi Sam zamigotał, jego kontury zaczęły tracić ostrość. Po jakiejś chwili nawet dym zrzędł, rozproszył się i zniknął.

Sam zamknął koszyk, zarzucił ramię na ramię i odwrócił się w stronę Kopuły.

Serce biło mu jak młotem. Czy starczy mu odwagi do zrealizowania swego planu? A jeśli nawet, to czy plan się powiedzie?

Kiedy Sam wszedł do Kopuły, Opiekun Korytarza czekał już na niego.

„Raczej się nie spieszyłeś, co? — powiedział Opiekun, ostentacyjnie spoglądając na swoją bransoletę.

Sam zacisnął usta i postarał się, by jego odpowiedź nie zabrzmiała bezczelnie.

— Dostałem trzy godziny, sir.

— A wykorzystałeś dwie godziny i pięćdziesiąt osiem minut.

— To mniej niż trzy godziny, sir.

— Hm. — Opiekun Korytarza był oziębły i nieprzyjazny. — Doktor Gentry chciałby się z tobą spotkać.

— Tak, sir. Z jakiego powodu?

— Nie powiedział mi. Ale nie podoba mi się, że tak długo nie było cię podczas twojego pierwszego wyjścia, Chase. Nie podoba mi się także twoja postawa oraz to, że oficer z Kopuły chce cię widzieć. Powiem ci to od razu, Chase. Jeśli będziesz sprawiał kłopoty, to nie będę cię chciał w tym Korytarzu. Zrozumiałeś?

— Tak jest, sir. Ale jakich kłopotów narobiłem?

— Na pewno już niedługo się tego dowiemy.

Sam nie widział Donalda Gentry'ego od czasu ich pierwszego i jedyne spotkanie w dniu, w którym wylądował na planecie. Gentry wciąż wyglądał dobrodusznie i uprzejmie, a jego głos nie świadczył o tym, że stan umysłu nie odzwierciedla wyrazu twarzy. Sam stanął przed biurkiem, za którym siedział oficer, czując, jak koszyk obija mu się o plecy.

— Jak sobie radzisz, Sam? Ciekawie spędzasz czas? — spytał Gentry.

— Tak, sir — odparł chłopak.

— Nadal uważasz, że wołałbyś robić coś innego, pracować w jakimś innym miejscu?

— Nie, sir. To właściwe miejsce dla mnie — odpowiedział szczerze Sam.

— Bo interesują cię halucynacje?

— Tak, sir.

— Wypytywałeś o nie innych, nieprawdaż?

— To temat, który mnie interesuje, sir.

— Chcesz badać ludzki mózg?

— Każdy mózg, sir.

— I wychodziłeś z Kopuły, prawda?

— Powiedziano mi, że to dozwolone, sir.

— Fakt. Ale dotychczas niewielu praktykantów korzystało z tej możliwości. Czy widziałeś coś interesującego?

Sam zawahał się, po czym odparł:

— Tak, sir.

— Halucynacja?

— Nie, sir. — Powiedział to z pełnym przekonaniem.

Gentry przypatrywał mu się przez kilka chwil i w jego oczach pojawiło się coś na kształt podejrzliwych, twardych błysków.

— Zechciałbyś mi opowiedzieć, co zobaczyłeś? Tak szczerze.

Sam zawahał się ponownie, po czym odpowiedział:

— Widziałem mieszkańca tej planety i rozmawiałem z nim, sir.

— Jakiegoś inteligentnego mieszkańca, młody człowieku?

— Tak, sir.

— Sam, kiedy tu przyjechałeś, mieliśmy powody, by zastanawiać się nad twoją obecnością — powiedział Gentry. — Twoja kartoteka z Komputera Centralnego nie pasowała do naszego zapotrzebowania, aczkolwiek z wielu względów mogłeś okazać się przydatny, dlatego skorzystałem z okazji, by wy badać cię tamtego pierwszego dnia. Wspólnie nie spuszczaaliśmy cię z oka, dlatego więc, gdy wyszedłeś na samodzielną przechadzkę po planecie, również cię obserwowaliśmy.

— Sir! To naruszenie mojego prawa do prywatności — oburzył się Sam.

— Tak, to prawda, ale uczestniczymy tu w projekcie o wyjątkowo żywotnym znaczeniu, toteż niekiedy zmuszeni jesteśmy nieco nagiąć rozmaite prawa. Zauważyliśmy, że głęboko poruszony odbyłeś długą rozmowę.

— Właśnie panu o tym powiedziałem, sir.

— Tak, lecz ty rozmawiałeś z niczym, z powietrzem. Miałeś halucynacje, Sam!

## Część trzecia

Samowi Chase'owi odebrało mowę. Halucynacje? To nie mogły być halucynacje.

Niecałe pół godziny wcześniej rozmawiał z Drugim Samem, poznawał myśli Drugiego Sama. Wiedział dokładnie, co się wtedy zdarzyło, i wciąż pozostawał tym samym Samem Chase'em, którym był podczas tamtej rozmowy i wcześniej. Zarzucił koszyk na ramię, jakby łączył go on w jakiś sposób z kanapkami, które jadł w momencie, gdy pojawił się Drugi Sam.

— Sir... doktorze Gentry — powiedział, niemalże jękając się. — To nie były halucynacje. To się zdarzyło naprawdę.

Gentry pokręcił głową.

— Mój chłopcze, widziałem, jak z podnieceniem rozmawiałeś z czymś, co nie istniało. Nie słyszałem, co mówiłeś, ale rozmawiałeś naprawdę. Tam nie było nic prócz roślin. I nie jestem jedynym świadkiem. Są jeszcze inni, a poza tym mamy nagranie.

— Nagranie?

— Na kasecie telewizyjnej. Dlaczego mielibyśmy cię okłamywać, młody człowieku? To się zdarzało już wcześniej. Na początku zresztą całkiem często, teraz znacznie rzadziej. Dlatego od razu ostrzegamy nowo przybyłych uczniów o halucynacjach, tak jak ja ostrzegłem ciebie, a oni zasadniczo unikają przebywania na powierzchni planety, dopóki się nie zaaklimatyzują. Wtedy halucynacje nie mają już miejsca.

— Chce pan powiedzieć, że ich straszycie — wybuchnął Sam — dlatego nic się potem nie dzieje. Bo później oni nigdy się do niczego nie przyznają. Ale mnie nie uda się wam przestraszyć.

Gentry znowu potrząsnął głową.

— Przykro mi, że nam się nie udało, gdyby to mogło cię uchronić przed przywidzeniami.

— To nie były przywidzenia. Widziałem rzeczy, które były tam naprawdę.

— Zamierzasz się spierać z kasetą telewizyjną, która pokazuje wyraźnie, jak wpatrujesz się w pustkę?

— Sir, to, co ujrzałem, nie było przezroczyste. Było jakby stworzone z dymu albo mgły, chyba mnie pan rozumie.

— Tak, rozumiem. Wyglądało tak, jak coś z domeny halucynacji, a nie rzeczywistości. Niemniej jednak kamera telewizyjna dostrzegłaby choćby dym.

— Być może wcale nie, sir. Mój umysł został chyba tak ukierunkowany, by widzieć

wyraźniej. Ten obraz był prawdopodobnie znacznie bardziej konkretny dla moich oczu niż dla soczewek kamery.

— Chcesz zatem powiedzieć, że to coś ukierunkowało twój umysł, czy tak? — Gentry stał i mówił dość smutnym głosem. — To uznanie halucynacji za fakt rzeczywisty. Jest mi naprawdę przykro, Sam, bo jesteś naprawdę inteligentny, a poza tym Komputer Centralny ocenił cię wysoko, ale nie jesteś nam więcej potrzebny.

— Zamierza mnie pan odesłać do domu, sir?

— Tak, lecz czy ma to jakieś znaczenie? Niespecjalnie chciałeś tu przyjeżdżać.

— Teraz jednak chcę zostać.

— Obawiam się, że nie możesz.

— Nie może mnie pan tak zwyczajnie odesłać. Czy nie zostanę przesłuchany?

— Z pewnością zostaniesz, jeśli będziesz nalegał, ale w takim wypadku procedura będzie oficjalna i zostanie odnotowana w twoich aktach. W efekcie zablokujesz sobie możliwość odbycia praktyki zawodowej w innym miejscu. Jeżeli natomiast zostaniesz odesłany bez podania oficjalnych przyczyn, z zaleceniem, byś odbył praktykę gdzie indziej, najlepiej w dziedzinie bardziej zbliżonej do neurofizjologicznej specjalności, to być może otrzymasz taki przydział i ostatecznie wyjdiesz na tym lepiej.

— Nie chcę, żeby to się tak odbyło. Chcę, by mnie przesłuchano, żeby przesłuchał mnie Komandor.

— No nie! Tylko nie Komandor. Nie wolno mu zawracać głowy czymś takim.

— Muszę rozmawiać z Komandorem — upierał się Sam, czując, jak ogarnia go rozpacz — albo ten Projekt upadnie.

— Upadnie, jeśli Komandor cię nie przesłucha? Skąd ten pomysł? Słuchaj, nie zmuszaj mnie, bym doszedł do wniosku że masz znacznie poważniejsze zaburzenia psychiczne niż ci inni, którzy doświadczyli halucynacji.

— Sir. — Słowa spływały już potokiem z ust Sama. — Komandor jest chory, wiedzą o tym nawet na Ziemi, a jeśli będzie zbyt chory, by móc pracować, to cały Projekt i tak nie wypali. Nie miałem halucynacji, a dowodem na to jest fakt, że wiem, co mu dolega i jak go wyleczyć.

— Nie pomagasz sobie — odparł Gentry.

— Powtarzam panu: jeśli zostanę stąd odesłany, to ten Projekt upadnie. Czy stanie się coś złego, jeżeli pozwoli mi pan zobaczyć Komandora? Proszę tylko o pięć minut.

— Pięć minut? A jeśli on odmówi?

— Proszę go spytać, sir. Proszę mu przekazać, że twierdzę, iż to samo, co spowodowało jego depresję, może go z tej depresji wyciągnąć.

— Nie, tego mu raczej nie powiem. Ale zapytam go, czy zechce cię zobaczyć.

Komandor okazał się szczupłym, niezbyt wysokim mężczyzną. Oczy miał barwy głębokiego błękitu; widać w nich było śmiertelne zmęczenie.

Mówił bardzo cichym, nieco głuchym, skończenie znużonym głosem.

— To ty miałeś halucynacje?

— To nie były halucynacje, panie Komandorze. To było realne. Podobnie jak to, co pan

widział, sir.

Sam uznał, że być może ma jakąś szansę, bo nie został od razu wyrzucony za drzwi. Poczuł, jak jego łokieć zaciska się na koszyku. Ciągle miał go przy sobie.

Dowódca skrzywił się nieznacznie.

— To, co ja widziałem?

— Tak, pan, Komandorze. To coś twierdziło, że wyrządziło krzywdę jednej osobie. Musieli spróbować z panem, ponieważ pan tu dowodzi i dlatego... skrzywdzili pana.

Dowódca zignorował ostatnią wypowiedź.

— Miałeś problemy ze zdrowiem psychicznym, zanim tu przybyłeś? — zapyta.

— Nie, panie Komandorze. Może pan sprawdzić w moich aktach w Komputerze Centralnym.

On jest rzeczywiście chory, jednak nie zwracają na to uwagi, ponieważ jest geniuszem i muszą go tutaj mieć, pomyślał Sam. A po chwili przyszło mu jeszcze na myśl: Sam na to wpadłem czy raczej zostało to umieszczone w moim umyśle?

Wreszcie Komandor przemówił. Sam omal nie przeoczył jego słów.

— To, co zobaczyłeś, nie mogło istnieć naprawdę. Na tej planecie nie ma inteligentnych form życia — powiedział.

— Ależ są, sir.

— Czyżby? I nikt ich dotąd nie odkrył, dopóki tu nie przyjechałeś i nie dokonałeś dzieła już po trzech dniach? — Na twarzy Komandora pojawił się przelotny uśmiech. — Obawiam się, że nie mam innego wyboru, tylko...

— Proszę poczekać, sir — rzekł Sam zdławionym głosem. — Inteligentne formy życia są nam znane. To te owady, te małe latające stworzenia.

— Twierdzisz, że owady są inteligentne?

— Nie poszczególne, ale jeśli chcą, mogą się dopasowywać do siebie niczym kawałki układanki. Potrafią to robić, jak im się żywnie podoba. A wówczas również ich układy nerwowe łączą się ze sobą, tworząc jedną całość. Odpowiednio duża liczba daje razem inteligentną istotę.

Komandor uniósł brwi.

— Interesujący pomysł, jakkolwiek by na to patrzeć. Niemal dostatecznie zwariowany, by mógł być prawdziwy. W jaki sposób doszedłeś do takiego wniosku, młody człowieku?

— Drogą obserwacji, sir. Dokądkolwiek szedłem, burzyłem spokój ukrytych w trawie owadów, które wówczas ulatywały na wszystkie strony. Ale kiedy w powietrzu zaczęła się formować krowa i ruszyłem w jej kierunku, nic nie widziałem ani nie słyszałem. Owady zniknęły. Zgromadziły się przede mną i już nie kryły się w trawie. Stąd ten wniosek.

— Rozmawiałeś z krową?

— To z początku była krowa, bo o krowie akurat myślałem. Ale źle ją przedstawiły, więc zmieniły kształt i razem utworzyły ludzką postać... mnie.

— Ciebie? — A potem cichszym głosem rzekł: — No cóż, na razie wszystko się zgadza.

— Czy pan też to tak widział, sir?

Komandor zignorował pytanie.

— I kiedy ta istota przybrała twój kształt, potrafiła mówić tak samo jak ty? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

— Nie, panie komandorze. Rozmowa toczyła się w moim umyśle.

— Telepatia?

— Tak jakby.

— I co ci ta istota powiedziała albo też co pomyślała do ciebie?

— Chciała, żebyśmy przestali nękać tę planetę. Prosiła, byśmy jej nie opanowywali. — Sam wstrzymał oddech. Przesłuchanie trwało już dłużej niż pięć minut, a Komandor nie zdradzał jak dotąd ochoty, żeby je przerwać i odesłać go do domu.

— To raczej niemożliwe.

— Dlaczego, sir?

— Baza zbudowana gdzie indziej oznacza podwojenie albo potrojenie wydatków. Mamy już i tak dość kłopotów z przydziałem grantów. Na szczęście to wszystko są halucynacje, młody człowieku, więc problem nie istnieje. — Zamknął oczy, po czym otworzył je na powrót i spojrzał na Sama niewidzącym wzrokiem. — Przykro mi, młody człowieku. Zostaniesz odesłany, oficjalnie.

Sam ponownie zaryzykował.

— Nie możemy sobie pozwolić na ignorowanie tych owadów, panie Komandorze. Możemy się od nich nauczyć wielu rzeczy.

Komandor unosił już rękę, jakby zamierzał dać znak. Znieruchomiał jednak i powiedział:

— Czyżby? Czegóż takiego możemy się od nich nauczyć?

— Możemy zdobyć coś znacznie ważniejszego od energii, sir. Wiedzę o mózgu.

— Skąd o tym wiesz?

— Potrafię to zademonstrować. Mam je tutaj. — Sam zdjął swój koszyk z ramienia i postawił go na stole.

— Co to jest?

Sam nie odpowiedział. Otworzył tylko wieko, a wtedy, przy akompaniamencie cichego furkotu, nad stołem pojawiła się mglista chmura.

Komandor poderwał się gwałtownie i krzyknął. Podniósł wysoko prawą rękę, zawył dzwonek alarmowy.

Do pomieszczenia wszedł Gentry, a za nim inni. Sam poczuł, że chwytają go czyjeś ręce, po czym nagle wokół zapadła nieruchoma, oszałamiająca cisza.

Dym kondensował się, drgał, przybierał kształt. Kształt głowy, wąskiej głowy, z wystającymi kośćmi policzkowymi, gładkim czołem i przeredzonymi włosami. Przypominała czaszkę Komandora.

— Mam jakieś przywidzenia — wychrypiał Komandor.

— Wszyscy widzimy to samo, nieprawdaż? — spytał Sam.

Puszczono go, kiedy zaczął się szarpać.

— Zbiorowa histeria — powiedział cicho Gentry.

— Nie — rzekł Sam. — To istnieje naprawdę. — Wyciągnął rękę w stronę Głowy i zaraz ją cofnął. Na czubku jego palca siedział maleńki owad. Kiedy go strząsnął, ledwie dało się zauważyć, jak ten wraca do swych towarzyszy.

Nikt się nie poruszył.

— Głowo, czy wiesz, na czym polega problem z umysłem Dowódcy? — spytał Sam.

Wydało mu się, że jej gładką powierzchnię skaził przelotny grymas, ale zaraz zniknął, nie pozostawiając po sobie śladu. Nie była to kwestia, którą bez wysiłku można by sformułować w kategoriach ludzkich myśli. Miał nadzieję, że inni też zauważyli grymas. Tak, zauważyli. Nie mogło być wątpliwości.

— Nie istnieje żaden problem — oświadczył Komandor.

— Czy możesz wszystko naprawić, Głowo?

Nie mogli, to oczywiste. Nie wolno się wdzierać do cudzego umysłu.

— Panie Komandorze, proszę udzielić zezwolenia — rzekł Sam.

Komandor zakrył oczy dłońmi i mruknął coś, czego Sam nie zrozumiał. A potem wyraźniejszym głosem dodał:

— To koszmar, a ja w nim tkwię od... Niezależnie od wszystkiego, zezwalam.

Nic się nie zdarzyło.

Albo przynajmniej tak się na pozór zdawało.

A potem powoli, po trochu, twarz Komandora rozpromieniła się w uśmiechu.

— To zdumiewające jak wschód słońca — powiedział prawie szeptem. — Tak długo już panowała zimna noc, a teraz znowu czuję ciepło. — Jego głos nabrał mocy. — Czuję się wspaniale.

W tym momencie Głowa uległa deformacji, przemieniając się w rozmazaną, pulsującą mgłę, a po chwili w zakrzywioną, zwężającą się strzałę, która pomknęła prosto do koszyka. Sam zatrzaskał wieko.

— Panie Komandorze, czy wolno mi odnieść insekty do ich świata? — zapytał.

— Tak, tak — odparł Komandor, zbywając prośbę machnięciem ręki. — Gentry, zwołaj zebranie. Musimy zmienić wszystkie nasze plany.

Sam został wyprowadzony z wnętrza Kopuły pod eskortą krzepkiego strażnika i resztę dnia spędził zamknięty w swoim pokoju.

Było już późno, kiedy przyszedł Gentry, spojrział na niego uważnie i powiedział:

— Twój pokaz był zdumiewający. Przebieg całego incydentu został wprowadzony do Komputera Centralnego i teraz mamy podwójny Projekt — energia gwiazdy neutronowej i neurofizjologia. Wątpię, czy ktoś jeszcze będzie kwestionował potrzebę jego finansowania. Poza tym przybędzie tu grupa neurofizjologów. Do tego czasu ty będziesz pracował z tymi stworzonkami i prawdopodobnie ostatecznie staniesz się najważniejszą osobą całego przedsięwzięcia.

— Ale czy zostawimy ich świat? — spytał Sam.

— Będziemy musieli, skoro spodziewamy się coś z nich wyciągnąć, nieprawdaż? Komandor oczekuje, że zbudujemy wielopoziomowe osiedla na orbicie i to w nich będziemy

przeprowadzali wszelkie operacje, a w Kopule pozostawimy tylko niewielką ekipę utrzymującą bezpośredni kontakt z owadami, czy jak tam się zdecydujemy je nazywać. Będzie to kosztowało mnóstwo pieniędzy, czasu i pracy, lecz jest tego warte. Nikt tego nie będzie kwestionował.

– Wspaniale! – zawołał Sam.

Gentry znowu zapatrzył się na niego, tym razem jeszcze dłużej i uważniej.

– Chłopcze – powiedział – wydaje mi się, że doszło do tego wszystkiego, bo nie obawiałeś się rzekomych halucynacji. Twój umysł pozostał otwarty i na tym polegała cała różnica. Dlaczego tak było? Dlaczego się nie bałeś?

Sam się zaczerwienił.

– Nie jestem pewien, sir. Gdy na to patrzę, to chyba po prostu zastanawiało mnie, dlaczego zostałem tu przysłany. Podczas komputerowych kursów starałem się jak mogłem, by studiować neurofizjologię, natomiast na astrofizyce nie znałem się prawie wcale. Komputer Centralny miał moje akta, pełne akta, ze szczegółami wszystkiego, co kiedykolwiek studiowałem, i nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego zostałem tu przysłany. Potem, kiedy wspomniał pan o halucynacjach, pomyślałem sobie: „To musi chodzić o to. Zostałem tu przysłany z ich powodu”. Po prostu stwierdziłem, iż tą właśnie sprawą mam się zająć. Nie miałem czasu na strach, doktorze Gentry. Miałem problem do rozwiązania i... i zaufałem Komputerowi Centralnemu. Nie przysłałby mnie tutaj, gdybym się do tego nie nadawał.

Gentry pokręcił głową.

– Obawiam się, że ja, niestety, nie pokładałbym takiego zaufania w tej maszynie. Ale powiadają, że wiara przenosi góry, i sądzę, że w twoim wypadku tak się właśnie stało.



# Niestabilność

Profesor Firebrenner wyjaśnił wszystko bardzo dokładnie.

— Percepcja czasu zależy od struktury kosmosu. Kiedy kosmos się rozszerza, czas naszego doświadczenia biegnie naprzód, a kiedy się kurczy, biegnie dla nas wstecz. Gdybyśmy w jakiś sposób zmusili kosmos do trwania w bezruchu, czyli stanie, w którym nie rozszerzałby się ani kurczył, wtedy czas stanąłby w miejscu.

— Ale nie można przecież unieruchomić kosmosu — zauważył zafascynowany pan Atkins.

— To prawda, jednak ja potrafię zatrzymać jego niewielką część — odparł profesor. — Wystarczająco obszerną, by pomieściła statek. Czas znieruchomieje i wedle życzenia będziemy mogli poruszać się do przodu albo do tyłu, a cała podróż potrwa krócej niż mgnienie oka. Gdy będziemy przyszpileni do tkaniny kosmosu, wszystkie jego pozostałe części będą się poruszać w czasie. Ziemia będzie krążyć wokół Słońca, Słońce będzie krążyć wokół jądra Galaktyki, Galaktyka wokół jakiegoś ośrodka grawitacji, wszystkie galaktyki będą się poruszać. Po dokonaniu obliczeń doszedłem do wniosku, że za 27,5 miliona lat w miejscu, które obecnie zajmuje nasze Słońce, pojawi się czerwony karzeł. Jeżeli skoczymy w przyszłość o te 27,5 miliona lat, zresztą w czasie krótszym niż mgnienie oka, to ten czerwony karzeł znajdzie się blisko naszego statku kosmicznego. Zbadamy go nieco, a potem będziemy mogli wrócić do domu.

— Naprawdę da się to zrobić? — spytał Atkins.

— Wysłałem w czasie zwierzęta laboratoryjne, lecz nie potrafiłem spowodować, by automatycznie wróciły. Jeżeli pan i ja udamy się na taką wyprawę, to wówczas będziemy mogli obsługiwać przyrządy kontrolne i dzięki temu powrócimy.

— I zechce pan mnie zabrać?

— Oczywiście. Powinno nas być dwóch. Dwóm ludziom łatwiej uwierzą niż jednemu. Proszę się zgodzić; to będzie niewiarygodna przygoda.

Atkins obejrzał statek. Był to model 2217 z silnikami napędzanymi mieszanką Glenna; wyglądał pięknie.

— A co się stanie, jeżeli statek wyląduje we wnętrzu czerwonego karła? — zapytał.

— Nie wyląduje — zapewnił go profesor — a jeśli nawet, to skorzystamy z okazji.

– ‘Tak, ale przecież zanim wrócimy, Słońce i Ziemia przemieszczą się. Będziemy się znajdowali w przestrzeni kosmicznej.

– To oczywiście, jak daleko jednak mogą się przemieścić Słońce i Ziemia podczas tych kilku godzin, które zabierze nam obserwacja planety? Tym statkiem dogonimy naszą ukochaną planetę. Jest pan gotów, panie Atkins?

– Gotów – westchnął Atkins.

Profesor Firebrenner dokonał niezbędnych przygotowań i przyszpilił statek do tkaniny wszechświata na 27,5 miliona lat. A potem, w momencie krótszym niż mgnienie oka, czas ponownie ruszył do przodu na swój zwykły sposób i wszystko we wszechświecie ruszyło wraz z nim.

Przez iluminator w burcie statku profesor Firebrenner i pan Atkins mogli stwierdzić, że znajdują się na ciasnej orbicie wokół czerwonego karła.

Profesor się uśmiechnął.

– Pan i ja, Atkins – powiedział – jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy zobaczyli jakąkolwiek gwiazdę oprócz naszego Słońca.

Pozostali tam przez dwie i pół godziny, w trakcie których sfotografowali gwiazdę, jej spektrum i tyle sąsiednich gwiazd, ile się dało, przeprowadzili specjalne obserwacje koronograficzne, zbadali skład chemiczny gazu międzygwiazdowego. Po upływie tego czasu profesor Firebrenne stwierdził raczej niechętnie:

– Chyba musimy już wracać.

Ponownie ustawili przyrządy kontrolne i statek został przyszpilony do tkaniny wszechświata. W czasie krótszym od błysku flesza pokonali 27,5 miliona lat w przeszłość, powracając do miejsca, z którego wyruszyli.

Przestrzeń kosmiczna była czarna. Wokół nich nic nie było.

– Co się stało? – spytał Atkins. – Gdzie są Ziemia i Słońce?

Profesor zmarszczył czoło.

– Widocznie powrót w czasie polega na czymś innym – stwierdził. – Cały wszechświat musiał się przemieścić.

– Dokąd?

– Nie wiem. Różne obiekty zmieniają swoje położenie w obrębie wszechświata, ale wszechświat jako taki zapewne musi się poruszać w kierunku wyższego wymiaru. Znajdujemy się w próżni absolutnej, w pierwotnym Chaosie.

– Przecież jesteśmy tutaj. To już nie jest pierwotny Chaos.

– Właśnie. To oznacza, iż wprowadziliśmy niestabilność do miejsca, w którym jesteśmy, a to z kolei oznacza...

Dokładnie w tym samym momencie, gdy wymawiał te słowa, skasował ich Wielki Wybuch. Powstał nowy wszechświat, który natychmiast zaczął się rozszerzać.

# Bóg Aleksander

Aleksander Hoskins zainteresował się komputerami w wieku czternastu lat i po niedługim czasie zrozumiał, że poza nimi nie interesuje go nic innego.

Nauczyciele wspierali go, zwalniając nawet z lekcji, żeby mógł się koncentrować na swoim hobby. Ojciec, który pracował dla IBM, także go zachęcał, zdobywał niektóre niezbędne elementy sprzętu i objaśniał skomplikowane kwestie.

Aleksander zbudował swój komputer w pokoiku nad garażem, a potem bez końca go przeprogramowywał i w wieku szesnastu lat nie potrafił już znaleźć ani jednej książki, która powiedziałaaby mu coś, czego jeszcze nie wiedział o komputerach. Nie znalazł też żadnej książki traktującej o tym, co wynalazł całkowicie na własną rękę.

Dokładnie to przemyślał i stwierdził, że nie powie ojcu o pewnych rzeczach, które potrafi robić jego komputer. Gdy był małym chłopcem, Aleksander dowiedział się, że największym wodzem w czasach starożytnych był Aleksander Wielki, i czuł, że nie przez przypadek sam również nosi to imię.

Aleksander interesował się szczególnie pamięcią komputerów i opracowywał systemy, dzięki którym dane dawało się pakować do woluminów — bardzo dużo danych do bardzo małych woluminów. Wraz z każdym ulepszeniem wciskał coraz więcej danych do coraz mniejszego woluminu.

Uroczyście nazwał własny komputer Bucefałem na cześć wiernego wierzchowca, który nosił Aleksandra Wielkiego na swym grzbiecie podczas wszystkich zwycięskich bitew.

Istniały na świecie komputery przyjmujące ustne rozkazy i udzielające ustnych odpowiedzi, ale żaden nie robił tego tak dobrze jak Bucefał. Trafiały się także takie urządzenia, które potrafiły skanować i przechowywać słowo pisane, żadne jednak nie robiło tego równie dobrze jak Bucefał. Aleksander sprawdził to, każąc Bucefałowi przeskanować *Encyklopedię Britannicę* i całą zachować w pamięci.

Zanim ukończył osiemnaście lat, założył firmę dla studentów i drobnych przedsiębiorców, trudniącą się przetwarzaniem danych, dzięki czemu zaczął zarabiać na swoje utrzymanie. Przeprowadził się do własnego mieszkania w centrum miasta i od tej chwili uniezależnił się od rodziców.

W swoim mieszkaniu nie musiał nosić słuchawek. W zaciszu prywatności mógł rozmawiać z Bucefałem otwarcie, aczkolwiek na wszelki wypadek głos komputera odtwarzał stosunkowo

cicho. Nie chciał, by sąsiedzi się zastanawiali, kto z nim mieszka.

— Bucefale, Aleksander Wielki podbił świat starożytny, jeszcze zanim ukończył trzydziestkę — powiedział. — Chcę osiągnąć to samo. A to oznacza, że zostało mi jeszcze dwanaście lat.

Bucefał wiedział o Aleksandrze Wielkim wszystko, ponieważ encyklopedia zaznajomiła go z wszelkimi szczegółami.

— Aleksander Wielki był synem króla Macedonii — oznajmił — i nim osiągnął twój wiek, poprowadził kawalerię swojego ojca do zwycięstwa w wielkiej bitwie pod Cheroneą.

— Nie, nie — odparł Aleksander. — Ja nie mówię o bitwach, falangach i innych tego typu rzeczach. Chcę podbić świat, stając się jego właścicielem.

— W jaki sposób mógłbyś się stać właścicielem świata, Aleksandrze?

— Będziemy badali giełdę, Bucefale — odrzekł Aleksander.

„New York Times” już dawno skomputeryzował wszystkie swoje dane utrwalone na mikrofilmach. Aleksander nie miał żadnych trudności z podłączeniem się do nich.

Przez wiele dni, tygodni, miesięcy Bucefał prznosił dane z giełdy do swych banków pamięci, dane z całego stulecia — indeksy akcji, sprzedaż akcji z poszczególnych dni, hossy i bessy, nawet wiadomości pokrewne ze stronic poświęconych finansom. Aleksander musiał powiększyć obwody pamięciowe komputera i stworzyć pionierski system odzyskiwania informacji. Z niechęcią sprzedał uproszczoną wersję jednego z obwodów, które opracował kiedyś dla IBM, i dzięki temu stał się zamożny. Kupił przyległe mieszkanie, gdzie mógł jeść i spać. Pierwsze odstąpił Bucefałowi.

Kiedy skończył lat dwadzieścia, poczuł, że jest gotów do rozpoczęcia kampanii.

— Bucefale — powiedział — ja jestem gotów i ty też. Wiesz wszystko, co trzeba wiedzieć o giełdzie. Masz w pamięci wszystkie transakcje i zdarzenia, wszystko uwspółcześnione do ostatniej sekundy, ponieważ jesteś podłączony do Giełdy Nowojorskiej, a niebawem zostaniesz podłączony do giełd w Londynie, Tokio oraz w innych miastach.

— Tak, Aleksandrze — odparł Bucefał — ale co ja mam robić z tymi wszystkimi informacjami?

— Jestem pewien — rzekł Aleksander z oczyma lśniącymi od przepelniającej go determinacji — że wskaźniki wartości i wahania na giełdzie nie są przypadkowe. Czuję, iż nic nie jest przypadkowe. Musisz przejrzeć wszystkie dane, zbadać wszystkie wartości oraz zmiany w wartościach i kursach, a potem przetworzysz te informacje na cykle i kombinacje cykli.

— Czy odwołujesz się do analizy Fouriera? — spytał Bucefał.

— A co to jest?

Bucefał sporządził dla niego wydruk z encyklopedii wraz z suplementami z innych źródeł informacji znajdujących się w jego bazach danych.

Aleksander spojrział na to przelotnie i powiedział:

— Tak, właśnie o coś takiego mi chodziło.

— W jakim celu, Aleksandrze?

— Znając cykle, Bucefałe, będziesz mógł przewidywać kursy na giełdzie następnego dnia, tygodnia, miesiąca i dzięki temu będziesz potrafił zarządzać moimi inwestycjami, co sprawi, że prędko stanę się bogaty. Poza tym pokierujesz również mną, żebym mógł ukryć swój udział w ten sposób, by świat się nie dowiedział, jaki jestem bogaty albo kto ma taki wpływ na wydarzenia na świecie.

— W jakim celu, Aleksandrze?

— Kiedy już będę dostatecznie bogaty, zacznę kierować wszystkimi instytucjami finansowymi na całej ziemi. Dokonam tego, co Aleksandrowi Wielkiemu udało się jedynie częściowo. Będę Aleksandrem Prawdziwie Wielkim. — I oczy załśniły mu z zachwytu na samą myśl o tym.

Zanim skończył dwadzieścia dwa lata, wiedział już, nie bez satysfakcji, że Bucefał opracował skomplikowany system opisu cykli, który miał posłużyć do przewidywania zachowań giełdy.

Sam Bucefał nie był pewien, czy to się powiedzie.

— Obok naturalnych cykli, którym podlegają takie zjawiska, są jeszcze nieprzewidywalne zdarzenia w świecie polityki i spraw międzynarodowych — powiedział. — Ponadto zdarzają się nieprzewidywalne zmiany pogody, wybuchają epidemie, dokonuje się postęp techniczny.

— Ależ, Bucefałe, co ty gadasz? — zachnął się Aleksander. — Zjawiska tego typu także występują w cyklach. Będiesz analizował rubrykę wiadomości ogólnych „New York Timesa”, uwzględniając zwłaszcza wszystkie nieprzewidziane zdarzenia. Sam stwierdzisz, że są przewidywalne. Dostaniesz także inne liczące się dzienniki, krajowe i zagraniczne. Wszystkie są zgromadzone na mikrofilmach i w komputerowych bazach danych, będziemy więc mogli się cofnąć w czasie o całe stulecie, a może nawet do wcześniejszych lat. Poza tym nie musisz być aż taki dokładny. Wystarczy na razie, jeżeli będziesz miał rację w osiemdziesięciu pięciu procentach.

Istotnie, wystarczyło. Kiedy Bucefał uważał, że na giełdzie będzie hossą albo bessa, nieodmiennie miał rację. Gdy przewidywał długie zwyżkowanie lub spadek jakichś konkretnych akcji, również niemal nigdy się nie mylił.

Aleksander, zanim skończył dwadzieścia cztery lata, był już posiadaczem pięciu milionów dolarów, a jego dochody wzrosły do dziesięciu tysięcy dolarów dziennie. Co więcej, jego księgi podatkowe były tak skomplikowane, a pieniądze wyprane tak dobrze, że potrzebny byłby drugi komputer taki jak Bucefał, by wszystko wysledzić i zmusić Aleksandra, by zapłacił więcej niż wynosi datki na Armię Zbawienia.

Nie było to nawet takie trudne. Bucefał wprowadził do swej pamięci wszystkie przepisy podatkowe, a także mnóstwo podręczników na temat zarządzania korporacjami. Dzięki komputerowi Aleksander kontrolował kilkanaście korporacji, nie zostawiając nawet śladu istnienia takiej kontroli.

— Czy jesteś już dostatecznie bogaty, Aleksandrze? — spytał Bucefał.

— Chyba żartujesz — odparł zapytany. — Na razie jestem zerem, chłopcem do podawania piłek w lidze okręgowej. Po zarobieniu miliarda stanę się rekinem finansowym, jednak nadal

będę tylko jednym z kilku. Dopiero gdy zostanę multimiliarderem, będę mógł kontrolować rządy i narzucać światu swoją wolę. Ale zostało mi na to już tylko sześć lat.

Bucefał z każdym rokiem coraz lepiej rozumiał giełdę i świat. Zawsze udzielał użytecznych rad, a jego przebiegłość we wciskaniu finansowych macek do centrów władzy światowej ani razu nie zawiodła.

Miał też jednak coraz więcej wątpliwości.

— Mogą być kłopoty, Aleksandrze — ostrzegł.

— Bzdura — odparł Aleksander. — Nikt nie powstrzyma Aleksandra Prawdziwie Wielkiego.

Aleksander został miliarderem przed ukończeniem dwudziestu sześciu lat. Cała kamienica należała teraz do niego i została oddana na potrzeby Bucefała oraz wszystkich odnóg jego przepastnej pamięci. Macki komputera rozciągały się teraz niewidzialnie w stronę wszystkich komputerów na świecie, które delikatnie i dyskretnie reagowały zgodnie z wolą Aleksandra, wyrażaną za pośrednictwem Bucefała.

— To wszystko się coraz bardziej komplikuje, Aleksandrze — zauważył Bucefał. — Moje oceny przyszłych zdarzeń nie są tak precyzyjne jak kiedyś.

— Zajmiesz się coraz większą liczbą zmiennych — odparł ze zniecierpliwieniem Aleksander. — Nie ma się czym przejmować. Podwoję twoją pojemność, a potem jeszcze raz, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Tu nie chodzi o pojemność — rzekł Bucefał. — Wszystkie cykle, które opracowałem dzięki mojej coraz większej pojemności, uwzględniają przyszłość w najdrobniejszych szczegółach tylko dzięki temu, że zjawiska, jakie obecnie zachodzą, są takie same jak w przeszłości, w związku z czym również reakcje na nie są identyczne. Jeżeli natomiast zdarzy się coś całkiem nowego, to wtedy wszystkie cykle zawiodą...

— Nic nowego na pewno się nie stanie — odparł Aleksander apodyktycznie. — Prześledź dzieje ludzkości, a stwierdzisz, że zmieniają się jedynie szczegóły. Podbiję świat, ale będę tylko kolejnym zwycięzcą wywodzącym się w prostej linii od Sargona z Akad. W rozwoju społeczeństwa hightech powielają się pewne etapy rozwoju średniowiecznych Chin i starożytnych królestw hellenistycznych. Czarna Śmierć to jedynie powtórzenie wybuchów zarazy, które miały miejsce w czasach Peryklesa i Marka Aureliusza. Nawet zniszczenia spowodowane przez wojny światowe w dwudziestym wieku to powielenie zniszczeń powstałych w trakcie wojen religijnych w szesnastym i siedemnastym stuleciu. Drobne różnice można pominąć, ale tak czy inaczej rozkazuję ci kontynuować pracę, a ty musisz być posłuszny moim rozkazom.

— Muszę — zgodził się Bucefał.

Zanim Aleksander ukończył dwadzieścia osiem lat, był najbogatszym człowiekiem, jaki się kiedykolwiek narodził. Dysponował aktywami, których nawet Bucefał nie mógł precyzyjnie oszacować. Z pewnością było tego ponad sto miliardów, a jego dochody wynosiły dziesięć milionów dziennie.

Żadne państwo nie było już prawdziwie niezależne, nie istniało większe ugrupowanie,

które potrafiłoby podjąć jakiegokolwiek działania w celu sprawienia Aleksandrowi przykrości.

Na całym świecie panował pokój, ponieważ Aleksander nie życzył sobie, by niszczone jego własność. Na całym świecie panował porządek, ponieważ Aleksander nie życzył sobie, by mu przeszkadzano. I z tego samego powodu na świecie nie było wolności. Wszyscy musieli postępować dokładnie tak, jak życzył sobie tego Aleksander.

— Już prawie osiągnąłem swój cel, Bucefale — oznajmił. — Za dwa lata obalenie mnie będzie przekraczało możliwości któregokolwiek człowieka. Wówczas ujawnię się i cała ludzka nauka zostanie skierowana ku jednemu zadaniu, to znaczy uczynieniu mnie nieśmiertelnym. Nie będę już Aleksandrem Prawdziwie Wielkim. Zostanę Bogiem Aleksandrem i wszyscy ludzie będą mnie wielbić.

— Ale ja posunąłem się tak daleko, jak tylko można. Nie mogę już dłużej chronić cię przed złośliwościami losu.

— To niemożliwe, Bucefale — rzekł niecierpliwie Aleksander. — Nie marudź. Rozważ wszystkie zmienne i tak zorganizuj, by w moje ręce wpadły wszystkie te zasoby, które jeszcze do nich nie trafiły.

— Nie wiem, czy potrafię, Aleksandrze — rzekł Bucefał. — Odkryłem w ludzkiej historii pewien czynnik, którego nie potrafię oszacować. Jest to coś całkiem nowego, coś, co nie pasuje do żadnego cyklu.

— Nie może istnieć nic nowego — odparł ogarnięty furją Aleksander. — Nie zawieszaj się. Rozkazuję ci kontynuować.

— Proszę bardzo — rzekł Bucefał ze znaczącym, jakże ludzkim westchnieniem.

Aleksander wiedział, że komputer wyteęza się do swego ostatniego, największego zadania, i był przeświadczony, iż lada moment zadanie to zostanie uwieńczone sukcesem. Świat będzie wówczas należał wyłącznie do niego, i to przez całą wieczność.

— A co to właściwie jest? — spytał z pewną ciekawością.

— To ja — odparł szeptem Bucefał. — Przede mną nie ist... I nim zdążył dokończyć zdanie, pociemniał, w momencie gdy wszystkie jego chipy i obwody zwały się wskutek potężnych usiłowań ogarnięcia siebie samego jako części historii. Nastąpił ekonomiczny i finansowy chaos, w wyniku którego Aleksander został skasowany.

Ziemia odzyskała wolność, co oczywiście oznaczało, że tu i tam zrobił się niejaki bałagan, lecz większość ludzi uważała, że cena, którą przyszło im zapłacić, i tak jest niewygórowana.

# W kanionie

Droga Mabel!

No i jesteśmy tutaj, tak jak nam obiecano. Otrzymaliśmy pozwolenie na zamieszkanie w Valles Marineris, lecz nie myśl sobie, że nie czekaliśmy półtora roku, bo czekaliśmy. Oni są tacy opieszali i stale gadają, że trzeba dodatkowych nakładów, by to miejsce nadawało się do zamieszkania.

Nazwa Valles Marineris brzmi dobrze jako adres, ale my nazywamy to miejsce po prostu Kanionem. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego oni się tak przejmują, czy on się nadaje do zamieszkania. Kanion to marsjańska Riwierka, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Przede wszystkim jest tu cieplej niż na całej planecie, o dobre dziesięć stopni Celsjusza cieplej. Powietrze jest gęstsze — dość rzadkie, Bóg mi świadkiem — ale gęstsze, i lepiej też chroni przed ultrafioletem.

Oczywiście główny problem to dostawanie się i wydostawanie z Kanionu — miejscami ma cztery mile głębokości. Pobudowali tu drogi, więc można zjeżdżać w dół specjalnymi pojazdami. Gorzej ze wspinaniem się i wydostawaniem na zewnątrz, lecz przy grawitacji wynoszącej tylko dwie piąte ziemskiej nie jest aż tak źle, jak to brzmi. Poza tym oni twierdzą, że zbudują windy, które będą nas przewoziły przynajmniej do połowy drogi w górę i w dół.

Inny problem to oczywiście burze pyłowe, które w Kanionie występują częściej niż w innych częściach Marsa, a oprócz tego co jakiś czas dochodzi do osunięć terenu, jednak Bóg wie, że się tym nie przejmujemy. Wiemy, gdzie są uskoki i gdzie grunt może się osunąć, więc nikt w tych miejscach nie kopie.

Jeszcze jedno, Mabel. Wszyscy na Marsie mieszkają albo pod jakąś kopułą, albo pod ziemią, a my tutaj, w Kanionie, możemy się wkopywać ukośnie, co — jak rozumiem — jest znacznie korzystniejsze z technicznego punktu widzenia, aczkolwiek poprosiłam Billa, żeby nie próbował mi tego tłumaczyć.

Ponadto możemy podgrzewać te lodowe kryształki, dzięki czemu, jeśli chodzi o wodę, nie musimy być zależni od rządu. W Kanionie lodu jest więcej niż gdzie indziej, z drugiej zaś strony łatwiej wytwarzać powietrze, przechowywać je w wykopach i puszczać w obieg, gdy się zamieszkuje konstrukcje poziome, a nie pionowe. Tak przynajmniej twierdzi Bill.

Zastanawiałam się nad tym, Mabel. Po co zresztą opuszczać Kanion? Ma ponad trzy tysiące mil długości i ostatecznie cały ma zostać przekopany. Powstanie tu ogromne miasto i



założę się z tobą, że kiedyś zamieszka tu większość ludności Marsa. Nie widzisz tego? Przez cały Kanion będzie biegła wielka magistrala, która bardzo ułatwi komunikację. Rząd powinien zainwestować tyle pieniędzy, ile może, by to miejsce mogło się rozwijać. Dzięki temu Mars stanie się wielkim światem.

Bili twierdzi (wiesz, jaki on jest — pełen entuzjazmu), że kiedyś nakryją cały Kanion dachem. Zamiast trzymać powietrze w oddzielnych wykopach, co wiąże się z koniecznością wkładania skafandra kosmicznego, kiedy człowiek chce podróżować, będziemy mieli ogromny świat z normalnym powietrzem i niską grawitacją.

Powiedziałam mu, iż osuwający się grunt może zmiażdżyć kopułę, a wtedy stracimy całe powietrze. Wy tłumaczył mi, że kopuła zostanie zbudowana w oddzielnych częściach i każda wyrwa będzie się automatycznie zamykała w miejscach dotkniętych kataklizmem. Zapytałam, ile to będzie kosztowało. Odparł: „A co to za różnica? To będzie robione po trochu, przez całe stulecia”.

W każdym razie to teraz jego praca. Jako aeroinżynier otrzymał licencję mistrzowską i opracowuje nowe metody ulepszania wykopów w Kanionie. Dlatego właśnie dano nam tutaj nowe mieszkanie i wygląda na to, że Mars ostatecznie legnie u naszych stóp.

Może nie dożyjemy chwili, by móc to ujrzeć na własne oczy, lecz jeśli naszym wnukom uda się dożyć do 2140 roku, czyli za sto lat od dzisiaj, to będziemy mieli świat, który przyćmi Ziemię.

Będzie cudownie. Bardzo jesteśmy tym wszystkim podekscytowani, Mabel.

Twoja Gladys

# Pożegnanie z Ziemią

Przesyłam to posłanie na Ziemię, starając się przestrzec jej mieszkańców przed tym, co moim zdaniem nieuchronnie musi nastąpić. Smutno myśleć o tym, co nas czeka, dlatego nikt nie chce o tym mówić, lecz ktoś powinien, żeby ludzie na Ziemi byli przygotowani.

Jest druga połowa dwudziestego pierwszego wieku i na orbicie okołoziemskiej znajduje się kilkanaście Kolonii. Każda, na swój sposób, stanowi niezależny, mały świat. Najmniejsza ma dziesięć tysięcy mieszkańców, największa — blisko dwadzieścia pięć tysięcy. Jestem pewien, że wie o tym każdy mieszkaniec Ziemi, ale wy, ludzie, jesteście tak pochłonięci waszym własnym gigantycznym światem, że rzadko myślicie o nas inaczej jak o małych, nic nie znaczących obiektach w przestrzeni kosmicznej. No cóż, a może byście tak zaczęli?

Każda Kolonia najlepiej jak potrafi imituje środowisko ziemskie, obraca się, żeby stworzyć pseudograwitację, wpuszcza światło słoneczne o takich, a nie innych porach, by dzień i noc w miarę normalnie następowały po sobie. Każda jest dostatecznie duża, by sprawiać wrażenie przestrzennej, by mogły na niej istnieć farmy i fabryki, by mieć atmosferę, w której mogą powstawać chmury. Na każdej są miasta, szkoły i boiska sportowe.

Mamy też pewne rzeczy, których Ziemia jest pozbawiona. Pole pseudograwitacji rozkłada się inaczej na rozmaitych obszarach każdej Kolonii. Zdarzają się tereny bardzo słabego, a nawet zerowego przyciągania, gdzie możemy przypinać sobie skrzydła i latać, grać w trójwymiarowego tenisa i uprawiać wymyślne ćwiczenia gimnastyczne.

Chlubimy się także prawdziwą kulturą przestrzeni kosmicznej, jesteśmy bowiem do niej przyzwyczajeni. Naszym głównym osiągnięciem, oprócz skutecznego kierowania Koloniami, jest stawianie budowli w kosmosie, nie tylko dla nas, także dla Ziemi. Praca w przestrzeni, przebywanie na statku kosmicznym albo w skafandrze stały się naszą drugą naturą. Praca w zerowej grawitacji to coś, co robimy od dziecka.

Istnieją również rzeczy, które Ziemia ma, a my nie. Nie mamy ziemskich ekstremów pogodowych. W naszych starannie kontrolowanych Koloniach nigdy nie robi się zbyt gorąco ani zbyt zimno. Nie ma burz tudzież nieprzewidzianych opadów.

Poza tym ukształtowanie terenów Kolonii nie jest tak niebezpieczne jak powierzchni Ziemi. Nie mamy gór, urwisk, bagien, pustyń, burzliwych oceanów. Nie mamy też niebezpiecznych roślin, zwierząt ani pasożytów. Zdarzają się wśród nas nawet tacy, którzy narzekają, że żyje się nam zbyt bezpiecznie, że nie doświadczamy przygód — ale z kolei nasi

ludzie mogą zawsze wychodzić w przestrzeń i udawać się na dalekie wyprawy na Marsa i do pasa asteroidów, do czego wy, Ziemianie, jesteście psychicznie nieprzystosowani. W rzeczy samej, planuje się, że część Kolonistów osiedli się na Marsie i założy bazy przy kopalniach w pasie asteroidów, ale do tego może nigdy nie dojść z powodów, które zaraz sprecyzuję.

Kolonie nie powstały zupełnie poza świadomością ludzkości. Już całe stulecie temu Gerard O'Neill z Princeton i jego studenci opracowali wstępne plany budowy takich nowych domów dla ludzkości, a pisarze science fiction antycypowali je jeszcze wcześniej.

O dziwo jednak, nie te trudności, które przewidywała większość, trapią Kolonistów. Uporano się z kwestią kosztów, zapewnieni środowiska zbliżonego do ziemskiego, gromadzenia energii czy ochrony przed promieniowaniem kosmicznym. Nie osiągnięto tego bez trudu, ale ostatecznie się powiodło.

Samo słońce dostarcza tyle energii, ile nam potrzeba, a nawet i więcej, dzięki czemu nadwyżki możemy eksportować na Ziemię. Bez trudu produkujemy żywność — więcej niż potrzebujemy — zatem jej część również możemy eksportować na Ziemię. Hodujemy małe zwierzęta — króliki, kury i tak dalej, które dostarczają nam mięsa. Pozyskujemy z przestrzeni wszelkie surowce, nie tylko z Księżyca, lecz również z ciał meteoroidowych i komet, które potrafimy chwycić i eksploatować. Kiedy już dotrzemy do pasa asteroidów (jeśli kiedykolwiek nam się uda), będziemy dysponowali praktycznie niewyczerpanymi zapasami wszystkiego, co nam potrzebne do życia.

Mało kto natomiast przewidział, co tak naprawdę będzie nas trapić, przysparzając problemów nie do pokonania. Jest to mianowicie zagadnienie utrzymania sprawnego systemu ekologicznego. Każda Kolonia musi się utrzymać sama. Żyją w niej ludzie, rośliny i zwierzęta; jest na niej powietrze, woda i gleba. Żywe istoty muszą się rozmnażać i utrzymywać odpowiedni stan liczebny, ale nie tak, by prześcignąć zdolności Kolonii do utrzymania ich przy życiu.

Rośliny i zwierzęta? Cóż, kontrolujemy je. Dozorujemy rozmnażanie i spożywamy wszelkie nadwyżki. Trudniejsze natomiast jest utrzymywanie na jakimś racjonalnym poziomie ludzkiej populacji. Nie możemy dopuścić, by liczba narodzin przekroczyła liczbę zgonów, a oczywiście liczbę zgonów staramy się utrzymać jak najniższą. To sprawia, że nasza kultura nie jest młoda w porównaniu z kulturą Ziemi. Młodzież jest nieliczna, za to spory odsetek ludzi w wieku dojrzałym i podeszłym. Prowadzi to do napięć, niemniej jednak wśród Kolonistów panuje ogólne przekonanie, że warto ich doświadczać, ponieważ dzięki starannej kontroli populacji nie ma biednych, bezdomnych i niezaradnych.

I dalej, woda, powietrze oraz żywność muszą być pieczołowicie odzyskiwane, toteż lwią część naszej technologii służy destylacji zużytej wody oraz przetwarzaniu odpadów stałych na czyste nawozy. Nie możemy sobie pozwolić, by nasza technologia recyklingu w jakikolwiek sposób zawiodła, ponieważ nie mamy czasu na opieszałość. Rzecz jasna nawet kiedy wszystko idzie dobrze, jedzeniu i picciu materiałów odzyskanych towarzyszy uczucie, że jest to trochę niejadalne. Wszystko na Ziemi jest także poddawane recyklingowi, ale Ziemianie zdają się nie zauważać tego problemu, ponadto istnieją podstawy do obaw, że może w nas

uderzyć jakiś znacznych rozmiarów meteoryt, który zniszczy zewnętrzną powłokę danej Kolonii. Drobina materii nie większa od ziarna żwiru może nie wyrządzi szkody, lecz kawałek o średnicy jednej stopy z pewnością zniszczy każdą Kolonię. Na szczęście prawdopodobieństwo, że dojdzie do takiej katastrofy, nie jest wysokie, a poza tym z czasem zapewne nauczymy się wykrywać i zawracać podobne obiekty, zanim do nas dotrą. Mimo to takie właśnie zagrożenia wiszą nad nami i pomagają zmniejszyć uczucie nadmiernego bezpieczeństwa, na które uskarżają się niektórzy.

Przy pewnym wysiłku i zachowaniu stałej uwagi i troski mielibyśmy szansę na podtrzymanie naszego systemu ekologicznego, ale niestety pozostaje jeszcze problem handlu oraz podróży.

Każda Kolonia wytwarza rozmaite produkty żywnościowe, dzieła sztuki względnie pomysłowe urządzenia, które chciałyby mieć inne Kolonie. Co więcej, musimy również handlować z Ziemią, a poza tym wielu Kolonistów pragnie zwiedzać Ziemię i oglądać rzeczy, którymi nie dysponują Kolonie. Ziemianie nie zdają sobie sprawy, jak ekscytujący jest dla nas rozległy, niebieski horyzont, prawdziwy ocean albo górski szczyt zwieńczony czapą śnieżną.

Dlatego właśnie między Koloniami a Ziemią trwa nieustanna wymiana przybywających i odjeżdżających. Jednak każda Kolonia ma swoją własną równowagę ekologiczną, natomiast ekologia Ziemi, nawet w obecnych czasach, jest rzecz jasna niezwykle, nieporównywalnie bogatsza w porównaniu z naszymi normami.

Są u nas owady, zaaklimatyzowane i kontrolowane, ale co się stanie, jeśli jakieś obce insekty zostaną nieświadomie przywiezione z innej Kolonii albo z Ziemi?

Obcy insekt, obcy robak, nawet obcy gryzoń mógłby całkowicie naruszyć ekosystem danej Kolonii, zniszczyć miejscowe rośliny i zwierzęta. W samej rzeczy, wielokrotnie dana Kolonia była zmuszona podejmować nadzwyczajne środki celem wyeliminowania niepożądanego formy życia. Przez wiele miesięcy skupiano wszystkie wysiłki w celu wytropienia ostatniego insekta z danego gatunku, który w jego rodzimej Kolonii jest nieszkodliwy względnie jego szkodliwa działalność ogranicza się do jakiegoś ograniczonego obszaru w wypadku Ziemi.

A co się stanie, jeśli do danej Kolonii zostaną przywiezione jakieś patogenne pasożyty — bakterie, wirusy, pierwotniaki? Co będzie, jeżeli przyczynią się do wybuchu chorób, przeciwko którym Kolonie, z których pochodzą, względnie sama Ziemia, uodporniły się, natomiast zainfekowana Osada jest bezradna? W takim wypadku wszelkie wysiłki tej Kolonii będą się musiały skoncentrować na opracowaniu albo sprowadzeniu szczepionek odpornościowych względnie zwalczaniu choroby, kiedy ta już zostanie stwierdzona. Rzecz jasna dojdzie również w takiej sytuacji do zgonów.

Naturalnie zawsze, gdy coś takiego się dzieje, podnosi się krzyk i żądanie ściślejszej kontroli. W wyniku tego nikt z innej Kolonii i nikt, kto powraca do własnej, nie może wjechać bez dokładnego przeszukania bagażu, kompletnej analizy płynów ustrojowych i przebycia kwarantanny, celem sprawdzenia, czy nie jest nosicielem jakiegóż nie wykrytej choroby.

Mało tego, mieszkańcy Kolonii nieodmiennie uważają Ziemian, zasadnie czy bezpodstawnie, za szczególnie niebezpiecznych. To właśnie na Ziemi można znaleźć najwięcej

niepożądanych form życia i pasożytów, to Ziemia najczęściej są czymś zarażeni i istnieją w Koloniach ugrupowania, których zdaniem — wyrażanym niekiedy dość gwałtownie — należy zerwać wszelkie kontakty z Ziemią.

I to jest właśnie to niebezpieczeństwo, przed którym pragnę ostrzec Ziemię. Brak zaufania, a nawet nienawiść Kolonistów w odniesieniu do jej mieszkańców stale rośnie.

Dopóki Ziemia znajduje się w odległości zaledwie kilku dziesiątków albo setek tysięcy mil, nie ma sensu mówić o zrywaniu wszelkich kontaktów. Ziemia zanadto ęci i kusi. Niemniej jednak mówi się już — są to jak dotąd jedynie szept — lecz, zapewniam was, staną się głośniejsze — o porzuceniu Układu Słonecznego.

Każda Kolonia może wyposażyć się w mechanizm napędowy oparty na silnikach napędzanych mechanizmem mikrofuzji. Dopóki wciąż znajdujemy się wśród planet, wystarczy nam sama energia słoneczna, kiedy natomiast zostawimy je za sobą i zanadto oddalimy się od Słońca, będziemy mogli przechwytywać małe komety stanowiące źródło paliwa wodorowego.

Kolonie powiedzą wtedy Ziemi „do widzenia” i polecą jako niezależne światy ku niewyobrażalnym przestworzom międzygwiazdowym. I kto wie, może któregoś dnia, za milion lat, znajdą jakiś podobny do Ziemi świat, pusty i przyjazny, który będą mogły zasiedlić.

I właśnie przed tym muszę ostrzec Ziemię. Któregoś dnia Kolonie opuszczają, a jeśli zbudujecie inne, zrobią to samo i zostaniecie sami. W pewien sposób jednak wasi potomkowie będą dokonywać ekspansji i zaludniać całą Galaktykę. Oby ta myśl była dla was krzepiąca, gdy będziecie patrzeć, jak znikają.

# Hymn bitewny

Szczególnych powodów do nadziei raczej nie było. Sibelius Hopkins ujął rzecz najprostszymi słowy:

— Konieczna jest zgoda Marsjan, a my jej nie uzyskamy. To wszystko.

Pozostali popadli w takie przygnębienie, że aż trudno im było oddychać.

— Nie należało przyznawać kolonistom autonomii — stwierdził Ralph Colodny.

— Zgoda — odparł Hopkins. — Tylko kto teraz zechce na ochotnika cofnąć się w czasie o dwadzieścia osiem lat, żeby zmienić historię? Mars ma suwerenne prawo do decydowania, w jaki sposób jego terytorium zostanie wykorzystane, i nic już nie da się z tym zrobić.

— Moglibyśmy wybrać jakieś inne miejsce — stwierdził Ben Devers, który był najmłodszy w grupie i dotąd nie nauczył się przemawiać z właściwą pozostałym nutą cynizmu.

— Nie ma innych miejsc — odparł beznamiętnym tonem Hopkins. — Wracaj do szkoły, jeśli nie wiesz, że eksperymenty z hiperprzestrzenią są niebezpieczne. Na Ziemi nie wolno ich przeprowadzać; nawet Księżyc jest zbyt gęsto zabudowany. Osady w przestrzeni są za małe o co najmniej trzy rzędy wielkości i przez najbliższe dwadzieścia lat nie da się dotrzeć do niczego poza Marsem. A poza tym Mars jest idealny. Wciąż, praktycznie rzecz biorąc, pusty. Ma niską grawitację i rzadką atmosferę. Jest zimny. Wszystko byłoby idealne dla lotów hiperprzestrzennych... gdyby nie koloniści.

— Nigdy nie wiadomo — odparł młody Devers. — Ludzie są nieobliczalni. Mogą jeszcze zagłosować za przeprowadzeniem eksperymentów hiperprzestrzennych na Marsie, pod warunkiem że rozegramy wszystko właściwie.

— A niby jak mielibyśmy rozegrać to właściwie? — spytał Hopkins. — Opozycja ogłuszyła Marsa starą, ludową piosenką:

*Nie, nie, po tysiackroć nie!*

*Nie kupisz pieśczoły mej.*

*Nie, nie, po tysiackroć nie!*

*Wstrętne mi obietnice twe.*

Uśmiechnął się ponuro.

— Cały Mars dudni tą melodią. Jakby używali świdrów, chcąc wkręcić ją do umysłów marsjańskich kolonistów, tak by automatycznie głosowali przeciw. Nie przeprowadzimy

wtedy eksperymentów z hiperprzestrzenią, co oznacza, że przez dziesiątki lat, może przez całe pokolenia nie uda nam się zorganizować lotów do gwiazd, w każdym razie z pewnością nie za naszego życia.

— A czy my również nie moglibyśmy wykorzystać jakiejś melodii dla wsparcia naszej sprawy? — spytał Devers, marszcząc w zamyśleniu czoło.

— Na przykład jakiej?

— Duży odsetek marsjańskich kolonistów jest pochodzenia francuskiego. Moglibyśmy zagrać na świadomości etnicznej.

— Jakiej znowu świadomości etnicznej? Teraz wszyscy mówią po angielsku.

— To wcale nie znaczy, że przez to świadomość etniczna przestała istnieć — odparł Devers. — Wystarczy odegrać dawny hymn narodowy Francji, a zaraz zaczną ociekać nostalgią. Widzicie, to hymn bitewny, a hymny bitewne zawsze burzą krew, zwłaszcza teraz, kiedy wojny przestały się toczyć.

— Ale jego słowa już nic nie znaczą. Pamiętasz je jeszcze? — spytał Hopkins.

— Tak — odrzekł Devers. — Trochę...

*Allons, enfants de la patrie,*

*La jour de gloire est arriue.*

*Contre nous de la tyrannie,*

*L'Etendard sanglant est leve.*

Odśpiewał to czystym tenorem.

— Nawet jeden Marsjanin na tysiąc nie będzie wiedział, co to znaczy — stwierdził Hopkins.

— A kogo to obchodzi? — odpowiedział Devers. — Po prostu to zagrajcie. Nawet jeśli nie rozumieją słów, będą wiedzieli, że to stary hymn bitewny Francji, i to ich poruszy. Poza tym ta melodia to prawdziwy szlagier. Nieskończenie lepszy od tego musicalowego kawałka z „nie, nie” w refrenie. Mówię wam, hymn bitewny wrazi się wszystkim w umysły i wymaże owo „nie, nie”.

— Może to jest jakiś pomysł — stwierdził Hopkins. — Zwłaszcza gdyby jednocześnie głosić jakieś chwytliwe hasło w rodzaju: „Ludzkość do gwiazd!”, „Sięgaj do gwiazdy!”, „Nie możemy poruszać się wolniej niż światło!” I zawsze z akompaniamentem tej melodii.

— Jeśli się nie mylę, *la jour de gloire* oznacza „dzień chwały”. Moglibyśmy posłużyć się zwrotem: „Nastanie dzień chwały, kiedy dotrzemy do gwiazd”. Jeżeli będziemy dostatecznie często powtarzać frazę „dzień chwały”, to może Marsjanie zagłosują na „tak”.

— Brzmi to zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe — powiedział posępnie Hopkins — ale aktualnie nie widzę żadnego innego rozwiązania. Spróbujmy i przekonajmy się, czy to coś da.

I taki był początek wielkiej walki wyborczej na melodie. We wszystkich nakrytych kopułami osiedlach Marsa, od Olympusu po Valles Marineris, i jeszcze dalej, aż po obszar kraterów, po jednej stronie rozbrzmiewało *Nie, nie, po tysiąckroć nie...*, a po drugiej *Allons, enfants de la patrie...*

Nie było wątpliwości, że niepokojący rytm hymnu bitewnego odnosi skutek. Zagłuszał piosenkę wyrażającą prostą negację i Hopkins musiał przyznać, że opcja „tak” powoli staje się coraz bardziej realna. Mieli coraz więcej widoków na wygraną mimo przewidywanej z początku oczywistej porażki.

— Cały nasz kłopot polega na tym — stwierdził Hopkins — że brak nam czegoś bezpośredniego. Ich piosenka, mimo że taka głupia, ma tę przewagę, że mówi: „Nie! Nie! Nie!” Nasza melodia tylko wpada w ucho i dociera do wielu umysłów, ale co z tego? *La jour de gloire?*

Devers uśmiechnął się i powiedział:

— A może tak zaczekamy na referendum? — Ostatecznie to był jego pomysł.

Zaczekali.



## Wyzwanie dla czytelnika

Co się zdarzyło w dniu referendum? Czy wygrała opcja „za”, czy „przeciw”? A jeśli tak, to dlaczego?

Brane będą pod uwagę tylko najlepsze uzasadnienia. Wygrasz, gdy podasz trafną odpowiedź: Czy głosowano na „nie”, czy na „tak”.

Wieczorem w dniu referendum Hopkins stwierdził, że już nie ma siły mówić. Wśród biorących udział w referendum dziewięćdziesiąt procent opowiedziało się za „tak” i tego faktu nie dawało się w żaden sposób zakwestionować.

Koloniści Marsa zagłosowali, godząc się na wykorzystanie ich planety do eksperymentów, w wyniku których ludzie mieli kiedyś polecieć do gwiazd.

— Co się stało? — spytał w końcu Hopkins. — Co myśmy właściwie zrobili?

— To dzięki tej melodii — wyjaśnił z satysfakcją Devers. — Dobrze to przewidziałem, lecz wolałem nie wyjaśniać, skąd ów pomysł, ponieważ bałem się, że to przecieknie do drugiej strony. Nie żebym tu nikomu nie ufał, ale nie chciałem, by ktoś zneutralizował tę pieśń w jakiś sprytny sposób.

— A co właściwie było w tej pieśni, że miała taki wpływ? — dopytywał się Hopkins.

— No cóż, przede wszystkim tytuł. Może koloniści nie znają już francuskiego na tyle, by wyłapać znaczenie słów, ale musieli znać tytuł tego hymnu bitewnego. Dźwięczał im w umysłach za każdym razem, gdy słyszeli melodię; za każdym razem, gdy ją sobie nucili.

— No i co z tego?

— A to — odparł Devers, uśmiechając się szeroko — że to przecież *Marsylianka*.

# Feghoot i sądownictwo

Kiedy planeta zwana Lockmanią, zamieszкана przez inteligentne istoty podobne z wyglądu do wielkich wompatów, przyjęła amerykański system prawny, Konfederacja Ziemska posłała tam Ferdinanda Feghoota, żeby zbadał skutki tej decyzji.

Feghoot przypatrywał się z zainteresowaniem, jak na salę sądową wprowadzano męża i żonę oskarżonych o zakłócanie spokoju. Otóż podczas pewnej uroczystości religijnej, kiedy to konfederacja miała przez dwadzieścia minut zachować milczenie, koncentrując się na swych grzechach i wyobrażając sobie, jak rozpływają się w niebycie, kobieta wstała nagle z klęczek i głośno krzyknęła. Kiedy ktoś się podniósł, żeby wyrazić sprzeciw, mężczyzna uderzył go z całej siły.

Sędziowie wysłuchali tych dwojga uroczyście, po czym ukarali kobietę grzywną w wysokości srebrnego dolara, a mężczyznę dwudziestu dolarów w złocie.

Zaraz potem na salę wprowadzono siedemnaścioro mężczyzn i kobiet. Byli to prowokatorzy, którzy podburzyli motłoch do demonstracji na rzecz poprawy jakości mięsa sprzedawanego w pewnym supermarkecie. Całkiem zdemolowali ten supermarket, a ponadto posiniaczyli i okaleczyli w rozmaity sposób ośmiu pracowników firmy.

Sędziowie znowu wysłuchali ich uroczyście i ukarali każde z tych siedemnaścioro grzywną w wysokości srebrnego dolara.

Potem Feghoot powiedział do głównego sędziego:

- Pochwalam sposób, w jaki osądził pan mężczyznę i kobietę, którzy zakłócili spokój.
- To była prosta sprawa — stwierdził sędzia. — Mamy taką maksymę prawniczą, która brzmi: „Krzyk jest srebrem, a przemoc złotem”.
- W takim razie — spytał Feghoot — dlaczego ukarał pan członków tej siedemnastoosobowej grupy grzywną w wysokości zaledwie jednego dolara, skoro dopuścili się znacznie gorszej przemocy?
- Och, jest jeszcze jedna maksyma — rzekł sędzia. — „Lepsze srebro od złota, od złota zaś gorsza tylko cnota”.

# Brak odporności na usterki

9 stycznia

Ja, Abram Ivanov, nareszcie kupiłem sobie domowy komputer, edytor tekstów, mówiąc ściśle. Zwlekałem z tym tak długo jak mogłem, wiedząc ze sobą wewnętrzne spory. Jestem najpłodniejszym amerykańskim pisarzem i znakomicie radzę sobie z maszyną do pisania. W ubiegłym roku opublikowałem ponad trzydzieści tytułów, w tym bajki dla dzieci, antologie, ale również nowele, zbiory opowiadań, esejów, publicystykę. Nic, czego należałoby się wstydzić.

Po co mi więc edytor tekstów? Szybciej i tak pracować nie mogę, ale, rozumiecie, istnieje jeszcze coś takiego jak schludność. Pisanie tekstów na maszynie oznacza, że poprawki muszą wprowadzać atramentem, a tego już nikt nie robi. Nie chcę, żeby moje teksty wyróżniały się niczym wrzód na tle idealnie zdrowej skóry. Nie chcę, by redaktorzy uważali moje utwory za drugorzędne tylko dlatego, że doszukali się w nich poprawek.

Cała trudność polegała na znalezieniu takiej maszyny, bym nie musiał potem zmarnować dwóch lat na uczenie się jej obsługi. Brak mi zdolności manualnych, o czym zresztą napomykałem już w tym dzienniku. Potrzebowałem również takiej, która nie psułaby się codziennie, ponieważ usterki mechaniczne wprost wyprowadzają mnie z równowagi. Kupiłem więc taką, która jest „odporna na usterki”. To oznacza, że jeśli jakaś część się zepsuje, to maszyna nie przerywa pracy, tylko sama sprawdza źle funkcjonujący element i naprawia go, jeśli może, a jeśli nie jest w stanie, to informuje o tym i wówczas byle kto dokonuje wymiany uszkodzonej części. Nie potrzeba tu doświadczonego hackera. Dlatego wydawało się, że jest to coś w sam raz dla mnie.

5 lutego

Nie wspominałem ostatnio o moim edytorze tekstów, ponieważ mozolnie uczyłem się zasad jego działania. Udało mi się. Przez jakiś czas miałem mnóstwo kłopotów, bo chociaż mam wysoki iloraz inteligencji, to jest to wielce wyspecjalizowany wysoki iloraz. Potrafię pisać, natomiast korzystanie z urządzeń mechanicznych zupełnie mnie odstręcza.

Niemniej jednak nauczyłem się szybko, gdy już nabrałem dostatecznej pewności siebie. Tego właśnie było trzeba. Przedstawiciel producenta zapewnił mnie, że maszyna miewa usterki niezwykle rzadko i że również niezmiernie rzadko nie potrafi ich sama naprawić.

Powiedział, że raczej nie będę potrzebował nowych części zamiennych częściej niż raz na pięć lat.

A gdybym rzeczywiście jakichś potrzebował, to oni dowiedzą się dokładnie, co jest potrzebne, od samej maszyny. Komputer wymieni wówczas daną część sam, podłączy wszystko i naoliwi, a potem wymontuje stary element, który będę mógł wyrzucić.

Stwierdziłem, że to całkiem ekscytujące. Chciałbym niemalże, by coś się zepsuło, bo wtedy mógłbym sprowadzić nową część i zainstalować ją. Mógłbym wszystkim mówić: „No jak to? Bezpiecznik się przepalił i ja go raz–dwa wymieniłem. To dla mnie pestka”. Tyle że nikt by mi nie uwierzył.

Postanowiłem, że napiszę na nim opowiadanie. Nie za długie. Około dwóch tysięcy słów, może trochę więcej. Jeśli się pogubię, to zawsze będę mógł powrócić do maszyny do pisania, dopóki nie odzyskam pewności siebie.

14 lutego

Nie pogubiłem się. Teraz, kiedy mam już dowód, mogę o tym mówić. Z opowiadaniem poszło mi jak po maśle. Zaniósłem je do wydawnictwa i zostało przyjęte. Bez problemów.

Tak więc nareszcie zacząłem nową powieść. Powinienem był zacząć ją już przed miesiącem, ale najpierw musiałem się upewnić, że potrafię obsługiwać swój edytor. Miejmy nadzieję, że będzie działał. To strasznie dziwne uczucie, nie mieć stosu pożółkłych kartek, które mógłbym przeglądać, kiedy chcę sprawdzić coś, co napisałem sto stron wcześniej, ale przypuszczam, że nauczę się, jak je sprawdzać na dysku.

19 lutego

Okazało się, że komputer ma wbudowany moduł sprawdzania pisowni. Zdziwiłem się, bo przedstawiciel producenta nic mi o tym nie powiedział. Maszyna z początku dopuszczała błędy literowe, więc przed oddaniem tekstu dokonałem korekty wszystkich stron. Od pewnego momentu jednak zaczęła zaznaczać każde słowo, którego nie znała, co było nieco męczące, ponieważ zasób mojego słownictwa jest ogromny, a poza tym chętnie tworzę neologizmy. I oczywiście nie zna także używanych przeze mnie nazw własnych.

Wezwałem przedstawiciela producenta, ponieważ to irytujące, gdy informują cię o konieczności poprawiania czegoś, co wcale nie jest błędem.

— Proszę się tym nie przejmować, panie Ivanov — powiedział przedstawiciel. — Jeżeli komputer zakwestionuje słowo, które ma pozostać w takim kształcie, w jakim pan go użył, to proszę je wpisać raz jeszcze. Komputer zrozumie pana i następnym razem nie będzie już tego słowa poprawiał.

Zdumiałem się.

— Czyli że nie muszę układać słownika dla tej maszyny? To jak ona będzie wiedziała, co jest prawidłowe, a co nie?

— Tak również należy rozumieć odporność na usterki, panie Ivanov — odparł. — Maszyna ma wbudowany słownik i przechwytyje użyte przez pana nowe słowa. Przekona się

pan, że z czasem coraz rzadziej będzie zaznaczała błędy w pisowni. Powiem panu szczerze, panie Ivanov, jest pan posiadaczem najnowszego modelu i nie jesteśmy pewni, czy znamy wszystkie jego potencjalne możliwości. Niektórzy z naszych ekspertów uważają, iż jego odporność na usterki polega wyłącznie na tym, że jest w stanie pracować nawet wtedy, gdy ulegnie jakiemuś uszkodzeniu. Nie będzie natomiast tolerował usterek spowodowanych przez jego użytkowników. Proszę nam donieść, jeśli zauważy pan coś zagadkowego. Naprawdę chcemy o tym wiedzieć. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

7 marca

No cóż, nadal walczę z edytorem tekstów i już zupełnie nie wiem, co o nim myśleć. Przez dłuższy czas zaznaczał błędy literowe, a ja potem wpisywałem po raz drugi zaznaczone słowa. I z pewnością uczył się, jak rozpoznawać prawdziwe literówki. Z tym nie miałem problemów. Gdy więc miałem jakieś długie słowo, to czasami wpisywałem niewłaściwą literę, żeby tylko sprawdzić, czy on to zauważy. Pisałem na przykład „kobeita”, „dzwri” albo „Idacho”.

I właśnie wczoraj zdarzyła się rzecz zabawna. Nie czekał, aż wpiszę poprawną wersję wyrazu. Automatycznie sam to robił. Czasami zdarza mi się niechcący zapisać złą literę, na przykład „suę” zamiast „się”. Na moich oczach „u” zmieniało się na „i”. I działało się to bardzo szybko.

Sprawdziłem to, celowo wpisując słowa z błędami. Widziałem je na ekranie. I ledwie zdążyłem mrugnąć, a już zostawały poprawione.

Tego ranka zadzwoniłem do przedstawiciela producenta.

— Hm — powiedział. — Interesujące.

— Kłopotliwe — odparłem — maszyna może przecież robić błędy. Jeśli wpiszę słowo „wodę”, to czy poprawi to na „wodę” czy „wóde”? Albo czy się domyśli, że chciałem napisać słowo „rąk”, jeżeli napiszę „rak”? Rozumie mnie pan?

— Rozmawiałem o pańskim komputerze z jednym z naszych ekspertów. Jego zdaniem to możliwe, że on przyjmuje jakieś wewnętrzne założenia na podstawie pańskich tekstów i dzięki temu wie, jakiego słowa chce pan użyć. W miarę jak wprowadza pan do niego coraz więcej tekstów, zaczyna rozumieć pański styl i integruje go z własnym oprogramowaniem.

Nieco przerażające, ale przekonujące. Nie będę już musiał sam robić korekty tekstu.

20 marca

Rzeczywiście nie muszę robić korekty tekstu. Maszyna przejęła ode mnie poprawianie interpunkcji i składni.

Za pierwszym razem, kiedy to się stało, nie potrafiłem uwierzyć. Myślałem, że to jakieś lekkie zawroty głowy i że tylko mi się wydawało, jakobym napisał coś innego, niż widziałem na ekranie.

Ale to zdarzało się coraz częściej i nie mogłem już mieć żadnych wątpliwości. W pewnym momencie nie byłem w stanie popełnić błędu gramatycznego. Jeśli próbowałem napisać coś

takiego jak: „Paweł, i Gaweł w jednym stali domu”, to ten przecinek zwyczajnie się nie pojawiał. Choćbym nie wiem jak próbował napisać „Poszedłem na spacer”, to na ekranie zawsze widziałem „Poszedłem na spacer”. Albo jeśli pisałem „Paweł i Gaweł, którym się to bardzo nie podobało, w jednym musieli stać domu”, to nie mogłem przeoczyć przecinków. Zawsze się pojawiały we właściwym miejscu.

Całe szczęście, ów dziennik piszę ręką, bo inaczej nie mógłbym wyjaśnić, o co mi chodzi. Nie mógłbym podać żadnego przykładu niepoprawności językowej.

Wcale mi się nie podoba, że komputer sprzecza się ze mną o język, ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że on ma zawsze rację.

No cóż, nie dostaję drgawek, kiedy redaktor odsyła mi tekst z poprawkami przy każdej linii. Jestem tylko pisarzem, nie ekspertem w dziedzinie drobiazgów językowych. Redaktorzy redagują teksty, ale pisać nie potrafią. Niech więc edytor tekstów sobie redaguje. Ujmuje mi tym samym obowiązki.

17 kwietnia

Trochę przesadziłem w ostatnim zapisie, w którym wspominałem o moim edytorze tekstów. W ciągu trzech tygodni bez zarzutu zredagował to, co stworzyłem, i dzięki temu pisanie powieści szło mi niezwykle sprawnie. To była dobra organizacja pracy. Ja tworzyłem, a on uzdatniał, że się tak wyrażę.

Ale wczoraj wieczorem całkowicie odmówił pracy. Nic się nie działo, którekolwiek klawisze bym nacisnął. Był podłączony do prądu, przycisk zasilania miał włączony, ja wykonałem wszystko poprawnie. Zwyczajnie nie chciał pracować. No i pięknie, pomyślałem, to tyle z tym „nie częściej niż raz na pięć lat”. Mimo że używałem go zaledwie od trzech i pół miesiąca, zepsuło się tyle części, że przestał działać.

To oznaczało, iż producent musi przysłać nowe części za pośrednictwem specjalnego kuriera, lecz nie wcześniej niż następnego dnia, ma się rozumieć. Chyba możecie sobie wyobrazić, jak strasznie się czułem — aż się otrząsałem na myśl o powrocie do maszyny do pisania, wyszukiwaniu błędów i potem nanoszeniu poprawek atramentem albo wręcz przepisywaniu całej strony.

Położyłem się spać w paskudnym humorze i w rzeczy samej nie spałem długo. Następnego ranka, zaraz po śniadaniu poszedłem do swojego gabinetu i dokładnie w chwili, gdy podchodziłem do edytora, ten, zupełnie jakby potrafił czytać w moich myślach i wiedział, że jestem tak wściekły, iż z radością wyrzuciłbym go za okno — zaczął działać.

Sam z siebie, zwróćcie uwagę. Nawet nie dotknąłem klawiszy. Słowa pojawiły się na ekranie znacznie szybciej, niż gdybym to ja je wpisał, a tekst miał taki oto nagłówek:

ODPORNOŚĆ NA USTERKI

ABRAM IVANOV

Wytrzeszczyłem oczy. Zabrał się do pisania notatek do mojego dziennika, notatek, które traktowały o nim samym, tak samo jak ja czyniłem to wcześniej, ale robił to znacznie lepiej.

Tekst był gładszy, barwniejszy, bardziej dowcipny. Po piętnastu minutach skończył pisać, a po kolejnych pięciu drukarka przeniosła to na papier.

Najwyraźniej pisał to w ramach ćwiczeń albo dla nabrania wprawy, bo kiedy skończył, na ekranie ukazała się ta strona mojej powieści, którą napisałem ostatnio, po czym zaczęły się pojawiać dalsze słowa. Bez mojego udziału.

Edytor tekstów najwyraźniej nauczył się pisać i wykonywał to dokładnie tak samo, jak ja bym to robił, tylko znacznie lepiej.

Wspaniale! Nie musiałem już więcej pracować! Edytor pisał pod moim nazwiskiem i używał mojego stylu, nieco go ulepszając. Pozwalałem mu na to, a potem tylko szukałem recenzji zaskoczonych krytyków, którzy mówili światu, jak to ja się poprawiłem, i liczyłem tantiemy.

Na razie wszystko idzie dobrze, lecz nie bez powodu jestem najbardziej płodnym pisarzem amerykańskim. Tak się akurat składa, że uwielbiam pisać. To jedyna rzecz, którą chcę robić.

Co mam począć z resztą życia?

# Młodszy brat

Przeżyłem wielki szok, kiedy odrzucono nasze podanie o drugie dziecko. Naprawdę myśleliśmy, że otrzymamy pozwolenie.

Jestem szanowanym obywatelem, filarem społeczeństwa i tak dalej. Może tylko byłem trochę za stary, a Josie, moja żona, już dawno temu przekroczyła wiek, w którym wychowuje się dziecko. No i co z tego? Znamy ludzi w znacznie gorszej sytuacji niż nasza, starszych, bardziej nerwowych, którzy... Nieważne zresztą.

Mieliśmy jednego syna, Charliego, i naprawdę pragnęliśmy drugiego dziecka. Chłopca, dziewczynki, bez znaczenia. Rzecz jasna gdyby z Charliem było coś nie tak, gdyby na przykład na coś zachorował, to może otrzymalibyśmy pozwolenie na drugie dziecko. A może nie. A gdybyśmy już je dostali, to pewnie zajęliby się Charliem jako niedorozwiniętym. Pan chyba wie, o czym mówię? Nie muszę tłumaczyć.

Cały kłopot polegał na tym, że z winy Josie zaczęliśmy późno. Miała nieregularne miesiączki i człowiek nigdy nie wiedział, kiedy ją dopaść, pan mnie rozumie? Nie otrzymaliśmy też żadnej pomocy ze strony lekarzy. No bo jak? Kliniki twierdziły, że to tylko dobrze dla świata, jeżeli nie możemy mieć dzieci bez ich pomocy. Brak dzieci to oznaka patriotyzmu czy coś takiego.

Ale myśmy ich oszukali i w końcu poczęliśmy dziecko. Charliego.

Kiedy miał osiem miesięcy, zaczęliśmy pisać podania o drugie dziecko. Chcieliśmy, by oba były zbliżone do siebie wiekiem. Prosiliśmy o zbyt wiele? Nawet jeśli byliśmy trochę na to za starzy? A zresztą, w jakim my świecie żyjemy?! Choćby liczba ludzi nie wiadomo jak malała, to oni i tak będą twierdzić, że powinna stać się jeszcze mniejsza i że ma dalej maleć, nawet jeśli życie staje się coraz łatwiejsze, a ludzie żyją coraz dłużej.

Oni nie będą zadowoleni, dopóki całkiem nie wykasują ludz...

— Dobra, posłuchaj mnie pan! Opowiem to tak, jak mi się podoba! Jeśli pan chcesz usłyszeć tę historię, oficerze, to opowiem ją na swój własny sposób. No bo co mi pan możesz zrobić? Ja mam naprawdę gdzieś, czy będę żył, czy umrę. A pan co byś czuł na moim miejscu?

— No i po co ta cała awantura? Powiem to na swój sposób albo się zamknę, a pan sobie rób, co chcesz. Rozumiemy się?

— No już dobrze, dobrze.

Jak się okazało, nie musieliśmy się przejmować, że Charlie jest chorowity albo coś takiego.



Rósł jak niedźwiedź lub jedno z tych zwierząt, które w dawnych czasach włóczyły się po lesie i innych tego rodzaju miejscach. Wywodził się z dobrej rasy. Sam pan to widział. Więc czemu nie mogliśmy mieć jeszcze jednego dziecka? lego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

Inteligentny? I to jeszcze jak! Silny. Wiedział, czego chce. Naprawdę udany chłopak. Jak o tym myślę, to wiem, że mogłem... mogłem... A niech to!

Powinien był go pan zobaczyć na tle innych dzieci, dzieci, wśród których dorastał. Urodzony przywódca. Zawsze postawił na swoim. Zawsze potrafił zmusić dzieciaki z sąsiedztwa, by robiły to, czego on chciał. Wiedział, czego chce, i zawsze miał wtedy rację. Tak to właśnie z nim było.

Ale Josie się to nie podobało. Twierdziła, że jest rozpieszczony. Twierdziła nawet, iż to ja go rozpuściłem. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Dzięki mnie przecież był najlepszy.

Pod względem siły i umysłowości był o całe dwa lata starszy. Widziałem to. A gdy któryś z dzieciaków za bardzo się stawiał, to pokazywał mu, kto jest szefem.

Josie uważała, że Charlie wyrasta na chuligana. Twierdziła, że nie ma przyjaciół, a wszystkie dzieci się go boją.

No i co z tego?! Przywódca nie potrzebuje przyjaciół. On od ludzi potrzebuje jedynie poważania i biada takim, którzy mu się opierają. Charlie cały czas dobrze sobie radził. Pewnie, inne dzieciaki przeważnie trzymały się od niego z dala. Z winy ich rodziców, a zresztą to była banda samych mazgajów. Ludzie, gdy mają już jedno dziecko i wiedzą, że na tym koniec, zaczynają się cackać z takim, jakby to był jakiś rodzinny klejnot, i to rzadki. I wtedy psują dzieciaka, sprawiając, że staje się bezużyteczny, do niczego.

Na przykład ten Stevenson, który mieszkał w naszym kwartale. Miał dwie dziewczynki, obie żałosne miernoty, stale chichotały głupawo i miały pstro w głowach. Jak to się stało, że miał aż dwie, ja się pytam? Pewnie dzięki znajomościom. Posmarował komuś. No bo czemu nie, on przecież ma więcej pieniędzy, niż się przyznaje. No pewnie. To wszystko wyjaśnia. Można by pomyśleć, że skoro miał dwie, to mógł zjedna zaryzykować, zamiast...

— Nie ma sprawy. Przejdę do rzeczy, kiedy będę gotów. Jak mnie pan będziesz poganiał, to nie usłyszysz nic i pójdziemy z tym wszystkim prosto do sądu. Sam pan się przekonaj, czy mnie to obchodzi.

Ci inni rodzice nie chcieli, żeby ich dzieciom działa się krzywda. Nie bawcie się z tym chłopakiem Janowitów, tak mówili. Nigdy nie słyszałem tego na własne uszy, ale jestem pewien, że tak właśnie gadali. No i co, że tak gadali? Ja zamierzałem posłać Charliego do college'u, na kursy mikroelektroniki albo dynamiki kosmicznej czy coś w tym stylu. A także handlu i ekonomii, żeby się nauczył zarabiać pieniądze i korzystać ze swojego know-how. Tak na to patrzyłem. Chciałem, by mu się powiodło.

Ale Josie stale gadała, że Charlie nie ma kolegów, że wyrasta na samotnika i tego typu rzeczy. Cały czas, bez przerwy to samo. Jakby człowiek mieszkał w komorze pogłosowej. Aż w końcu przyszła do mnie któregoś dnia i powiedziała:

— A może tak byśmy urodzili Charliemu braciszka?

— No pewnie — odparłem. — Tylko jak to zrobimy, skoro jesteś już po menopauzie?

Zawołamy bociana? Poszukamy w kapuście?

Wie pan, mogłem się z nią rozwieść. Ożenić się z jakąś młodą cizią. Ostatecznie to nie ja byłem po menopauzie. Ale byłem lojalny. No i dużo mi z tego przyszło. A zresztą gdybym się z nią rozwiódł, to pewnie Charlie zostałby przy niej, zatem co ja bym z tego miał?

Więc tylko puściłem tę gadkę o bocianie.

— Ja nie mówię o biologicznym dziecku — powiedziała. — Moglibyśmy kupić robota, który byłby bratem Charliego.

Wierz mi pan, w życiu się nie spodziewałem, że usłyszę coś takiego. Nie przepadam za robotami. Moi rodzice nigdy żadnego nie mieli. Ja sam nigdy żadnego nie miałem. Jeśli o mnie chodzi, każdy robot oznacza jednego człowieka mniej; cały czas widzę, jak świat im ustępuje miejsca. Jeszcze jeden sposób kasowania ludzkości, gdyby ktoś chciał znać moje zdanie.

Dlatego powiedziałem Josie:

— Nie bądź śmieszna.

— Ja mówię poważnie — odparła Josie, cała przejęta. — To nowy model. Jest tak zaprojektowany, żeby był przyjazny dla dzieci. Nic wymyślnego, więc nie jest drogi i spełnia określone wymagania. Coraz więcej ludzi ma tylko jedno dziecko, zatem trzeba zapewniać tym jedynakom rodzeństwo.

— To może dotyczyć innych dzieci, ale nie Charliego — oświadczyłem.

— A właśnie że przede wszystkim Charliego. Inaczej nigdy się nie nauczy życia wśród ludzi. On się wychowuje sam, naprawdę sam. Nigdy nie zrozumie, na czym polega branie i dawanie.

— On nie będzie dawał. Będzie brał. Będzie miał władzę, stanowisko i będzie mówił innym, co mają robić. I będzie miał własne dzieci, może nawet trójkę.

Może jest pan zbyt młody, żeby to zrozumieć, oficerze, lecz kiedy się ma tylko jedno dziecko, to ostatecznie człowiek nabiera przekonania, że nadal ma szansę na jeszcze jedno, kiedy jego własne będzie miało swoje. Wiązałem z Charliem wielkie nadzieje. Byłem pewien, że zanim umrę, zobaczę jeszcze jedno dziecko, może nawet dwoje albo troje. Mogły to być dzieci Charliego, ale dopóki nasze życia miały się splatać, zamierzałem je traktować jak swoje.

Josie jednak potrafiła myśleć tylko o robocie. Życie znowu zaczęło przypominać wnętrze komory pogłosowej. Sprawdziła ceny. Obliczyła raty. Dowiadywała się, czy na mocy jakiejś umowy istnieje możliwość wynajęcia takiego na rok. Zamierzała wykorzystać majątek, który jej zostawiła rodzina, żeby za niego zapłacić, i tego typu rzeczy. No, sam pan wie, jak to jest. W końcu najważniejsze, żeby w rodzinie panował spokój.

Poddałem się.

— Okay, ale to ty go wybierzesz i lepiej, żebyś go wynajęła, zamiast go kupować. I to ty za niego zapłacisz — powiedziałem.

Kto wie, myślałem sobie. Robot okaże się pewnie zawali — drogą, nic z tego nie wyjdzie i wtedy go zwrócimy.

Wprowadzili go do domu; nawet nie był zapakowany w skrzynię. Powinienem być mówić

na niego „to”, ale Josie uparcie nazywała go „on”, żeby bardziej przypominał młodszego braciszka Charliego, więc przywykłem.

Był to tak zwany model „rodzinny”. Miał numer rejestracyjny, ale ja nawet go nie zapamiętałem. Bo po co? Wołaliśmy na niego zwyczajnie „Dzieciak”. To wystarczało.

— Tak, wiem, że ten typ robota staje się popularny. Zupełnie nie mam pojęcia, co się dzieje z tymi ludźmi, że coś takiego popierają.

I my też popieraliśmy. Przynajmniej ja popierałem. A Josie była urzeczona. Muszę przyznać, że ten nasz egzemplarz wydawał się całkiem ładny. Prawie przypominał człowieka, często się uśmiechał i miał miły głos. Wyglądał może na piętnastolatka, niewyrośniętego piętnastolatka, co wcale nie było takie złe, bo Charlie wyglądał na przerośniętego dziewięciolatka.

Dzieciak był trochę wyższy od Charliego i oczywiście nieco cięższy. Wie pan, miał w środku tytanowe kości czy coś takiego oraz baterię nuklearną z gwarancją na dziesięć lat, a to już jest razem bardzo ciężkie.

Używał ponadto rozbudowanego słownictwa i zachowywał się bardzo uprzejmie. Josie była po prostu zachwycona.

— Mogę go wykorzystać do prac domowych. Będzie mi pomagać — orzekła.

— Nie, nie będzie. Kupiłaś go dla Charliego, a to oznacza, że należy do Charliego — odparłem. — Nie próbuj mu go zabierać.

Pomyślałem sobie, że jeśli Josie weźmie go sobie i zrobi z niego niewolnika, to już go nigdy nie odda. Z drugiej strony Charlie mógł tego robota nie polubić albo po jakimś czasie znudzić się nim, a wtedy moglibyśmy się go pozbyć.

Ale nie znałem dostatecznie Charliego. Bardzo polubił Dzieciaka.

I wie pan, po pewnym czasie to nabrało sensu. Dzieciak został zaprojektowany tak, żeby być młodszym braciszkiem, więc znakomicie nadawał się dla Charliego. Pozwalał mu przewodzić, dokładnie tak jak godzi się starszemu bratu. Musiał postępować zgodnie z tymi swoimi Trzema Prawami. Nie umiem ich zacytować, ale pan je zna. W żaden sposób nie mógł zrobić krzywdy Charliemu i musiał wykonywać wszystko, czego Charlie sobie zażyczył, zatem jakiś czas później zacząłem uważać, że był to jednak dobry interes.

Kiedy na przykład w coś grali, to Charlie zawsze wygrywał. Miał wygrywać. A Dzieciak nigdy się nie wściekał. Nie mógł. Skonstruowano go tak, by przegrywał. I czasami Charlie znęcał się nad Dzieciakiem, wie pan, tak jak to robią małe dzieci. Wścieknie się taki z jakiegoś powodu, a potem wyżywa na drugim dziecku. Dzieci zawsze tak robią. Oczywiście, to z kolei wkurza rodziców tego drugiego dziecka, więc co jakiś czas musiałem mówić Charliemu, żeby nie robił tego czy owego. To wtedy zamykał się w sobie. Nigdy nie umiał wyrazić, co czuje.

To znaczy umiał przy Dzieciaku. No bo czemu nie? Dzieciakowi nie dawało się zrobić krzywdy. Zbudowano go z plastyku, metalu i kto wie, z czego jeszcze. Wyglądem prawie przypominał człowieka, a mimo to wcale nie był żywy; nie czuł bólu.

Tak po prawdzie to uważałem, że Dzieciak najlepiej przydaje się jako obiekt, na którym Charlie może wyładować nadmiar energii. Zwłaszcza że nigdy się nie gniewał. Bawili się w

dżudo i dawał sobą rzucić, a nawet deptać po sobie, a potem tylko wstawał i mówił: „To było dobre, Charlie. Spróbujmy jeszcze raz”. Jego można było zrzucić z jakiegoś dachu, a i tak nic by mu się nie stało.

Dla nas był zawsze uprzejmy. Mnie nazywał tata, Josie — mamą. Pytał nas o zdrowie. Odsuwał krzesło Josie, kiedy chciała wstać. Tego typu rzeczy.

Tak go zaprojektowano. W zachowaniu miał okazywać uczucia. Ale to wszystko było automatyczne. Został w taki sposób zaprogramowany. To niby nic nie znaczyło, lecz Josie uwielbiała to. Widzi pan, ja byłem wiecznie czymś zajęty, ciężko pracowałem. Pomagam w zarządzaniu fabryką, muszę doglądać maszyn. Jedna rzecz się zepsuje i wszystko od razu staje na głowie. Nie mam czasu na przynoszenie kwiatów i zabawy w przysuwanie krzeseł czy coś takiego. Jesteśmy małżeństwem od blisko dwudziestu lat, a zresztą jak długo można coś takiego robić?

A Charlie... No cóż, odnosił się do matki tak, jak przystało na porządnego chłopca. I chyba tu się przydał Dzieciak. Gdy Charlie zostawał szefem Dzieciaka, to nie biegał potem i nie wołał: „Mamo, mamo”. Nie był jakimś maminsynkiem i nie pozwalał, by Josie nim kierowała. Dlatego byłem z niego bardzo dumny. Człowiek widział, że on wyrasta na prawdziwego mężczyznę. Oczywiście słuchał tego, co ja mu mówiłem. Chłopak powinien słuchać ojca.

Więc może to dobrze, że Dzieciaka zaprojektowano na maminsynka. Josie miała dzięki temu wrażenie, że po domu kręci się jeden z tych mazgajów w okularach, i przestała tyle gadać, że Charlie wiecznie myśli o sobie.

Oczywiście można było liczyć, że Josie zrobi, co tylko będzie mogła, żeby go rozpuścić. Wiecznie się zamartwiała, iż jej domowemu mazgajowi stanie się coś złego. Zawsze wyjeżdżała z tym swoim:

— Ależ, Charlie, czy nie mógłbyś być miłszy dla swojego młodszego brata?

To był absurd. Nigdy nie mogłem jej wbić do głowy, że Dzieciakowi nic nie jest; że został zaprojektowany na takiego, który przegrywa; że tak jest dobrze dla Charliego.

Charlie oczywiście nigdy jej nie słuchał. Bawił się z Dzieciakiem tak, jak chciał.

— Masz pan coś przeciw, że sobie chwilę odpocznę? Naprawdę nie chce mi się o tym wszystkim opowiadać. Daj mi pan trochę odpocząć. — Okay, już mi lepiej. Mogę mówić dalej.

Po upływie roku uznałem, że dosyć tego. Mogliśmy zwrócić Dzieciaka do U. S. Robots. Ostatecznie wykonał zadanie. Jednak Josie była przeciwna. Nie chciała o niczym słyszeć.

— Ale teraz musielibyśmy go już kupić — zauważyłem. A ona na to, iż spłaci raty, więc poszedłem razem z nią. Twierdziła między innymi, że nie możemy zabierać Charliemu braciszka. Że Charlie byłby samotny.

I wtedy sobie pomyślałem, że może ona ma rację. Powiadam panu, to koszmar, kiedy człowiek zaczyna myśleć, że jego żona może mieć rację. To nie prowadzi do niczego prócz kłopotów.

Charlie był trochę lepszy dla Dzieciaka, w miarę jak robił się starszy. Dorównywał mu już wzrostem, może więc uznał, że nie powinien tak go maltretować.

Poza tym zainteresował się innymi rzeczami oprócz bicia. Na przykład koszykówką;

grywał jeden na jeden z Dzieciakiem i był dobry. Zawsze wykiwał młodszego brata i prawie nigdy nie chybiał. Cóż, może to Dzieciak sam pozwalał, by go kiwano, i może nawet skutecznie nie blokował kosza, ale jak ocenić celny rzut? Dzieciak nie mógł tego sfalszować, prawda?

W drugim roku Dzieciak stał się jakby członkiem rodziny. Nie jadał z nami czy coś takiego, bo on w ogóle nie jadł. I nie spał też, więc nocą stał sobie w kącie sypialni Charliego.

Ale razem z nami oglądał holowizję i Josie zawsze mu objaśniała różne rzeczy, więc dzięki temu wiedział coraz więcej i wydawał się coraz bardziej ludzki. Zabierała go ze sobą na zakupy i w ogóle wszędzie, dokąd szła, jeśli Charlie go nie potrzebował. Dzieciak zawsze pomagał, jak przypuszczam, i chyba nosił dla niej różne rzeczy, był zawsze uprzejmy, uważny i tak dalej.

I powiem panu, Josie zachowywała się swobodniej, gdy Dzieciak był obok. Miała lepszy humor, lepsze nastawienie, mniej zrzędziła. Wskutek tego w domu panowała miłsza atmosfera, więc pomyślałem sobie, no cóż, dzięki Dzieciakowi Charlie wyrasta na coraz bardziej dominującego, a Josie częściej się uśmiecha, zatem może to dobrze, że tu jest. I wtedy stało się tamto.

— Słuchaj pan, czy nie mógłbym się czegoś napić? O tak, z alkoholem. Chociaż kapkę. No dalej, co się pan przejmujesz zasadami? Przecież muszę przez to jakoś przejść.

Wtedy stało się tamto. Szansa jedna na milion — albo nawet na miliard. Baterie napędzane mikrofuzją rzekomo nie mogą sprawiać kłopotów. Można o tym przeczytać wszędzie. Są niezawodne, choćby nie wiem co. Tyle że z moją było inaczej. Nie mam pojęcia dlaczego. Nikt nie wie dlaczego. Na samym początku nikt nie zdawał sobie sprawy, że to ta mikrofuzja. Powiedzieli mi, że mogę się ubiegać o pełne odszkodowanie za remont domu i nowe meble.

Bardzo mi się to przyda.

— Traktujecie mnie, jakbym był jakimś maniakalnym zabójcą, ale dlaczego właśnie mnie? Dlaczego nie ścigacie za morderstwo ludzi od mikrofuzji? Odszukajcie tego, kto wykonał ten element albo schrzanił jego instalację.

Czy wy, ludzie, nie rozumiecie, na czym polegają prawdziwe zbrodnie? Na przykład taka mikrofuzja — nie eksploduje, nie robi hałasu, tylko się coraz bardziej rozgrzewa i po jakimś czasie dom staje w płomieniach. Jak to jest, że ludziom, którzy ją wyprodukowali, może to ująć na sucho...

— No dobrze, będę mówił dalej. Chcę już to mieć za sobą.

Tamtego dnia akurat nie było mnie w domu. Tego jedynego dnia, po raz pierwszy od roku, wyszedłem. Kieruję wszystkim albo z domu, albo z tych innych miejsc, w których się akurat znajdę z moją rodziną. Nie muszę nigdzie jeździć, komputery robią wszystko za mnie. To zupełnie inna robota niż pańska, oficerze.

Ale szef chciał mnie widzieć osobiście. Nie wiem po co — wszystko można było wykonać w obiegu zamkniętym. Po prostu wymyślił sobie, że osobiście będzie sprawdzał wszystkich kierowników działów. Jemu się chyba zdaje, że nie można nikogo ocenić, jeśli się go nie zobaczy w trzech wymiarach, nie powącha i nie obmaca. To taki przesąd, pozostałość po

Ciemnowieczu — z tych czasów poprzedzających komputery i roboty, kiedy mogło się mieć tyle dzieci, ile się chciało. Jak ja bym chciał, żeby te czasy wróciły!

Właśnie tamtego dnia wysiadła mikrofuzją.

Wiadomość dostałem natychmiast. Złe wieści zawsze dotrą do człowieka. Gdziekolwiek by akurat był, czy to na Księżycu, czy w jakimś osiedlu kosmicznym, złe wiadomości zawsze go znajdą, i to w kilka sekund. Dobre potrafią czekać, złe nigdy.

Dom jeszcze się palił, a ja już pędziłem z powrotem.

Kiedy tam dotarłem, był całkowitą ruiną. Josie leżała na trawniku, zupełnie sponiewierana, ale żyła. Akurat wyszła na podwórko, gdy to się stało, tak mi powiedzieli.

Gdy zobaczyła, że dom stoi w płomieniach i że Charlie jest wewnątrz, natychmiast wbiegła z powrotem do środka. Zorientowałem się, iż jakoś go wyciągnęła, bo leżał na boku, a ludzie pochylali się nad nim. Paskudnie to wyglądało. Nie obejrzałem go dokładnie. Nie odważyłem się podejść bliżej. Musiałem najpierw porozmawiać z Josie.

Ledwie mogłem mówić.

— Bardzo z nim źle? — spytałem ją, nie poznając własnego głosu. Myślę, że już wtedy traciłem panowanie nad sobą.

— Nie mogłam uratować obu — powiedziała. — Nie mogłam uratować obu.

Dlaczego chciała uratować obu? — zastanawiałem się.

— Dzieciakiem się nie przejmuj — odparłem. — To tylko urządzenie. Będą pieniądze z ubezpieczenia i jakaś zapomoga. Kupi się nowego. — Chciałem powiedzieć to wszystko, ale nie mam pojęcia, czy mi się udało. Może wydawałem z siebie jedynie chrapliwe, zduszone dźwięki. Nie wiem.

Nie wiem, czy ona mnie usłyszała, ani czy w ogóle wiedziała, że ja tam jestem. Powtarzała szeptem: „Musiałam dokonać wyboru”. I tak bez końca.

Dlatego musiałem jednak podejść do miejsca, w którym leżał Charlie. Kaszlnąłem i jakoś udało mi się wykrztusić:

— Co z moim chłopakiem? Jest poważnie ranny? Na co jeden z gapiów odparł:

— Może da się go jakoś naprawić. — Po czym podniósł głowę i zapytał: — To pana chłopak?

Zobaczyłem leżącego tam Dzieciaka, z jednym ramieniem wykręconym i nieruchomym. Uśmiechał się, jakby nic się nie stało, i mówił:

— Cześć, tato. Mama wyciągnęła mnie z ognia. Gdzie jest Charlie?

Josie dokonała wyboru. Uratowała Dzieciaka.

Nie wiem, co się potem działo. Nic nie pamiętam. Twierdzicie, że ją zabiłem, że nie daliście rady mnie oderwać, kiedy ją dusiłem.

Może. Nie wiem. Nie pamiętam. Wiem tylko jedno — ona jest morderczynią.

Ona zabiła, zabiła Char...

Zabiła mojego chłopca i uratowała kawał...

Kawał...

Tytanu.



# Narody w przestrzeni

## Baśń współczesna

Jak powszechnie wiadomo, Gladovia i Saronin to odwieczni wrogowie. W średniowieczu każde z tych państw na przemian narzucało swe panowanie drugiemu i oba nigdy nie mogły się wyzbyć gorzkich wspomnień o czasach panowania reżimu ich przeciwnika. Jeszcze w dwudziestym wieku obu udało się stanąć po przeciwnych stronach w największych wojnach, jakie w owym czasie toczono.

W stuleciu pokoju, jaki nastął po ostatniej z wielkich wojen, Gladovia i Saronin również zawarły pokój, zawsze jednak spoglądały na siebie z szyderczym grymasem i wydymaniem warg.

A teraz nastął rok 2080 i na orbicie okołoziemskiej powstały elektrownie, które gromadziły energię słoneczną i przesyłały ją w postaci promieniowania mikrofalowego do krajów na całym świecie. Pod wieloma względami zmieniły oblicze świata. Dzięki ogromnym ilościom dostępnej energii słonecznej spadło zużycie paliw kopalnych, co z kolei w znacznym stopniu zmniejszyło niebezpieczeństwa wynikające z efektu cieplarnianego (aczkolwiek pewien nadmiar ciepła powstającego z energii słonecznej istotnie powodował zanieczyszczenia środowiska).

Dzięki ogromnym ilościom energii oraz lepszej kontroli narodzin poprawił się ogólny poziom życia, zwiększyły się zapasy żywności, zracjonalizowano dystrybucję surowców i, ogólnie mówiąc, rozkwitła era dobrobytu oraz zadowolenia.

A mimo to jedno nie uległo zmianie, a mianowicie antypatia, jaką Gladowianie darzyli Saronejczyków, oraz niechęć, jaką mieszkańcy Saroninu okazywali obywatelom Gladovii.

Oczywiście, elektrownie słoneczne potrzebowały nadzoru. Mimo automatyzacji i wielorakiego zastosowania robotów ludzie musieli systematycznie kontrolować poszczególne stacje, by upewnić się, iż urządzenia działają poprawnie i że małe drobiny gruzu kosmicznego oraz nieoczekiwane wybuchy wiatru słonecznego nie wpłynęły na funkcjonowanie komputerów w takim stopniu, iż przekraczało to granice wydajności robotów oraz samych komputerów, które wszystko korygowały.

Ci, których wybrano do tego zadania, obsługiwali wyznaczone im odcinki pracy, podlegając regularnym rotacjom, dzięki czemu wpływ, jaki na ich organizmy miała grawitacja



zerowa, był minimalizowany podczas spędzanych na Ziemi urlopów. Dlatego wyłącznie czysty zbieg okoliczności sprawił, iż w grupie Operatorów Przestrzeni (takim właśnie mianem obdarzano tych ludzi) w lecie 2080 roku znalazło się między innymi dwóch Gładowian i dwóch Saronejczyków. Ci tradycyjni wrogowie, którzy mimo woli znaleźli się w tym samym miejscu, wykonywali poprawnie własne zadania, lecz dbali o to, by wzajemne kontakty ograniczać do niezbędnego minimum, powstrzymując się przy tym od wszelkich uśmiechów i okazywania uprzejmości.

Pewnego dnia młodszy Gładowianin, Tomasz Brigon, przyszedł do starszego, Hamisha Mansy. Na jego twarzy gościł krzywy uśmieszek zadowolenia.

— Ten dureń z Saroninu zrobił to tym razem — oświadczył.

— Który? — spytał Mansa.

— Ten, którego nazwisko brzmi jak kichnięcie. Cóż to za głupi język ten saronejski! W każdym razie z istic saronejską głupotą źle wywołał komputer A-5.

Mansa wyraźnie się przeląkł.

— Z jakim rezultatem?

— Na razie z żadnym. Ale za każdym razem, gdy gęstość wiatru słonecznego przekroczy poziom 1,3, połowa elektrowni będzie miała przymusowy postój i spłonie kilka komputerów.

— I co z tym zrobiłeś? — Oczy Mansy otworzyły się szeroko.

— Nic — odparł Brigon. — Byłem tam i widziałem, jak do tego doszło. Zostało to zarejestrowane. Saronejczyk załogował się jako użytkownik A-5, więc kiedy elektrownie przestaną dostarczać prąd, a komputery zaczną się palić, cały świat się dowie, że stoi za tym jakiś głupek z Saroninu. — Brigon rozłożył ramiona i z zachwytem w głosie dodał: — Cały świat się wkurzy i ten nikczemny kraj nareszcie zostanie upokorzony.

— Ale w tym czasie dostawy energii słonecznej na Ziemię ulegną całkowitemu zakłóceniu, a odbudowa systemu potrwa zapewne wiele miesięcy, może nawet rok czy dwa.

— Mnóstwo czasu — odparł Brigon — który wystarczy światu do starcia Saroninu z powierzchnią Ziemi, dzięki czemu nasza wspianiała Gładowia będzie mogła przejąć terytorium, które prawnie jej się należy.

— Ależ pomyśl trochę — rzekł Mansa. — Jeżeli nagle wystąpią takie braki energii, wówczas świat będzie zanadto zajęty próbą ratowania się od katastrofy, by jeszcze angażować się w jakieś krucjaty. Cały przemysł zostanie sparaliżowany, pojawi się niebezpieczeństwo klęski głodu, zaczną się organizować zdenerwowany motłoch, dojdzie do walk o te resztki energii, które jeszcze da się uzyskać... słowem, całkowity chaos.

— Tym gorzej dla Saroninu...

— Lecz przecież chaos obejmie także Gładowię. Nasz wspianiały kraj tak samo zależy od energii słonecznej jak Saronin, tak samo jak cały świat. Nastąpi ogólnoświatowa katastrofa, w wyniku której, kto wie? Gładowia może ucierpieć o wiele bardziej niż Saronin. Kto to może przewidzieć?

Wyraźnie zmieszany Brigon otworzył szeroko usta.

— Naprawdę tak myślisz?

— Oczywiście. Musisz natychmiast iść do tego, którego nazwisko brzmi jak kichnięcie, i kazać mu ponownie sprawdzić swoją pracę. Nie musisz mówić, że wiesz, że coś jest złe. Powiesz, że akurat tamtędy przechodziłeś i nagle odniosłeś wrażenie, iż nie wszystko idzie dobrze. Powiedz, że masz przeczucie. A kiedy on już znajdzie i poprawi listę wywołań, nie naigrawaj się z niego. To byłoby niebezpieczne. I zrób to natychmiast! Dla naszej ukochanej Gładovii! Również dla świata, ma się rozumieć.

Brigon nie miał wyboru. Zrobił to, co mu kazano, i niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

# Morał

Ludzie zawsze kochają przede wszystkim samych siebie. Niemniej jednak w świecie, w którym istnieje tyle powiązań, że szkoda dla jednego oznacza szkodę dla wszystkich, najlepszym sposobem na pokochanie samego siebie jest pokochanie również innych.

# Uśmiech chippera

Jak wszyscy starzy ludzie, Johnson zaczął wspominać dawne czasy. Uprzedzono mnie, że będzie opowiadał o chipperach — tych dziwnych ludziach, którzy na samym początku dwudziestego pierwszego wieku, przez zaledwie jedno pokolenie, zabłysnęli na scenie biznesu. Ale ostatecznie zjadłem na jego koszt dobry posiłek, więc byłem gotów go wysłuchać.

I to właśnie było pierwsze słowo, jakie padło z jego ust.

— Chipperzy — powiedział — nie podlegali w tamtych czasach żadnym regulacjom. Obecnie zostali objęci taką kontrolą, że praktycznie nie ma z nich żadnego pożytku, lecz wtedy... To właśnie dzięki jednemu z nich ta firma jest dzisiaj koncernem, którego majątek ocenia się na dziesięć miliardów dolarów. To ja wybrałem tego chippera.

— Mówiono mi, że nie utrzymywali się długo na swych stanowiskach — powiedziałem.

— W tamtych czasach rzeczywiście tak było. Oni się wypalali. Kiedy się wszczepia mikrochipy do kluczowych fragmentów układu nerwowego, to po dziesięciu latach, w najlepszym wypadku, całe okablowanie się wypala, że się tak wyrażę. Potem odchodzili na emeryturę... nieco, rozumiesz, otepiali.

— Dziwię się, że ktoś się w ogóle na to godził.

— No cóż, idealistów to oczywiście przerażało i stąd potem te regulacje, ale sytuacja chipperów nie była aż taka zła. Tylko nieliczni potrafili korzystać z mikrochipów, z jakiegoś niewiadomego powodu osiemdziesiąt procent wśród nich stanowili mężczyźni, i w okresie swej aktywności zawodowej wiodli żywot magnatów stoczniowych. A później zawsze otrzymywali jak najlepszą opiekę. W ostatecznym rozrachunku ich los nie różnił się w niczym od losu czołowych atletów: dziesięć początkowych lat życia to pełna aktywność, potem zaś emerytura. — Johnson łyknął drinka. — Taki chipper, który nie podlegał regulacjom, potrafił wpływać na emocje innych ludzi, oczywiście pod warunkiem że był utalentowany i że chip wszczepiono mu poprawnie. Potrafił dokonywać osądu na podstawie tego, co wyczuł w czyimś umyśle, a ponadto umacniał lub osłabiał opinie formułowane przez konkurujących z nim chipperów — wszystko na rzecz rodzimej firmy. Nie było w tym nic brudnego. Inne firmy kazały swoim chipperom postępować tak samo. — Westchnął. — Teraz coś takiego jest nielegalne. Bardzo niedobrze.

— Słyszałem, że nadal zdarzają się przypadki nielegalnego chippingu — zauważyłem

nieśmiało.

Johnson chrząknął i odparł:

— Bez komentarza. — Kiedy nie zareagowałem, podjął swoją opowieść. — Ale nawet przed trzydziestu laty wszystko działo się jawnie. Na tle gospodarki światowej nasza firma była nic nie znaczącą jednostką, niemniej jednak znaleźliśmy dwóch chipperów skłonnych dla nas pracować.

— Aż dwóch? — Nigdy wcześniej nie słyszałem o takim przypadku.

Johnson spojrział na mnie z ukosa.

— Tak, udało nam się. W świecie zewnętrznym nie należy to do powszechnej praktyki, jednak osiągnęliśmy to drogą przemysłanej rekrutacji, a także paru — dosłownie paru — nielegalnych posunięć. Nielegalnych nawet w tamtych czasach. Rzecz jasna, nie mogliśmy najać obu naraz. Nie da się zaprząć dwóch chipperów do tego samego zadania. Oni przypominają trochę mistrzów szachowych, tak bym to chyba określił. Gdy ich umieścić w jednym pomieszczeniu, natychmiast rzucają sobie wyzwania. Będą nieustannie rywalizować; jeden będzie się starał wpłynąć na drugiego. Nie przestaną, nie mogliby w rzeczy samej, i w ciągu sześciu miesięcy wzajemnie się wypalą. Przekonało się o tym kilka firm, które poniosły wielkie koszty podczas pierwszych lat korzystania z usług chipperów.

— Potrafię to sobie wyobrazić — mruknąłem.

— Nie mogliśmy mieć obu, postanowiliśmy więc zatrudnić silniejszego, a rozsądzić, który to z nich, można było jedynie na podstawie stoczonego między nimi pojedynku. Wszystko musiało jednak przebiegać w taki sposób, by nie zniszczyli się wzajemnie. Tym zadaniem obarczono właśnie mnie, dając jasno do zrozumienia, że jeśli wybiorę tego, który ostatecznie okaże się nieodpowiedni, wówczas będzie to także mój koniec.

— I jak się pan do tego zabrał? — Wiedziałem, że oczywiście powiodło mu się. Nie można być prezesem rady nadzorczej firmy o światowej renomie bez powodu.

— Musiałem improwizować — odparł Johnson. — Najpierw zbadałem każdego z osobna. Nawiasem mówiąc, ci dwaj znani byli pod swymi kodami. W tamtych czasach ich prawdziwa tożsamość była tajemnicą. Chipper, o którym wiadano, że jest chipperem, był w połowie beużyteczny. W naszych aktach figurowali więc jako C-12 i F-71. Obaj mieli pod trzydziestkę. C-12 był samotny, a F-71 zaręczony.

— Zaręczony? — spytałem trochę zdziwiony.

— Jak najbardziej. Chipperzy są przecież ludźmi, a kobiety uganiają się za chipperami płci męskiej. Całkiem słusznie, przecież są uważani za bogatych, a po przejściu takiego na emeryturę żona zazwyczaj przejmuje kontrolę nad majątkiem. To korzystny układ dla młodej kobiety. Tak więc zorganizowałem spotkanie ich obu z udziałem narzeczonej F-71. Miałem szczerą nadzieję, że będzie ładna, i istotnie była. Jej widok podziałał na mnie niczym cios. Była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu poznałem: wysoką, ciemnooką, obdarzoną wspaniałą figurą i mnóstwem seksapilu. — Johnson na moment pograżył się w zadumie, po czym podjął opowieść. — Powiadam ci, zapragnąłem zdobyć tę kobietę, ale żadna kobieta nie rzuciłaby chippera dla kogoś zatrudnionego na podrzędnym stanowisku kierowniczym. Całkiem inną

kwestią natomiast byłoby porzucenie go na rzecz innego chippera. Zauważyłem, że C-12 jest równie poruszony jak ja. Wprost nie potrafił oderwać od niej wzroku. Tak więc pozwoliłem, by sprawy potoczyły się swoim torem, chcąc sprawdzić, który ostatecznie zdobędzie tę młodą kobietę.

— I który ją zdobył? — zapytałem.

— Musiały najpierw upłynąć dwa dni intensywnego konfliktu psychicznego. Obaj zapewne utracili przez to po dwa miesiące zawodowego życia, ale ostatecznie młoda dama odeszła z C-12 jako swym nowym narzeczoną.

— A więc wybrał pan C-12 na chippera firmy? Johnson popatrzył na mnie ze wzgardą.

— Zwariowałeś? Nic takiego. Naturalnie wybrałem F-71, natomiast C-12 ulokowaliśmy w jednej z naszych filii. Nie nadawał się dla nikogo innego, ponieważ wiedzieliśmy, kim jest.

— Czyżbym czegoś nie zrozumiał? F-71 stracił narzeczoną, a zdobył ją C-12. Z pewnością C-12 był lepszy.

— Czyżby? W takich sytuacjach chipperzy nie okazują żadnych emocji; żadnych oczywistych emocji. Dla celów handlowych muszą ukrywać swoje umiejętności, dlatego więc zachowanie pokerowej twarzy to niezbędny element ich profesji. Ja jednak uważnie ich obserwowałem, ważyły się losy mojej posady, i kiedy C-12 odchodził z tą kobietą, zauważyłem nieznaczny uśmiech na twarzy F-71. Wydawało mi się także, że dostrzegam błysk zwycięstwa w jego oczach.

— Przecież stracił narzeczoną.

— Czy nie dociera do ciebie, młody człowieku, że on chciał ją stracić, ale nie byłoby mu łatwo oderwać ją od siebie? Musiał tak wpłynąć na C-12, by ten pragnął ją zdobyć, a także tak wpłynąć na tę kobietę, by ona chciała, żeby ktoś jej pragnął. I osiągnął to. Wygrał.

Zastanowiłem się nad tym.

— Ale na jakiej podstawie mógł pan mieć pewność? Jeśli ta kobieta była tak piękna, jak pan twierdzi, i jeśli buchało od niej seksapilem, to z pewnością F-71 chciał ją zatrzymać.

— Lecz F-71 sprawił, że ona tylko sprawiała wrażenie pociągającej — wyjaśnił zniecierpliwionym głosem Johnson. — Jego celem był oczywiście C-12, ale użył do tego takiej mocy, że nawet na mnie wpłynęło to drastycznie. Kiedy było już po wszystkim i C-12 odchodził z kobietą, ona przestała na mnie tak działać i dopatrzyłem się w niej nawet czegoś twardego i sztucznego, jakiegoś takiego niemilego i drapieżnego błysku w oku.

Dlatego właśnie wybrałem natychmiast F-71 i okazało się, że jest właśnie tą osobą, której było nam trzeba. Firma osiągnęła swoją pozycję, sam widzisz jaką, a ja zostałem prezesem rady nadzorczej.

# Złoto

Jonas Willard rozejrzał się dokoła i odłożył batutę na stojący przed nim pulpit.

— Rozumiecie już? — zapytał. — To będzie tylko scenka szkoleniowa. Dzięki niej przekonamy się, czy w ogóle wiemy, co tutaj robimy. Przechodziliśmy przez to dostatecznie często, więc mogę chyba wymagać od was pełnego profesjonalizmu. Przygotujcie się. Wszyscy.

Rozejrzał się raz jeszcze. Za każdym stołem miksterskim siedział operator dźwięku, trzej inni ludzie obsługiwali projektory obrazów. Siódma osoba była odpowiedzialna za muzykę, ósma za główne tło. Inni czekali z boku na swoją kolej.

— Bardzo dobrze — powiedział Willard. — Pamiętajcie, że ten starzec przez całe życie był tyranem. Przywykł, by wszyscy skakali na każde jego słowo, by trzęśli się na widok najłżejszego skrzywienia. To już należy do przeszłości, ale on jeszcze o tym nie wie. Patrzy na swoją córkę, przekonany, że to potulna, usłużna dziewczyna, gotowa wykonać każdy jego rozkaz. Nie potrafi uwierzyć, iż to władczyni. Zobaczmy teraz, jak wygląda król.

Pojawia się Lear. Wysoki, siwe włosy i broda, zmięte ubranie, ostry, przenikliwy wzrok.

— Nie garbi się — powiedział Willard. — Ma osiemdziesiąt lat, lecz nie uważa się za starca. Jeszcze nie teraz. Nosi się sztywno. Król w każdym calu. — Obraz zostaje poprawiony. — O, tak jest dobrze. I powinien mówić silnym głosem. Żadnego drżenia. Jeszcze nie teraz. Zrozumiano?

— Zrozumiano, szefie — odparł operator odpowiedzialny za głos Leara, kiwając głową.

— W porządku. Królowa.

Pojawia się królowa; wzrostem niemal dorównuje Learowi, wyprostowana i sztywna jak posąg, pofałdowane szaty w należyтым porządku, wszystko na swoim miejscu. Jej zimna i bezlitosna uroda przywodzi na myśl lód.

— A teraz Błazen.

Mały człowieczek, szczupły i kruchy, podobny do przestraszonego nastolatka, jednak z twarzą zbyt starą, z drapieżnym wyrazem w oczach, które zdają się tak ogromne, jakby zaraz miały wchłonąć całe jego oblicze.

— Znakomicie — ocenił Willard. — Bądźcie gotowi do pojawienia się księcia Albanii. Zaraz tu będzie. Zaczynicie scenę. — Znowu zastukał w pulpit, szybko ogarnął wzrokiem powstałą scenerię i zarządził: — Lear! — I tu jego batuta powędrowała w stronę operatora

głosu Leara, po czym wykonała łagodny ruch wskazujący intonację, na jakiej mu zależało.

Odzywa się Lear:

– Czemu, córko, z taką na czole chmurą? Ostatnio ciągle chodzisz z miną urażonej\*.

Przerywa mu głos Błazna, cienki, brzmieniem przywodzący na myśl melodię wygrywaną na piszczałce:

– Cudny byłeś chłopiec, kiedy miny jej cię mało obchodziły...

W trakcie kiedy Błazen wypowiada te słowa, Goneryla wolno odwraca twarz w jego stronę. Jej oczy na moment zamieniają się w kule przezroczystego światła — na moment tak krótki, że ci, którzy to widzą, odnoszą raczej wrażenie, niżli zauważają ten fakt. Błazen kończy przemowę, z każdą chwilą coraz bardziej przestraszony, po czym cofa się za plecy Leara, szukając na oślep ochrony przed tym przepalającym na wskroś spojrzeniem.

Goneryla zaczyna tłumaczyć Learowi, na czym polega rzeczywistość, i w miarę, jak to mówi, słychać ciche pęknięcie lodu, a w tle rozbrzmiewają ledwie słyszalne akordy.

Pretensje Goneryli nie do końca stanowią wyłącznie wyraz jej arogancji — ona życzy sobie zgodnego z prawem procesu, a taki odbyć się nie może, dopóki Lear uważa, że wciąż jest władcą. Tymczasem Lear nie daje sobie przemówić do rozsądku. Unosi się gniewem i zaczyna pomstować.

Wchodzi księżę Albanii. To małżonek Goneryli — krągłolicy, prostoduszny; rozgląda się dokoła zdziwionym wzrokiem. Co tu się dzieje? Zostaje całkowicie zagłuszony przez swoją dominującą żonę i rozwścieczonego teścia. To właśnie w tym momencie Lear wygłasza jedną z najbardziej przejmujących mów oskarżycielskich w literaturze. Przesadza. Goneryla jeszcze nie zrobiła nic, by na to zasłużyć, lecz król nie umie się pohamować. Mówi:

*Słysz mnie, Naturo! Bóstwo drogie, usłysz:*

*Zatrzymaj bieg zamiaru, jeśli płodność*

*Chciałaś dać tej istocie!*

*Wyjąłów łono jej, wysusz w niej rodne*

*Narządy, niech z jej ciała uwiędłego*

*Niemowlę nie powstanie! Jeśli jednak*

*Ma rodić, utwórz ze splinu jej dziecię,*

*Niech ją wynaturzony pokurcz nęka,*

*Niech bruzdy rzeźbi na jej młodym czole,*

*Niech łzy ciekące twarz jej poorają,*

*Niech za nagrodę matczynych trosk swoich*

*Zbierze pogardę i śmiech, niechaj pozna,*

*Że srożej niż wężowy ząb dojmuje*

*Dziecka niewdzięczność!*

Operator wzmacnił głos Leara na czas tej tyrady, jednocześnie upodabniając go do syku. Ponadto ciało króla staje się jeszcze wyższe i jakby mniej materialne, przekształcone w żądne zemsty bóstwo.



Goneryla natomiast przez cały ten czas pozostaje niewzruszona, nawet się nie wzdygnie, nie cofnie o krok, za to jej piękna twarz, w której pozornie nie zachodzi żadna zmiana, zdaje się kumulować zło, dzięki czemu pod koniec przemowy Leara wciąż przypomina archanioła, ale jest to archanioł pokonany. Wszelkie współczucie znika z tego oblicza, ustępując miejsca niebezpiecznemu, diabelskiemu majestatowi. Błazen nie wychodzi z ukrycia za plecami Leara, cały czas dygocze. Książę Albanii natomiast nieustannie wprowadza zamieszanie, zadając bezsensowne pytania. Wyraźnie pragnie wkroczyć między dwoje przeciwników i jednocześnie boi się to uczynić.

Willard postukał batutą o pulpit i powiedział: — Bardzo dobrze. Wszystko zostało zarejestrowane, możecie więc teraz obejrzeć tę scenę raz jeszcze. — Uniósł batutę i znajdujący się na tyłach pomieszczenia syntezy zaczął wyświetlać playback. Scenę obserwowano w milczeniu. — To było dobre, wierzę jednak, że waszym zdaniem nie dość dobre — powiedział Willard. — Posłuchajcie mnie teraz uważnie, bo chcę wytłumaczyć, co spróbujemy z tym zrobić. Jak wszyscy wiecie, cyberteatr nie jest czymś nowym. Głosy i obrazy konstruuje się w nim w taki sposób, by dalece wykraczały poza to, do czego są zdolni ludzie. Aktorzy wygłaszający monologi nie muszą przerywać dla zaczerpnięcia oddechu, siła i barwa głosów praktycznie nie są niczym ograniczone, a obrazy mogą ulegać zmianom w taki sposób, aby pasowały do słów i akcji. A mimo to dotychczas ta technika była wykorzystywana jedynie w produkcjach dla dzieci. My natomiast zamierzamy stworzyć coś, czego świat jeszcze nie widział, pierwszy cyberdramat, i zaczynamy od razu od górnego pułapu, ponieważ nic innego nas — a w każdym razie mnie — nie zadowoli. Chcę zabrać się do najlepszej sztuki napisanej przez najwybitniejszego dramaturga wszech czasów: do *Króla Leara* Williama Szekspira. Nie życzę sobie, by zmienione zostało chociaż jedno słowo. Nie wolno wykreślić ani jednego. Nie chcę też współczesnić tej sztuki. Nie chcę usuwać archaizmów, ponieważ *Król Lear*, w jego oryginalnym kształcie, tętni swoją własną melodią i każda zmiana go zuboży. Tylko jak dotrzeć do przeciętnego widza? Nie mówię tu o studentach, nie mówię o intelektualistach, mówię o wszystkich. Mówię o ludziach, którzy nigdy przedtem nie oglądali Szekspira i którzy uważają musical za prawdziwy teatr. Tymczasem ta sztuka jest miejscami archaiczna, a poza tym ludzie podczas codziennych rozmów nie posługują się przecież pentametrem jambicznym. Nie są nawet przyzwyczajeni do słuchania go ze sceny. Dlatego właśnie będziemy musieli przetłumaczyć to, co u Szekspira jest archaiczne i niezwykle. Słowa zostaną zinterpretowane za pomocą głosów bardziej niż ludzkich, za pomocą zmian w ich tonie i barwie. Poza tym transformacje obrazów przydadzą im dodatkowego znaczenia. Zmiana w wyglądzie Goneryli, w czasie gdy Lear wygłaszał swoją klątwę, była znakomita. Widz zauważy niszczycielski wpływ, jaki miała na nią ta tyrada, choćby dzięki swej żelaznej woli nie zdradziła tego w słowach. Widz poczuje wtedy również ów niszczący skutek na sobie, nawet jeśli niektóre ze słów użytych przez Leara mogą mu się wydać dziwne. W związku z tym musimy pamiętać, by Błazen przy każdym ze swych kolejnych wystąpień wyglądał na coraz starszego. To przede wszystkim słaby, schorowany człowiek, który śmiertelnie się boi Goneryli i Regany, znękany burzą, przed którą Lear, jego jedyne protektor,

nie może go ochronić. Mówię tu zarówno o burzliwym zachowaniu córek Leara, jak i o burzliwej pogodzie. Kiedy będzie się wymykał ukradkiem w szóstej scenie trzeciego aktu, powinno być jasne, że niebawem umrze. Szekspir tego nie mówi, więc musi to powiedzieć twarz Błazna. Za to z Learem koniecznie musimy coś zrobić. Operator wpadł na właściwy pomysł, dodając syk do ścieżki dźwiękowej. Lear pluje jadem, jest człowiekiem, który po utracie władzy nie umie ratować się inaczej jak tylko niegodziwym i przesadnym słowem. Jest kobrą, która nie potrafi zaatakować. Aczkolwiek wolałbym, aby ten jej syk stał się zauważalny we właściwym momencie. Bardziej jednak interesuje mnie tutaj tło.

Tłem zajmowała się Meg Cathcart. Tworzyła tła od tak dawna, jak istniał cyberteatr.

— Co ma być w tle? — spytała chłodno.

— Motyw żmii — odparł Willard. — Wprowadź go, a syk w głosie Leara niech będzie cichszy. Nie chcę, oczywiście, byś pokazywała żmiję. Nic z tego nie wyjdzie, jeśli to będzie zbyt oczywiste. Ma tam być żmija, której ludzie nie zobaczą, ale którą czują, nie bardzo zdając sobie sprawę dlaczego. Mają wiedzieć, że wąż tam jest, jednocześnie nie wiedząc, że tam w ogóle coś jest. Dzięki temu czują, jak przenika ich dreszcz, właśnie tak, jak to powinno być podczas tyrady Leara. Kiedy więc będziemy powtarzać scenę, Meg, daj nam żmiję, która nie jest żmiją.

— A jak ja mam to zrobić, Jonas? — spytała Cathcart, zwracając się do niego po imieniu. Znała swoją wartość i wiedziała, ile od niej zależy.

— Nie wiem — odparł. — Gdybym to wiedział, byłbym specjalistą od tła, a nie nędznym reżyserem. Ja wiem tylko, czego chcę. I ty musisz to dać. Musisz wywołać wrażenie czegoś, co się wije, wrażenie łusek. Dopóki nie dojdziemy do jednego miejsca. Zwróć uwagę na to, kiedy Lear mówi: „Srożej niż wężowy ząb dojmuję dziecka niewdzięczność”. To jest naprawdę mocne. Cała przemowa wiedzie do tego oświadczenia i jest to jeden z najświetniejszych cytatów z Szekspira. A poza tym są tu głoski syczące. Można je wysyczyć. Jeśli syk w całej tej tyradzie zostanie wyciszony, a tutaj nagłośniony, to wówczas mogłabyś zrobić zbliżenie jego twarzy i nadać jej jadowity wyraz. A w tle może się pojawić wąż, o którym ostatecznie jest mowa. Błysk otwartej paszczy i kłów, kłów. Musimy przelotnie ujrzeć kły, kiedy Lear mówi o „wężowym zębie”. — Willard poczuł nagle, że jest bardzo zmęczony. — No dobrze. Jutro spróbujemy znowu. Proszę, by każdy obejrzał raz jeszcze całą scenę i postarał się popracować nad naszą strategią. Pamiętajcie tylko, że żadne z was nie jest jedyną osobą zaangażowaną w całe przedsięwzięcie. We wszystkim, co robicie, musicie się dopasować do pozostałych, więc zachęcam do wspólnych rozmów, a także słuchania tego, co mam do powiedzenia, ponieważ nie muszę obsługiwać żadnych urządzeń i tylko ja jeden widzę tę sztukę jako całość. Na tym właśnie polega moja praca, nawet jeśli mogę się wydać podobny do tego tyrana, jakim był Lear w jego najgorszych momentach.

Willard zbliżał się do wielkiej sceny burzy, najtrudniejszej części tej najtrudniejszej ze sztuk, i czuł, że jest wykończony. Lear zostaje wyrzucony przez córki na wiatr i deszcz, z Błaznem jako jedynym towarzyszem, i omal nie popada w obłęd z powodu tak złego traktowania. Dla niego nawet owa burza nie jest taka zła jak córki.

Willard wycelował batutę i pojawił się Lear. Ruch w innym kierunku i już do lewej nogi Leara przywiera Błazen, całkiem ignorowany. Jeszcze jeden ruch, a ukazuje się tło z wrażeniem burzy, wyjącego wiatru, ulewnego deszczu, trzasku piorunów i oślepiających błyskawic.

Wszystko zostaje zdominowane przez burzę, zjawisko naturalne, lecz jednocześnie sylwetka Leara rozrasta się, przywodząc na myśl górę. Burza emocji w niczym nie ustępuje prawdziwej burzy, mimo iż ryk wiatru zagłusza głos króla. Ciało króla przestaje być materialne i faluje wraz z wiatrem, jakby ono samo było chmurą burzową rywalizującą z żywiołem jak równy z równym. Pogrzebiony przez własne córki, wzywa burzę, by ta zrobiła z nim, co może najgorszego. Głosem bardziej ludzkim, niż można, woła:

*Dmij, aż ci gęba pęknie! Szalej! Dmij!*

*Śluzy, upusty niebieskie! Potopem*

*Wieże pokryjcie i kurki na wieżach!*

*Siarczane, jak myśl mknące błyskawice,*

*Nim piorun padnie i dęby rozszczepi,*

*Osmalcie mój włos siwy! Mocny gromie,*

*Wypukłość świata zgruchocz, spłaszcz zupełnie,*

*Strzaskaj natury warsztat, zgładź jej formy*

*I wyniszcz wszelką zaródź, z której wschodzi*

*Niewdzięczny ludzki ród!*

Błazen przerywa mu piskliwym głosem, przez kontrast sprawiając, że opór Leara jest tym bardziej heroiczny. Błaga Leara, by ten powrócił do zamku i pogodził się z córkami, lecz król nawet go nie słyszy, tylko krzyczy dalej:

*Wyhucz się, grzmocie! Pluj, ogniu! Bij, deszczu!*

*Deszcz, wiatr, grzmot, ogień to nie moje córki!*

*Żywioły, za grubiańskość was nie ganię,*

*Ja wam królestwa nie podarowałem,*

*Dziećmi nie zwałem was ani moimi*

*Jesteście lennikami: więc folgujcie*

*Swej wstrętnej samowoli, jestem oto*

*Popychle wasze, bezwładny i kruchy,*

*Biedny i pogardzony stary człowiek...*

Hrabia Kentu, lojalny sługa Leara (którego król w porywie wściekłości skazał na banicję), odnajduje władcę i próbuje go zaprowadzić do jakiegoś schronienia. Po interludium na zamku hrabiego Gloucester, po scenie znowu błąka się Lear; zostaje zaprowadzony, czy raczej zawleczony, do jakiejś nędznej chaty.

I właśnie wtedy, kiedy jest już za późno, Lear uczy się, że czasami trzeba myśleć o innych ludziach, nie tylko o samym sobie. Upiera się, by Błazen wszedł pierwszy, a sam zwleka,

pragnąc się zastanowić (niewątpliwie po raz pierwszy w życiu) nad losem tych, którzy nie są królami albo dworzanami.

Jego sylwetka kurczy się, twarz traci swą dzikość. Unosi głowę, wystawiając ją na deszcz, i przemawia słowami, które wydają się odległe, jakby nie pochodziły z jego ust, jakby słuchał przemowy kogoś innego. Mówi to zresztą nie stary Lear, tylko ten nowy i lepszy, oczyszczony i wyszlachetniony przez cierpienie. To wszystko obserwuje zaniepokojony Kent, który cały czas usiłuje wprowadzić króla do chaty, a Meg Cathcart, dzięki obrazowi trzepoczących na wietrze łachmanów, udaje się wywołać wrażenie, iż w scenie uczestniczą żebracy. Lear mówi:

*Biedni i nadzy wy, co teraz trwacie  
Pod bezlitosnym burzy tej obstrzałem,  
Jak waszych głów bezdomność i ciało chudość,  
Lachów przewiewne okna — jak was bronią  
Czasu pogody złej?  
Za mało o tym  
Myślałem dawniej. O, leczyć się musisz,  
Przepychu, odczuj, co biedacy czują,  
Żeby przerzucić na nich bogactw nadmiar,  
Okazać lepiej nieba sprawiedliwość.*

— Nie najgorzej — stwierdził w końcu Willard. — Rozumiemy ideę. Ale te łachmany nie wystarczą, Meg. Czy mogłabyś stworzyć wrażenie pustych oczu? Nie oczu niewidomych. To mają być oczy zapadnięte w głąb czaszek. — Chyba potrafię — odparła Cathcart.

Willardowi trudno było w to uwierzyć. Wydali więcej pieniędzy, niż się spodziewali. Stracili też więcej czasu, niż oczekiwali. I bardziej też byli zmęczeni, niż myśleli. A mimo to powoli kończyli.

Musiał jeszcze opracować scenę pogodzenia — tak prostą, że wymagała jedynie najdelikatniejszych pociągnięć.

Żadnego tła, żadnych podrasowanych głosów, żadnych wizji, w tym miejscu bowiem Szekspir stawał się prosty. Nie potrzebowali nic prócz prostoty.

Lear był starcem, tylko starcem. Kordelia, która go odnalazła, okazała się kochającą córką, ani tak władczą jak Goneryla, ani tak okrutną jak Regana, tylko łagodną i miłą. Lear, gdy przepełniające go szaleństwo wygasło, zaczyna powoli rozumieć sytuację. Z początku ledwie rozpoznaje Kordelię — siebie uważa za zmarłego, a ją za ducha z niebios. Nie rozpoznaje także wiernego hrabiego Kentu. Kiedy Kordelia usiłuje wyprowadzić go z błędu, mówi:

*Proszę cię, nie szydź.  
Jam stary, zgoła bezrozumny człowiek,  
Co pełnych osiemdziesiąt lat już przeżył,  
I, co tu gadać, na umyśle słaby.*

*Niby wiem, kto ty jesteś, kto ten człowiek,  
Ale pewności nie mam. A najgorsza,  
Że nie wiem, gdzie ja jestem; skąd na przykład  
Wzięły mi się te szaty, nie pamiętam,  
Nie wiem, gdzie noc spędziłem... Dajcie pokój  
Szyderstwu — bo doprawdy, jakem mężem,  
Tak mi się zdaje, że ta dama przy mnie  
To dziecię me, Kordelia.*

Kordelia odpowiada mu, że nią jest, na co on mówi:  
*Łzy lejesz duże? Tak? Proszę cię, nie płacz.  
Jeśli trucizny dasz, chętnie zażyję.  
Ty mnie nie możesz kochać, twoje siostry,  
Pamiętam dobrze, one mnie skrzywdziły...  
Ty masz powody, one ich nie miały.*

Biedna Kordelia może tylko powiedzieć:  
— Żadnego nie mam.

Na koniec Willard zrobił głęboki wdech i oświadczył:

— Uczyniliśmy wszystko, na co było nas stać. Reszta w rękach publiczności.

Rok później Willard, obecnie najbardziej znana postać w świecie rozrywki, poznał Gregory'ego Laboriana. Doszło do tego spotkania niemal przypadkiem, za sprawą interwencji ich wspólnego znajomego. Willard nie był mu wdzięczny.

Powitał Laboriana z całą uprzejmością, na jaką go było stać, po czym zerknął chłodnym wzrokiem na powieszony na ścianie grafik.

— Nie chciałbym wydać się kimś nieuprzejmym albo niegościnnym, panie... hm... ale jestem naprawdę bardzo zapracowany i nie mam zbyt wiele czasu.

— Co do tego nie mam wątpliwości, lecz właśnie dlatego chciałem się z panem zobaczyć. Z pewnością pragnie pan zrobić jeszcze jeden cyberdramat.

— Rzecz jasna, mam taki zamiar, ale — i tu Willard uśmiechnął się kwaśno — *Król Lear* to sztuka, której wystawienie okazało się bardzo trudne, więc nie zamierzam wystawiać teraz czegoś, co w porównaniu z tym spektaklem okaże się śmieciem.

— A jeśli nigdy nie znajdzie pan niczego, co by dorównało *Królowi Learowi*?

— Jestem nawet pewien, że nigdy niczego takiego nie znajdę, mimo to jednak będę szukał.

— Za to ja coś mam.

— Doprawdy?

— Mam powieść, która nadaje się do przerobienia na cyberdramat.

— No tak, ale ja nie mam w zwyczaju przyjmować prezentów podrzucanych mi przez szparę pod drzwiami.

– To nie jest żadna makulatura. Ta powieść została opublikowana i uzyskała całkiem wysokie notowania.

– Przykro mi. Nie chcę pana obrażać, lecz niestety, nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

– Laborian. Gregory Laborian.

– Ja jednak w dalszym ciągu go nie rozpoznaję. Nie czytałem niczego, co pan napisał. Nigdy o panu nie słyszałem.

Laborian westchnął.

– Żałuję, że nie jest pan jedyny. Niemniej jednak chętnie dałbym panu do przeczytania egzemplarz mojej powieści.

Willard potrząsnął głową.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie Laborian, jednak nie chcę wprowadzać pana w błąd. Nie mam czasu, żeby ją czytać. A nawet gdybym miał, to nie mam ochoty.

– Mógłbym sprawić, żeby się to panu opłaciło, panie Willard.

– W jaki sposób?

– Mógłbym panu zapłacić. Nie uważałbym tego za łapówkę, a jedynie ofertę finansową, na którą chyba zasłużyłby pan sobie, gdyby popracował nad moją powieścią.

– Nie sądzę, by rozumiał pan, panie Laborian, ile pieniędzy potrzeba na stworzenie cyberdramatu. Nie podejrzewam, że jest pan multimilionerem.

– Nie, nie jestem, ale mogę panu zapłacić sto tysięcy dolarów planetarnych.

– Jeśli to łapówka, to w takim razie całkowicie nieskuteczna. Za sto tysięcy dolarów planetarnych nie mógłbym zrobić nawet jednej sceny.

Laborian znowu westchnął. Jego duże, piwne oczy wyraźnie posmutniały.

– Rozumiem, panie Willard, ale jeśli da mi pan jeszcze kilka minut... (Wzrok Willarda znowu powędrował do grafiku).

– No cóż, jeszcze pięć minut. Naprawdę jedynie na tyle mogę sobie pozwolić.

– A ja tylko tyle potrzebuję. Nie oferuję pieniędzy za zrobienie cyberdramatu. Pan wie i ja wiem, panie Willard, że pan może się udać do kilkunastu ludzi w tym kraju, powiedzieć, że robi cyberdramat, i dostanie pan tyle pieniędzy, ile potrzebuje. Po *Królu Learze* nikt panu niczego nie odmówi, nawet nie będzie wypytywał o pańskie plany. Oferuję sto tysięcy dolarów planetarnych na pański prywatny użytek.

– W takim razie jest to łapówka, a łapówki na mnie nie działają. Do widzenia, panie Laborian.

– Proszę poczekać. Nie oferuję panu elektronicznego przelewu. Nie sugeruję, że umieszczę swoją kartę finansową w szczelinie automatu i że pan też to robi, i tym sposobem sto tysięcy dolarów planetarnych zostanie przelane z mojego konta na pańskie. Ja mówię o złocie, panie Willard.

Willard, który uniósł się z krzesła, gotów już otworzyć drzwi i wyprowadzić Laboriana, zawahał się.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że mogę położyć ręce na stu tysiącach dolarów w złocie, wagi, jak mi się zdaje, około piętnastu funtów. Multimilionerem raczej nie jestem, ale jako człowiek całkiem zamożny nie musiałbym kraść takiej kwoty. To moje własne pieniądze i mam prawo podjąć je w złocie. To nic nielegalnego. Oferuję panu sto tysięcy dolarów w monetach wartych pięćset dolarów planetarnych każda; razem dwieście monet. Złotych monet, panie Willard.

Złoto! Willard się wahał. Pieniądze w wymianie elektronicznej nie były nic warte. Powyżej pewnego poziomu nie odczuwało się ani bogactwa, ani biedy. Cały system opierał się na plastikowych kartach z zakodowanym wzorem kwasu nukleinowego, bankomatach i przelewach.

Złoto natomiast było czymś zupełnie innym. Robiło wrażenie. Każda moneta miała swoją wagę. Usypane na jeden stos wabiły połyskliwym czarem. Takie bogactwo można było podziwiać i szacować. Willard nigdy w życiu nie widział złotej monety, nie mówiąc już o jej dotykaniu. Dwieście takich monet!

Nie potrzebował pieniędzy. Ale nie był pewien, czy nie potrzebuje złota.

– Do jakiego gatunku zalicza się pańska powieść? — spytał, trochę jakby zawstydzony swoją słabością.

– Science fiction. Willard skrzywił się.

– Nie czytuję science fiction.

– W takim razie nadszedł czas, by poszerzył pan horyzonty, panie Willard. Proszę przeczytać moją powieść. Niech pan sobie wyobrazi złotą monetę włożoną między każde dwie stronicy, a wyjdzie ich panu dwieście.

Na có Willard, gardząc sobą, odparł:

– Jak brzmi tytuł pańskiej książki?

– *Troje w jednym*.

– Czy ma pan przy sobie jej egzemplarz?

– Przyniosłem.

Willard wyciągnął rękę i wziął książkę.

Jonas Willard nie kłamał, twierdząc, że jest zapracowanym człowiekiem. Potrzebował dobrych dwóch tygodni, by znaleźć czas na przeczytanie książki, nawet jeśli wabiło go dwieście lśniących złotych monet.

Przeczytawszy ją, zastanawiał się kilka chwil. Potem zadzwonił do Laboriana.

Następnego ranka pisarz ponownie stawiał się w gabinecie Willarda.

– Panie Laborian, przeczytałem pańską powieść — rzekł prosto z mostu Willard.

Laborian skinął głową; oczy zdradzały przepętniający go niepokój.

– Mam nadzieję, że się panu spodobała, panie Willard.

Willard machnął dłonią, raz w lewo, raz w prawo.

– Całkiem, całkiem. Mówiłem panu, że nie czytuję science fiction, więc nie wiem, co jest dobre albo złe w tym gatunku...

– A czy ma to jakieś znaczenie, skoro powieść się panu podobała?

— Nie jestem pewien, czy mi się podobała. Nie znam się na takiej literaturze. W tej powieści mamy do czynienia z trzema płciami, prawda?

— Tak.

— Które pan nazywa racjonalną, emotywną i rodzicielską.

— Zgadza się.

— Ale nie opisuje ich pan.

Laborian wyglądał na zaambarasowanego.

— Ja ich nie opisałem, panie Willard, ponieważ nie mogłem. To stworzenia z obcej planety, naprawdę obce. Nie chciałem udawać, że są obce poprzez obdarzenie ich niebieskimi skórami, czułkami albo trzecim okiem. Dlatego właśnie ich nie opisałem, rozumie pan?

— Innymi słowy, twierdzi pan, że pańska wyobraźnia tu zawiodła?

— Ależ skąd. Wcale bym tego nie powiedział. Raczej brakuje mi wyobraźni tego typu. Ja nikogo nie opisuję. Gdybym miał napisać opowieść o panu i o mnie, to chyba też bym żadnego z nas nie opisał.

Willard zapatrzył się na Laboriana, nie próbując ukryć pogardy. Pomyślał o sobie. Średni wzrost, wydatny brzuch, który domagał się odchudzenia, początki drugiego podbródka, duże znamię na przegubie prawej dłoni. Jasnokasztanowate włosy, ciemnoniebieskie oczy, duży nos. Tak trudno to opisać? Każdy by to potrafił. Jak się już wymyśliło jakąś postać, to należało pomyśleć o niej jako o kimś realnym — i opisać ją.

Laborian miał śniadą cerę, sztywne, kręcone czarne włosy — Wyglądał tak, jakby przydało mu się golenie, choć prawdopodobnie zawsze tak wyglądał; wydatne jabłko Adama, niewielka blizna na prawym policzku, ciemnobrązowe oczy, dość duże, jedyny ładny szczegół w jego twarzy.

— Nie rozumiem pana — oświadczył Willard. — Co z pana za pisarz, skoro ma pan kłopoty z opisami? To o czym pan właściwie pisze?

Laborian odpowiedział spokojnym tonem, jak gdyby nie po raz pierwszy musiał się bronić przed takimi zarzutami.

— Czytał pan *Troje w jednym*. Jestem również autorem innych powieści i wszystkie są utrzymane w jednym stylu. Przeważnie opierają się na rozmowach. Nie widzę tego, o czym piszę. Ja to słyszę, a moi bohaterowie dyskutują przeważnie o ideach — przeciwstawnych ideach. W tym jestem dobry i moim czytelnikom się to podoba.

— Tak, ale w takim razie co pozostaje dla mnie? Nie mogę tworzyć cyberdramatu na podstawie samych rozmów. Ja muszę tworzyć obrazy, dźwięki, przesłania dla podświadomości, a pan nie pozostawia mi żadnego materiału, na którym mógłbym pracować.

— Czy w takim razie znaczy to, że jednak zastanawia się pan nad zrobieniem *Trojga w jednym*?

— Niczego nie zrobię, jeśli nie da mi pan odpowiedniego materiału. Proszę pomyśleć, panie Laborian, pomyśleć! Na przykład ten Rodzic. To przecież idiota.

— Nie jest idiotą — zaprotestował Laborian, krzywiąc się. — Jego interesuje tylko jedno. Potrafi myśleć wyłącznie o dzieciach.



– Bzdury! Poza tym pan wprawdzie nie użył określenia „sześcienny” w stosunku do Rodzica, w każdym razie ja sobie tego nie przypominam, lecz z całą pewnością odniosłem wrażenie, że on taki jest. Jest sześcienny. Mam rację?

– No cóż, tu nie ma nic skomplikowanego. Same linie proste. Zwykle płaszczyzny. To nie sześcienn. On jest dłuższy niż szerszy.

– A jak się porusza? Ma jakieś nogi?

– Nie wiem. Mówiąc szczerze, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Hm. Albo Racionalista. Jest sprytny, gładki i szybki. Czyli jaki właściwie? Ma może kształt jaja?

– Przysłałbym na to. Nad tym też się nigdy nie zastanawiałem, ale zgodziłbym się z panem.

– I też nie ma nóg?

– Żadnych nie opisałem.

– A jak jest z trzecim bohaterem? Zdaje się, że do tej postaci odnosi się zaimek „ona”, podczas gdy do pozostałych dwóch „on”?

– Emotywistka.

– Zgadza się. Emotywistka. Z nią lepiej panu poszło.

– Oczywiście. O niej myślałem najwięcej. Starła się uratować inteligentne istoty z obcego świata, świata zwanego Ziemią. Innymi słowy, nas. Sympatia czytelnika musi być po jej stronie, nawet jeśli się jej nie udało.

– Odniosłem wrażenie, że ona bardziej przypomina chmurę, że nie ma żadnego materialnego kształtu, że może się rozszerzać i rozrzedzać.

– Tak, tak, ma pan absolutną rację.

– Czy ona sunie przy ziemi, czy raczej dryfuje w powietrzu?

Laborian zastanowił się, po czym potrząsnął głową.

– Nie wiem. Niech pan sam to wymyśli, gdy już przyjdzie co do czego.

– Rozumiem. A co z seksem?

– To najważniejszy punkt — odparł owładnięty nagłym entuzjazmem Laborian. — Nigdy dotąd nie poruszałem w moich powieściach tematu seksu, chyba że było to absolutnie konieczne, a nawet wtedy udawało mi się nie wchodzić w szczegóły...

– Nie lubi pan seksu?

– Lubię, dlaczego nie? Ja po prostu o nim nie piszę. Wszyscy o nim piszą i, szczerze mówiąc, sądzę, że czytelnicy uważają ten brak seksu w moich powieściach za coś nowatorskiego. I muszę też panu powiedzieć, że moje książki sprzedają się bardzo dobrze. Nie miałbym stu tysięcy dolarów, gdyby tak nie było.

– W porządku. Nie staram się bynajmniej ostudzić pańskiego zapału.

– Niemniej jednak zdarzają się ludzie, których zdaniem ja nie piszę o seksie, ponieważ nie potrafię, więc, motywowany przez pychę, jak przypuszczam, napisałem tę książkę jedynie po to, by udowodnić, że potrafię. Cała powieść mówi o seksie. Oczywiście jest to seks z obcej planety, inny od naszego.

— Zgadza się. Dlatego właśnie musiałem pana spytać, na czym on polega. Jak to się odbywa?

Laborian przez chwilę miał niepewną minę.

— Oni się stapiają.

— Wiem, że właśnie tego słowa pan używa. Czy to znaczy, że się łączą? Nakładają na siebie?

— Chyba właśnie tak. Willard westchnął.

— Jak może pan pisać książkę i nie znać tak zasadniczego elementu?

— Ja nie muszę opisywać tego szczegółowo. Czytelnik uzyskuje ogólne wrażenie. W cyberteatrze stosuje się tyle sugestii podprogowych, że nie rozumiem, jak może pan zadawać takie pytanie?

Willard zacisnął usta. Pod tym względem Laborian miał rację.

— Bardzo dobrze. Nakładają się na siebie. Jak potem wyglądają?

Laborian pokręcił głową.

— Uniknąłem tego.

— Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, iż ja nie będę mógł.

Laborian skinął głową.

— Tak.

Willard jeszcze raz westchnął i powiedział:

— Proszę posłuchać, panie Laborian, gdybym się zgodził zrobić taki cyberdramat, a jeszcze się nie zdecydowałem, to wówczas ów spektakl musiałby zostać oparty na mojej wizji. Nie mógłbym tolerować żadnych pańskich ingerencji. Przy pisaniu tej książki pan nie wywiązał się z tyłu obowiązków, że ja nie mógłbym dopuścić pana do uczestnictwa w moich usiłowaniach twórczych.

— To całkiem zrozumiałe, panie Willard. Ja tylko proszę, aby pan wykorzystał opisaną przeze mnie historię, a także tyle moich dialogów, ile pan może. Wszystkie aspekty wizyjne, dźwiękowe i podprogowe z chęcią pozostawię w pańskich rękach.

— Pan rozumie, że nie wchodzi w grę umowa ustna, którą ktoś z naszej branży, jakieś półtora wieku temu, nazwał czymś, co nie jest warte nawet papieru, na którym jest spisane. Moi prawnicy będą musieli spisać umowę, na mocy której pan zostanie wykluczony z udziału w produkcji spektaklu.

— Moi prawnicy zechcą ją zapewne przejrzeć, lecz zapewniam pana, że nie zamierzam przysparzać kłopotów.

— A poza tym — dodał surowym tonem Willard — domagam się zaliczki na poczet tych pieniędzy, które mi pan zaproponował. Nie stać mnie na to, by zmienić pan zdanie, i nie mam ochoty na długi proces.

Laborian skrzywił się w tym momencie.

— Panie Willard, ci, którzy mnie znają, nie kwestionują mojej uczciwości. Pan mnie nie zna, w związku z czym wybaczam panu tę uwagę, ale proszę więcej tego nie powtarzać. Ile pan chce tej zaliczki?

— Połowę — odparł zwięźle Willard.

— Zrobię coś lepszego — oświadczył Laborian. — Kiedy już uzyska pan niezbędne zobowiązania od tych, którzy zechcą wyłożyć pieniądze na ów cyberdramat, i kiedy umowa między nami zostanie zawarta, dam panu całe te sto tysięcy dolarów, co do centa, jeszcze zanim przystąpi pan do pracy nad pierwszą sceną powieści.

Willard otworzył szeroko oczy; nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

— Dlaczego?

— Bo chcę pana nakłonić do pośpiechu. Co więcej, jeśli okaże się, że zrealizowanie tego cyberdramatu jest zbyt trudne, jeśli nie wyjdzie albo jeśli zrobi pan coś, co się nie spodoba — przy moim pechu wszystko jest możliwe — zatrzyma pan te sto tysięcy. To ryzyko, na które jestem gotów się zdecydować.

— Dlaczego? Jaki z tego zysk?

— Żaden. To z mojej strony hazard, w którym stawką jest nieśmiertelność. Jestem popularnym pisarzem, lecz nikt nigdy nie nazwał mnie wielkim. Moje książki najprawdopodobniej umrą wraz ze mną. Proszę przełożyć *Troje w jednym* na spektakl, i to dobry spektakl, a wówczas ta powieść będzie żyła nadal i sprawi, że moje nazwisko będzie znane przez stulecia. — Uśmiechnął się smutno. — Chociaż przez kilka stuleci. Niemniej jednak...

— Aha! — powiedział Willard. — Nareszcie poznaliśmy prawdę.

— No tak. Mam marzenie, dla którego gotów jestem wiele zaryzykować, ale nie jestem kompletnym durniem. Dam panu obiecaną kwotę, zanim pan zacznie, i jeśli przedsięwzięcie się nie uda, to będzie pan mógł je zatrzymać, lecz płatność zostanie dokonana drogą wymiany elektronicznej. Jeśli natomiast pański produkt mnie zadowoli, wówczas zwróci pan ów elektroniczny przelew, a ja dam panu sto tysięcy dolarów w złocie. Nie ma pan nic do stracenia, z tym wyjątkiem, że dla takiego artysty jak pan złoto zapewne ma wymiar dramatyczny i jest warte więcej niż świetlne kreski na karcie kredytowej. — I tu Laborian uśmiechnął się łagodnie.

— Zrozumiałem, panie Laborian! — rzekł Willard. — Dla mnie to też będzie ryzyko. Ryzyko utraty mnóstwa czasu i ciężkiej pracy, które mógłbym poświęcić na projekt bardziej realny. Ryzyko, że wyprodukuję cyberdramat, który okaże się porażką i który zniszczy reputację zdobytą dzięki *Learowi*. W mojej branży człowiek jest tak dobry, jak dobre są jego najnowsze dzieła. Przeprowadzę konsultacje z różnymi ludźmi...

— Poufne, jeśli mogę prosić.

— Oczywiście! I potrzebuję jeszcze trochę czasu na zastanowienie. Przemyślę teraz pańską propozycję, lecz proszę niczego nie traktować jako ostateczne zobowiązanie. Jeszcze nie. Porozmawiamy kiedy indziej.

Jonas Willard i Meg Cathcart siedzieli razem przy lunchu w mieszkaniu Meg. Pili właśnie kawę, kiedy Willard, z wyraźną odrazą kogoś, kto nie ma ochoty poruszać jakiegoś tematu, zapytał:

– Przeczytałaś tę książkę?

– Tak, przeczytałam.

– I co o niej myślisz?

– Nie wiem – odparła Cathcart, popatrując na niego spod ciemnorudej grzywki. – A w każdym razie wiem za mało, by ją właściwie osądzić.

– Ty też nie jesteś fanatykiem science fiction, co?

– No cóż, czytuję science fiction, głównie powieści magii i miecza, ale niczego takiego jak *Troje w jednym*. Słyszałam jednak o Laborianie. On pisze książki, które się określa jako „hard science fiction”.

– Bo widzisz, ja nie mam pojęcia, jak mam to zrobić. Ta książka, niezależnie od jej zalet, zupełnie mi nie leży.

Cathcart obdarzyła go ostrym spojrzeniem.

– Skąd wiesz, że ci nie leży?

– Człowiek powinien wiedzieć, czego nie potrafi zrobić.

– I ty się urodziłeś z wiedzą, że nie potrafisz robić science fiction?

– To mi podpowiada instynkt.

– Czyżby? A może byś się tak zastanowił, co zrobić z tymi nieokreślonymi bohaterami i czego byś chciał na poziomie podprogowym, zanim pozwolisz, by twoje instynkty dyktowały ci, co możesz, a czego nie możesz robić. Jak, na przykład, pokazałbyś Rodzica, o którym mówi się „on”, mimo że to właśnie Rodzic rodzi dzieci? Mnie się to wydało idiotyczne, jeśli chcesz wiedzieć.

– Nie, nie – odparł natychmiast Willard. – Ja nie mam nic przeciwko temu, że to jest „on”. Laborian mógł wymyślić trzeci zaimek, ale brzmiałby bezsensownie i czytelnik stale by się nim dławził. Zamiast tego zarezerwował zaimek „ona” dla Emotywistki. Ona jest tu postacią centralną, różniącą się ogromnie od pozostałych dwóch. Użycie zaimka „ona” wyłącznie w odniesieniu do niej sprawia, że czytelnik skupia całą uwagę właśnie na niej. Co więcej, również na niej musi się skupić uwaga widza cyberdramatu.

– A więc jednak zastanawiałeś się nad tym. – Uśmiechnęła się szeroko. – Musiałam cię zirytować, żeby się w ogóle o tym dowiedzieć.

Willard poruszył się niespokojnie.

– W rzeczy samej, Laborian dał coś takiego do zrozumienia, więc nie mogę twierdzić, że to efekt moich własnych przemyśleń. Ale powróćmy do Rodzica. Chcę o tym z tobą porozmawiać, bo jeśli zabiorę się do tego spektaklu, to wszystko będzie zależało od sugestii podprogowych. Rodzic jest kłocem, prostopadłościanem.

– Równoległościan, tak to chyba nazywają w geometrii przestrzennej.

– O czym ty gadasz? Mnie nie interesuje, jak oni to nazywają w geometrii przestrzennej. Chodzi o to, że nie możemy pokazać zwykłego kłoca. Musimy go obdarzyć osobowością. Ten Rodzic to „on”, który rodzi dzieci, więc musimy nadać mu cechy hermafrodyty. Jego głos nie może być ani wyraźnie męski, ani kobiecy. Nie jestem do końca pewien, czy rzeczywiście idzie mi tu o barwę i siłę głosu, ale będę musiał popracować z operatorem dźwięku metodą

prób i błędów. I rzecz jasna, głos to jeszcze nie wszystko.

— A co jeszcze?

— Stopy. Rodzic porusza się, jednak w powieści brakuje opisu kończyn. Musi mieć jakiś ekwiwalent rąk; wykonuje przecież różne czynności. Czerpie energię z jakiegoś źródła, zatem będziemy musieli wymyślić jakieś ręce, inne niż nasze, ale grające rolę rąk. Potrzebujemy także nóg. I to kilku mocnych, krótkich nóg, które będą się przemieszczać gwałtownymi ruchami.

— Tak jak gąsienica? Albo stonoga?

Willard się skrzywił.

— Nie są to specjalnie ciekawe porównania, nieprawdaż?

— Cóż, moim zadaniem będzie pokazać podprogowo, jeśli mogę tak to określić, stonogę, jednocześnie jej nie pokazując. Samo wrażenie szeregu odnóży, podwójny, nienawiasowy rząd nawiasów, który będzie się tylko pojawiał i znikał, coś w rodzaju leitmotiwu zawsze towarzyszącego Rodzicowi.

— Teraz rozumiem, o czym mówisz. Będziemy musieli sprawdzić, czy to wystarczy. Racjonalista jest jajowaty. Laborian zgodził się, że może mieć kształt jaja. Możemy sobie wyobrazić, jak się toczy, ale moim zdaniem to zupełnie niestosowna wizja. Racjonalista jest wyniosły, dostoyny. Nie możemy go ośmieszyć, a byłby śmieszny, gdyby się toczył.

— Moglibyśmy lekko zaokrąglić dolne partie jego ciała, a wtedy sunąłby na nich trochę tak jak pingwiny.

— Albo jak ślimak po kałuży smaru. Nie. To byłoby równie niedobre. Myślałem o trzech wysuwających się nogach. To znaczy w bezruchu miałby kształt jaja i wyglądał godnie, natomiast w trakcie ruchu z jego korpusu wysuwałyby się trzy nogi.

— Dlaczego trzy?

— Bo to symbolizuje motyw triady; trzech płci, rozumiesz? Mogłby poruszać się nieznacznymi podskokami. Przednia wkopywałaby się w grunt i znajdowała w nim zaczepienie, a dwie tylne zaraz by ją wyprzedzały.

— Taki trójnożny kangur?

— O właśnie! Czy umiałabyś podprogowo pokazać kangura?

— Mogę spróbować.

— Emotywistka jest, oczywiście, najtrudniejsza z całej trójki. Co można zrobić z istotą, która nie jest niczym innym, jak tylko chmurą gazu?

Cathcart się zamyśliła.

— A gdyby tak stworzyć wrażenie fałd, draperii, które niczego nie przesłaniają? Mogłyby się poruszać niczym widma, dokładnie tak jak twój Lear podczas sceny burzy. Byłaby wiatrem, powietrzem, zostałaby przedstawiona w postaci przejrzystych, mglistych fałd.

Willard uznał, że to frapująca propozycja.

— No, no! Całkiem niezłe, Meg. A jeśli chodzi o efekty podprogowe, to czy mogłabyś pokazać Helenę trojańską?

— Helenę trojańską?

— Tak! Racionalista i Rodzic nie znają niczego piękniejszego od Emotywistki. Oni szaleją na jej punkcie. Kryje się za tym silny, niemalże nieznośny pociąg seksualny, charakterystyczny dla ich płci, co musimy pokazać w taki sposób, by widzowie patrzyli na to ich oczyma. Gdybyś tak wyszukała jakąś posagową Greczynkę, z włosami zaczesanymi w kok, ubraną w fałdzistą szatę, fałdy znakomicie pasują do naszego wyobrażenia o Emotywistce, i sprawiła, by jej wizerunek przypominał znane wszystkim obrazy i rzeźby, to wówczas otrzymalibyśmy leitmotiv Emotywistki.

— To, o co prosisz, nie jest proste. Wszelkie ingerencje ze strony przedstawicieli gatunku ludzkiego, nawet jeśli tylko tak łagodne, zniszczą cały klimat.

— Nie wprowadzisz przecież żadnego przedstawiciela gatunku ludzkiego, tylko jego sugestię. To ważne. Człowiek, czyli coś realnego, może zniszczyć klimat, ale przecież cały czas musimy sugerować obecność ludzkich postaci. Widownia musi traktować te dziwaczne istoty jako istoty ludzkie. Co do tego nie ma wątpliwości.

— Pomyślę o tym — obiecała Cathcart, wyraźnie jednak bez przekonania.

— A to z kolei prowadzi nas do jeszcze innego problemu. Do stapiania się. Do potrójnego seksu tych stworzeń. Ja uważam, że one nakładają się na siebie. Z książki wnoszę, że kluczem do wszystkiego jest Emotywistka. Rodzic i Racionalista nie mogą się stapiać bez niej. Ona jest zasadniczym elementem całego procesu. Ale ten dureń Laborian oczywiście nie opisał tego szczegółowo. No cóż... nie możemy kazać Rodzicowi i Racionaliście rzucać się na Emotywistkę. Tb natychmiast zepsułoby cały dramat, niezależnie od tego, co jeszcze byśmy zrobili.

— Zgadzam się.

— Na oczekaniu więc przychodzi mi do głowy, iż Emotywistka będzie musiała się rozrosnąć, fałdy rozejdą się na wszystkie strony i spowiją, że się tak wyrażę, Rodzica i Racionalistę. Obaj znikną częściowo pod nimi, więc nie zobaczymy dokładnie, jak to się odbywa, lecz będą się coraz bardziej zbliżać, aż w końcu nałożą się na siebie.

— Trzeba będzie położyć nacisk na te fałdy — orzekła Cathcart. — Postarać się wydobyć z tego aktu piękno, a nie wyłącznie zwykły erotyzm. Damy do niego podkład muzyczny.

— Tylko nie uwerturę do *Romea i Julii*, błagam. Może jakiś usypiający walc, ponieważ stapianie się będzie długo trwało. I nie jakiś znany walc. Nie chcę, żeby widownia zaczęła nucić. W rzeczy samej, byłoby najlepiej, gdyby słychać go było tylko fragmentami. Wtedy widzowie odbiorą jedynie wrażenie walca, zamiast go rzeczywiście usłyszeć.

— Musimy najpierw spróbować, a dopiero wtedy będziemy wiedzieli, co z tego wychodzi.

— Wszystko, co teraz mówię, to sugestia, które można naginać w taki czy inny sposób pod wpływem bieżących zdarzeń. A co z orgazmem? Przecież będziemy go musieli jakoś zaznaczyć.

— Kolory.

— Hm.

— To lepsze niż dźwięk, Jonas. Tu nie można pokazywać eksplozji. Albo wybuchu wulkanu. Kolory. Milczące kolory. Może to by właśnie wystarczyło.

– Tylko jakie kolory? Zwłaszcza że nie chcę żadnych oślepiających błysków.

– To oczywiste. Można by zacząć od delikatnej, różowej barwy, która bardzo, bardzo powoli będzie ciemnieć, aż pod sam koniec zupełnie nagle ustąpi miejsca głębokiej czerwieni.

– Nie jestem pewien. Będziemy musieli sprawdzić ten pomysł. To musi być jednoznaczne i wzruszające, a poza tym nie chcę, by widzowie chichotali albo czuli się zażenowani. Już sobie wyobrażam, jak sprawdzamy po kolei wszystkie kolory widma i na koniec stwierdzamy, iż wszystko zależy od tego, co ty zrobisz na poziomie podświadomości. I w tym miejscu dochodzimy do istot triadycznych.

– Do czego?

– Wiesz przecież. Po ostatnim stopieniu wszyscy troje nakładają się na stałe i uzyskujemy dorosłą formę, składającą się z wszystkich trzech komponentów, z trzech płci. Tutaj, wydaje mi się, będziemy musieli uczynić ich bardziej ludzkimi. Ale nie ludzkimi, pamiętaj. Tylko bardziej ludzkimi. Lekka sugestia ludzkiego kształtu, ale też nie tylko pokazana podprogowo. Przyda nam się jakiś głos, który będzie przypominał głosy wszystkich trojga, tyle że nie mam pojęcia, w jaki sposób akustyk tego dokona. Na całe szczęście istoty triadyczne pojawiają się w tej powieści raczej rzadko.

Willard pokręcił głową.

– I w tym momencie dochodzimy do nagiej prawdy, a mianowicie do tego, że ten cyberdramat może nam w ogóle nie wyjść.

– Dlaczego nie? Znajdujesz rozwiązania wszystkich problemów.

– Ale nie zasadniczej kwestii. Pomyśl! W *Królu Learze* bohaterowie byli nie tylko ludźmi, ale wręcz czymś więcej niż ludźmi. Mieliśmy wszak do czynienia z niszczącymi emocjami. A co mamy tutaj? Jakieś idiotyczne sześciany, jaja i fałdy. Powiedz mi, czym *Troje w jednym* miałoby się różnić od filmu animowanego?

– Przede wszystkim film animowany jest dwuwymiarowy. Nawet bardzo skomplikowana animacja jest płaska, a użyte w niej kolory nie mają odcieni. Poza tym film animowany ma zawsze wymiar komiczny...

– Wiem to wszystko. Nie to chciałem od ciebie usłyszeć. Nie trafiasz w sedno. To, co różni cyberdramat od zwykłej kreskówki, to sugestie podprogowe, które mogą powstać jedynie w skomplikowanym komputerze obsługiwanym przez geniusz obdarzony wielką wyobraźnią. Mój cyberdramat różni się od kreskówki tym, że ty nad nim pracujesz, Meg.

– No cóż, chciałam być tylko skromna.

– Nie powinnaś. Staram ci się powiedzieć, że wszystko, absolutnie wszystko będzie zależało od ciebie. Mamy do czynienia ze śmiertelnie poważnym materiałem. Nasza Emotywistka usiłuje uratować Ziemię, powodowana czystym idealizmem; Ziemia nie jest jej światem. W powieści ponosi porażkę, w mojej wersji też ją poniesie. Nie będzie tandetnego happy endu.

– Tak naprawdę to Ziemia wcale nie zostanie zniszczona.

– To prawda, nie zostanie zniszczona. Będzie jeszcze czas, żeby ją uratować, jeśli Laborian kiedykolwiek dopisze drugą część, ale w tej opowieści próba uratowania Ziemi się nie

powiedzie. To tragedia i chcę, by tak właśnie odebrano ów spektakl. Jak taką samą tragedię, jaką jest *Lear*. Żadnych śmiesznych głosów, żadnych humorystycznych wtrętów, żadnych satyrycznych aluzji. To ma być poważne dzieło. I tutaj jestem uzależniony od ciebie. To ty sprawisz, że widzowie będą reagowali na Racjonalistę, Emotywistkę i Rodzica w taki sposób, jakby oni byli istotami ludzkimi. Wszystkie ich osobliwe cechy będą musiały zaniknąć, trzeba w nich będzie dostrzec istoty inteligentne, dorównujące ludziom, jeśli nawet nie lepsze od nich. Czy potrafisz to osiągnąć?

— Wygląda na to, że tego właśnie będziesz się domagał — stwierdziła sucho Cathcart.

— Bo, istotnie, się domagam.

— W takim razie sam zacznij już działać, a mnie zostaw teraz w spokoju. Potrzebuję czasu na myślenie. Mnóstwo czasu.

Pierwsze dni na planie zakończyły się kompletną klęską. Wszyscy członkowie obsady dostali po egzemplarzu książki, starannie, niemal chirurgicznie obrobionym, aczkolwiek ani jedna scena nie została wycięta.

— Postaramy się odtworzyć akcję możliwie jak najwierniej i w miarę postępów w pracy będziemy się starali ją ulepszać na tyle, na ile możemy — obwieścił z pełnym przekonaniem Willard. — Na samym początku zabierzemy się do istot triadycznych. — Zwrócił się do głównego operatora dźwięku: — Zabrałeś się już do tego?

— Próbowałem połączyć trzy głosy w jeden.

— No to posłuchajmy. Proszę, by wszyscy byli cicho.

— Najpierw puszczę ci Rodzica — powiedział operator.

Usłyszeli przytłumiony tenor, zupełnie nie przystający do kanciastej sylwetki stworzonej przez operatora obrazu. Willard skrzywił się nieznacznie na ten brak harmonii, ale ostatecznie Rodzic był niezharmonizowany — matka płci męskiej. Racjonalista, kołysząc się lekko, przemawiał nieco zarozumiałym barytonem, z lekko przesadną dykcją. Willard przerwał przesłuchanie.

— Mniej tego kołysania u Racjonalisty. Widzowie nie mogą się nabawić choroby morskiej. On się kołysze tylko wtedy, kiedy zatapia się w myślach, i to też nie cały czas. — Potem skinął głową w stronę Emotywistki i jej fałd, które zdawały się całkiem udane, podobnie jak jej czysty i nieskończenie melodyjny sopran. — Jej nie wolno skrzeczeć — przykazał surowo Willard — nawet wtedy, kiedy ogarniają gniew.

— Nie będzie — obiecał rejestrator. — Cała sztuka polega jednak na takim połączeniu wszystkich trzech głosów, by tworzyło to mowę istoty triadycznej i jednocześnie pozwalało rozróżniać poszczególne głosy.

Wszystkie trzy brzmiały cicho, słowa były niewyraźne. Najpierw zdawały się stapiać ze sobą, po czym dawał się słyszeć tylko jeden, za to bardzo wyrazisty głos.

Willard potrząsnął głową z niezadowoleniem. — Nie, to zupełnie nie tak. To nie może być taka układanka z trzech głosów. Przez to istota triadyczna stanie się śmieszna. Potrzebujemy jednego głosu, który będzie sugerował wszystkie trzy jednocześnie. Operator wyraźnie się obraził.



— Łatwo ci tak mówić. Jak my to mamy zrobić?

— Ja sam to zrobię — odparł szorstko Willard — dając wam takie polecenie. Powiem wam, kiedy już osiągniecie to, co trzeba. A poza tym Cathcart... gdzie jest Cathcart?

— Tutaj — powiedziała, wyłaniając się zza swoich przyrządów. — Tu, gdzie jest moje miejsce.

— Nie podoba mi się to, co zrobiłaś, Cathcart. Jak rozumiem, próbowałaś przedstawić zwoje mózgowe.

— Jako symbol inteligencji. Istoty triadyczne reprezentują szczyt inteligencji u tych stworzeń.

— Tak, wiem, lecz zamiast tego pokazałaś jakieś robactwo. Bodziesz musiała wymyślić coś innego. Nie odpowiada mi też wygląd triady. Wygląda jak rozrosły Racjonalista.

— Bo ona rzeczywiście przypomina rozrosłego Racjonalistę — zauważył jeden z operatorów obrazu.

— Czy w książce tak to jest opisane? — spytał ostrym tonem Willard.

— Nie aż w tylu słowach, jednak wrażenie, jakie...

— Twoje wrażenia się tutaj nie liczą. To ja podejmuję decyzje.

Dzień się włókł, a Willard stawał się coraz bardziej zirytowany. Co najmniej dwa razy miał kłopoty z opanowaniem się, po raz drugi wtedy, gdy zauważył, że ktoś obserwuje ich pracę.

Podszedł bliżej, rozwścieczony.

— Co pan tu robi?

Był to Laborian, który odparł:

— Patrę.

— Nasz kontrakt stwierdza...

— Nie przyszedłem tutaj, by w jakikolwiek sposób przeszkadzać. Kontrakt jednak nie mówi, że nie wolno mi się przyglądać.

— Tylko się pan zdenerwuje. Tak właśnie wygląda praca nad cyberdramatem. Trzeba przewyciężyć mnóstwo trudności i zespół będzie się denerwował, jeśli autor będzie się przyglądał jego zmaganiom i wyrażał swoją dezaprobatę.

— Ja nie zamierzam wyrażać dezaprobaty. Mogę natomiast odpowiadać na ewentualne pytania.

— Pytania? Jakie pytania? Laborian wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Może coś was nurtuje i potrzebujecie jakiejś sugestii.

— Rozumiem — odparł Willard głosem ociekającym ironią. — Chce mnie pan uczyć mojego rzemiosła.

— Nie, ja tylko mogę odpowiadać na pańskie pytania.

— Rzeczywiście, mam jedno pytanie.

— Proszę bardzo. — I tu Laborian wyciągnął niewielki magnetofon. — Wystarczy, że powie pan do mikrofonu, iż chce zadać pytanie, a ja mam na nie odpowiedzieć. Dzięki temu nie dojdzie do naruszenia postanowień kontraktu.

Willard milczał długo, wpatrując się w Laboriana, jakby się spodziewał jakiegoś podstępu,

po czym przemówił do magnetofonu.

— Bardzo dobrze — powiedział Laborian. — Jak brzmi pańskie pytanie?

— Jakie znaczenie mają dla akcji pańskiej powieści istoty triadyczne?

— Absolutnie żadne — odparł radośnie Laborian.

— To jak mógł pan o nich pisać? — Willardowi trząsał się głos, jakby powstrzymywał się z całej siły, by nie dodać „ty idioto”.

— Całkiem zwyczajnie. Czytelnik sam interpretuje to, czego ja nie opiszę. Każdy robi to inaczej, tak, jak mu pasuje, zakładam. Na tym polega przewaga literatury. Cyberdramat będzie miał o wiele większą rzeszę odbiorców niż książka, ale to pan za to zapłaci, ponieważ będzie zmuszony przedstawić obrazy.

— To rozumiem — odparł Willard. — W takim razie to tyle, jeśli chodzi o pytania.

— Wcale nie. Mam sugestię.

— Jaka?

— Na przykład głowa. Proszę obdarzyć istotę triadyczną głową. Rodzic nie ma głowy, nie mają jej też Racjonalista i Emotywistka, wszyscy troje jednak traktują istoty triadyczne jako stworzenia obdarzone wyższą inteligencją. To właśnie różni istoty triadyczne od pojedynczych. Inteligencja.

— Głowa?

— Tak. Inteligencję kojarzymy przecież z głową. W głowie mieści się mózg, ośrodki zmysłowe. Nikt nie uwierzy w inteligencję, jeśli nie będzie głowy. Bezgłowe ostrygi, które zaliczają się do mięczaków, mają dla nas tyle samo inteligencji co kawałek szkła, natomiast spokrewniona z nimi ośmiornica, również mięczak, uchodzi za potencjalnie inteligentną, ponieważ ma głowę i oczy. Proszę również obdarzyć istoty triadyczne oczyma.

Praca na planie rzecz jasna ustała. Wszyscy podeszli najbliżej, jak mogli, by przysłuchiwać się rozmowie reżysera z autorem.

— Jak ma wyglądać ta głowa? — spytał Willard.

— Niech pan sam zadecyduje. Wystarczy, gdy będzie to wybrzuszenie przywodzące na myśl głowę. Z oczami. Widz z pewnością odgadnie ideę.

Willard odwrócił się i krzyknął:

— No dalej, wracać do pracy! Czy ktoś ogłosił wakacje? Gdzie są spece od obrazu? Z powrotem do maszyn i postarać się stworzyć głowę. — Odwrócił się nagle i powiedział do Laboriana kwaśnym tonem: — Dziękuję panu!

— Żeby się tylko udało — odparł Laborian, wzruszając ramionami.

Resztę dnia spędzono na szukaniu takiej głowy, która nie byłaby humorystyczną bulwą albo imitacją ludzkiej czaszki, oraz oczu nie przypominających dziwacznych kółek osadzonych w złowieszczych szczelinach. Na koniec Willard zarządził przerwę.

— Jutro znowu spróbujemy — warknął. — Jeśli ktoś w nocy wpadnie na jakiś genialny pomysł, to proszę go przekazać Meg Cathcart. Ona mi o nim opowie, jeśli będzie coś wart. — I z irytacją dodał: — Podejrzewam, że będzie milczała.

Willard miał rację i jednocześnie się mylił. Miał rację, bo nie przekazano mu żadnych

błyskotliwych pomysłów, ale mylił się co do własnej pomysłowości.

— Słuchaj, czy mogłabyś coś zrobić z cylindrem? — zwrócił się do Cathcart.

— Z czym?

— Cylinder to rodzaj nakrycia głowy, które noszono w epoce wiktoriańskiej. Słuchaj, kiedy Rodzic włamuje się do siedziby istot triadycznych, żeby ukraść źródło energii, jego wygląd nie robi specjalnego wrażenia, ale powiedziałaś mi, że mogłabyś pokazać hełm i długą kreskę, która symbolizowałaby włócznie. To będzie rodzaj wyprawy wojennej.

— Tak, wiem — odparła. — Ale to może nie wyjść. Musimy to sprawdzić.

— Ma się rozumieć, jednak nadaje nam to kierunek. Jeśli wyłącznie zasugerujesz cylinder, to odniesiemy wrażenie, iż istota triadyczna jest arystokratą. Dokładny kształt głowy i oczu będzie przez to mniej istotny. Czy to się da zrobić?

— Wszystko się da zrobić. Pytanie tylko, czy zadziała?

— Spróbujemy.

I jak się okazało, jedna rzecz prowadziła do drugiej. Widząc, jakie wrażenie zrobił cylinder, akustyk zauważył:

— A może by tak obdarzyć triadę brytyjskim akcentem? Willard był zbity z tropu.

— Dlaczego?

— Cóż, Brytyjczycy mówią odmianą języka, która jest bardziej melodyjna. W każdym razie arystokraci. Amerykańska odmiana angielskiego jest bardziej płaska i pasuje do istot pojedynczych. Jeśli istota triadyczna będzie się posługiwała brytyjską, a nie amerykańską odmianą, wówczas jej głos będzie opadał i wznosił się przy wymawianiu poszczególnych słów, dzięki czemu usłyszymy tenor, baryton, a czasami sopranowy pisk. W ten właśnie sposób stworzymy jeden głos z trzech.

— Potrafisz to zrobić? — spytał Willard.

— Chyba tak.

— No to spróbujemy. Niezłe, pod warunkiem, że się uda.

Cały zespół pochłonęła praca nad postacią Emotywistki; widok był niezwykle budujący.

Wszystkich zaabsorbowała zwłaszcza ta scena, kiedy Emotywistka ucieka na drugą stronę planety, do miejsca spotkania z innymi Emotywistkami.

— To będzie jedna z najbardziej dramatycznych scen — oznajmił z napięciem w głosie Willard. — Postaramy się pokazać ją najbarwniej, jak się da. Będzie mnóstwo fałd, ale nie wolno ich ze sobą spletać. Każda musi pozostać odrębna. Nawet wtedy, gdy Emotywistki zaczną biec w stronę widowni, każdy komplet fałd ma być utrzymany w innym odcieniu bieli. Chcę także, by fałdy naszej Emotywistki wyróżniały się najbardziej ze wszystkich. To nasza bohaterka, więc jej szaty mają odrobinę lśnić, w ogóle być inne. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — powiedział główny operator obrazu. — Poradzimy sobie.

— I jeszcze jedno. Wszystkie inne Emotywistki szczebioczą. Są jak ptaki. Nasza nie szczebiocze i gardzi tamtymi, ponieważ jest od nich bardziej inteligentna i o tym wie. A kiedy ucieka.... — Urwał i chwilę się zastanawiał. — Czy istnieje sposób, byśmy mogli uniknąć „Cwału Walkirii”?

— Nie musimy — odparł natychmiast operator dźwięku. — Nie skomponowano nic lepszego.

— Tak, ale teraz usłyszymy tylko strzępki — odparła Cathcart. — Kilka taktów będzie miało wpływ na całość, a poza i tym mogę również zasugerować potrząsanie końskimi grzywami.

— Końskie grzywy? — spytał bez przekonania Willard.

— Jak najbardziej. Trzy tysiące lat doświadczeń z końmi przywiązało nas do wizji galopującego rumaka jako symbolu opętańczej jazdy. Wszystkie nasze urządzenia mechaniczne są zbyt statyczne, sprawiają wrażenie, jakby nie poruszały się szybko. Mogę także spowodować, by te grzywy' harmonizowały z fałdami, podkreślając je i akcentując ich falowanie.

— Brzmi nieźle. Wypróbuj to.

Willard wiedział, w którym miejscu potkną się po raz ostatni. Przy ostatecznym stąpieniu. Wezwał wszystkich na wykład, częściowo po to, by się upewnić, że zrozumieli, co aktualnie robią, a częściowo, żeby odsunąć moment podjęcia decyzji, kiedy ubrać wszystko w obraz, dźwięk i sugestie podprogowe.

— W porządku, Emotywistka chce zbawić inny świat, Ziemię, bo nie może znieść myśli o bezsensownym zabijaniu inteligentnych istot. Wie, że istoty triadyczne realizują jakiś projekt naukowy, niezbędny dla losów jej świata, i że zupełnie nie obchodzi ich niebezpieczeństwo, na które ów projekt naraża ten inny świat, czyli nas. Stara się ostrzec obcych, niestety bezskutecznie. W każdym razie wie, iż celem stąpienia jest stworzenie nowych przedstawicieli racjonalności, emotywności i rodzicielstwa i że kiedy to się dokona, dojdzie do ostatecznego stopienia, w wyniku którego powstaną istoty triadyczne. Zrozumieliście? To rodzaj larwalnej postaci istot pojedynczych i dorosła postać triadycznych. Ale Emotywistka nie chce się stąpić. Nie chce uczestniczyć w tworzeniu nowego pokolenia. A przede wszystkim nie chce zostać istotą triadyczną i wziąć udziału w czymś, co uważa za proces wiodący ku destrukcji. Niemniej zostaje podstępnie zmuszona do uczestniczenia w ostatecznym stąpieniu i zbyt późno uświadamia sobie, iż nie tylko zostanie istotą triadyczną, ale na dodatek bardziej niż inni będzie odpowiedzialna za to, że projekt naukowy zniszczy ten inny świat. Laborian w swojej powieści potrafił wszystko wytłumaczyć za pomocą samych słów, my jednak pokażemy to bardziej bezpośrednio i skutecznie dzięki obrazom oraz sugestiom skierowanym do podświadomości. Właśnie to staramy się teraz osiągnąć.

Próby trwały trzy dni, zanim Willard był zadowolony.

Emotywistka, zdenerwowana, niepewna, rozrastająca się, jakby pełna wahania dzięki sugestiom Cathcart. Racionalista i Rodzic, spowici w fałdy i łączący się, gwałtowniej niż przy poprzednich razach — spieszący, by nałożyć się, zanim coś im przeszkodzi — a także Emotywistka, która zbyt późno uświadamia sobie, jaki jest sens tego wszystkiego, i zaczyna walczyć... Walczy...

I porażka. Uczucie porażki, kiedy z nałożenia wyłania się nowa triada, bardziej prawie — ludzka od innych osób cyberdramatu — dumna, obojętna.

Projekt naukowy nie zostanie przerwany. Ziemia nadal będzie się staczać po równi pochyłej.

I jakoś udało się dokładnie to, co zamierzył Willard. Emotywistka nadal istnieje w nowo powstałej triadzie. Wystarczy falowanie fałd i widz będzie wiedział, że jej porażka nie jest ostateczna.

Emotywistka, ukryta gdzieś we wnętrzu większej istoty, będzie jeszcze próbowała.

Wszyscy obejrzeni ukończony spektakl, po raz pierwszy w całości, a nie jako zbiór poszczególnych epizodów, zastanawiając się, czy są w nim jakieś miejsca, które można by poprawić, przemieścić (nie teraz, pomyślał Willard, nie teraz. Potem, kiedy on się pozbiera i będzie potrafił spojrzeć na wszystko bardziej obiektywnie).

Siedział zgarbiony na krześle. Za dużo siebie w to włożył. Wydawało mu się, że jego dzieło zawiera już wszystko, co chciał; że zrobił z nim wszystko, co chciał. Tylko ile z tego to tylko pobożne życzenia?

Kiedy widowisko dobiegło końca i wybrzmiał ostatni drżący krzyk pokonanej, choć nie do końca, Emotywistki, krzyk przekazany podprogowo, powiedział:

— Dobra robota.

— To jest prawie tak dobre, jak twój *Król Lear*, Jonas — stwierdziła Cathcart.

Rozległ się ogólny szmer aprobaty i Willard rozejrzał się dokoła cynicznym wzrokiem. Czy nie to musieli powiedzieć, niezależnie od wszystkiego?

Jego wzrok padł na Gregory'ego Laboriana. Pisarz nic nie mówił, jego twarz niczego nie wyrażała.

Willard zacisnął usta. Z tej strony spodziewał się przeciw opinii, która będzie albo nie będzie poparta złotem. Dostał wprawdzie swoje sto tysięcy, ale teraz chciał się dowiedzieć, czy pozostaną one tylko cyframi na elektronicznej karcie.

— Laborian. Chcę się z panem spotkać w moim gabinecie — powiedział głosem, któremu nadał władcą nutę, pragnąc ukryć swoją niepewność.

Po raz pierwszy od długiego czasu, jaki upłynął od zrobienia cyberdramatu, spotkali się sam na sam.

— No i co? — spytał Willard. — Jakie jest pańskie zdanie, panie Laborian?

Laborian uśmiechnął się.

— Kobieta odpowiedzialna za tło powiedziała panu, że to widowisko jest prawie tak dobre jak pański *Król Lear*, panie Willard.

— Słyszałem, co powiedziała.

— Raczej się pomyliła.

— Takie jest pańskie zdanie?

— Tak. A teraz moje zdanie już się liczy. Pomyliła się. Pańskie *Troje w jednym* jest o wiele lepsze od *Króla Leara*.

— Lepsze? — Zmęczona twarz Willarda rozciągnęła się w uśmiechu.

— Znacznie lepsze. Wtedy tworzył pan w oparciu o dzieło Szekspira, którego słowa same

śpiewają, które same w sobie są muzyką. Dzieło Williama Szekspira, którego bohaterowie, obojętnie, dobrzy czy źli, silni czy słabi, sprytni czy głupi, wierni czy zdradzieccy, przerastają prawdziwych ludzi. Williama Szekspira, u którego dwa przeplatające się wątki uzupełniają się i rzucają widzów na kolana. Jaki był pański wkład w *Króla Leara*? Dodał pan wymiar, o którym Szekspir nie mógł nawet marzyć, ponieważ brakowało mu wiedzy technicznej. Jakkolwiek by jednak było, dzieło powstałe przy zastosowaniu wymyślnej techniki, pańskich ludzi oraz pańskich talentów powstało na podstawie dzieła największego geniuszu literackiego wszech czasów. Natomiast w wypadku *Trojga w jednym*, panie Willard, miał pan do czynienia z moimi słowami, które nie śpiewają, z moimi bohaterami, którzy wcale nie są wspaniali, i z moim jedynym wątkiem, który nikogo nie rzucił na kolana. Miał pan do czynienia ze mną, podrzędnym pisarzem, a stworzył pan coś oszałamiającego, coś, co będzie pamiętane jeszcze długo po mojej śmierci. W każdym razie przynajmniej jedna moja książka będzie żyła dalej dzięki temu, co pan zrobił. Proszę mi oddać pańskie elektroniczne sto tysięcy, panie Willard, a ja dam panu to.

Sto tysięcy zostało przelane z jednej karty kredytowej na drugą, po czym Laborian z wysiłkiem podniósł teczkę, postawił ją na stole i otworzył. Wyciągnął z niej kasetkę zabezpieczoną małym haczykiem. Ostrożnie odpiął haczyk i uniósł wieko. W środku lśniły złote monety; każda była oznakowana wizerunkiem Ziemi, z zachodnią półkulą na awersie i wschodnią na rewersie. Wielkie złote monety, dwieście sztuk, każda warta pięćset dolarów planetarnych. Willard podniósł jedną z nich. Ważyła około jednej i ćwierci uncji. Podrzucił ją i złapał w locie.

— Są piękne — powiedział.

— Należą do pana, panie Willard — odparł Laborian. — Dziękuję, że zrobił pan dla mnie ten spektakl. Jest wart wszystkich tych monet.

Willard zapatrzył się na pieniądze i powiedział: — Zrobiłem pańską książkę, ponieważ zaproponował mi pan zapłatę w złocie. To dla złota właśnie zaprząłem do pracy wszystkie swoje talenty. Dziękuję panu, miał pan rację. To dzieło było warte wszystkich tych monet.

Włożył monetę z powrotem do kasetki i zamknął ją. A potem podniósł kasetkę i oddał z powrotem Laborianowi.

Na zdrowie! (*To Your Health*)

Krytyk na palenisku (*The Critic on the Hearth*)

To też praca (*It's a Job*)

Kochanie, strasznie zimno na dworze (*Baby, It's Cold Outside*)

Podróżujący w czasie (*The Time Traueller*)

Wino jest szydercą (*Winę Is a Mocker*)

Szalony naukowiec (*The Mad Scientist*)

Bajka o trzech królewiczach (*The Fable of the Three Princes*)

Marsz na wroga (*March Against the Foe*)

Północny Zachód (*Northwestward*)

Bajka o królewiczu Zachwyteuszu i smoku, który nie ział ogniem (*Prince Delightful and the Flameless Dragon*)

Cal (*Cal*)

Z lewa na prawo (*Left to Right*)

Frustracja (*Frustration*)

Halucynacja (*Hallucination*)

Niestabilność (*The Instability*)

Bóg Aleksander (*Alexander the God*)

W kanionie (*In the Canyon*)

Pożegnanie z Ziemią (*Good-bye to Earth*)

Hymn bitewny (*Battle-Hymn*)

Feghoot i sądownictwo (*Feghoot and the Courts*)

Brak odporności na usterki (*Fault-Intolerant*)

Młodszy brat (*Kid Brother*)

Narody w przestrzeni. Baśń współczesna (*The Nations in Space*)

Uśmiech chippera (*The Smile of the Chipper*)

Złoto (*Gold*)

---

\* Väinämöinen — jeden z głównych bohaterów *Kalewali* — fińskiej epopei narodowej ułożonej w pierwszej poł. XIX w. przez poetę i naukowca Eliasza Lonnrota, który zebrał starą poezję fińską, zwłaszcza pieśni epickie (przyp. red.).

\* \* William Shakespeare, *Hamlet*, tłum. Józef Paszkowski (przyp. tłum.).

\* Ambrose Everett Burnside (1824–1881) — generał amerykański. Jego nazwiskiem przyjęło się określać typ bokobrodów („burnsides”), jakie nosił (przyp. red.).

\* Old Eli — od Elihu Yale’a, założyciela uczelni; Ol’Miss — od Mississippi, oznacza również „starą pannę”.

\* *Mad* w jęz. ang. oznacza „szalony” (przyp. tłum.).

\* *Ad nauseam* (łac.) — „aż do mdłości” (przyp. red.).

\* Narrator po raz kolejny się myli. Bitwa na szkockich wrzosowiskach Culloden stoczona została w 1746 roku (przyp. red.).

\* George myli tutaj słowo „brahman”, które oznacza „bramina”, ze słowem „brahmin”, które wywodząc się zresztą z tego samego źródła — słowu, oznacza członka nowoangielskiej arystokracji (przyp. tłum.).

\* Bensonhoist to inaczej Bensonhurst, niewielka miejscowość w pobliżu Bostonu, zamieszкана w dużej mierze przez potomków żydowskich emigrantów z Europy Środkowej; Cherry posługuje się typowym dla nich dialektem (przyp. tłum.).

\* Chodzi oczywiście o Far Rockaway — popularną miejscowość wypoczynkową położoną na południowym wybrzeżu Long Island w Nowym Jorku. Uwaga o życiu Cabwella z dala od świata jest więc nieco ironiczna (przyp. red.).

\* *Backward* w języku ang. oznacza „wsteczny”. To gra językowa polegająca na kontraście z początkowym nazwiskiem naukowca. *For ward* znaczy bowiem „przedni” (przyp. tłum.).

\* Wszystkie cytaty pochodzą z: William Szekspir, *Król Lear*, przeł. Witold Chwalewik.